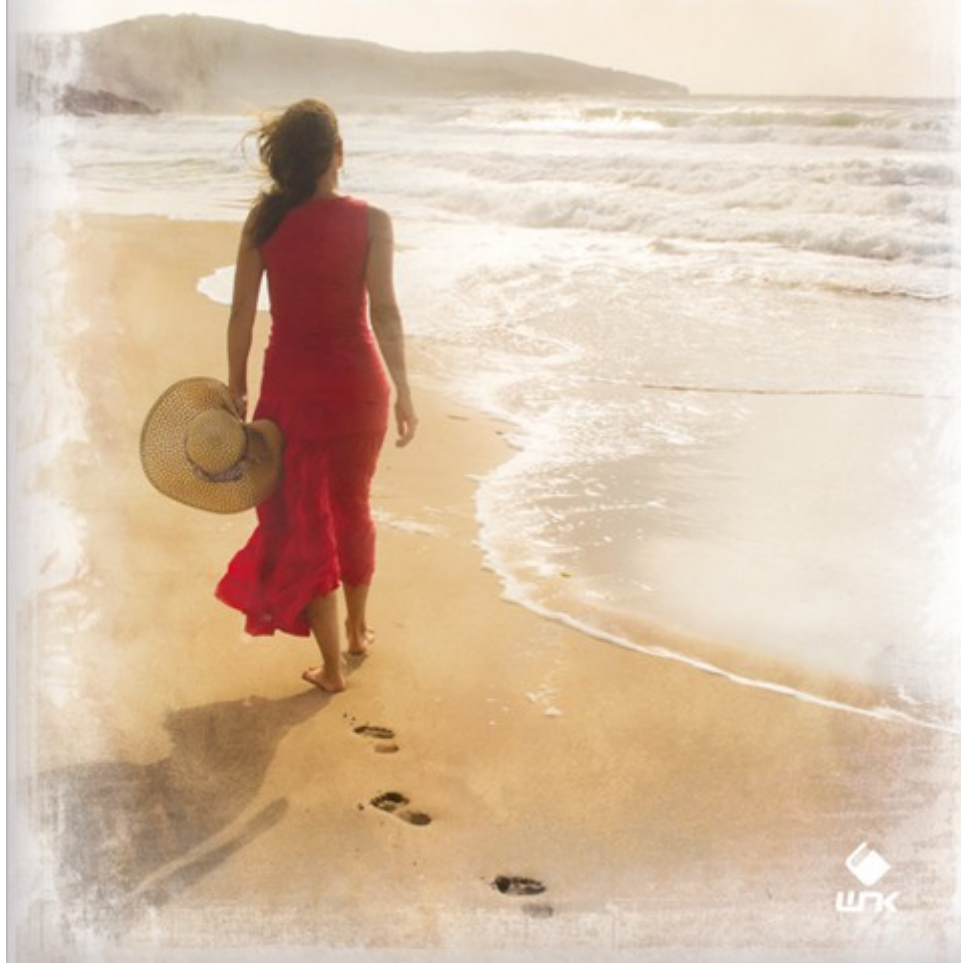


Melissa  Senate

# SZCZEŚLIWA PRZYSTAŃ



  
WTK

**Melissa Senate**

**Szczęśliwa przystań**

Przełożyła Anna Płocica

Dla mamy

## Podziękowania

Napisałam tę książkę w burzliwym roku i muszę podziękować wielu osobom za wsparcie i otuchę.

W pierwszej kolejności dziękuję mojej redaktorce, Jennifer Heddle, za WSZYSTKO, włącznie ze wspaniałą recenzją, trafnym tytułem oraz cudowną okładką.

Superagentkom Kim Witherspoon i Alexis Hurley z InkWell Management za zapewnianie mnie, że znajdę szczęśliwy nowy dom (i miały rację!).

Rodzinie za odbywanie ośmiogodzinnych podróży do Maine z psami i małymi dziećmi, a w szczególności mojej mamie, która pewnego pięknego letniego dnia wybrała się ze mną do Wiscasset.

Przyjaciółkom Lee Nichols Naftali oraz Elizabeth Hope za kawę, hinduskie jedzenie i rozmowy.

Adamowi Kemplerowi za to, że zawsze dawał mi trochę więcej czasu, którego potrzebowałam na pisanie.

Pragnę także podziękować administracji, pracownikom i nauczycielkom ze szkoły mojego syna, a są to: Catherine Glaude, Raelene Bean, Jen Beaudoin, Cheryl McGilvery, Meg Pachuta, Valle Gooch i Margi Moran. Dzięki Waszej niezwykle życzliwości i wielkoduszności miałam pewność, że serce, rozum i psychika (oraz biodro) mojego syna znalazły się pod dobrą opieką podczas trudnego roku obfitującego w wózki inwalidzkie, kule, szyny i spaceru na świeżym powietrzu. Nie zdołałabym pogrążyć się w świecie fikcji i nie napisałabym niniejszej książki bez tego komfortu psychicznego.

Dziękuję też Maksowi, który inspiruje mnie w każdej minucie. Jesteś wspaniałym dzieckiem.

## Prolog

Kiedy Rebecca Strand miała pięć lat, oszczędzała pieniądze – drobne za wycieranie naczyń, banknot jednodolarowy za jedyny mleczny ząb, który zdążył już jej wypaść – żeby kupić siostrę. Wyobrażała sobie kogoś podobnego do Oliwii – dziewięcioletniej siostry swojej najlepszej przyjaciółki Charlotte, dziewczynki na tyle miłej, by pozwolić sobie zaplatać warkocze, a jednocześnie na tyle twardej, by dogonić osiedlowego łobuza, który już dwa razy próbował zasikać ich narysowane kredą pola do gry w klasy.

Pięciolatka przyniosła rodzicom skarbonkę z Ciekawskim George'em, żeby pomogli jej policzyć oszczędności.

– Wystarczy? – dopytywała się. – Babcia Mildred mówi, że dzieci kosztują dużo pieniędzy.

Jej matka, nieświadoma, że Rebecca istotnie miała siostrę (nikt o tym nie wiedział, nie licząc oczywiście ojca), wzięła córkę na kolana i opowiedziała jej o ptaszkach i pszczołkach. Wyjaśniła, że dzieci rzeczywiście sporo kosztują, ale Rebecca nie ma brata ani siostrzyczki, ponieważ Bóg nie obdarzył ich rodziny kolejnym potomkiem.

Teraz, prawie dwadzieścia lat później, dziewczyna próbowała sobie przypomnieć, czy ojciec miał zboląłą minę, gdy mama tłumaczyła jej, co mają wspólnego Bóg i biologia. Czy wyszedł wtedy z pokoju? Czy po prostu stał, uśmiechając się jak zawsze?

Rebecca dowiedziała się, że ma siostrę – dwudziestosześcioletnią przyrodną siostrę, gdy wirowała (a właściwie wykonała jeden obrót) w używanej sukni ślubnej i znoszonych chodakach marki Dansko w pokoju szpitalnym ojca. Sukienka nie należała do niej, tylko do przyszłej teściowej. Choć nie była pewna swoich uczuć do Michaela Whitmana – mężczyzny, z którym spotykała się od dwóch lat, uwielbiała jego niezwykłą matkę z jej nieprzyzwoicie długimi blond włosami, krzykliwą biżuterią i wielkim sercem. Zdaniem zamężnej przyjaciółki Rebekki – Charlotte, sympatia do matki mężczyzny przemawiała na jego korzyść i stanowiła ważny argument za poślubieniem go.

Glenda Whitman wskoczyła do samochodu i jechała prawie dwie godziny z Connecticut, gdy otrzymała informację, że ojciec Rebekki poczuł się dziś znacznie gorzej. Wyciągnęła dziewczynę z pracy na szybką przekąskę, bo wiedziała, że w porze obiadowej pójdzie w odwiedziny do szpitala. Potem wręczyła jej pokrowiec na ubranie i napomknęła, że może czas, by zaczęli z Michaeliem myśleć poważnie o życiu. Rebecca rozsunęła suwak i jej oczom ukazało się coś białego i bardzo satynowego.

– Chcę przez to powiedzieć, że zawsze marzyłam o takiej córce jak ty – oznajmiła Glenda, po czym przewiesiła pokrowiec przez ramię Rebekki, ucałowała ją w oba policzki, obróciła się na pięcie i zniknęła.

„Kiedyś miałam taką matkę” – przemknęło Rebecce przez myśl. Bardzo bezpośrednią, ale w pozytywnym sensie. Dowcipną, troskliwą, serdeczną. Panią wszechwiedzącą, która naprawdę wszystko wiedziała.

„Szlachetna plotkarka – tak mawiał ojciec żydowskiego pochodzenia o jej matce chrześcijance – w najlepszym wydaniu”.

Glenda Whitman na pewno spodobałaby się mamie. Sam Michael niekoniecznie.

Z pokrowcem, który ciążył jej na ramieniu, jakby ważył co najmniej tonę, udała się do szpitala New York Presbyterian na spotkanie z ojcem. Budynek przypominał pałac ze swoimi atriami, marmurem i widokiem na East River. Nienawidziła tego miejsca.

– Szykuje się wielkie przyjęcie? – szepnął ojciec, zerkając na pokrowiec z suknią. Jego głos, niegdyś mocny jak u spikera, teraz zmienił się w chrypliwy szept.

Wokół rozlegało się miarowe pikanie urządzeń medycznych. Mężczyzna leżał w zwyczajnym łóżku szpitalnym, otoczony niezliczoną liczbą rurek i stojaków z kroplówkami. Na głowie miał bejsbolówkę z logo Metsów, która skrywała resztki rzadkich brązowych włosów. W pokoju aż roilo się od wazonów z kwiatami – było ich tak dużo, że ustawione w rzędzie zajmowały całą ścianę pod oknem.

– Matka Michaela próbuje mi coś powiedzieć – oznajmiła Rebecca, wzruszając ramionami. Uśmiechnęła się lekko i wygładziła kołdrę przykrywającą wątłe ciało ojca. – Uważa, że powinniśmy się zaręczyć. – Przewróciła oczami, po czym wyciągnęła z torby parę ciepłych skarpet termoizolacyjnych. – Kupiłam ci najlepsze skarpetki na rynku, tato. Są bardzo ciepłe.

Uśmiechnął się i spróbował wydostać stopy spod kołdry, jednak pościel ledwo się poruszyła. Był bardzo słaby. Gdy dziewczyna zaczęła wsuwać grube niebiesko-białe skarpety na chude nogi ojca, mężczyzna się odezwał:

– Przymierz dla mnie tę sukienkę, Becs. To jedyna okazja, żebym zobaczył moją ukochaną córeczkę w sukni ślubnej.

Powstrzymała się, żeby nie powiedzieć: „Rety, czy naprawdę muszę?”, choć cisnęło jej się to na usta. Ojcu pozostało kilka dni życia, więc jeśli chciał zobaczyć swoje jedyne dziecko w długiej białej sukni, powinna spełnić jego życzenie.

KILKA DNI. Odkąd trzy dni temu dotarły do niej wieści o nagłym pogorszeniu się stanu zdrowia ojca, wybuchała płaczem za każdym razem, gdy uderzała ją okrutna prawdziwość tych słów. Często działo się to w najmniej odpowiednich momentach: na spotkaniu z klientami, w supermarkecie, gdy sprawdzała, czy jajka nie są popękane, w metrze i dziś rano, kiedy

obserwowała sąsiada, którego prawie nie znała, jak bierze na ręce dwuletnią córeczkę i kieruje się do wyjścia.

– Zaraz wracam – rzekła, czując łzy napływające do oczu.

W przypadku czwartej fazy raka trzustki nie było mowy o żadnym „zaraz wracam”. Nawet gdyby udało jej się wrócić po milisekundzie, jego mogłoby już nie być.

Weszła do niewielkiej łazienki, zdjęła szary kostium ze spodniami, zatwierdzony przez kancelarię adwokacką Whitman, Goldberg & Whitman, w której pracowała, i włożyła suknię. Wydawała się o rozmiar za duża, ale poza tym była piękna, skromna, idealna. Sukienka bez ramiączek godna księżniczki – nie za bufiasta ani nie za prosta. Dziewczyna wsunęła stopy w wygodne chodaki, które wkładała do prowadzenia samochodu. Chciała dodać sobie kilka centymetrów (miała tylko metr pięćdziesiąt siedem wzrostu), żeby suknia nie ciągnęła się po wytartej kafelkowej podłodze.

Przyjrzała się sobie w lustrze wiszącym nad umywalką i niemal się zdumiała, że wygląda tak samo jak zawsze. Tak – te same kręcone, kasztanowe włosy do ramion, te same piwne oczy, ta sama jasna cera, ostatnio wyjątkowo blada, odkąd tata trafił do szpitala i stało się jasne, że już z niego nie wyjdzie.

Poczuła, że suknia robi się ciasniejsza, nie pozwala jej oddychać.

– Becs?! – Usłyszała wołanie ojca.

„Chcę, nie chcę, chcę, nie chcę” – kołatało jej się po głowie, gdy wychodziła z łazienki.

Powinna pragnąć wyjść za Michaela Whitmana, przystojnego młodego wspólnika z kancelarii Whitman, Goldberg & Whitman (choć wcale jeszcze nie poprosił jej o rękę). Jednak przy każdej wyjątkowej okazji, na święta lub na urodziny, wstrzymywała oddech, odpakowując prezent od niego, i wzdychała z ulgą na widok opasłego tomiszcza *Niezbędnika asystenta prawnego* lub bransoletki z zawieszkami, których sensu nie pojmowała. Małeńka rakieta tenisowa? Nigdy nawet nie dotykała rakiety tenisowej. W zeszłym miesiącu, kiedy obchodziła dwudzieste ósme urodziny, niemal dostała hiperwentylacji na widok małeńkiego pudełeczka z biżuterią, które Michael jej wręczył, ale gdy je otworzyła, ujrzała eleganckie kolczyki z brylantami, po pół karata każdy.

– Jesteś piękna, Becs – wyszeptał ojciec, lecz po chwili wbił wzrok w ścianę, skupiając się na tabliczce z zasadami bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Potem znów spojrzał na córkę. – Powinnaś wiedzieć, że... – Zaciśnięła usta, po czym odetchnęła głęboko. – Że nie zostaniesz sama, kiedy odejdę. – Głos mu się załamał i zaniósł się kaszlem.

Rebecca usiadła na brzegu łóżka i wzięła go za rękę.

– Michael to porządny facet. – Ojciec nie musiał wiedzieć o jej wątpliwościach. Michael istotnie był porządnym facetem.

– Nie mam na myśli jego. – Po tych słowach wybuchł płaczem i natychmiast przesłonił twarz dłońmi. – Rebecca, ja...

– Tato?

– Nic mi nie jest – odparł, wycierając oczy palcem. – Zrobiłem się taki emocjonalny. Należy mi trochę likieru jajecznego, dobrze?

Rebecca podeszła do minilodówki. Choć była dopiero połowa września, bożonarodzeniowy likier zaczął się już pojawiać w supermarketach, podobnie jak wielkie paki cukierków na Halloween. Wszystkie te łakocie obchodziły ją tyle co zeszłoroczny śnieg. Jak mogłaby się opychać czekoladkami, podczas gdy obok umierał ojciec?

Chciał się otaczać ulubionymi rzeczami, których nazwy szeptał córce do ucha. Tak więc Rebecca codziennie przynosiła mu coś smacznego, począwszy od likieru jajecznego, przez sernik z truskawkami z jego ulubionej cukierni Junior's (koniecznie z tej oryginalnej, przy Flatbush Avenue na Brooklynie, choć niedawno nową cukiernię tej sieci otwarto tuż przy jej biurze przy Grand Central), a skończywszy na kanapce z tłustymi kawałkami wołowiny i mnóstwem smażonej cebuli. Wśród ulubionych przedmiotów znalazły się też puchowa kołdra, którą dziewczyna podarowała ojcu w zeszłym roku na Chanukę, oraz największe przeboje Neila Diamonda lecące na okrągło na jego iPodzie – sprezentowanym mu przez Rebeccę w zeszłym tygodniu z okazji

pięćdziesiątych dziewiątych urodzin.

Znów wybuchł płaczem. Podbiegła do niego, ale po chwili zdała sobie sprawę, że zapomniała o likierze, więc okręciła się na pięcie. Długa suknia zawirowała wokół jej kostek. Odkąd ojciec trafił do szpitala, ani razu nie płakał. Daniel Strand był bardzo drobnym mężczyzną – miał tylko trochę ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, jak Michael J. Fox, ale zdradził kiedyś Rebecce, że już w pierwszej klasie szkoły podstawowej nauczył się, że aby nadrobić brakujące centymetry w oczach rówieśników, musi rozśmieszać innych swoimi żartami i pod żadnym pozorem nie może płakać. Rebecca przypominała sobie tylko dwie sytuacje, w których widziała ojcowskie łzy: pierwszy raz, kiedy mówił jej o śmierci matki, i później na pogrzebie.

– Było jeszcze jedno dziecko – szepnął.

Dziewczyna postawiła plastikowy kubek z likierem na obrotowej szarej tacy nad łóżkiem. Ostatnio ojciec często zachowywał się w ten sposób – rzucał dziwną uwagę dotyczącą minionych zdarzeń, tych ważniejszych i tych mniej znaczących: ważnych, takich jak śmierć matki, gdy Rebecca miała dziewiętnaście lat; średnio ważnych, takich jak wspomnienie Finna Wellera, który złamał jej serce podczas balu maturalnego; i tych mało ważnych, takich jak refleksja na temat Cherubinka, jej świnki morskiej z dzieciństwa, która spędziła krótkie, nieciekawe życie w klatce na biało-różowej komodzie w jej pokoju.

– Mieliśmy psa – powiedział wczoraj. – Jak się nazywał? – Jego brązowe oczy zaiskrzyły się, lecz już po chwili zaniemówił i spojrzał ze smutkiem przez okno. – Chyba Bongo?

Rebecca złapała go za rękę i zaczęła mówić o ich ukochanym beagle'u – Bingo. Przypomniała ojcu, jak na szóste urodziny zaprowadził ją do schroniska i pozwolił wybrać dowolnego zwierzaka, od największego psa po najmniejsze kociątko. Wybrała beagle'a o smutnych oczach, a potem codziennie rano i wieczorem razem wyprowadzali go na spacer, śpiewając przy tym śmieszne wersje starej piosenki – przynajmniej przez pierwszy rok. „Stary Donald farmę miał, ija ija o, na niej beagle'a hodował, ija ija o...”.

– Jest dziecko – odezwał się ojciec. – Jest. Jest. – Łzy popłynęły mu po policzkach, więc odwrócił się twarzą do ściany, ponownie wlepiając wzrok w zasady bezpieczeństwa przeciwpożarowego.

Rebecca próbowała skojarzyć, co ojciec ma na myśli, żeby pomóc mu wypełnić lukę w pamięci. Może matka poroniła i rodzice nigdy jej o tym nie powiedzieli?

– Nie chciałem, żebyś się dowiedziała, Rebecco. – Głos znów mu się załamał. – Twoja matka nie miała pojęcia.

Dziewczyna zeszywniała.

„Co takiego? – przemknęło jej przez głowę. – O czym on mówi?”.

– Tato, jakie dziecko?

– Nazwała ją Joy.

– Kto? – zapytała Rebecca.

Łzy znów trysnęły z oczu ojca. Przez następne pół godziny, spomiędzy szlochów i co chwilę wygłaszanych przeprosin, zdołała wyłuskać historię dziecka – Joy Jayhawk. Dowiedziała się o romansie, letnim romansie w Wiscasset, w stanie Maine, dokąd Strandowie wyjechali na wakacje. Mieszkała tam niejaka Pia Jayhawk, artystka.

Rebecca miała przyrodną siostrę. Dwudziestosześcioletnią przyrodną siostrę.

To nie trzymało się kupy. Jej maleńki, zabawny ojciec, najserdeczniejszy człowiek pod słońcem, miał sekretne życie?

– Nie znienawidź mnie, Bekkusko – szepnął. – Proszę, tylko mnie nie znienawidź. Nie zniósłbym tego. Ale musiałem ci powiedzieć. Nie potrafiłbym odejść, nie mówiąc ci o tym.

Bekkuska. Zaczął ją tak nazywać, kiedy przyszła do niego zrozpaczona, że nie jest pieguską, tak jak najbardziej popularna dziewczynka w pierwszej klasie – Claudia. A podczas gdy on nazywał ją Bekkuską, gdzieś w Maine żyła sobie czterolatka, która pewnie zaczynała już pytać o ojca.

– Mam przyrodną siostrę – powtórzyła. – Nie wierzę. – Wstała, podeszła do okna i spojrzała na szarą tafłę wody. Poczowała zalewającą ją gorącą falę gniewu, ale kiedy usłyszała, z jakim trudem ojciec łapie oddech, smutek i żal powróciły.



Mężczyzna kilkakrotnie nabrał powietrza, po czym opowiedział jej o telefonach, które otrzymał od Pii Jayhawk po powrocie do Nowego Jorku. Były dwa. Najpierw zatelefonowała, żeby poinformować go o ciąży, a potem o narodzinach. Dziewczynka, trzy kilo, na imię ma Joy.

– Kiedy zadzwoniła, by wyznać, że jest w ciąży, nawet się nie odezwałem. Ani słowem – rzekł, wpatrując się w płytki na suficie. – Zapytała: „Daniel, jesteś tam?”, a ja nic nie odpowiedziałem. Zastygłem ze słuchawką przy uchu. Nie oddychałem. Bałem się ruszyć choćby palcem. Wtedy powtórzyła: „Daniel?”, a potem: „No, dobrze”, i rozłączyła się.

Rebecca wpatrywała się w ojca, nie mogąc zebrać myśli. Słowa wylewały się z jego ust, ale nie potrafiła zrozumieć ich znaczenia.

– Codziennie czekałem na kolejny telefon, czekałem, aż matka go odbierze, a potem pobladła przyjdzie do mnie i powie: „Wiem o wszystkim”. Jednak mijały kolejne tygodnie, miesiące i nic takiego się nie zdarzyło. Chyba zastosowałem mechanizm wyparcia. Odsunąłem to od siebie, po prostu przestałem o tym myśleć.

Przestał o tym myśleć? To nie mogła być prawda. Po prostu nie mogła.

– Dopóki znowu nie zadzwoniła – wykrztusił ojciec, szlochając. – W dniu narodzin dziecka. Podziękowałem jej za informację, rozłączyłem się i wróciłem do niedzielnej krzyżówki. Skończyłem całą, Rebecco. – Zakrył twarz, lecz już po chwili pozwolił dłoniom opaść bezwładnie i znów wlepił wzrok w sufit. – A potem zaproponowałem twojej matce, żebyśmy wzięli cię na spacer do zoo i może na karuzelę. Nigdy nie dotarliśmy do karuzeli, bo nie chciałaś odejść od klatki z niedźwiedziami polarnymi. Krzyczałaś za każdym razem, kiedy próbowaliśmy zawrócić twoją spacerówkę. Gdy w końcu wróciliśmy do domu, znów czułem się tak, jakby telefon nigdy nie zadzwonił.

Wyjaśnił, że to dlatego kilka tygodni później przeprowadzili się na przedmieścia Westchester, to dlatego ich telefon nie znalazł się w książce telefonicznej i to dlatego ojciec już nigdy nie ośmielił się zrobić żadnego fałszywego ruchu.

Rebecce stanęła przed oczami twarz matki – jej ciepłe, sarnie oczy, długi, wyrazisty nos, grube kasztanowe włosy. Nora Strand zmarła prawie dziesięć lat temu, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, gdy Rebecca była na pierwszym roku studiów. Potrafiła ją rozpędzona taksówka na rogu Lexington i Sześćdziesiątej, dokładnie naprzeciwko Bloomingdale’s, gdzie kupiła córce różową kaszmirową czapkę i rękawiczki do kompletu, które ta wciąż nosiła każdej zimy. Oszołomiona i zrozpaczona dziewczyna nie wróciła na Cornell University. Pomimo kompletnego braku zainteresowania prawem przez jakiś czas pracowała w kancelarii adwokackiej ojca, bo nie chciała nawet na chwilę spuszczać go z oczu. Potem dojeżdżała do Hunter College, żeby zrobić dyplom z psychologii i zdobyć papiery asystenta prawnego, ponieważ dawało to bezpieczeństwo i zapewniało konkretny zawód. Przez całe studia mieszkała z ojcem w Westchester w za dużym dla nich dwojga domu w stylu kolonialnym. Ojciec był zdruzgotany śmiercią matki. WYDAWAŁ SIĘ zdruzgotany.

– A więc już nigdy więcej nie zdradziłaś mamy, bo bałaś się podobnego telefonu? – zapytała, czując narastający gniew.

– Poddałem się wazektomii – szepnął. – Jak tylko się dowiedziałem. Było mi tak wstyd, Rebecco. Nie zasługiwałem na kolejne dziecko z twoją matką.

Zatem to by było tyle, jeśli chodzi o Boga i biologię.

– Proszę, nie czuj do mnie nienawiści, Rebecco. Nie mógłbym...

Żołądek ścisnął jej się z żalu. Z trudem przełknęła łzy.

– Nie mogłabym cię nienawidzić.

Już miała go zapytać, czy kochał tamtą kobietę – tę Pię Jayhawk, ale nagle zdała sobie sprawę, że nie chce tego wiedzieć.

– Rebecco, podejdź do mnie – rzekł.

Zawahała się przez moment, ale w końcu usiadła na skraj łożka.

– W moim biurku, w szufladzie, leży skórzany pokrowiec. Trzymam w nim kluczyk do skrytki bankowej z Citibanku przy Lex, niedaleko mojego biura. Tam znajdziesz więcej rzeczy na ten temat. One wyjaśnią ci wszystko lepiej ode mnie. Idź tam teraz, Becs.

„Nie, nie, nie, nie” – zaoponowała w duchu.

Nie chciała wiedzieć nic więcej. I nie chciała zostać sam na sam z tą szaloną opowieścią. Dopóki siedziała w tym pokoju z ojcem – mężczyzną, którego знаła przez całe swoje życie, którego kochała i uwielbiała – wszystko było jak zawsze. Tata pozostawał tym samym człowiekiem, tym samym ojcem. Nie istniało żadne oszustwo; żadne dziecko o imieniu Joy. Rebecca nie chciała wiedzieć nic więcej.

Jednak gdy tylko opuści pokój 8-401, znajdzie się w lodowatych objęciach rzeczywistości.

„Było jeszcze jedno dziecko... JEST jeszcze jedno dziecko”.

– Zostanę przy tobie, tato.

Pokręcił głową.

– Proszę, kochanie. Chciałbym, żebyś wyjęła wszystko ze skrytki. Muszę mieć pewność, że pójdziesz do banku. Proszę, Rebecca. – Gdy z jego płuc wydobył się świst, ścisnęło jej się serce.

– Co jest w tej skrytce, tato?

– Jestem taki zmęczony, kochanie. Tak bardzo zmęczony. Po prostu obiecaj mi, że tam dzisiaj pójdziesz. Wiem, że zawsze dotrzymujesz słowa.

– Obiecuję – zapewniła go. Nagle wydało jej się, że może wyjść z pokoju i udać się do banku z kluczem. Wszystko będzie dobrze, dopóki nie otworzy schowka. – Ale, tato... Co mam zrobić z zawartością skrytki? Chcesz, żebym ci to przyniosła?

– Nie – odparł. – Nie tutaj. Jestem pewien, że będziesz wiedziała, co zrobić.

Zamknął oczy, a ona siedziała przy nim w sukni ślubnej i bała się poruszyć.

– Przyrodnia siostra? – powtórzył Michael.

Rebecca wyrzuciła z siebie potok słów i nie miała pewności, czy jej wypowiedź trzyma się kupy.

Michaela Whitmana niełatwo było zaskoczyć. Jako prawnik specjalizujący się w rozwodach i mediacjach rozwodowych widział i słyszał już chyba wszystko: od romansów, przez historie o ukrytych majątkach, po opowieści o dzieciach z nieprawego łóża. W zeszłym roku prowadził sprawę mężczyzny, który miał dwie rodziny jednocześnie – żonę z dwójką dzieci oraz kochankę z córką, ale kochanka nie wiedziała o istnieniu żony. Myślała, że jej partner prowadzi międzynarodowe interesy, podczas gdy tak naprawdę przez pół tygodnia mieszkał zaledwie pięćdziesiąt kilometrów dalej. Mimo wszystko Michaelowi udało się zdziałać cuda mediacyjne w przypadku pary – tej małżeńskiej – która dzięki temu uniknęła długiej i koszmarnej walki rozwodowej.

Ukrywane dziecko? Tajna skrytka bankowa nie wiadomo z czym? Dzień jak co dzień w kancelarii Whitman, Goldberg & Whitman.

Michael pokręcił głową.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Ja też nie – przyznała Rebecca. – Mam przyrodnią siostrę. Wiem o tym już od ponad godziny, a wciąż to do mnie nie dociera.

Stali przy oknach w gabinecie Michaela. Gdyby dziewczyna spojrzała w lewo, pewnie dostrzegłaby zarys kompleksu budynków szpitala. Niemal wysiadła z autobusu, kiedy ujrzała na rogu oddział banku ojca, ale nie zdołała się ruszyć, wstać z siedzenia. Wpatrywała się w znikające logo Citibanku, zupełnie jakby minięcie go mogło wymazać całą sprawę z jej pamięci – przynajmniej na razie. Pójdzie tam po pracy. Sprawdzi, co znajduje się w skrytce, a potem będzie mogła wrócić do domu. Michael przyrządzi dla niej swoją specjalność – irlandzką chai latte, a wtedy ona przeanalizuje wszystko na spokojnie.

W gabinecie rozległo się pukanie i zza drzwi wyłoniła się przystrzyżona na pazia i lśniąca od lakieru blond głowa Marcie Feldman, starszej asystentki prawnej, która podlegała Michaelowi. Kobieta posłała Rebecce szyderyczy uśmiech.

– Szukałam cię. Frittauerowie już są. – Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Zaraz przyjdę – odparła dziewczyna.

Znad szpitalnego łóżka wprost do tego – ogromu spraw rozwodowych, zadowolonej z siebie Marcie i niezliczonych teczek z aktami par. Od kilku miesięcy przekroczenie progu kancelarii

Whitman, Goldberg & Whitman wymagało od Rebekki wypicia co najmniej trzech mocnych kaw. Czy to z powodu obecności Michaela, czy może dlatego, że praca stawała się nieznośna? A może jedno i drugie?

– Tak na marginesie – dodała Marcie – regulamin mówi, że jeśli zamierzasz przebywać poza biurem w innym czasie niż przyjęte godziny lunchu, to znaczy między dwunastą a drugą, najpierw musisz uzgodnić to ze mną.

„Jeśli ojciec umrze o 14.01, na pewno w pierwszej kolejności zadzwonię do ciebie, żeby zapytać, czy mogę z nim zostać” – miała ochotę krzyknąć jej w twarz. Rzeczywiście nie podlizywała się dziewczynie szefa. Rebecca musiała jej to przyznać.

– Uzgodniła to ze mną – poinformował Michael. Zawsze był aż nazbyt miły dla tego megawydajnego robota w osobie Marcie Feldman. W sumie gdyby nie ona, całe biuro dawno zesłoby na psy. – Byłem tak zajęty, że zapomniałem ci o tym wspomnieć.

Marcie posłała szefowi wymuszony uśmiech, po czym znów zerknęła na zegarek i jej lakierowany blond paż zniknął za drzwiami.

– Zapomnij o Frittauerach – powiedział. – Poproszę Marcie, żeby się nimi zajęła.

– Jeszcze bardziej mnie przez to zniechęci. Dam radę. Poza tym lubię Frittauerów. Odwróć moją uwagę od ojca. Skupię się na czymś innym. Myślę, że sobie z nimi poradzę. – W przeciwieństwie do Bergeronów albo McDonoughów-Page’ów, których ostatnio trzeba było od siebie dosłownie odciągać, i to wcale nie dlatego, że w ostatniej chwili na nowo zapłonął ogień ich uczuć. Marian Bergeron wpadła w szał z powodu jakichś słów Rebekki (kobiecie wydało się, że dziewczyna staje po stronie jej męża) i pchnęła ją na komodę z taką siłą, że dziewczynie zrobił się na udzie wielki czarnogranatowy siniak. Z kolei Jeffrey Page wylał na żonę całą zawartość dzbanka z wodą, a samym naczyniem cisnął w Rebecę.

A przecież była tylko asystentką prawną – nie mediatorem.

Kiedyś myślała, że spodoba jej się praca polegająca na mediacjach rozwodowych. Pomyliła się, i to bardzo. Wszystkie sprawy kończyły się tak samo – rozwodem. „Rozwód z godnością”, jak głosiło motto firmy, albo bez niej.

– Nikt nie potrafiłby cię zniechęcić, Rebecca Strand – szepnął Michael i mocno ją przytulił.

Przez chwilę dziewczynie wydawało się, że naprawdę będzie potrafiła to zrobić – usiąść ze skłóconymi Frittauerami i omówić kilka niezakończonych kwestii w ich sprawie – taką moc miał uścisk Michaela. Kolejny argument za małżeństwem.

Zostali parą już trzeciego dnia jej pracy w firmie. Owego trzeciego dnia Rebecca weszła do gabinetu numer 1 na spotkanie z nowymi klientami – panem i panią Plotowsky, i gdy tylko usiadła przy stole, wychwyciła unoszący się w powietrzu zapach Chanel N°19 – ulubionych perfum mamy. Mama nie żyła już od wielu lat, ale Rebecca poczuła tę woń po raz pierwszy, od czasu gdy oddała jej ubrania na przechowanie, nie będąc w stanie ich wyrzucić ani trzymać we własnej szafie. Chanel N°19 nie były tak popularne jak Chanel N°5. Dziewczyna uśmiechnęła się do pani Plotowsky i powiedziała:

– Pani perfumy przypominają mi moją mamę. To był jej ulubiony zapach.

Wtedy pan Plotowsky, który do tej pory siedział w milczeniu ze wzrokiem wbitym w czeresniowy stół, zerwał się na równe nogi i zawołał:

– niesprawiedliwe! niesprawiedliwe! Zdyskwalifikowana! – Wybiegł na korytarz i zaczął krzyczeć, że Rebecca wzięła stronę jego żony i nie może być obiektywna.

Pan Goldberg kazał starszej asystentce prawnej, zadufanej w sobie Marcie, spisać i omówić z nim protokół z całego zajścia, bez jakichkolwiek osobistych uwag. Jak zawsze. Tego popołudnia Michael Whitman, najmłodszy wspólnik w kancelarii (starszy Whitman i Goldberg mieli już ponad sześćdziesiąt lat), zaprosił Rebecę na obiad. Dziewczyna była przekonana, że chce ją wylać z pracy.

– Właściwie – powiedział, kiedy siedzieli przy małym stoliku w zatłoczonej chińskiej restauracji nieopodal biura – to zaprosiłem cię na obiad, bo uważam, że jesteś piękna, mądra i przemiła, i muszę od razu wiedzieć, czy mam u ciebie szansę.

Szansę. Michael Whitman, metr osiemdziesiąt siedem, niebieskie oczy, elegancki, pełen współczucia mimo pozornego chłodu, trzydziestodwuletni adwokat, mediator, w trzyczęściowym garniturze, z drogim neseserem u boku, uważał ją za piękną, mądrą i przemiłą, chociaż musiał poświęcić ponad godzinę, żeby osobiście uspokoić Douga Plotowsky'ego. Jej serce niedawno bardzo ucierpiało z powodu pewnego łgarza, dlatego ten romantyczny gest ze strony Michaela, zwłaszcza w obliczu fatalnego błędu, który popełniła na spotkaniu z państwem Plotowsky, podziałał na jej duszę jak balsam. Wyznała mu, że wydawało jej się, iż kilkuletnie doświadczenie w zawodzie asystentki prawnej oraz dyplom z psychologii i zainteresowanie doradztwem okażą się pomocne w pracy mediatora rozwodowego. Michaelowi udało się podnieść ją na duchu. Odkąd pamiętała, wszyscy przyjaciele i znajomi zwierzali jej się ze swoich problemów – dlatego zaczęła studiować psychologię.

Już od czasów przedszkolnych wszyscy opowiadali jej o swoich porażkach i sukcesach. Składała tajne przysięgi, obiecywała na życie ukochanych chłopaków, że nikomu nie powie (i nigdy nie pisała o niczym słówka, potrafiła zachować każdy sekret dla siebie), słuchała o rozwodach rodziców, o starszych siostrach zachodzących w ciążę albo pozwalających chłopcom na rozpięcie stanika. Kiedy zaczęła pracować, spędzała lunchy na rozmowach o problemach rodzinnych, o partnerach, narzeczonych i mężach, którzy chcieli albo nie chcieli czegoś zrobić. Wtedy umarła jej matka i dziewczyna zgubiła drogę. Podążyła ślepo za ojcem i stała się pełnomocnikiem do spraw nieruchomości – na zbyt długo. Przyszła do Whitman, Goldberg & Whitman z wielkimi nadziejami i choć szybko znienawidziła swoje nowe stanowisko, zakochała się w jednym ze współników, co dodawało barw szarej biurowej codzienności i uczyniło pracę ekscytującą – przynajmniej na jakiś czas. Na początku Michael często powtarzał jej, że potrafi słuchać, nie osądzając przy tym ani nie przyznając nikomu racji, dzięki czemu jej rozmówcy mogli się wygadać i wyciągnąć własne wnioski, choć często nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Twierdził, że to właśnie dlatego rozwodzące się pary tak dobrze na nią reagowały.

– Kochanie – rzekł – jeśli naprawdę uważasz, że poradzisz sobie z Frittauerami, spotkaj się z nimi, ale jeśli potrzebujesz czasu na przetrwanie wszystkich nowych informacji, zrozumieć to.

Tak naprawdę chciał powiedzieć: „To bardzo ważni klienci. Nie spartol tej sprawy tak jak kilku innych w ostatnim czasie”. Gdyby nie była jego dziewczyną, już dawno dostałaby poważne ostrzeżenie albo straciła pracę.

Nowe informacje. Rebecca nienawidziła, kiedy Michael mówił do niej jak do klientki. Jednak jego słowa zapaliły lampkę w jej głowie.

– Michaelu, właśnie zdałam sobie sprawę, że powinnam jak najszybciej odnaleźć tę Joy Jayhawk. Zanim ojciec... – Wybuchła płaczem i zakryła twarz dłońmi.

Mężczyzna ujął ją pod brodę i pokręcił głową.

– Rebecco, muszę się temu stanowczo sprzeciwić. Pamiętaj, że działasz w okolicznościach deficytu informacyjnego. Ta kobieta nie jest twoją siostrą. To zupełnie obca osoba, która nagle poczuje się uprawniona do połowy majątku twojego ojca.

W zależności od okoliczności Michael czasem był bardziej prawnikiem, a czasem bardziej mediatorem. Teraz, za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu – najdalej położonego w całym biurze, na który zapracował sobie, tyrając po osiemdziesiąt godzin tygodniowo (starszy Whitman nie uznawał nepotyzmu i niechętnie uczynił Michaela współnikiem, a zrobił to dopiero wtedy, kiedy przestał kwestionować prawdziwość starego przysłowia, że niedaleko pada jabłko od jabłoni) – przyjął rolę jednego i drugiego, podczas gdy Rebecca potrzebowała, żeby był po prostu jej facetem.

– To prosta kalkulacja, Rebecco. Twój ojciec jest wart ponad MILION dolarów. Chcesz, żeby połowa tego majątku wpadła w ręce obcej osoby? A jeśli ona jest nieźrównowazona psychicznie? Albo ćpa? Albo po prostu jest zachłanną dzidirą? Całkiem mądrze byś zrobiła, gdybyś wymazała ją z pamięci. Jak twój ojciec.

Jakoś nie potrafiła, choć wcale się nie starała. W jej głowie ukształtowała się już wizja przyrodniej siostry. Mimo że ona i ojciec mieli brązowe włosy, wyobraziła sobie blondynkę. Blondynkę, ale o piwnych oczach, takich samych jak jej i ojca, i ciepłym wyrazie twarzy

wyrażającym tęsknotę za starszą siostrą.

Rebecca, klasyczna jedynaczka, nigdy nie przestała pytać o rodzeństwo. Prosiła o nie na każde urodziny, na każdą Gwiazdkę i Chanukę, dopóki nie podrosła na tyle, by zrozumieć tłumaczenia rodziców o Bogu, biologii i szczęściu. Zamiast tego dostawała zwierzątka: rybkę, świnkę morską, białego króliczka, beagle'a ze smutną mordką, o imieniu Bingo. A teraz okazało się, że przez te wszystkie lata miała siostrę – prawdziwą, żywą, z krwi i kości.

– Weź sobie wolne na resztę dnia – dodał Michael, obejmując ją. – Pobądź z tatą. On bardziej cię teraz potrzebuje niż Frittauerowie.

Zostawić Frittauerów w rękach Marcie Feldman?

„Nie ma mowy. To moi klienci” – pomyślała.

Ta para, jako jedyna w ciągu ostatnich kilku miesięcy, wyraźnie uspokajała się w obecności Rebekki. Do czasu mediacji Frittauerowie byli małżeństwem od sześciu lat. Od dwóch miesięcy żyli w separacji z powodu trwającego do dziś romansu Edwarda z asystentką administracyjną z jego firmy, do którego się przyznawał. Jak się okazało, asystentka zaszła w ciążę. Gwendolyn była gotowa przymknąć oko na romans męża, dopóki Edward nie napomknął, że teraz ma kolejną osobę do wyżywienia i może mała Angelina powinna pojechać tego lata na jakąś tańszą kolonię, a nie na obóz za dziesięć tysięcy dolarów. Kiedy przyjechał po pięcioletnią córeczkę, aby zabrać ją na wyznaczony „czas z tatą”, kłótnie, wzajemne oskarżenia i krzyki rodziców pod drzwiami doprowadziły małą do hiperwentylacji. Dziewczynka natychmiast trafiła do szpitala, gdzie lekarz dyżurny, były klient kancelarii Whitman, Goldberg & Whitman, wręczył Frittauerom wizytówkę Harolda Goldberga.

Rebecca wykonała już z tą parą większość pracy przedwstępnej. Przy wielkim kwadratowym stole w sali konferencyjnej numer 1 podczas kilku spotkań zebrała wszelkie potrzebne informacje i ustaliła stanowisko klientów w najważniejszych kwestiach, takich jak podział majątku, utrzymanie dziecka i zasady odwiedzin. Przez pięć minut pierwszego spotkania oboje zgodnie zapewniali, że najważniejsze jest dla nich dobro córki. Chcieli się rozwieść w spokojnej, przyjaznej atmosferze. Tę postawę utrzymywali przez kolejną minutę, dopóki do pomieszczenia nie wszedł Michael Whitman ze swoim eleganckim neseserkiem. Wtedy nagle Edward zaprzagnął sprzedać mieszkanie, które Gwendolyn chciała zatrzymać. Kobieta niespodziewanie zażądała, żeby mąż widywał się z dzieckiem co drugi tydzień, podczas gdy on domagał się cotygodniowych wizyt. Nagle znów zaczęli się na siebie wydzierać.

Wtedy Michael pozostawił Rebecce „załagodzenie napięcia”. Bardzo doceniała jego zaufanie, wiarę w jej możliwości, podczas gdy wszyscy inni w biurze przestali się po niej czegokolwiek spodziewać. Nie minęło więcej niż dziesięć minut, a para uspokoiła się i zgodziła, żeby Gwendolyn dalej zajmowała mieszkanie, a Edward spędzał z córką weekendy. Coś w aparycji Rebekki bądź w jej zachowaniu przypadło klientce do gustu. Podobno przypominała jej ulubioną kuzynkę, która wiele lat temu przeprowadziła się do Kalifornii. A kiedy Gwendolyn była spokojna, Edward również zachowywał spokój.

Dzięki Frittauerom Rebecca odzyskała trochę szacunku w kancelarii. Nie była już tą, która ciągle nawala.

Gdyby matka Rebekki dowiedziała się o romansie ojca, jej rodzice pewnie podzieliliby los tej pary. Nora Strand była bardzo dumną kobietą – nie zostałaby u boku takiego mężczyzny; wykopałaby go na zbity pysk. Dziewczyna nie miała co do tego wątpliwości. Z pewnością to dlatego ojciec postanowił zatrzymać sekret dla siebie.

Frittauerowie przyszli na ostatnie spotkanie. Dziś miał powstać szkic umowy separacyjnej. Rebecca omówi z nimi wszystkie punkty, zanim zjawi się Harold Goldberg i sfinalizuje całą sprawę. Po wszystkim zaś pójdzie odszukać klucz do skrytki bankowej, której tak naprawdę wcale nie chciała otwierać.

Gwendolyn Frittauer przypominała Rebecce młodszą wersję Glendy Whitman. Miała czterdzieści lat, a mimo to sprężyste, jasne włosy sięgały jej do połowy pleców. Nakładała wyrazisty makijaż – używała opalizujących odcieni szminki i samoopalacza. Jej oczy, osadzone niezwykle blisko siebie, upodabniały ją do fretki; twarz emanowała jednocześnie serdecznością i przejmującym smutkiem, który Rebecca od razu wyczuła. Kobieta siedziała przy stole naprzeciwko męża, a ten albo wyglądał przez okno, albo zerkał na zegarek.

– Boisz się, że się spóźnisz na USG? – prychnęła Gwendolyn. – Och, zapomniałam. Ty nie chadzasz na takie badania.

„No, dobrze” – zanosilo się na długie spotkanie. Rebecca usiadła na końcu stołu i otworzyła aktówkę – tę samą, którą miała w metrze, kiedy jechała wczoraj wieczorem do cukierni Junior’s po sernik dla taty. Jednak zamiast skupić się na tym, co przygotowała na spotkanie, wyobraziła sobie Pię Jayhawk – kobietę wampa, złodziejkę męskich serc, niszczycielkę rodzin, leżącą samotnie w gabinecie u ginekologa. Nikt nie czekał z nią niecierpliwie, żeby usłyszeć bicie małego serduszka.

„Skup się – upomniała się w myślach. – Nie myśl o tacie”.

Pan Frittauer przyglądał się z uwagą swoim paznokciom.

– Nie dogryziesz mi, Gwendolyn, więc nie zdzieraj sobie niepotrzebnie gardła.

– Może zechcą państwo napić się kawy? – zaproponowała pospiesznie Rebecca. „Złagodźcie napięcie”. – Pamiętam, że oboje lubicie mocno paloną.

– Nie zdzieraj gardła?! – fuknęła Gwendolyn. – Czy tylko to potrafisz wymyślić, Edwardzie? To smutne.

– Ja mam ogromną ochotę na filiżankę kawy. – Rebecca się nie poddawała. – Może poproszę recepcjonistkę, żeby przyniosła cały dzbanek i tacę z ciastkami, a potem przejdziemy do omawiania kilku ostatnich podpunktów umowy. – Podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić po Jane.

– Dobrze, jak tam pani chce – rzucił Edward w stronę dziewczyny, a potem znów skupił się na żonie. – Powtarzam: nie dogryziesz mi, Gwen. Zacząłem chodzić na zajęcia z medytacji buddyjskich.

Edward rzeczywiście wyglądał... swobodniej. Zwykle nosił okulary w drucianych oprawkach i starannie zaczesywał włosy. Dziś nie miał okularów, na rudych kosmykach można było dostrzec ślady żelu, a zwyczajowe półbuty firmy Rockport zostały zastąpione obuwem z czarnej włoskiej skóry.

Czasem rozwód tak działał na ludzi.

Gwendolyn się roześmiała.

– Zaraz umrę ze śmiechu! Ciekawe, jakie są karmiczne skutki cudzołóstwa. Poza tym przez lata walczyłeś ze mną i upierałeś się, że nie chcesz drugiego dziecka, a mimo to twoja puszczałka panusia chodzi z brzuchem. Wierz mi, to dziecko urodzi się z jedenastoma palcami albo i gorzej.

– Gwen, zamknij się, do cholery – wyrzucił z siebie Edward.

Witamy w świecie mediacji rozwodowych. Niektórzy ludzie tak bardzo cieszyli się z rozstania, że niemal wychodzili ze skóry, żeby jak najszybciej spisać umowę: „Nie, ty weź stulacowy telewizor plazmowy!”. „Nie, ty!”. Jednak takie pary trafiały się rzadko. Przez ostatnie trzy lata zdarzyły się trzy. Czasami małżeństwa potrzebowały pomocy w dostrzeżeniu, co będzie sprawiedliwe dla obu stron.

Bywały też takie pary jak Gwendolyn i Edward, chcące za wszelką cenę uniknąć rozwodu, który mógłby się odbić na zdrowiu dziecka. Ich prawnicy nie pojawiali się na spotkaniach mediacyjnych i nie występowali w imieniu swoich klientów. Oczywiście na koniec weryfikowali tekst umowy, jednak przy stole w kancelarii zasiadali jedynie mąż, żona i mediatorzy, wspólnie pracując nad rezultatem – umową rozwodową zadowolającą obie strony.

Była to jednocześnie wada i zaleta pracy przy mediacjach rozwodowych. Ostatecznie miało się do czynienia z rozpadem małżeństwa. Rezultat pozostawał taki sam. Bardzo rzadko Rebecca

dostrzegając tłącą się w oczach klientów iskierkę uczucia do przyszłego eksmałżonka. Kiedy rozpoczynała pracę w Whitman, Goldberg & Whitman, wydawało jej się, że rozmowy na temat sprawiedliwego podziału majątku i innych aspektów rozstania mogą wskrzesić dawne uczucie, nie tak przecież odległe wspomnienia miłości, przysięgi i obietnicy wierności do grobowej deski. Jednak klienci zwykle siedzieli posępni i naburmuszeni, pragnąc jedynie podpisać dokumenty rozwodowe.

W ogólnym rozrachunku efekt tej pracy był raczej pozytywny – rozstanie bez publicznego prania brudów, bez sporów o opiekę nad dzieckiem, bez rzucania naczyniami (nie licząc okazjonalnych dzbanków na wodę), dlatego Rebecca z czasem pogodziła się z tym, że istnieje coś takiego jak POZYTYWNY rozwód. Tak przynajmniej mówił Michael – zawsze wtedy, kiedy zaczynała przebąkiwać o odejściu z kancelarii, o powrocie do szkoły na studia podyplomowe z poradnictwa lub psychologii klinicznej.

– Po co miałybyś marnować dyplom asystenta prawnego i wracać do szkoły? – pytał. – Moglibyśmy zaoszczędzić te pieniądze i wyjechać na Arubę.

Następnie zrobił jej niespodziankę w postaci biletów na Arubę, spędziła więc wspaniałe, relaksujące wakacje z dala od Nowego Jorku pełnego wrzawy i od kancelarii pełnej... złośliwości. Przez całe trzy tygodnie czuła się jak nowo narodzona; a potem Michael podarował jej jakiś inny wymyślny prezent. Zwodzenie – tak się nazywała ta gra.

Jedno wiedziała na pewno. Nie chciała być asystentką prawną w firmie mediacyjnej. W ogóle nie chciała być asystentką prawną. Chciała natomiast, żeby – przynajmniej raz – jakaś rozwodząca się para postanowiła wrócić do punktu wyjścia, przetrwać wszystkie trudne chwile i zacząć od początku – mądrzejsza i bogatsza o doświadczenia.

– Cóż, wtedy nie byłyby to mediacje rozwodowe – stwierdził Michael; jakby to miało jej jakoś pomóc.

– Ta dziwka nie dostanie ani centa z pieniędzy, które powinny trafić do mnie i do Angeliny – oznajmiła Gwendolyn tak spokojnym tonem, jakby rozmawiali o deszczu, który właśnie zaczął siąpić za oknem.

– Daj spokój. – Edward przewrócił oczami. – Na litość boską, zamknij jadaczkę! Już to przerabialiśmy.

„Nakieruj ich uwagę na pozytywne zakończenie – poleciła sobie w duchu Rebecca – zanim stracą nad sobą panowanie”.

– Proponuję, żebyśmy omówili kilka spraw, które jeszcze nie zostały ustalone – odezwała się, wyjmując dokumenty na stół. – Są państwo już tak blisko osiągnięcia porozumienia korzystnego dla obu stron i dla małej Angeliny. Może na tym się teraz skoncentrujemy, dobrze?

– Wie pani, na czym ja się teraz koncentruję? – wycedziła Gwendolyn przez zaciśnięte zęby. – Wie pani, czego jeszcze nie przerabialiśmy? Tego, że ta jego dziwka miała czelność zjawić się wczoraj w moich drzwiach, żeby pogadać „jak kobieta z kobietą”. Po pierwsze, ona nie jest kobietą, tylko zwykłą suką. Po drugie, szkoda by mi było poświęcić na nią choćby dwie sekundy życia. No i po trzecie, nie dostanie nawet centa z pieniędzy, które należą się mnie i mojemu dziecku.

Edward skrzyżował ręce na piersi i zwrócił się do Rebekki:

– Nie mam zamiaru się do niej odzywać.

Gwendolyn sięgnęła po szklankę z wodą i wylała jej zawartość na męża. Chyba czas zasugerować wprowadzenie zakazu wnoszenia napojów do sali konferencyjnej.

Mężczyzna podskoczył jak oparzony, wymachując rękami i wrzeszcząc:

– Co za idiotka!

Rebecca podbiegła do kredensu w poszukiwaniu papierowych ręczników, ale znalazła tylko chusteczki, które zostawiły białe ślady na marynarce Edwarda.

„Przywróć ład. Przywróć ład. Przywróć ład” – powtarzała w głowie niczym mantrę.

– Gwendolyn – odezwała się – rozumiem, jakie to dla pani trudne. Ale są już państwo tak blisko pokojowego porozumienia. Przecież właśnie tego oboje państwo pragną – dla dobra Angeliny.

Gwendolyn spiorunowała męża wzrokiem.

– Żądam dodatkowych alimentów na terapię, której biedna Angelina będzie się musiała poddać z powodu posiadania rodzeństwa z nieprawego łoża. Chcę dodatkowy tysiąc.

– Będę miał jeszcze jedno dziecko na utrzymaniu! – zawołał Edward.

– Mam gdzieś twoje drugie dziecko. Obchodzi mnie tylko MOJA córka. Dla mnie bękart tej zdziry może nawet zdechnąć na ulicy.

„Powinno cię obchodzić. – Rebecca pragnęła krzyknąć jej te słowa prosto w twarz. – Przecież dziecko nic nie zawiniło”.

Pomyślała o Pii. Zastanawiało ją, jak dała sobie radę – artystka z Maine, pozostawiona sama sobie. Może Pia Jayhawk miała fundusz powierniczy albo bardzo pomocnych bogatych rodziców. Może nie była walczącą o przetrwanie samotną matką z wizji Rebekki – kobietą mieszkającą w ciasnej kawalerce z rozkładaną kanapą zajmującą pół pokoju, siedzącą przy stole kuchennym nad stertą rachunków, po których zapłaceniu nie zostawało nawet na nową parę butów.

– Gwendolyn – odezwała się. – Edward bierze odpowiedzialność za swoje dziecko...

Klientka wybałuszyła oczy, cała czerwona na twarzy.

– A więc teraz staje pani po jego stronie?

Dziewczyna uniosła dłoń.

– Nie stoję po niczyjej stronie. Moim zadaniem jest pomóc państwu osiągnąć porozumienie.

– Ale uważa pani, że mam rację, prawda? – dopytywał się Edward. Jego małe oczka aż zaiskrzyły. – Czy mogę się ubiegać o niższe alimenty ze względu na pojawienie się drugiego dziecka?

– Ty głupia cipo! – wydarła się na Rebeccę kobieta.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka weszła Marcie. W ślad za nią dreptała Jane z kawą i ciastkami na tacy.

– Rebecco – wycodziła przez zaciśnięte zęby – słyhać cię w całym biurze. – Uśmiechnęła się do Frittauerów. – Czy mogłabym jakoś pomóc?

Gwendolyn chwyciła aktówkę dziewczyny, po czym zaczęła drzeć papiery i rozrzucać je po całym pomieszczeniu.

– Chcę się natychmiast zobaczyć z Haroldem Goldbergiem! Ona już tu nie pracuje! – dodała, wskazując na Rebeccę długim czerwonym paznokciem.

Nie było to szczęśliwe zakończenie, jakie dziewczyna sobie wyobrażała. Choć skądinąd – może właśnie było.

Kiedy Rebecca przyjechała do szpitala, znów zaczęło padać. Niebo pokryło się szarymi chmurami, a w oddali rozległ się grzmot przestrzegający przed ulewą. Kobieta stanęła przed wejściem, uniosła głowę i pozwoliła kroplom smagać ją po twarzy, dopóki ktoś nie wpadł na nią z boku.

– *Lo siento, señorita* – bąknął przechodzień.

Te przypadkowe przeprosiny dziwnie szarpnęły ją za serce. Znów poczuła szczypanie pod powiekami. Ludzie mijali ją pospiesznie, mknąc w obu kierunkach, a kierowca taksówki tak mocno nacisnął na klakson, że niemal podskoczyła. Spojrzała na niego. Trajkotał przez telefon i nerwowo gestykulował przez okno w stronę innej taksówki, która zahamowała przed nim gwałtownie, żeby wypuścić pasażera.

„Może to ty zabiłeś moją matkę?” – pomyślała i łzy popłynęły jej po policzkach.

Nagle jej serce przepełniło się wielką nienawiścią do Nowego Jorku; do rozpędzonych taksówek i nigdy niemilkącego hałasu, nawet o trzeciej w nocy; do raka, który odbierał jej ojca osiem pięter wyżej.

Kiedy tak stała, pozwalając deszczowi przemoczyć ją do suchej nitki, zamiast wbiec pod zadaszenie nad wejściem do szpitala, dotarło do niej, że znalazła się w tarapatkach. Teraz nie miała już bezpiecznej przystani – ojciec leżał w szpitalnym łóżku podłączony do rurek i trudność sprawiało mu nawet ugryzienie drogiej czekoladki, którą mu przyniosła. Jej najlepsza przyjaciółka Charlotte była mężatką i pochłaniała ją własna kariera. Matka dawno odeszła. A Michael...

Zamrugnęła intensywnie i desperacko próbowała powrócić myślami na Arubę – bez Michaela.



– Mówiłem ci, żebyś poszła do domu! – upomniał ją w swoim gabinecie po wielkim wybuchu Frittaurow. – Szkoda, że mnie nie posłuchałaś. Weź sobie wolne na resztę dnia, Rebecca. Idź zobaczyć się z ojcem, a ja sprawdzę, co mogę zrobić, żeby to wszystko odkręcić. Nie martw się, dobrze? Wszyscy wiedzą, że jesteś pod ścianą.

Pod ścianą. Kiedyś Rebecca targowała się z Bogiem: „Jeśli pozwolisz mi zaliczyć tę klasówkę, już zawsze będę się porządnie przygotowywać. Jeśli uczynisz mnie w tym roku popularniejszą, będę lepiej myślała o Claudii Herman, o którą jestem potwornie zazdrosna”.

Teraz żadne targowanie się nie wchodziło w grę. Żadne: „Jeśli pozwolisz ojcu przeżyć, będę lepszą córką, lepszym człowiekiem”. Wiedziała o tym, bo już tego próbowała – najpierw, kiedy po raz pierwszy szła odwiedzić ojca w szpitalu, zanim dowiedziała się, jak poważnie był chory, i później, kiedy onkolog dał jej do zrozumienia, że powinna zacząć myśleć o załatwianiu formalności.

Łzy znów napłynęły jej do oczu, ale gdy weszła do budynku, smutek zaczął ustępować miejsca wściekłości. Ojciec miał romans, a potem pozwolił, by jego dziecko dorastało bez niego. Nawet się do niego nie przyznał! Jak on mógł?! Nie był człowiekiem, za jakiego go uważała. Nie był nim, odkąd skończyła dwa lata.

Odgarnęła mokre włosy z twarzy, zamknęła oczy i policzyła do pięciu. Kiedy mijała pokój pielęgniarek, skinęła głową tej sympatyczniejszej z dwóch pań zajmujących się jej ojcem w ciągu dnia, po czym odetchnęła głęboko i weszła do pokoju 8-401. Mężczyzna leżał nieruchomo. Podeszła bliżej, żeby sprawdzić, czy jego klatka piersiowa unosi się i opada. Oddychał. Spał. Gniew nieco zelżał, ale po chwili powrócił ze zdwojoną siłą. Przespał całe życie swojego dziecka.

W głowie kołatało jej się tyle pytań: „Czy myślałeś w ogóle o tej dziewczynce, kiedy dorastała? Czy wysyłałeś jej pieniądze? Czy widziałeś się z nią? Czy kochałeś jej matkę?”. I to najważniejsze: „Czy odwróciłeś się od nich?”.

– Nie rozumiem – szepnęła. Nie chciała dowiadywać się o wszystkim z zawartości skrytki bankowej; oczekiwała odpowiedzi od ojca, od mężczyzny, którego kochała najbardziej na świecie.

– Jak mogłeś? – szepnęła tak cicho, że nie zdołałby jej usłyszeć, nawet gdyby nie spał.

Pocałowała go w czoło i przyglądała mu się przez chwilę, a potem udała się okrężną drogą do wyjścia i ruszyła w deszczu do jego mieszkania. Kiedy przeprowadziła się do centrum i zamieszkała z koleżanką z pracy, ojciec sprzedał dom, w którym się wychowywała. Później mieszkali w tej samej dzielnicy – Rebecca uwielbiała ich przypadkowe spotkania w supermarkecie, w księgarni czy na stacji metra.

Otworzyła drzwi kluczem, który zawsze nosiła ze swoimi. Jego niewielki apartament na trzecim piętrze, składający się z sypialni i bawialni, zawsze był nienagannie czysty dzięki cotygodniowym wizytom sprzątaczk. Stojąc na środku saloniku, wyraźnie czuła jego obecność. Był zbieraczem – mieszkanie przypominało duży album z pamiątkami. Na długich parapetach leżała kolekcja skamielin z wyprawy archeologicznej do Belize. Muszle z każdej plaży, na której kiedykolwiek stanęła jego stopa, leżały na pianinie przy ścianie. Nad nimi wisiał autoportret Rebekki, który namalowała w siódmej klasie.

Każdą wolną przestrzeń zdołały zdobić zdjęcia rodzinne. Przedstawiały Rebecę w każdym wieku. Czy patrząc na nie codziennie, ojciec zastanawiał się, co robiła Joy Jayhawk? Na pewno. Jak mógłby inaczej?

Zmusiła się, by podejść do niewielkiego biurka przy oknie. W rogu stało zdjęcie jej, Michaela i ojca zrobione na jego urodzinach, które obchodził w zeszłym tygodniu. Biurko miało tylko jedną szufladę, więc odnalezienie klucza nie powinno sprawić kłopotu. Zastygła jednak.

„Och, otwórz ją wreszcie” – upomniała się.

Całym wysiłkiem woli pociągnęła za rączkę. W środku leżał czerwony skórzany pokrowiec z kluczem – zwyczajnym, ohydny złotym kluczem. Dziewczyna zasunęła pospiesznie pokrowiec i wrzuciła go do torebki, po czym zerknęła na dokumenty ojca, na jego segregatory, teczki, książeczki czekowe i księgi rachunkowe. Co takiego na temat niechcianego dziecka znajdzie w skrytce bankowej, w tych papierach? Myśl, że ojciec przez tyle lat strzegł takiego sekretu, wydawała się absurdalna.

– Pytaj, o co tylko chcesz – mawiał, kiedy krępowała się zadawać pytania o chłopców, o mamę.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby zapytać, czy miał kiedyś romans. W życiu by w to nie uwierzyła. Przecież do samego końca spoglądał na jej matkę w taki sposób...

„Nie da się nikogo poznać w stu procentach” – pomyślała, ale od razu zapragnęła, by ta myśl nie została z nią na zawsze. Nigdy nie była cynikiem ani pesymistką. Zdecydowanie wybierała szklankę do połowy pełną.

Z ohydny złotym kluczem w torbie udała się do Citibanku. Zostało jej dwadzieścia minut do zamknięcia.

Pozłacane skrytki bankowe przypominały zwykle skrytki na poczcie. Rebecca pokazała klucz pracownikowi, który zatwierdził dostęp i wskazał jej skrytkę numer 1232.

– Chciałaby pani skorzystać z oddzielnego pomieszczenia albo boksu czy może być tutaj? – zapytał, wskazując głową długi stół pośrodku pomieszczenia.

– Tak, może być – odparła. Nie chciała zostać sama z tajemniczą zawartością skrytki.

Wewnątrz znalazła czarną skórzaną szkatułkę zamykaną na małej srebrny zatrzask. Leżał w niej plik listów związanych dużą niebieską gumką. Przejrzała koperty. Naliczyła dwadzieścia sześć. Na każdej widniało imię i nazwisko Joy Jayhawk. Bez adresu. Bez stempla pocztowego. Bez adresu zwrotnego.

A więc emocjonalnie nie odwrócił się od niej. To już coś.

W szkatułce znajdował się jeszcze jeden list, pojedynczy, zaadresowany do Rebekki tym samym niewyraźnym pismem co pozostałe. Od małego umiała bezbłędnie odczytywać jego bazgroły.

– Co tu jest napisane, na Boga? – pytała matka, kiedy tata zostawiał jej notatkę przyklejoną magnesem do lodówki.

– „Poszedłem popływać, wrócę o szóstej” – czytała z dumą Rebecca.

Ta umiejętność odcyfrowywania niewyraźnych gryzmołów jeszcze bardziej zbliżała ją do ojca – dawała jej poczucie, że łączy ich wyjątkowa, niewidzialna więź.

Zerknęła na plik listów. Dwadzieścia sześć kopert na dwadzieścia sześć lat. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu krzesła. Żałowała, że nie ma czasu, by zwlekać. Zerknęła na okrągły zegar na ścianie. Za kwadrans czwarta. Zostało jej piętnaście minut do zamknięcia.

Głęboko odetchnęła i otworzyła kopertę zaadresowaną do niej.

*Najdroższa Rebecco!*

*Skoro czytasz ten list, oznacza to, że jestem w kiepskim stanie. Teraz jest maj, właśnie dostałem diagnozę. Lekarze ostrzegli mnie jednak, że koniec nastąpi bardzo szybko.*

*Moja Bekkusko, tak bardzo Cię kocham! Mam nadzieję, że pewnego dnia wybaczysz mi, że zataiłem przed Tobą prawdę i że w ogóle miałem sekret.*

*Listy opowiedzą Ci część historii. Nie wiem, co z nimi zrobisz – pozostawiam to Tobie. Myślę, że Ona powinna wiedzieć, że mi zależało. W każdym razie chciałbym, żebyś Ty była tego świadoma.*

*Tak bardzo mi przykro, Rebecco. Wiedz, że Cię kochałem – i zawsze będę Cię kochał – z całego serca.*

*Kochający ojciec*

Przez chwilę wpatrywała się w kartkę, po czym zerknęła na plik listów. Spojrzała na zegar. Wskazówka sekundowa nieubłaganie przesuwała się do przodu, zataczając kolejne koła. Jeśli będzie patrzyła na nią dość długo, duża wskazówka w końcu dotrze do dwunastki.

– Proszę pani? – W drzwiach pojawił się ochroniarz. – Zaraz zamykamy.

Odetchnęła głęboko i skinęła potakująco głową. Nie była gotowa na przeczytanie tych listów. Nawet jednego. Wstała, ale ponieważ zrobiło jej się słabo, z powrotem opadła na krzesło. Na śniadanie wypila kawę, a potem skubnęła trochę naleśnika we francuskiej knajpce, do której zabrała ją Glenda. Potrzebowała więcej kawy i czegoś, co zapełni pusty żołądek, żeby pozbyć się nieprzyjemnych skurczów. Schowała listy z powrotem do szkatułki i wsunęła ją do torby.

W dobrym starym Starbucksie kupiła ożywczą kawę i cynamonowego rogalą z rodzynkami, po czym udała się do Central Parku. Deszcz przestał już padać, ale jasnoniebieskie niebo wciąż pokrywały szare chmury. Usiadła na wilgotnej ławce przy alejce prowadzącej do zoo. Nagle poraził ją widok dzieci płaszących wokół, siedzących w wózkach lub idących za rączkę z rodzicami.

Jak by to było wychowywać się bez ojca? Rebecca obserwowała małą dziewczynkę, na oko trzy-, czteroletnią, ganiającą za gołębiem skupionym na wyrzuconej bulce od hot doga. Wyobraziła ją sobie, jak pyta mamę, gdzie podział się tatuś, kim on jest.

Chryste. Jak wyglądała TAMTA rozmowa?

Upiła duży łyk kawy i objęła dłońmi ciepły papierowy kubek. Nawaliła dzisiaj w pracy na spotkaniu z Frittauerami, ale się nie myliła. Po prostu źle się wyraziła.

– Nie nawal, nawalając – zwykł mawiać ojciec, kiedy Rebecca przejmowała się na przykład nieodrobioną na czas pracą domową albo przykrymi słowami, którymi uraziła mamę. – Musisz stawić temu czoło.

Jej ojciec nigdy nie był typem człowieka, który mówi jedno, a robi co innego. Kiedy razem z Charlotte jako piętnastolatki zaczęły eksperymentować z papierosami, a on przyłapał je na tym, rzucił palenie jeszcze tego samego dnia. Rebecca już nigdy nie poczuła od niego dymu. Zawsze popierał słowa czynem.

Albo rzucał je na wiatr.

„Jak mogłeś zrobić coś podobnego?! – krzyknęła w duchu. – Zdradziłeś mamę, zrobiłeś dziecko innej kobiecie i nawet nie zareagowałeś, kiedy ci o tym powiedziała. A potem odwróciłeś się od nich. Jak mogłeś, do diabła?! Teraz sobie umierasz i zostawiasz mnie z tym samą? Drań!”.

Ogarnęło ją tak silne poczucie winy, że natychmiast zamknęła oczy i posłała w przestrzeń nieme „przepraszam”.

„O Boże!”.

Upiła kolejny łyk kawy, a potem ostrożnie postawiła kubek na jednej z deseczek ławki i sięgnęła do torby po listy. Musiała się czegoś dowiedzieć – czegokolwiek, co pomogłoby rzucić światło na całą sprawę i pozwoliło jej odnaleźć sens w wyznaniu ojca. Wyciągnęła z pliku pierwszą lepszą kopertę. Przed oczami stanął jej obraz nastoletniej Joy Jayhawk: jasne włosy do pasa, różowe bikini i japonki z kwiatuskami pomiędzy palcami. Była z koleżankami – wszystkie miały tak samo piękne, długie włosy. Na szyi Joy wisiał złoty łańcuszek, na którym połyskiwało w słońcu otwierane serduszek z wygrawerowaną literką „J”.

„No dobrze – przemawiała do siebie w duchu, wyjmując list z koperty. – Zaczniemy od tego”.

*Najdroższa Joy!*

*W pierwszym liście do Ciebie (a napisanie go zajęło mi siedem miesięcy, od momentu gdy dowiedziałem się o Twoich narodzinach) wyznałem, że podoba mi się Twoje imię. Joy. Radość. To dobre imię. Teraz masz dwanaście lat i pewnie wszystko w Twoim życiu zaczyna się zmieniać. Dojrzewanie, chłopcy, przyjaźnie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że Twoje imię symbolizuje Ciebie i w najtrudniejszych chwilach odnajdziesz w nim pocieszenie. Rebecca na przykład dostała imię po mojej babci, najserdeczniejszej osobie pod słońcem, więc moja dziewczynka, Rebecca Strand, to sama serdeczność. Tak samo nie mam wątpliwości, że Ty jesteś samą radością...*

Rebecce zrobiło się niedobrze. Odłożyła list, prawdopodobnie nie na swoje miejsce. Niechcący potrafiła kawę i spadający kubek wystraszył gołębie. Przez moment przyglądała się ich grubym szarym sylwetkom i patykowatym nóżkom; nie była w stanie skoncentrować się na żadnej konkretnej informacji – ani na tym, że ojciec zdradzał matkę, ani że romans skończył się ciążą, że zostawił kobietę z dzieckiem samym sobie i prawdopodobnie nie wspierał ich nawet finansowo, ani też na tym, że tata, którego do dzisiejszego ranka uważała za chodzący ideał, umierał na szpitalnym łóżku.

Uniosła głowę ku zachmurzonemu niebu i szepnęła „przepraszam” do matki. Potem zadzwoniła do Michaela na komórkę. Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie normalnego słowa. Szlochając, wydukała tylko, że siedzi na mokrej ławce przy zoo. Powiedział, że będzie za

dwadzieścia minut.

I rzeczywiście się zjawił. Opowiedziała mu o listach, pokazała plik kopert.

Michael włożył je do jej torby.

– Kochanie, moim zdaniem powinnaś teraz pójść do szpitala. Powiedz tacie, że zapoznałaś się z listem, który do ciebie napisał, i potrzebujesz trochę czasu na przetrwanie tego wszystkiego. Na pewno to zrozumie. Wystarczy mu świadomość, że masz te listy, że przeczytałaś ten zaadresowany do ciebie i że nie zniechędziłaś go za romans. Te listy są dla ciebie, Becs, nie dla niej. Napisał je, bo chciał stłumić poczucie winy w stosunku do ciebie.

– A ja myślę, że napisał je do niej, dla niej – powiedziała Rebecca. – Żeby stłumić poczucie winy, że nie było go przy niej, kiedy dorastała.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Gdyby twój ojciec czuł się aż tak winny, spróbowaliby się z nią skontaktować w ciągu tych dwudziestu sześciu lat. To wyznanie na łożu śmierci, Rebecca. Chce sobie ulżyć, żeby móc umrzeć w spokoju.

Serce dziewczyny przeszło tak potworny ból, że załkała głośno, a z oczu trysnęły jej łzy.

Dziecko, które właśnie przechodziło obok z mamą, spojrzało na nią zdziwione.

– Zaufaj mi, Rebecca – dodał Michael, obejmując ją ramieniem. – Ja z tego żyję. Poczucie winy skłania ludzi do najdziwniejszych rzeczy. To jeden z powodów, dla których mediacja w ogóle się sprawdza. To dlatego Edward Frittauer podpisał godzinę temu umowę separacyjną. Oddał Gwendolyn mieszkanie i całą jego zawartość, włącznie z dziełem Petera Maxa.

Znów zaczęło kropić. Michael, jak zawsze przygotowany na każdą ewentualność, rozłożył nad ich głowami czarny parasol, po czym poprowadził dziewczynę ku Piątej Alei i zatrzymał taksówkę. Zawiózł ją do domu, do mieszkania, które dzielili.

Był to niewielki apartament na trzecim piętrze, z jedną sypialnią i zapierającym dech widokiem na południe. Rebecca często siadała przy małym stole w jadalni i patrzyła przez okno na niesamowitą mozaikę budynków i świateł. Z łatwością można było stąd dostrzec Empire State Building. Teraz też chciała to zrobić, ale Michael zaprowadził ją na kanapę, delikatnie poklepał poduszkę, a następnie przykrył Rebecę szenilową narzutką. Słyszała, jak otwiera i zamyka szafki w kuchni, potem rozległ się dźwięk mikrofalówki i po chwili wrócił do niej z kubkiem herbaty i tostem z masłem. Uwielbiała, kiedy zachowywał się w ten sposób – kiedy był jej chłopakiem, a nie prawnikiem. Wtedy czuła, że naprawdę to jej przystań.

– A więc uważasz, że powinnam po prostu wysłać te listy? – zapytała. – Pewnie jak wpiszę w wyszukiwarce internetowej jej nazwisko razem z Maine, to wyskoczy właściwy adres.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Myślę, że powinnaś sobie po prostu odpuścić, Rebecca. Teraz masz dość problemów na głowie. Nie myśl na razie o listach i o tej całej Joy. Skoncentruj się na tacie.

Podobała jej się ta rada. Sugerowała, by zająć się czymś sensownym, i pozwalała zapomnieć o korespondencji – przynajmniej na jakiś czas.

Dziewczyna dopiła herbatę i zdrzemnęła się pół godziny. Potem wróciła do szpitala i siedziała przy śpiącym ojcu, dopóki pielęgniarka nie oznajmiła, że czas wracać do domu.

Rebecca nie myślała o niczym. Najwyraźniej jej mózg miał zwarcie, bo teraz czuła tylko otępienie. Ze skórzaną szkatułką w dłoniach pocałowała pomarszczone czoło ojca i wróciła do Michaela. Wziął ją do łóżka i kochał się z nią z taką czułością, jakiej nie doświadczyła od niego już od wielu miesięcy.

Kiedy przyszła do szpitala następnego ranka, ojca już nie było.

Ojciec Rebekki był żydem, więc pogrzeb odbył się natychmiast. Michael załatwił wszystkie formalności. Na uroczystość przyjechała dalsza rodzina z Karoliny Północnej, przyszli przyjaciele zmarłego, współpracownicy oraz kilku klientów jego prywatnej kancelarii. Sekretarka, wysoka, szczupła kobieta po pięćdziesiątce o imieniu Barbara, zalewała się takimi łzami, że Rebecca zaczęła się zastanawiać, czy nie spotykał się z nią na stopie bardziej intymnej. Mimo upływu wielu lat od śmierci matki nigdy nie przedstawił jej żadnej „przyjaciółki”. Rebecca pozwoliła Barbarze wziąć z mieszkania, co tylko zechce. Kobieta ze łzami w oczach zapytała, czy może zachować jego

zegarek, timex, wart dwadzieścia dolarów, który nosił codziennie od dwudziestu trzech lat. Mała Rebecca podarowała ten zegarek ojcu na urodziny. Kupiła go za zaoszczędzone pieniądze ze skarbonki, a on nigdy go nie zdejmował. Dziewczyna wciąż nie miała pewności, czy Barbara i Daniel Strand byli parą, ale skoro ona pragnęła jedynie jego zegarka, musiała go kochać. Rebecca ofiarowała go jej.

Dzień po pogrzebie usiadła podczas sziwy<sup>[1]</sup> w mieszkaniu ojca na jednym z twardej kuchennych krzesel. Wybrała kuchnię, ponieważ jedno z okien wychodziło na ceglana ścianę sąsiedniego budynku. Wpatrywała się w cegły, w maleńkie matowe okienka klatki schodowej, ciągnące się rzędem z góry na dół. Siedziała, siedziała i siedziała, w starej bluzie ojca marki Columbia, ignorując przeszywający chłód na skórze i w kościach. Gdyby w tym momencie z rur kuchennych wyłonił się wąż i podpełzł do niej, prawdopodobnie nawet by nie drgnęła – tak bardzo była odrętwiała, tak bardzo zmęczona. Nie miała już ani ojca, ani matki.

Po śmierci mamy jej ówczesny chłopak, student filozofii i skończony idiota Laird, który nawet nie pofatygował się na pogrzeb, powiedział jej, że szkoda, że jej tata nie będzie mógł dołączyć do mamy w niebie, bo przecież jest żydem. Tak skończyła się jej przygoda z Lairdem. Ojciec WIERZYŁ w niebo, co dziesięć lat temu stanowiło dla Rebekki wielkie pocieszenie. Teraz wyobraziła sobie jego duszę, czyli tę część, która – co do tego nie miała wątpliwości – wciąż była bez reszty dobra, jak podąża w stronę mamy. Mama oczywiście już o wszystkim wiedziała i na pewno mu wybaczy. Może nawet pomoże mu się z tym uporać.

Około trzeciej po południu krewni – daleki kuzyn wraz z rodziną, przyszli złożyć kondolencje. Rebecę przez chwilę świerbił język, żeby mu powiedzieć, że gdzieś w Maine mieszka jeszcze jedna Strandówna.

– Ona nie należy do Strandów – stwierdził Michael tego wieczoru, kiedy leżeli w łóżku, a obok na szafce nocnej płonęła świeca żałobna. – To zwykła nieznajoma.

Nie dla Rebekki. W ciągu ostatnich kilku dni, kiedy szła ulicą, zmywała naczynia albo próbowała czytać książkę na temat radzenia sobie ze stratą – prezent od najlepszej przyjaciółki Charlotte, często przed oczami przemykała jej wizja blond włosów, piwnych sarnich oczu. Widziała Joy jako małą dziewczynkę, może pięcioletnią, kręcącą się w kółko i zamierającą po chwili, żeby zapytać:

– Tatus? Czy ja mam tatusia?

Tego ranka, podczas gdy Rebecca rozpuszczała słodzik w ohydnej kawie przygotowanej przez Michaela (zawsze za mocna), mała blondyneczka znów przestała się kręcić. Znieruchomiła z twarzą skrytą w cieniu i powiedziała „cześć”.

– Cześć – szepnęła Rebecca w odpowiedzi. – Chyba sfiksowałam – odezwała się do dzbanka z kawą. Podciągnęła koldrę pod brodę. – Chodzi o to, Michaelu, że ona nie powinna być nieznajomą. Zamierzam ją odszukać. Tata na pewno by tego chciał.

Mężczyzna obrócił się na bok, żeby na nią spojrzeć. W jego ciemnoniebieskich oczach malowało się współczucie.

– Rebecco, z tego, co mi mówiłaś, nie wywnioskowałem, że chciał, żebyś ją odszukała. Nie powiedział ci tego wprost. Pamiętaj, on nic dla niej nie znaczy. I nigdy nie będzie znaczył, bo nie ma go już wśród nas. Ona zechce tylko pieniędzy. A przez tę całą dokumentację, którą zostawił, prawdopodobnie wygra połowę majątku.

– No i? – rzekła, z trudem hamując chęć wyrzucenia Michaela z sypialni i zatrzaśnięcia mu drzwi przed nosem. – Należy się jej. Chociażby w ramach rekompensaty za brak alimentów.

– Kochanie, te pół miliona, które tak chętnie chcesz oddać jakiejś obcej dziewczynie, prawdopodobnie prostackiej nieudacznicy, to nasza przyszłość. Jeśli kiedyś się pobierzemy, to może być zadatek na dom albo czesne na studia dla naszych dzieci.

Rebecca usiadła gwałtownie.

– Mówimy o córce mojego ojca. Ona nie jest prostacką nieudacznicą. Nie wyrażaj się o niej w ten sposób, Michaelu.

– Kochanie, ale przecież to prawda. Albo potencjalna prawda. Nie mogę dla ciebie lukrować rzeczywistości. Nie potrafię. Moja praca polega na uświadamianiu ludziom prawdy i odnajdywaniu

najlepszych stron w rzeczywistych okolicznościach. Wiem, że właśnie straciłaś jedyne żyjącego rodzica, Beca. Wiem też, jak blisko byliście z ojcem. Ona jest nieznaną, z którą nie chciał mieć nic wspólnego.

– Ze względu na OKOLICZNOŚCI – odparła Rebecca – nie chciał, żeby mama się o tym dowiedziała. Teraz okoliczności diametralnie się zmieniły.

– Doprawdy? Powiedz, czym się różni obecna sytuacja od tej sprzed dziesięciu lat, kiedy zmarła twoja matka? Przecież twój ojciec nie starał się odnaleźć nieślubnej córki po jej śmierci. A skoro już mowa o twojej mamie, Rebecca, jak sądzisz, co by powiedziała na to wszystko? Czy naprawdę wydaje ci się, że chciałaby, abyś odnalazła nieślubną córkę jej męża?

Rebecca podeszła do okna i wyjrzała na Second Avenue. Było jej zimno w samym T-shircie i bieliźnie. Skupiła wzrok na taksówce wymijającej dwa zaparkowane obok siebie samochody.

„Oddychaj głęboko, Rebecca” – poleciła sobie w myślach.

– Nie odwracaj kota ogonem, żeby tylko podeprzeć swoją argumentację.

Nie miała pojęcia, co matka by na to powiedziała. Żadnego. Ale tu nie chodziło o matkę ani o ojca. Ani nawet o Rebecę.

– W porządku – rzekł. Zbliżył się do niej od tyłu i objął ją ramionami. – Otworzyłabyś puszkę Pandory. Nie masz pojęcia, kim ona jest, jaką ma rodzinę i czy połaszą się na twoje pieniądze. Może wychowuje samotnie trójkę małych dzieci? Może jest narkomanką? Czy taka argumentacja ci wystarczy? – zapytał i cmoknął ją protekcyjnie w czubek głowy.

– Muszę ją odnaleźć – szepnęła tak cicho, że nie była pewna, czy ją usłyszał. – Po prostu muszę. Ma prawo przeczytać te listy.

Michael odwrócił ją do siebie i spojrzał na nią z powagą swoimi niebieskimi oczyma.

– Rebecca. Daję ci świetną darmową poradę. I radzę ci się do niej zastosować. Bardzo mi przykro, że straciłaś tatę. Kocham cię i nie chcę patrzeć, jak tracisz też wszystko inne.

„Na przykład ciebie?” – cisnęło jej się na usta, ale zamiast tego odwróciła się i wyjrzała przez okno na migotliwe światła miasta.

Nie miała już rodziców. Jednak gdzieś w Maine mieszkała jej siostra. I zamierzała ją odnaleźć.

[1] Sziwa – w judaizmie siedmiodniowa żałoba po śmierci członka rodziny, podczas której nie wolno opuszczać domu zmarłego (przyp. tłum.).

### 3

Następnego ranka po wyjściu Michaela do pracy Rebecca (która była na urlopie z powodu żaloby i udawała, że śpi, dopóki nie usłyszała klucza przekręcanego w zamku) wpisała „Joy Jayhawk” w wyszukiwarce Google. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nazwisko, po czym je skasowała.

Potrzebowała wsparcia. Zadzwoiła do Charlotte, która powiedziała, że zjawi się u niej za dwadzieścia minut z rogalikami i kawą. Zanim przyjaciółka stanęła na progu w eleganckim spodniemie, jedwabnym szaliku, z burzą brązowych loków zebranych w kok z tyłu głowy, Rebecca zdążyła już pięć razy wpisać nazwisko siostry i je skasować.

– Zrobię to za ciebie – oznajmiła Charlotte, wpychając się przed dziewczynę na krzesło przy biurku. Nacisnęła enter i zerknęła na ekran. – Ona ma swoją stronę!

Dłonie Rebekki zatrzęsły się lekko wokół kubka z kawą. Tak po prostu. Strona internetowa. Natychmiastowe informacje, na które może wcale nie była przygotowana.

– Tu jest też jej zdjęcie – dodała Charlotte. – Jest taka młoda. I piękna. Blondynka. Ma duże, okrągłe oczy Strandów. Brązowe. I piersi znacznie większe od naszych. Organizuje wycieczki dla singli w Maine.

Wycieczki dla singli? Rebecca stanęła za krzesłem i zerknęła na ekran znad ramienia przyjaciółki.

#### *WEEKENDOWE WYCIECZKI*

#### *DLA SINGLI JOY JAYHAWK*

*Wybierz się z przewodniczką Joy Jayhawk na wesołą, relaksującą wycieczkę po turystycznych atrakcjach Maine. Zwiedź okoliczne miasteczka, plaże, parki, latarnie morskie i inne fascynujące miejsca.*

*Zawrzesz nowe znajomości, a być może poznasz swoją drugą połówkę podczas odkrywania uroków sosnowego stanu*

*od piątku wieczór do niedzieli po południu.*

*Jeśli chcesz uzyskać więcej informacji, zadzwoń do Joy pod numer:*

*(207) 555 25 15*

#### *WYCIECZKI WRZEŚNIOWE*

*9–11 – Pożegnanie plaż*

*16–18 – Portland*

*23–25 – Winslow Park, Freeport*

*(Uwaga: to nasza wycieczka dla burzliwych związków)*

*A już w październiku:*

*Ogunquit i Kennebukport*

## **REKOMENDACJE**

*„Poznałam mojego narzeczonego podczas weekendowego wypadu z Joy Jayhawk do Sunday River!”*

*Elizabeth P., Portland*

*„Nie poznałam miłości swojego życia na wycieczce do Camden, ale naprawdę świetnie się bawiłam i zdobyłam dwoje wspaniałych przyjaciół. Już nie mogę się doczekać kolejnego wyjazdu!”*

*Maddie R., Freeport*

*„Ja i Annie idziemy jutro na trzecią randkę... Wszystko dzięki Joy i wycieczce do Ogunquit”*

*Jack M., Gorham*

*„Chłopak mnie rzucił i następnego dnia zapisałam się na wycieczkę Joy do Starego Portu w Portland. Flirtowałam cały weekend, odzyskałam radość życia i wróciłam do domu szczęśliwa.*

*Dziękuję, Joy!”*

*Carlie W., Pittsfield*

Rekomendacji było znacznie więcej. Poza tym na stronie znajdowały się cennik, podstrona „Najważniejsze informacje”, klauzula zrzeczenia się odpowiedzialności i maleńka fotografia Joy. Rebecca szukała zakładki „O mnie”, ale niczego takiego nie znalazła.

Joy była tylko trochę wyższa od znaku „Witamy w Maine”, który obejmowała ramieniem. Stała na poboczu drogi; za nią zaparkowano pomarańczowy mikrobus.

Okazała się zadziwiająco podobna do dziewczyny z wizji Rebekki – miała blond włosy o wspaniałym złotawym odcieniu oraz brązowe oczy.

W niczym nie przypominała jej samej ani ojca, z wyjątkiem – jak już zauważyła Charlotte – okrągłych oczu. Włosy sięgały jej lekko za ramiona i były zupełnie proste. Rebecca, obdarowana przez los ciemnymi falami, zawsze o takich marzyła. Joy wyglądała na miłośniczkę natury. Miała na sobie białą rozpinaną koszulę bez rękawów i dzinsy biodrówki z paskiem przypominającym wianek. Była śliczna, a z jej oczu były rozwaga i rozsądek.

„To moja siostra – pomyślała Rebecca, nie mogąc oderwać wzroku od zdjęcia. – Moja siostra”.

– Podoba mi się – stwierdziła Charlotte. – Wygląda na miłą dziewczynę, na dobrą dziewczynę. No i jest swatką.

Rebecca wpatrywała się w zdjęcie.

– Mam siostrę. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie ogarniam tego rozumem.

– Myślisz, że ona wie o twoim istnieniu? – zapytała Charlotte i pociągnęła łyk kawy.

Wstała, objęła dłońmi biały papierowy kubek i poleciała Rebecce gestem, żeby usiadła.

Rebecca wzruszyła ramionami i zajęła miejsce przed laptopem.

– Nie mam pojęcia. – Matka pewnie coś jej powiedziała na temat biologicznego ojca. Pia Jayhawk na pewno znała jego nazwisko; zdołała zadzwonić do niego do mieszkania na Manhattanie. Czy wiedziała, że mężczyzna, z którym się spotykała, był żonaty i miał dziecko? A może Daniel Strand skłamał, udawał singla?

– Znasz chociaż nazwisko swojego ojca? – zapytała dziewczynę na zdjęciu. – Wiesz, że



masz siostrę?

Pomyślała, że Joy z pewnością zdołałaby namierzyć ojca, gdyby tylko chciała. W tej chwili przypomniała sobie jednak o zastrzeżonym numerze, o przeprowadzce do Westchester. Może Daniela Stranda wcale nie było tak łatwo odszukać?

Wpisała nazwisko ojca w wyszukiwarce. Tysiące trafień. A w spisie mieszkańców Manhattanu? Setki. Nie, niełatwo było go namierzyć.

– To moja siostra, prawda? – zapytała Rebecca, zerkając na przyjaciółkę. – Michael się myli, prawda?

– To twoja siostra – zgodziła się Charlotte. – Michael kompletnie się myli. A ty zmienisz jej życie. Jedno „cześć” i jej świat stanie na głowie.

– Może ona już ma siostrę – wysnuła przypuszczenie Rebecca.

– Ale nie siostrę ze strony ojca, którego nigdy nie poznała.

Przyjaciółka Rebekki pochodziła z przykładnej rodziny organizującej coroczne wakacyjne spotkania w parkach stanowych. Była bardzo zżyta ze starszą siostrą i dwoma braćmi. Siostra to siostra. Michael natomiast wyspecjalizował się w mediacjach rozwodowych ze względu na potworny, ciągnący się ponad rok i pełen nienawiści proces rozwodowy rodziców. Doświadczył go jako trzynastoletni chłopiec. Prawie nie rozmawiał z własnym bratem, który jako szesnastolatek stanął po stronie ojca i odwrócił się od matki. Brat nie był dla Michaela bratem. Brat musiał sobie zasłużyć na to miano.

Rebecca podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Michaela.

– Ona ma swoją firmę – powiedziała mu. – Organizuje kameralne wycieczki dla singli.

– Wiem – odparł. – Wygooglałem ją wczoraj wieczorem. To brzmi trochę szmirowato, nie sądzisz? Wycieczki dla singli? W pomarańczowym mikrobusie?

– Wybacz, że zadzwoniłam – rzekła i się rozłączyła.

Nie oddzwonił. Ona też nie. Organizacja wycieczek dla singli kojarzyła się Rebecce z przedsiębiorczością. I z dobrą zabawą. No, i cóż... brzmiało to dość romantycznie... czego nie dało się powiedzieć o jej związku z Michaeliem.

Na pierwszą rocznicę wręczył jej małe aksamitne pudełeczko na biżuterię. Otwierając je, prawie zemdląła – i to wcale nie ze szczęścia. Nie powiedziałyby „tak”, by spędzić całe życie z Michaeliem Whitmanem. Nie wpakowałyby się w małżeństwo, tak jak wpakowała się w zawód asystentki prawnej. Jednak w pudełeczku nie znalazła pierścionka z brylantem, tylko srebrny klucz do mieszkania. To było rok temu. Zgodziła się na zamieszkanie z nim, bo wtedy go kochała. Jak ich relacja mogła się aż tak zmienić w ciągu jednego roku? A właściwie to w znacznie krótszym czasie. Już kilka miesięcy temu zdała sobie sprawę, że coraz częściej umawia się na wieczór z Charlotte albo idzie odwiedzić ojca. Zaczęła sama chodzić do kina. Zapisła się na siłownię.

Unikała powrotów do domu. Michael robił to samo, choć trochę jej zajęło dostrzeżenie tego stanu rzeczy. Coś wydawało się nie tak, ale żadne z nich nie było gotowe się do tego przyznać czy nawet zdefiniować istoty problemu. LUBILI SIĘ – ta wzajemna sympatia, niewidzialna więź, łączyła ich od zawsze. Jednak kiedy zamieszkali razem, pojawiło się między nimi coś dziwnego – jakiś przesył, klaustrofobia, których żadne z nich się nie spodziewało. Kiedy dobre rzeczy zaczynają się wydawać niewłaściwe z niejasnych powodów, człowiek może długo tkwić w zawieszaniu, czekając, aż stanie się coś, co rozjaśni sytuację. Jednak w ich przypadku nic podobnego się nie wydarzyło. Przeciwnie – na horyzoncie pojawiała się coraz więcej chmur.

Czasem wydawało jej się, że wciąż go kocha. Jednak ostatnio wcale nie była tego taka pewna. Wiedziała tylko, że nadal może z nim mieszkać – może z nim być. Na razie. Zresztą było to ulubione powiedzenie Michaela: „Na razie tak jest dobrze”. Tyle że jej „na razie” trwało bardzo, bardzo długo.

A teraz „na razie” zdawało się wieczne. Po jej gafie z Frittauerami Marcie znowu wzięła ją pod lupę. Wręczyła Michaelowi i pozostałym współnikom notatkę służbową, w której wyszczególniła jej notoryczne błędy:

*Rebecca jest asystentką prawną – nie mediatorem ani adwokatem. Wielokrotnie przekroczyła dopuszczalne granice. Tym razem skończyło się to niemal utratą obecnego klienta*

*i potencjalnych nowych klientów, którzy mogliby przyjść do nas z polecenia państwa Frittauerów. Moim zdaniem Rebecca powinna odbyć kurs doszkalający dla asystentów prawnych, który oferuje teraz wiele szkół wyższych.*

Michael oznajmił wprawdzie, żeby nie zaprzętała sobie tym głowy i że wszystko przycichnie w czasie jej nieobecności, lecz mimo to przyznał Marcie trochę racji: „Ale nie myśl o tym teraz, kochanie”. Dziewczyna zamarła. Uznała, że próbuje jej coś przez to powiedzieć – nie wiedziała wszystkiego, nie była mediatorką i może powinna posłuchać jego rady odnośnie do uganiania się za jakąś nieznaną, świadczącą usługi matrymonialne z mikrobusu; nieznaną, która może się połasić na połowę majątku jej ojca.

– Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Czego pewnie tak bardzo się boi? – odezwała się Charlotte, wyciągając puderniczkę i pudrując w ogóle niebłyszczący nos.

Rebecca wiedziała, że przyjaciółka zaraz przedstawi nie tyle swoje zdanie, ile opinię swojego męża – terapeuty.

Skinęła potakująco głową. Nigdy nie zwierzyła się jej ze swoich wątpliwości co do Michaela – ze strachu, że Peter zaraz wszystko przeanalizuje. A ona nie była na to gotowa.

– Rozmawiałam o tym z Peterem i wydaje nam się, że on boi się utraty kontroli nad tobą. Michael ma bardzo silną osobowość, więc teraz się obawia, że siostra jakoś na ciebie wpłynie.

„Możliwe” – przyznała w myślach Rebecca.

– Jak wpłynie?

Charlotte poprawiła różowo-biały szal wokół szyi.

– Może przestaniesz być tak oddaną dziewczyną? Albo mu uciekniesz? Albo siostra cię przekona, że zasługuje na cały spadek? A ponieważ Michael zna profil jej firmy, może się obawia, że zaraz cię z kimś wyswata.

Rebecca się roześmiała.

– Michael Whitman miałby się przejmować jakimś obdartym poławiaczem homarów z Maine? Wątpię.

Nie brakowało mu pewności siebie.

Charlotte się uśmiechnęła.

– Nigdy nie wiadomo.

Rebecca spojrzała na zdjęcie Joy.

– Powinam najpierw do niej zadzwonić? Nie wiem, co może być bardziej szokujące: telefon od nieznannej siostry czy dzwonek do drzwi. W końcu dowie się o śmierci ojca, a prawdopodobnie w głębi duszy żywiła nadzieję, że kiedyś go spotka.

– Ja bym po prostu pojechała – odparła Charlotte. – Zwłaszcza że wciąż mieszka tam, gdzie doszło do romansu. Tam została poczęta i tam się urodziła. Może samo miejsce pomoże ci pogodzić się z tą historią.

– Jak się pogodzić?

Charlotte wzruszyła ramionami.

– Powtarzam tylko słowa Petera.

– Może od razu się tam wybiorę? – rzekła Rebecca. Pomysł wcale nie wydawał jej się tak szalony. Musiała wydostać się z tego mieszkania, mieszkania Michaela, pełnego czarnej skóry i chromowanych mebli, choćby na kilka dni. – Ubiorę się, wypożyczę samochód i wyruszę do Maine już teraz.

Charlotte wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a potem mocno objęła przyjaciółkę.

– Powinnaś tak zrobić. Jest środa. Od piątku do niedzieli nie ma jej w domu, pamiętasz?

Rebecca nie zdążyła nawet pomyśleć o zmianie zdania, bo Charlotte już rozmawiała przez telefon z wypożyczalnią samochodów i załatwiła jej auto.

Zostawiła Michaelowi wiadomość, że wybiera się do Maine i wróci w piątek. Jednak spakowała prawie wszystkie swoje ubrania – nie miała ich za wiele. Zamiast ciuchów na dwa dni: pary dżinsów, ulubionego kaszmirowego swetra, starych kowbojek, których Michael nienawidził, pary ładniejszych butów i czarnych spodni oraz bardziej eleganckiego topu, spakowała prawie wszystko. Wszystkie buty – włącznie z obiema parami tenisówek. Czerwone zamszowe mokasyny,

czarne szpilki zapinane na paseczek, brązowe botki za kostkę oraz wysokie czarne. Górę swetrów, bluzek i koszulek, kilka par eleganckich spodni oraz dżinsów i cztery sukienki, jedną bardzo elegancką. Sterty bielizny i pęk staników trafiły do kolejnej walizki razem z przyborami toaletowymi i kosmetykami.

W drodze do wyjścia sięgnęła po małe oprawione zdjęcie przedstawiające ją i Michaela na zeszłorocznej imprezie przedświątecznej w kancelarii. Miała na sobie czerwoną sukienkę, a Michael swój zwyczajowy szary garnitur. Oboje uśmiechali się szeroko. Zamierzała odstawić fotografię z powrotem na stolik, ale zamiast tego wrzuciła ją do torby. Po chwili jechała już srebrną hondą civic.

Powinna była polecieć samolotem. Podróż trwała w nieskończoność. Co rusz trafiały się korki, roboty drogowe, wypadki i powolni, zaciekawieni nimi kierowcy. Osiem godzin później minęła znak, do którego jej przyrodnia siostra tuliła się na zdjęciu: „Witamy w Maine. Takie powinno być życie”.

Napis przypominał jej wróżbę, horoskop, odpowiedź magicznej kuli. Jej życie nie było takie, jak powinno – wiedziała o tym już od jakiegoś czasu. Spodobało jej się wrażenie, że samo minięcie znaku drogowego spowodowało, że już nad tym pracowała. Godzinę później zmęczenie wzięło górę i dziewczyna zatrzymała się we Freeport – lokalnej mekce turystów i zakupowiczów, jakieś czterdzieści minut jazdy na południe od Wiscasset. Zajęła pokój w pensjonacie – typowym dla tego rejonu niewielkim domku oszalowanym białymi deskami. Znajdował się przy Main Street, tylko kilka przecznic od słynnego sklepu L.L. Bean, który – jeśli wierzyć ulotce w holu – był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, włącznie z Bożym Narodzeniem. Wyszła z powrotem do samochodu po walizki. Odetchnęła głęboko i nie mogła się nadziwić, jak inaczej smakowało i pachniało tu powietrze – czyste, spokojne, przepelnione wonią świeżej trawy i kwiatów. Oczekiwała zapachu oceanu, zwłaszcza że Freeport leżało na samym wybrzeżu, jednak kwiaty i trawa jej wystarczyły. Ledwie dochodziła siódma. Wciąż było jasno, na chodnikach po obu stronach wąskiej Main Street roilo się od mieszkańców z zakupami. Potoki ludzi oraz samochodów przypominały jej dom. Tylko że tutaj nie zauważało się rozpedzonych taksówek, a wokół – o dziwo – panowała cisza, która działała na Rebecce jak kojący balsam. Nie było tu może tak jak na Arubie, ale naprawdę całkiem nieźle.

W przytulnym pokoiku z białą drewnianą podłogą, okrągłym plecionym dywanem oraz mięciutką puchową kołdrą przebrała się w bawełniane spodnie oraz koszulkę na ramiączkach i wślizgnęła się do łóżka razem z torbą na ramię. Wyjęła skórzaną szkatułkę i manilową kopertę z pamiątkami, którą zabrała z domu. W kopercie znajdowały się zdjęcia rodziców, kopia jej aktu urodzenia, wszystkie świadectwa szkolne, jakie kiedykolwiek dostała. Na formularzu z trzeciej klasy szkoły podstawowej nauczycielka napisała: „Rebecca jest mądrą, grzeczną dziewczynką, ale musi popracować nad zdolnościami przywódczymi i mniej podporządkowywać się innym dzieciom”. Dziewczynie nie podobała się ta uwaga. Ze względu na przeprowadzki i zmiany szkół zawsze miała tylko jedną przyjaciółkę od serca oraz bardzo niewiele innych bliższych koleżanek; poza tym zawsze była cicha, niepewna, trzymała się na uboczu. Niemniej jednak podobało jej się to – dzięki temu czuła się bezpieczna. Tak jak z Michaeliem. Matka odpowiedziała na notatkę nauczycielki słowami: „Pani jest, jaka jest, i lubię panią taką”.

Rebecce ścisnęło się serce na myśl o matce i znów oczami wyobraźni ujrzała jej wielkie sarnie oczy.

– Chyba nie będziesz miała mi tego za złe – szepnęła w sufit. – Chciałabym być przywódcą we własnym życiu, a nie tylko się podporządkowywać. Michael mylił się w tak wielu kwestiach.

Wyjęła plik listów od ojca i wyciągnęła jeden na chybił trafił.

*Droga Joy!*

*Masz pięć lat. Na pewno kochasz przedszkole. Rebecca była taka nieśmiała jako pięciolatka, ale w przedszkolu rozkwitła i nawiązała przyjaźnie. Właściwie to z jedną z dziewczynek – Charlotte – koleguje się do dziś. Ciągle zapominam, że w tych listach powinienem się skupić na Tobie, nie na Rebecce, ale to chyba naturalne, że zakładam, iż macie ze sobą bardzo dużo wspólnego. Jesteście siostrami, choć nie wiecie o swoim istnieniu. Często się zastanawiałem, co*

*bardziej wpływa na charakter – wychowanie czy cechy wrodzone; moim zdaniem cechy wrodzone przeważają. Mogę się założyć, że wolisz roboty od księżniczek, tak jak Rebecca. I na pewno uwielbiasz ganiać żaby w błotnistych zatoczkach tak jak ona.*

*Masz już tyle lat, że pewnie zaczęłaś pytać o tatę. Nie rozmawiałem z Twoją mamą od czasu, kiedy do mnie zadzwoniła i powiadomiła o Twoim istnieniu. Postarałem się, żeby nigdy nie zdołała mnie odnaleźć. Bałem się reakcji mojej żony – bałem się, że mnie zostawi i zabierze mi Rebecę. Przepraszam Cię za to. Przyczyniłem się do Twojego przyjścia na świat, a potem... Trudno mi nawet ubrać to w słowa. Usprawiedliwiałem swoją nieobecność i pocieszałem się tym, że Twoja śliczna, interesująca, zabawna mama, z tak uroczym śmiechem oraz niesamowicie piękną twarzą i sylwetką, na pewno znalazła właściwego ojca, kogoś wartego jej i jej córki. Nie znałem zbyt dobrze Pii Jayhawk. Spędziliśmy razem tylko kilka tygodni, zanim wyjechałem do Nowego Jorku; wtedy oświadczyłem jej, że to musi się skończyć raz na zawsze. Wiem jednak, że miała w sobie mnóstwo godności i wewnętrznej siły.*

*Wyobrażam sobie Ciebie na placu zabaw huśtającą się na huśtawce z opony albo badającą znaczenie różnych słów, tak jak zwykła to robić Rebecca. Teraz ma siedem lat – prawie osiem, i czyta na poziomie dzieci z gimnazjum. Bystra jak jej mama. Z całą pewnością Ty jesteś równie cudowna jak Twoja mama, Joy. To jeden z powodów, dla których nie martwię się o Ciebie.*

*Daniel Strand*

Rebecca podejrzewała, że porzucona córka nie doceniłaby ostatniego zdania; jeśli w ogóle zdołałaby przeczytać choć linijkę. „Powiadomiła mnie o Twoim istnieniu”? Do pięcioletki? Może te listy miały bardziej pomóc ojcu niż samej Joy? Jednak ogólnie tekst był bardzo miły – już jutro przeczyta go właściwa adresatka.

Wyskoczyła spod kołdry po laptopa i przyniosła go ze sobą do łóżka. Chciała znowu zobaczyć zdjęcie Joy i przygotować się psychicznie na jutrzejszy dzień. Jednak w pensjonacie nie było Wi-Fi, a ona nie zapisała sobie strony ani zdjęcia na dysku.

Przez chwilę rozważała, czy nie zadzwonić do Michaela, ale nie podobało jej się, że przez cały dzień sam nie próbował się z nią skontaktować, żeby przeprosić za wczoraj albo powiedzieć, że ją wspiera bez względu na wszystko. Prawdopodobnie właśnie wrócił do domu, znalazł liścik i mruczy teraz pod nosem: „Cholerna Rebecca”.

Powinna się skupić na jutrzejszym dniu; na niezapowiedzianej wizycie u Joy Jayhawk. Zastanawiała się, jak ona zareaguje. Będzie zszokowana. Zaskoczona. A potem otworzy szeroko drzwi i mocno obejmie Rebecę. „Zawsze marzyłam, żeby cię poznać, moja zagubiona przyrodnia siostrzyczko!” – powie ze łzami szczęścia na policzkach. Usiądą w kuchni, będą godzinami rozmawiać przy kawie, a wieczorem uczczą to spotkanie po latach – jeśli można to tak nazwać – przy butelce wina. Będą rozmawiały, rozmawiały i rozmawiały, jak zwykły to robić siostry.

Z uśmiechem na twarzy Rebecca podciągnęła kołdrę pod brodę i zamknęła oczy, dając się ponieść bardzo pięknej fantazji o siostrzanej więzi. Zanim zdążyła się zorientować, przez cienkie białe firanki do wnętrza wdzierało się słońce.

W jasnym świetle dnia wyobrażała sobie, jak podjeżdża pod dom Joy Jayhawk, puka do drzwi i mówi: „Eee... Cześć, nie znasz mnie, ale tak naprawdę jestem twoją przyrodną siostrą. Mamy tego samego ojca”. Nagle jednak straciła wiarę, że mogłaby wypowiedzieć te słowa, i wiedziała, że tak prędko nie wygrzebie się z łóżka.

Szydł powitalny oznajmiał, że Wiscasset jest najpiękniejszym miasteczkiem w Maine – i Rebecca musiała się z tym zgodzić. Centrum wyglądało jak z pocztówek – urokliwe sklepiki, restauracyjki i kawiarnie, za którymi wiała się rzeka Sheepscot przecięta pięknym, długim, wąskim mostem. Wzdłuż nieskazitelnie czystych ulic stały śliczne domki w różnych stylach: rustykalnym, wiktoriańskim, oszalowane deskami, głównie białe, na działkach małych i dużych, z idealnie przyszyżonymi trawnikami i otoczone białymi płotami. Na przestrzeni kilometra Rebecca minęła cztery niemal identyczne białe kościoły, a z drugiej strony co najmniej dziesięć sklepików z antykami. Wszędzie pełno było drzew i kwiatów. W pewnym momencie zza zakrętu, ponad gęstwiną zarośli, wyłoniła się intensywnie niebieska tafla oceanu. Rebecca poczuła się jak w baśniowej krainie, tyle że na drzewach nie rosły cukierki.

Cały dzień zwlekała z wyjazdem z Freeport. Spacerowała wzdłuż Main Street, kupowała prezenty (czerwony szetland dla Charlotte ze sklepu firmowego J. Crew, a dla Michaela zgniłozieloną torbę na ramię firmy Timberland). Sobie zaś sprezentowała parę kaloszy w niedorzeczną czerwono-różową kratę, sięgających aż po kolana. Zastanawiała się, czy nie kupić czegoś Joy Jayhawk, ale nie potrafiła zdefiniować okazji. „Witaj w rodzinie? – myślała. – A może po prostu: cześć?”. Joy otrzyma skórzaną szkatułkę z listami. To ona będzie darem od Rebekki.

Kiedy robiła zakupy i jadła wegetariańskiego hot doga z budki przed L.L. Bean, miała tak cudowną pustkę w głowie, że pragnęła zostać we Freeport jeszcze jeden dzień. Jeden dzień na zebranie się w sobie, na zaplanowanie, co i jak powiedzieć siostrze. Jeśli jednak nie wsiadłaby dziś rano do swojego małego, srebrnego auta, straciłaby cały weekend. Zgodnie z informacjami na stronie internetowej dziś wieczorem Joy wyruszała na wycieczkę. Rebecca nie miała wyboru.

Nie mogła znaleźć Maple Lane i musiała zawrócić do miasta, żeby zapytać o drogę. Otrzymała wskazówkę, żeby skręcić przy wierzbie płaczącej i brązowo-różowym domku w stylu wiktoriańskim. W końcu odnalazła ulicę. Znak, który wcześniej mijała, był niemal całkiem zasłonięty liśćmi dębu.

Jechała powoli Maple Lane, która – jak się okazało – miała prawie dwa kilometry, przyglądając się numerom na domach lub skrzynkach pocztowych. Minęła dwóch biegaczy i matkę z wózkami. Panująca wokół cisza budziła grozę. Z oddali dochodziło tylko ćwierkanie ptaków i odgłos warczącej kosiarki. Żadnych klaksonów ani alarmów samochodowych.

Numer pięćdziesiąt dwa. Jest. Dom, ostatni na ślepych końcu ulicy, był maleńki – jednopiętrowy, o jasnoniebieskich ścianach, z czerwonymi drzwiami frontowymi. Rebecca chyba jeszcze nigdy nie widziała mniejszego domku; mimo to stał na działce wielkości prawie pół hektara. Przy drodze, wzdłuż której nawet nie było chodnika, znajdowało się kilka innych uroczych małych domków z kolorowymi drzwiami.

Przy numerze pięćdziesiąt dwa litery naklejone na skrzynce pocztowej tworzyły napis: „Jayhawk-Jones”.

Jayhawk-Jones. A więc wyszła za mąż. Albo ma współlokatora. Na podjeździe stały zielony subaru outback i pomarańczowy mikrobus.

Rebecca zastanawiała się, czy ten dom należał do Pii Jayhawk i czy jej ojciec tu był. Czy to tutaj umawiali się na schadzki? To miejsce nie wyglądało na miłosne gniazdko.

Zerknęła przez okno wykuszowe w poszukiwaniu jakichś oznak życia, ale przez grube zasłony niczego nie dostrzegła.

„Idź” – poganiała się.

Odgięła lusterko, żeby sprawdzić, czy nie ma kawałka kapusty między zębami, powiedziała „okej” do swojego odbicia i wysiadła z samochodu ze skórzaną szkatułką w dłoni.

Wzdłuż ścieżki stały małe ceramiczne doniczki z fioletowymi i różowymi niecierpkami. Dobry znak.

Odetchnęła głęboko czystym powietrzem i nacisnęła dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Odczekała chwilę i zadzwoniła jeszcze raz. W końcu drzwi się otworzyły i w progu stanęła Joy

Jayhawk we własnej osobie.

Rebecce zatrząsły się kolana i musiała się przytrzymać framugi.

„Powiedz coś” – myślała. Przez moment nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. W rysach stojącej przed nią kobiety dostrzegła ojca; w owalu twarzy, w ledwie dostrzegalnych niuansach, w kształcie ust. Joy miała ten sam kolor oczu co ojciec – piękny piwny odcień brązu.

Wyglądała tak jak na zdjęciu, a nawet ładniej. Ubrana była w dżinsy, białą koszulę na guziki i czerwone zamszowe chodaki. Rebecca przez chwilę przyglądała się butom, a potem znów uniosła wzrok na Joy, która wyraźnie czekała, aż gość się odezwie.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Co to było? Strach? Ta kobieta – ta Joy Jayhawk, była zupełnie obcą osobą. Nieznajomą – jak powiedział Michael.

– Zgubiła się pani? – zapytała, przyglądając się jej uważnie, jakby Rebecca potrzebowała pomocy psychologa. Miała przyjemny głos. Głos przedszkolanki. Sympatyczny i ciepły.

To ciepło dodało jej odwagi.

– Nazywam się Rebecca Strand – rzekła w końcu. Urwała, czekając na jakąś reakcję, i po chwili wyraz twarzy Joy rzeczywiście lekko się zmienił, a w jej oczach odmalowała się ostrożność. Nie odezwała się jednak. – Bardzo przepraszam, że zjawiam się tak znieczeka, ale nie wiedziałam za bardzo, jak mam to zrobić, więc postanowiłam po prostu przyjechać z Nowego Jorku i zapukać do drzwi.

Joy wciąż milczała. Jej twarz stężała.

Rebecca wyrzuciła z siebie kolejny potok słów:

– Mój ojciec, Daniel Strand, kilka dni temu umarł na raka. Dzień przed śmiercią wyznał mi, że miał ro... związek z niejaką Pią Jayhawk i że ona zadzwoniła do niego, i powiedziała mu, że jest z nim w ciąży, i...

– Po co tu przyjechałaś? – przerwała jej Joy.

– Yyy... No tak... Ojciec chciał, żebyś wiedziała, że nie byłaś mu obojętna – powiedziała, czując się jak idiotka. – Co rok pisał do ciebie list. – Wyciągnęła przed siebie pudełko. – Mam je tutaj. Wszystkie dwadzieścia sześć.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej straty, ale... – Joy przez chwilę wpatrywała się w spiczaste szpilki Rebekki, po czym znów uniosła wzrok. – Myślę, że powinnaś już sobie iść. Przepraszam. – Zaczęła zamykać drzwi.

– Ale jesteśmy...

„Siostrami” – skończyła w duchu, gdy Joy zamknęła jej drzwi przed nosem.

Rebecca nie potrafiła wrócić do głównej ulicy, więc jeździła w kółko, dopóki nie dostrzegła biegacza. Zatrzymała się, żeby zapytać o wskazówki, ale szeroki uśmiech mężczyzny i jego: „Och, widzę po tablicy rejestracyjnej, że jest pani z Nowego Jorku! Mamy bilety na widowisko bożonarodzeniowe w Radio City! Już nie mogę się doczekać!”, prawie doprowadziły ją do łez.

„Czy naprawdę oczekiwałaś, że Joy Jayhawk rzuci ci się w ramiona, opowie przy kawie historię swojego życia i zacznie wypytywać o twoją, a potem oznajmi, że już nigdy nic was nie rozdzieli?”

Może – jeśli miałyby być ze sobą bardzo szczerą.

W końcu biegacz na moment zamilkł i dziewczynie udało się zapytać, jak dojechać do głównej drogi. Skręciła więc w lewo, następnie w prawo i znowu w lewo przy różowym domku, potem w prawo przy płocie z ozdobnym wykończeniem i znalazła się z powrotem na szerokim asfalcie przecinającym centrum miasteczka.

Nie miała pojęcia, dokąd się udać. Nie mogła wyjechać, ale nie mogła też zostać. Co miała teraz zrobić? I dlaczego nie wzięła pod uwagę, że Joy Jayhawk po prostu zamknie jej drzwi przed nosem?

Czy powinna spróbować jeszcze raz? Czy miała wrócić do domu tej kobiety i powiedzieć: „Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie szok, ale jesteśmy siostrami”? Na twarzy Joy nie dostrzegła nawet przebłysku zrozumienia. Żadnego: „O Boże, wiem, kim jesteś!”. Jedyne stłumiony gniew.

Już zamierzała zawrócić, ale co by wtedy zrobiła? Dzwoniłaby do drzwi jak wariatka,

dopóki Joy by jej nie otworzyła? A potem co?

Na początek postanowiła zebrać myśli. Zatrzymała się więc na niewielkim parkingu przed małym, białym budynkiem restauracji. Na szyldzie widniał napis „Mama’s Pizza” oraz rysunkowy portret starszej pani w czapce kucharskiej, podrzucającej pizzę. Usiadzie przy kawałku pizzy oraz coli light i zastanowi się, co robić.

Gdy weszła do środka, dzwonek nad drzwiami ogłosił jej przybycie. Wnętrze sprawiało wrażenie przytulnego i uroczego. Przypominało Rebecce starodawny sklep ze słodyczami. Na długiej ladzie stały rzędem słoiki pełne cukierków i czekoladek, a na ścianie wisiały duże srebrne łyżki. Były też najróżniejsze ciasta i ciastka – rurki z kremem oraz jej ulubione *whoopie pies*, czyli czekoladowe ciasteczka przekładane pyszną białą pianką, pięknie zapakowane i przewiązane czerwoną wstążeczką w białe kropki, oraz kosze zielonych jabłek i zielonożółtych gruszek. W pomieszczeniu stało około dziesięciu stołów nakrytych czerwono-białymi obrusami. Ściany zdobiły obrazy lokalnych artystów, przedstawiające latarnie morskie, ocean, domy i kraby – wszystkie na sprzedaż. Ani w sali, ani za ladą nie było żywej duszy.

– Mogę w czymś pomóc?

Zza drzwi w głębi lokalu wyłoniła się wysoka, okołopięćdziesięcioletnia kobieta z niesamowitymi zielonymi oczami. Stała za ladą. Miała znacznie dłuższe włosy niż Rebecca, całkiem siwe, ale mieniające się wszystkimi odcieniami szarości, od grafitowego po srebrny i niemal biały. Na piersi trzymała nosidełko, a z niego – jeśli Rebecce się nie przywidziało – wystawały dwa włochate, nakrapiane, szaro-czarne uszka. Kot? A może maleńki piesek, jak ten mały chihuahua Charlotte? Czyżby kobieta matkowała jakiemuś zwierzątku?

Dłoń ozdobiona licznymi srebrnymi i złotymi pierścionkami poklepała puchatą główkę.

– Biedna mała, dobrze po operacji. Jej prawy jajnik prawie pękł. Gdybym nie zabrała jej na czas do weterynarza, nieszczęsnej kotki już by nie było.

Rebecca wybuchła łzami. Będzie musiała z tym skończyć. Przesłoniła twarz dłońmi i próbowała się uspokoić, ale znajdowała się setki kilometrów od domu i nagle wydało się jej, że nie ma go nigdzie.

Kobieta obeszła ladę i poklepała dziewczynę po ramieniu.

– No już, już – rzekła. – Suzy nic nie będzie. Prawda, Suzy? – Wtuliła nos w szare futerko, a potem zaprowadziła Rebecce do jednego ze stolików i usadziła ją pod obrazem przedstawiającym żółty domek. – Usiądź, kochanie. Właśnie zaparzyłam dzbanuszek earl greya.

W ten oto sposób Rebecca już po chwili piła herbatę z prawdziwymi kostkami cukru, w dość starodawnie wyglądającej filiżance – jednej z tych, jakie dziedziczy się po prababciach. Podczas gdy kobieta kręciła się pomiędzy kuchnią i jej stolikiem, przynosząc srebrny kubeczek ze śmietanką i talerz z tiramisu, dziewczyna odkryła, że pani nazywa się Arlene Radicchio i jest Niemką, ale wyszła za męża za Włocha.

– Domyślam się, że to nie stan Suzy doprowadził cię do łez – rzekła, stawiając na stole pudełko chusteczek. – Może chcesz porozmawiać? Ponoć potrafię słuchać.

Rebecca zastanawiała się, czy nie opowiedzieć jej wszystkiego, ale nie znajdowała się w ośmiomilionowym mieście, lecz w osadzie liczącej sześć tysięcy mieszkańców. Była na terytorium Joy.

– W zeszłym tygodniu zmarł mój tata. Byliśmy bardzo życzliwi.

– Och. Bardzo mi przykro. Sama straciłam ojca kilka lat temu. Płakałam wtedy, gdzie popadnie. Raz wpadłam w ryk, kiedy układałam klopsiki i cebulę na pizzy. To było jego ulubione danie.

– Przykro mi – powiedziała Rebecca.

Arlene poklepała ją po dłoni.

– Czas leczy rany. Podobnie jak świeża, gorąca pizza. Obiad na koszt firmy. Na co masz ochotę, kochanie?

Rebecce podobało się, kiedy ktoś nazywał ją „kochaniem”. Jane, recepcjonistka w Whitman, Goldberg & Whitman, też zwracała się do wszystkich w ten sposób – nawet do Marcie, która na pewno nie była kochana. Marcie Feldman odezwała się do Rebekki nieformalnie jeden

jedyny raz. Burknęła wtedy do niej pod nosem, zerkając z niesmakiem na recepcjonistkę:

– Nie jestem niczym kochaniem.

„Co prawda, to prawda, Marcie” – przyznała w duchu Rebecca.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała. – To poproszę kawałek z papryką i szpinakiem. I colę light do picia. Z cytryną, jeśli można.

– Kawałek? – powtórzyła Arlene. – My tu serwujemy tylko całe pizze. Mamy małą, składającą się z czterech kawałków, średnią z sześciu i dużą z ośmiu. Jest też rozmiar XXL. Dwanaście kawałków.

– To w takim razie poproszę mały placek. Z papryką i szpinakiem.

Arlene się uśmiechnęła.

– Musisz być z Nowego Jorku. Słyszałam, że nowojorczyki nazywają pizze plackami. Zawsze mi się to podobało.

Rebecca skinęła potakująco głową i chciała coś powiedzieć, ale uprzedził ją śpiewny baryton.

– *When the moon hits your eye like a big pizza pie, that's amore*<sup>[2]</sup>.

Zza drzwi na zaplecze wyłoniła się głowa nastoletniego chłopca. Uśmiech na komicznej młodej twarzy był tak szeroki i zaraźliwy, że Rebecca musiała się roześmiać.

– Cześć – powiedziała.

Nastolatek przechylił daszek bejsbolówki w jej stronę, po czym znów schował jasnawłosą głowę za drzwiami.

– To mój syn Matteo. Wiolonczelista – poinformowała Arlene. – Jest w ostatniej klasie szkoły średniej, ale codziennie podczas przerwy obiadowej przychodzi na pizzę mamusi. Przyjęli go na uczelnię muzyczną Juilliard. Poważna sprawa, prawda? Zaczyna we wrześniu.

– Do Juilliarda?! To imponujące. – Chłopak umiał też śpiewać.

Wkrótce rozbrzmiała muzyka klasyczna – przepiękne dźwięki wiolonczeli wypełniły wnętrze. Arlene zaczęła wirować w kółko z uniesionymi ramionami, jakby tańczyła z wymagowanym partnerem. Przy drzwiach zadzwonił dzwoneczek. Rebecca się odwróciła. Przystojny trzydziestokilkuletni mężczyzna podszedł do Arlene i rzekł:

– Czy mogę panią prosić do tańca?

Kobieta uśmiechnęła się od ucha do ucha i podała mężczyźnie dłoń. Tańczyli coś na kształt walca, dopóki nastolatek nie przestał grać i nie krzyknął:

– To pa, mammo!

– Pa, kochanie! – zawołała w odpowiedzi.

– Wezmę to, co zawsze – powiedział mężczyzna.

Odwrócił się do Rebekki, uśmiechnął się do niej grzecznie, po czym sięgnął po lokalną gazetę i zaczął ją kartkować.

– Ta młoda dama jest z Nowego Jorku – poinformowała go Arlene, wskazując brodą na Rebecę.

– Rebecca Strand – przedstawiła się.

Zdumiewało ją, że zdołała zarejestrować jego niezwykłą urodę, biorąc pod uwagę to wszystko, co teraz działo się w jej życiu. Miał piękne, a jednocześnie lekko surowe rysy, wspaniałe włosy – blond, lekko kręcone, i oczy brązowe jak jej. Był ubrany w dzinsy oraz granatowy T-shirt, a wokół jego bioder wisiał pasek z narzędziami. Budowlaniec? Majster?

– Theo Granger – powiedział z uśmiechem.

Przykuwał wzrok, ale nie mógł się równać obrazowi wiszącemu nad jej stołem, od którego nie potrafiła oderwać oczu. Znajdował się na nim uroczy mały domek – bladeżółty, z białymi okiennicami, niebieskimi drzwiami i dzwoneczkami dźwięczącymi na wietrze. On też przypominał dziewczynie sklep ze słodyczami. Na obrazie było mnóstwo kwiatów i biały płot sztachetowy. Całość wyglądała naprawdę urzekająco. Rebecca z łatwością wyobraziła sobie siebie mieszkającą w tym małym żółtym domku i uczącą się, jak być sobą.

Nie miała pojęcia, skąd w jej głowie pojawiła się ta myśl.

– Mnie też się podoba – odezwał się Theo.



Posłała mu uśmiech.

– Twoja pizza jest gotowa, kochanie – oznajmiła Arlene i przyniosła ją do stołu na tacy. – Smacznego.

Rebecca czuła na sobie wzrok Theo, ale kiedy na niego zerknęła, przeglądał gazetę. Potem Arlene wręczyła mu pizzę w pudełku, a on rzucił na odchodnym: „Miło było poznać” i wyszedł. Przez chwilę dziewczyna patrzyła na niego przez szybę.

– Niezły, prawda? – odezwała się Arlene. – Na dodatek jest wolny. Gdybym tylko była dwadzieścia lat młodsza... Jesteś tu przejazdem?

Przejazdem. Rebecca skinęła potakująco głową. Na myśl o powrocie do rzeczywistości zapadły jej się ramiona. Przecież nie może zostać w tej restauracyjce na zawsze. Będzie musiała ustalić plan działania. Ugryzła kęs pizzy.

– Wyśmienita – powiedziała do kobiety.

– To dzięki świeżemu powietrzu w Maine. Kiedy podrzucam ciasto, miesza się z powietrzem. Dlatego jest takie dobre. To właśnie mój tajemniczy składnik, wcale nie sos.

Rebecca się uśmiechnęła. Uwierzyła.

Nad drzwiami znów zadzwonił dzwoneczek.

– Cześć, Joy – rzekła właścicielka. – To co zwykle?

Rebecca uniosła wzrok. Oto znów miała przed sobą Joy Jayhawk.

– Właściwie to nie, Arlene – odparła dziewczyna. – Przyszłam tylko odszukać... – Spąsowiały jej policzki.

– Rebecę – skończyła za nią Rebecca.

– Rebecę. – Dziewczyna wpatrywała się w nią bez emocji.

Nie, to nie do końca prawda. W jej oczach można było dostrzec lekką złość. I smutek. I coś jeszcze – coś, co mogło się okazać zarówno dobre, jak i złe – rezygnację.

Rebecca widziała podobny wyraz twarzy u wielu par podczas mediacji. „Dobrze, ty weź meble. Ja wezmę psa”. „Nie, ty weź te cholerne meble. Ja wezmę Jo-Jo”. A potem do akcji wkraczał mediator. Michael znacznie lepiej radził sobie z nieznanymi niż z własną dziewczyną. „Proszę mi opowiedzieć o meblach – powiedziałaby do męża. – Które pan naprawdę kocha?”. A mąż odpowiadałby: „Nawet nie wiem, co mamy. Cóż, chyba lubię duży skórzany fotel w salonie”. Wtedy żona wtrąciłaby: „Tak, dość się w nim nasiedziało, nic nie robiąc”. To doprowadziłoby do trzydziestosekundowej kłótni, na którą Michael by pozwolił, a potem ją wykorzystał. „A więc nie będzie pani tęskniła za fotelem, prawda?” – rzekłby do żony. Kobieta pokręciłaby głową, a potem zalałaby się łzami i powiedziała, że mąż może sobie wziąć ten fotel, zestaw stereo i Wii, ale ona potrzebuje Jo-Jo. Zgodzi się jednak na widywanie męża z psem. Mężczyzna przystałby na to. Sprawa zakończona.

Joy nie wyglądała zbyt ugodowo. Jednak to nie był przypadek. Wyszła szukać samochodu Rebekki w małym centrum Wiscasset.

Teraz odetchnęła głęboko i odgarnęła jasne włosy do tyłu.

– Okej, przepraszam, że zatrasnęłam ci drzwi przed nosem. Zwykle nie jestem tak niemiła. Mam trochę kiepski dzień. Kiepski tydzień. A właściwie to kilka miesięcy. – Przygryzła wargę i wbiła wzrok w podłogę. – Za kilka godzin wyjeżdżam na weekendową wycieczkę dla singli do Portland. Możesz do nas dołączyć, jeśli chcesz, ale będzie cię to kosztowało trzysta dolarów, bo musiałam zarezerwować dla ciebie pojedynczy pokój w hotelu.

Rebecca odczuła taką ulgę i radość, że podbiegła do Joy i złapała ją za rękę.

– Bardzo ci dziękuję!

Joy, pomimo sztywnego uśmiechu na pięknej twarzy, bacznie jej się przyglądała.

„Aha – przemknęło przez myśl Rebecce – ona też jest zaciekawiona. Ogląda moją twarz, moje rysy. Szuka w nich siebie. Chce wiedzieć”.

Joy cofnęła rękę i zrobiła ogromny krok w tył.

– Choć chyba powinnaś wiedzieć, że właściwie to nie jestem singlem – dodała szybko Rebecca. – To znaczy... nie mam męża, ale nie jestem singlem. I wierz mi, naprawdę rozumiem, co znaczy kiepski tydzień.

Twarz Joy nadal nie wyrażała niczego.

– O czwartej przed moim domem.

Rebecca skinęła głową z uśmiechem, a Joy odwróciła się na pięcie i wyszła, poruszając dzwoneczek nad drzwiami.

„Zrobiłam to, tato – szepnęła bezgłośnie w stronę sufitu. – Kontakt został nawiązany. Nawet więcej niż tylko kontakt”.

– Jesteś znajomą Joy? – zapytała Arlene zza lady.

– Niezupełnie – odparła Rebecca.

– Skomplikowane? – zapytała, posypując ciasto mąką.

Dziewczyna w milczeniu skinęła głową.

– Jak najlepsze rzeczy w moim życiu – dodała właścicielka, podrzucając placek wysoko w powietrze.

<sup>[2]</sup> Kiedy księżyc przyciąga twe oczy niczym wielki placek pizzy, to miłość (ang.) – fragment piosenki *That's amore* wykonywanej przez Deana Martina (przyp. tłum.).

Rebecca wyrzuciła wszystko z walizek na tylne siedzenie samochodu zaparkowanego przed pizzerią, ułożyła ciuchy oraz kosmetyki na kupkę i do jednej walizeczki spakowała tylko parę dżinsów, ulubione czarne spodnie, kilka swetrów oraz dwie ukochane bluzki, a także parę butów na obcasie i kowbojki. Zamknęła ją, do torby na ramię wrzuciła szkatułkę z listami i już była gotowa na weekend dla singli z Joy Jayhawk w Portland, w stanie Maine.

Kiedys uczestniczyła w takim wyjeździe, ubłagana przez Charlotte. Obie z nikim się wtedy nie spotykały. Był to pewnego rodzaju obóz weekendowy dla pracujących zawodowo dwudziesto- i trzydziestolatków. Rebecce nie wpadł w oko żaden chłopak, więc większość czasu spędzała z nosem w książce. Opiekun grupy zaglądał do niej aż nazbyt często i przypominał, że „żeby wygrać, trzeba grać!”. Charlotte przespała się z kolesiem, którego wypatrzyła sobie już w autokarze, ale potem okazało się, że w ciągu dwóch dni poszedł do łóżka jeszcze z co najmniej trzema innymi kobietami. W drodze powrotnej Rebecca pocieszała przyjaciółkę, że jeszcze spotka tego jednego jedyne w mniej wymuszonych okolicznościach. Zapłakana Charlotte tylko pokiwała głową, odwróciła twarz do szyby i przez następne trzy godziny nie odezwała się słowem. Dopiero kiedy dotarli do Port Authority, powiedziała z determinacją:

– Powinniśmy to powtórzyć!

Następnego dnia poznała swojego przyszłego męża.

„Ciekawe, ilu singli zmieści się w mikrobusie – zastanawiała się Rebecca. – Sześciu? Trzy kobiety i trzech mężczyzn?”

Podejrzewała, że będzie dodatkową osobą, w pewnym sensie do pary dla Joy.

Tym razem nie miała problemu z odnalezieniem Maple Lane. Zaparkowała przed maleńkim domkiem; niemal w tym samym momencie obok zatrzymał się landrover. Wysiadł z niego przystojny, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna. Kiedy otworzył tylne drzwi, z wnętrza samochodu wyskoczył mały chłopiec i pognął ścieżką do drzwi, krzycząc wniebogłosy:

– Mama! Mama! Będzie tęsnic zia tobą w lipend!

Z domu wyloniła się Joy z olśniewającym uśmiechem na ustach. Podniosła malca i przytuliła mocno. Kątem oka zerknęła na uśmiechającą się do niej Rebecce, lecz za chwilę skupiła całą uwagę na chłopcu.

A więc miała dziecko. A ten mężczyzna to pewnie jej mąż – Jones ze skrzynki pocztowej.

Skoro Joy miała syna, Rebecca miała siostrzeńca.

Siostrzeńca! I to na dodatek przeuroczego! Chłopiec – trzy-, może czteroletni, miał dołeczki w obu policzkach i gęstą, lekko pofalowaną jasnobrażową czuprynę ze złotymi refleksami, a na sobie czerwoną koszulkę z ogromną trójką, niebieskie dżinsy i czerwone tenisówki. Był przesłodki.

– Mamusiu, zobacz, co ci złościłem! – Odwrócił się do stojącego przy samochodzie mężczyzny. – Tatusiu, gdzie jest jabłonka, któłą złościłem dla mamy?

Mężczyzna wyciągnął z tylnego siedzenia arkusz zielonego papieru, na którym Joy dostrzegła brązowe drzewo (a raczej grubą brązową linię) i czerwone kropki. Podeszedł do malca, wręczył mu papier, a chłopiec natychmiast podał go mamie. Dziewczyna postawiła synka na ziemi i uklękła obok niego.

– Jest prześliczna! – rzekła. – Chodź, powiesimy ją na naszej ścianie galerii.

Chłopiec rozpromienił się i pobiegł za mamą do domu. Chwilę później byli z powrotem.

– Będę za tobą tęsknić, ale już niedługo znowu się zobaczymy, wiesz?

Objął ją maleńkimi rączkami.

– Wiem, mamusiu.

– No dobra, chłopie – odezwał się mężczyzna. – Wpadliśmy do domu tylko na chwilę, żeby pożegnać się z mamą, a teraz idziemy na lody.

Posadził chłopca w foteliku na tylnym siedzeniu samochodu.

Rebecca czekała, aż podejdzie do Joy, żeby się z nią pożegnać, ale nic podobnego nie nastąpiło. Usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i odjechał.

„Cóż, wygląda na to, że mamusia i tatuś nie odzywają się do siebie – przemknęło jej przez myśl – ani się nie obejmują. Ani nie mówią sobie do widzenia. Ani się nie całują. Może są rozwiedzeni?”

Wzrok Joy znów zatrzymał się na samochodzie Rebekki, która dostrzegła w tym spojrzeniu gniewną iskrę. „Mam już dość! Gówniane życie, a teraz jeszcze ty” – zdawały się mówić.

Patrzyły na siebie przez chwilę, a potem Rebecca wysiadła z auta.

– Dziękuję za zaproszenie na wycieczkę. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Domyślałam się, że było to dla ciebie dość trudne.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego cię zaprosiłam – oznajmiła Joy. Wyciągnęła z kieszeni pomadkę ochronną i posmarowała nią usta. Rebecca wyczuła w powietrzu delikatną woń wanilii i truskawki. – To trochę szalone z mojej strony. Przecież możesz być psychopatyczną morderczynią.

Rebecca się roześmiała.

– Mój chłopak powiedział to samo o tobie.

– Mężczyźni i te ich mądrości są warci tyle co... – Urwała nagle, jakby zdała sobie sprawę, że rozmawia zbyt otwarcie z kompletnie obcą osobą. Albo z potencjalnym wrogiem. Wskazała na mikrobus i dodała: – Muszę podjechać po wycieczkowiczów. Wszyscy albo mieszkają niedaleko, albo po drodze do Portland.

– Masz oczy Strandów – palnęła Rebecca, nie mogąc oderwać wzroku od twarzy Joy. – Okrągłe i jasnobrązowe, jak nasz ojciec.

Iskra gniewu powróciła.

– Jak TWÓJ ojciec – poprawiła Joy. – Posłuchaj, Rebecca. Byłabym wdzięczna, gdybyś nie mówiła podobnych rzeczy, dobrze? Nie wiem, dlaczego cię odszukałam. Naprawdę tego nie rozumiem, zwłaszcza że nie chcę rozmawiać o Danielu Strandzie. Chyba po prostu nie chciałam się zachować aż tak niegrzecznie. Pokonałaś długą drogę.

– Rozumiem twoją reakcję. To znaczy... przyrodnia siostra, której nigdy nie poznałaś, nagle staje na twoim progu...

Ogłosivszy minirozejm, Joy podeszła do mikrobusu. Rebecca podążyła w ślad za nią, ciągnąc bagaże. Małe pomarańczowy busik był w środku zadziwiająco czysty. Znajdowały się w nim trzy rzędy trzyosobowych siedzeń oraz jeden składany fotel obok kierowcy. Rebecca wybrała właśnie to miejsce.

– Możesz położyć swoje rzeczy w ostatnim rzędzie – poinformowała Joy.

Dziewczyna posłuchała, po czym zajęła fotel pasażera.

– Masz ślicznego synka. Jak się nazywa?

Jej wyraz twarzy na moment złagodniał.

– Rex.

– Rex. Ładnie. Ile ma lat? Trzy?

– Trzy i pół. – Joy zerknęła na pozbawione pierścionków palce Rebekki. Sama nosiła obrączkę i piękny pierścionek zaręczynowy z brylantem.

– Nie mam dzieci. Jeszcze. Mieszkam z kimś, ale nie jesteśmy małżeństwem. Właściwie to nawet nie wiem, czy wciąż jesteśmy parą – dodała, przyglądając się swoim dłoniom.

– Wiem coś o tym – stwierdziła Joy, wyjeżdżając z podjazdu.

– Czy ty i twój mąż...

Joy uciszyła ją gestem dłoni.

– Pierwsza zasada wycieczek dla singli: prowadząca nie rozmawia o swoim żalnym życiu osobistym, separacji i możliwym rozwodzie, mimo że jej mąż wciąż mieszka pod jej dachem, aczkolwiek w piwnicy.

To zabrzmiało dość nieprzyjemnie.

– Gwoli ścisłości, nie jestem formalnym uczestnikiem wycieczki dla singli – zauważyła Rebecca. „I chcę wszystko o tobie wiedzieć” – dodała w myślach.

– Ale właśnie zatrzymałyśmy się przed domem Maggie – odparła Joy – więc od tego momentu to uczestnicy dyktują tematy rozmów. Zachowujemy optymistyczną postawę, zwłaszcza w rozmowach na temat związków. Jasne?

– Jasne – powiedziała Rebecca z uśmiechem.

Wyjrzała przez okno na ładny, niski, niebieski domek. Ktoś pomachał do Joy zza drzwi z siatki. Pewnie Maggie.

– Victorio, przyjechał bus miłości! – zawołała kobieta przez ramię.

„Bus miłości. Super” – pomyślała Rebecca. Przypomniała sobie rekomendacje ze strony internetowej. Zabawne, że ten mały pomarańczowy mikrobus łączył ludzi w pary.

Joy wysiadła i ruszyła w stronę drzwi, zza których wyłoniły się dwie trzydziestokilkuletnie kobiety z bagażami. Pomogła im je dźwigać. Wrzuciła wszystko na tył busu, a panie weszły do środka i zajęły miejsca w pierwszym rzędzie.

– Victorio, Maggie, to jest Rebecca – przedstawiła ją Joy, zapinając pasy.

Kobiety przywitały się niemal jednym głosem. Za chwilę Rebecca dowiedziała się, że są członkiniami Klubu Rozwódek z Wiscasset – oficjalnego klubu założonego przez miejski ośrodek rekreacyjny. Członkinie pojawiały się i znikwały, w zależności od nastroju i sytuacji w ich życiu miłosnym. Teraz Maggie, Victoria oraz Ellie, po którą właśnie jechały, jak najbardziej czuły się jego częścią.

Victoria – ta bardziej wygadana, miała trzydzieści cztery lata. Rozwiodła się dwa lata temu i była mamą pięcio- i siedmiolatka, którzy ten weekend spędzali ze swoim „zdradzieckim, łajdackim ojcem”. Była wysoką, przysadziłą kobietą dość przeciętnej urody, ale miała najpiękniejsze włosy, jakie Rebecca kiedykolwiek widziała – nawet ładniejsze niż Joy. Długie, zmierzwiowane pukle, naturalnie rozjaśnione słońcem, iskrzyły się pięknymi rudymi odcieniami. Na weekend dla singli Victoria przywdziała czarne połyskliwe spodnie z niezdefiniowanego materiału oraz zielononiebieską bluzkę z seksownym dekoltem w szpic, krótkimi, odstającymi rękawkami i marszczonym przodem. Na nogi włożyła sandałówki na obcasie, które odsłaniały mieniące się na różowo paznokcie.

Maggie, lat trzydzieści siedem, była pośrednikiem handlu nieruchomościami i rozwiodła się zaledwie sześć miesięcy temu. Miała głos palaczki, ale nie śmierdziała papierosami. Właściwie to pachniała wspaniale – ciasteczkami. Rebecca zrozumiała dlaczego, kiedy Maggie wyjęła z torebki pudełko i je otworzyła.

– Świeżo pieczone, czekoladowo-migdałowe – oznajmiła, unosząc paczuszkę. – Zawsze zabieramy przysmaki na nasze wycieczki. – Ugryzła jedno. – Pycha. Z przepisu Rachael Ray. Niebo w gębie – dodała.

Rebecca uśmiechnęła się i sięgnęła po ciasteczko. Rzeczywiście niebo w gębie.

Maggie zbierało się na łyzy. Jej były mąż w ten weekend ponownie się żenił, więc Klub Rozwódek postanowił zabrać ją na wycieczkę po Portland. Drobna, filigranowa kobietka też nie wyróżniała się urodą, ale umiała się wystroić. Jej równo przyciętą brązową fryzurkę za ucho rozświetlały jaśniejsze pasemka, a iskrzące orzechowe oczy zdobił przydymiony makijaż. Ona również ubrała się wieczorowo – w białe spodnie i marszczoną kolorową bluzkę. Na nogi włożyła jasnoróżowe sandałówki na paseczki z ośmiocentymetrowym obcasem. Nie miała dzieci, ale swojego pieska rasy bichon frise traktowała jak dziecko. Na weekend zaopiekowała się nim mama.

Pięć minut później zajechały po Ellie, dwudziestokilkulatkę. Była drobna jak Maggie, miała bardzo ciemne, proste włosy do ramion i intensywnie zielone oczy. Na podróż wybrała wytarte dżinsy, obcisłą bluzkę z długimi rękawami i czerwone chodaki Crocs. Uśmiechnęła się do Rebekki, rzuciła „cześć” i usadowiła się w samochodzie obok Maggie.

– Naprawdę w tym jedziesz? – zdziwiła się Victoria.

Nagle po drewnianych schodkach piętrowego podestu zszedł jakiś mężczyzna, wciskając koszulę w spodnie. Pomachał szybko Ellie, wskoczył do samochodu i odjechał.

– Ellie! – zawołała Victoria z naganą w głosie. – Tylko nie mów, że znów się przespałaś z tym bałwanem!

Dziewczyna uśmiechnęła się z zażenowaniem, po czym wyciągnęła lusterko i poprawiła czerwoną szminkę na ustach. Przy ciemnych, prostych włosach i zielonych oczach czerwone usta wyglądały wspaniale i pasowały do jej wyrazistych rysów.

– Nie mogę się powstrzymać. Dzwoni i mówi, jak bardzo za mną tęskni, a pół godziny

później lądujemy w łóżku. Wciąż byśmy w nim tkwili, gdybym nie usłyszała podjeżdżającego busu. Nie miałam czasu porządnie się ubrać. Ale wzięłam ze sobą trochę ładnych ciuchów – tę czerwoną kopertową sukienkę, którą...

– Zostawiłaś go nie bez powodu, Ellie – przerwała jej Victoria, odrzucając długie rude włosy za ramiona. – To kręcacz!

Dziewczyna sięgnęła do pudełka Maggie po ciasteczko.

– Po prostu muszę poznać kogoś nowego, kogoś lepszego, kto doda mi sił – stwierdziła. – Gdybym tylko spotkała jakiegoś gościa, który by mnie kręcił tak samo jak Tim...

– Może będzie okazja na tej wycieczce – powiedziała Joy.

– Upatrzyłaś kogoś specjalnie dla mnie? – zapytała Ellie.

– Niezupełnie – musiała przyznać Joy – ale nigdy nie wiadomo. Teraz jedziemy po panów.

– Po kogoś wysokiego, ciemnowłosego i przystojnego? Ale jednocześnie miłego?

I zadziornego? Wiesz, jak ten seksowny irlandzki aktor?

Maggie się roześmiała.

– Ten opis w niczym nie przypomina twojego niebawem byłego męża. Ani dwóch facetów, z którymi byłaś związana przed nim.

– Próbuję unikać typu blondyna, poławiacza krabów – stwierdziła Ellie. – Moja starsza i mądrzejsza siostra powiedziała, że kiedy poczuję pociąg do jakiegoś koleśka, powinnam natychmiast uciekać.

– To wydaje się trudne – odezwała się Rebecca, odwracając się do dziewczyny.

– A ty, Rebecco? Też jesteś rozwiedziona? – zapytała Maggie, wkładając do różowoczerwonych ust kolejne ciasteczko.

– Nie, nigdy nie byłam mężatką. Ale mieszkam z moim facetem.

– Dobra rada: nigdy nie wychodź za mąż – powiedziała Ellie. – Jeśli twój facet cię zdradzi, będziesz mogła to sobie wytłumaczyć: okej, w końcu nie jesteśmy małżeństwem. – Zmarszczyła się i z jej oczu trysnęły łzy. – Boże, pewnie masz mnie za jakąś kretynekę – rzekła do Rebekki, a Maggie podała jej chusteczkę. – Wybieram się na weekend dla singli, chociaż jestem mężatką. Ale tak naprawdę to nie zdrada, bo jesteśmy z Timem w separacji. Wydaje mi się nawet, że on mieszka z jedną ze swoich dziewczyn. – Wybuchła płaczem.

Rebecca przerzuciła zawartość torby w poszukiwaniu nowej paczki chusteczek, po czym wręczyła ją Ellie. Dziewczyna otarła oczy i wysmarkała nos.

– Dzięki – powiedziała. – Myślałam, że jak już podejmę decyzję o separacji, to najtrudniejsze będzie za mną. Wiecie? To znaczy, wydawało mi się, że najciężej będzie odejść. Ale to nieprawda. Mam wrażenie, że najtrudniejsze dopiero się zaczyna.

Victoria i Maggie wzięły Ellie za ręce.

– Wszystko jest trudne – powiedziała Maggie. – Ale małżeństwo z kimś, kto nie potrafi zrezygnować z innych kobiet, jest jeszcze trudniejsze. Zaufaj mi, wiem coś o tym. Mój były jutro zeni się ze swoją lafiryndą. Daję temu małżeństwu miesiąc, zanim zaciągnie do łóżka jedną z sekretarek ze swojej firmy.

Ellie odetchnęła głęboko i przytaknęła.

– Wiem, wiem. Tylko że ja wciąż go kocham. Dlaczego wciąż go kocham? – Pokręciła głową. – Nie, dość tego. Biorę udział w tym wyjeździe, żeby kogoś poznać, a nie po to, żeby znów się zaangażować emocjonalnie. Chcę po prostu zapomnieć o Timie. Chcę zdać sobie sprawę, że są jeszcze inni faceci na świecie. Potrzebuję tylko trochę pomocy, żeby o nim zapomnieć.

– Może będzie ci łatwiej, jeśli przestaniesz z nim sypiać? – stwierdziła Maggie. Puściła oczko do koleżanki, po czym poprawiła grzywkę i wygładziła lśniąca fryzurkę. – Joy, pomożesz nam? Separacja to twoje terytorium.

Joy zeszywniała.

– Żałuję, ale nie mam nic mądrego do powiedzenia. Nie chcę się separować od Harry'ego, tak samo jak Ellie nie chce się separować od Tima. Gdybym wiedziała, jak naprawić małżeństwo i jak się pogodzić, Harry nie mieszkałby teraz w niewykończonej piwnicy. Gdyby nie Rex, pewnie w ogóle by się wyprowadził.

– Przynajmniej cię nie zdradził – stwierdziła Ellie. – Kocha cię, Joy. Wróćcie do siebie. Zawsze wracacie.

Dziewczyna uniosła brew.

– Zawsze? Rozstaliśmy się tylko raz i tylko raz do siebie wróciliśmy. Teraz znów przeprowadził się na dół; to zły znak, nie schemat.

– Powinnaś zacząć przychodzić na nasze spotkania – stwierdziła Maggie. – Musisz o tym rozmawiać, Joy.

– Ale ja nie jestem ROZWÓDKĄ – zauważyła.

– Ja też nie – oznajmiła Ellie. – A należę do klubu.

Victoria zaplotła, a potem rozplotła swoje długie rude włosy.

– Joy nie przepada za formalnymi klubami.

– Ale pracujemy nad nią – dodała Maggie. – Nie musisz być rozwódką, żeby dołączyć do naszego małego stowarzyszenia. Wystarczy, że masz swoją historię. – Zwróciła się do Rebekki: – Opowiedz nam swoją. Mieszkasz z kimś, ale jesteś na wycieczce dla singli?

– Nie biorę udziału w tym aspekcie wycieczki – poinformowała Rebecca. – Jestem...

– Ze mną – wtrąciła pospiesznie Joy, zerkając na Rebeccę. Jej spojrzenie mówiło: „Ani się waż wspominać o moich prywatnych sprawach”.

– Och! Przyjaciółka Joy jest naszą przyjaciółką – oznajmiła Victoria.

– A więc zamierzasz poślubić faceta, z którym mieszkasz? – dopytywała się Ellie. – Czytałam w jakimś piśmie, że połowa mieszkających ze sobą par nigdy nie bierze ślubu. To oczywiście nie znaczy, że wy nie weźmiecie! Albo że nie powinniście. Nie zwracaj uwagi na mój cynizm. – Skrzywiła się. – No, i znowu zaczynam. Powinnaś się ugryźć w język. To, że moje małżeństwo okazało się farszą, wcale nie znaczy, że wszystkie takie są.

– Nie mam pojęcia, co się stanie ze mną i z Michaeliem. – Zastanawiało ją, czy Joy w ogóle była ciekawa jej życia i jej odpowiedzi. Nie spuszczała oczu z drogi i rzadko wtrącała się do rozmowy. – Mamy problemy.

Maggie uścisnęła dłoń Rebekki.

– Wiemy coś o tym.

Brzmiała zupełnie jak babcia Rebekki – Mildred, mama jej mamy, rodowita nowojorczanka, która zmarła, kiedy wnuczka miała jedenaście lat.

Wszyscy odeszli. Wszyscy. Dziewczyna zacisnęła mocno powieki, bo nagle poczuła ukłucie w piersi. „Nie płacz przy Joy. Nie płacz przy Joy”.

– Wszystko w porządku? – zapytała Maggie.

Rebecca odetchnęła głęboko, otworzyła oczy, odwróciła się do nowych koleżanek i przytaknęła.

– Jesteś z Nowego Jorku? – zapytała.

– Tak! – odparła Maggie. – Przeprowadziliśmy się tu osiem lat temu z Long Island ze względu na pracę mojego mę... byłego męża. Potem Mark nagle stał się wielkim miłośnikiem natury i ciągle chodził na piesze wędrówki. Zmienił się z kanapowca-piwosza zainteresowanego tylko bejsbolem w weganina wędrownika. Okazało się, że jakaś lafirynda z jego pracy była wędrującą weganką.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Rebecca.

– Czas na lepszych facetów – oznajmiła Ellie. – Wysokich, ciemnowłosych i przystojnych.

– A co robisz zawodowo, Rebecco? – zapytała Victoria.

– Jestem asystentką prawną – odparła. – W kancelarii specjalizującej się w mediacjach rozwodowych. Pasuje, co nie?

Victoria prychnęła z pogardą.

– Próbowалаm tego. Przeskoczyłam przez stół, żeby udusić tego kłamliwego, zdradzieckiego kutasa, który był kiedyś moim mężem. Mediacje są gównem warte.

– Czasami mogą pomóc – odparła Rebecca. – Ale zdecydowanie nie wszystkim.

– Tak, jestem na to żywym dowodem – warknęła Victoria. – Choć w końcu nie mieliśmy procesu. Wycofał się, żeby tylko się mnie pozbyć.

– Słyszałam o mediacjach, ale nie mam pojęcia, jak to działa – odezwała się Maggie.  
– Zamiast wydawać fortunę na prawników i skakać sobie do oczu, brnąc donikąd, rozwodząca się para siada przy stole z mediatorem, czyli z kimś, kto ma na uwadze dobro OBOJGA małżonków. Mediator dba o sprawiedliwy podział dóbr i odpowiednie ustalenia związane z opieką nad dziećmi – wyjaśniła Rebecca.

– Rozwodząca się para, która nienawidzi się z całego serca, tak po prostu siada przy stole i dzieli się rzeczami? – zapytała Ellie.

– Czasem tak po prostu, a czasem nie – odpowiedziała Rebecca. – Czasami jeden z współmałżonków jest gotowy podpisać cokolwiek, żeby tylko uwolnić się od drugiej osoby. Innym razem nie chce się zgodzić na żadne ustępstwa, aby za żadne skarby nie dopuścić do rozwodu.

– To mi wcale nie brzmi jak fajna praca – stwierdziła Ellie.

„Bo taka nie jest” – przyznała Rebecca w myślach, a na głos powiedziała:

– No cóż, „fajna” to chyba nie najtrafniejsze określenie, ale może dać dużo satysfakcji, kiedy udaje ci się pomóc jakiejś parze w osiągnięciu porozumienia, choć na początku nic na to nie wskazywało. – To była prawda. W ten sposób patrzyła na tę pracę na samym początku. – To duże ułatwienie w trudnym procesie rozwodu, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi dzieci. – Mówiła zupełnie jak Michael. Albo Marcie.

– To rzeczywiście bardzo ważne – wtrąciła Joy smutnym, zmęczonym głosem.

– A jak maluch sobie radzi z separacją, Joy? – zapytała Victoria.

– Ma się dobrze – burknęła. – Słuchajcie, nie chcę mówić o sobie, okej?

– Hej, Rebecca, a wiesz, że Joy planuje wycieczkę dla burzliwych związków? Dla par, którym przydałby się weekend we dwoje, ale w towarzystwie innych par z problemami, żeby miały z kim porozmawiać, do kogo się zwrócić. Powinnas pojechać i być mediatorką!

– Jestem tylko asystentką prawną – rzekła Rebecca odruchowo. – Nie mediatorką.

– E tam. Na pewno znasz się na rzeczy – oznajmiła Maggie, mierzwiąc lśniąca brązową grzywkę. – Tak przynajmniej wynika z tego, co mówisz.

– Rebecca mieszka w Nowym Jorku – wycodziła Joy przez zęby. – Po weekendzie wraca do domu.

– Szkoda – stwierdziła Ellie. – Przydałyby się nam twoje umiejętności.

– Nam? – powtórzyła Maggie. – Nie mów mi, że namówiłaś Tima na wyjazd. Najpierw ci wiele naobiecuję, a dwa dni później podczas przerwy posuwa w kiblu kasjerkę ze stacji benzynowej.

Ellie wzruszyła ramionami. Wyglądała tak, jakby znów miała się zalać łzami.

– A co mam robić?

– Może naprawdę poznasz kogoś miłego na tej wycieczce – odezwała się Victoria, znów plotąc warkocz i go rozplatając. – Jakiegoś porządnego faceta, który ci udowodni, że związek polega na wzajemnym szacunku.

Ellie skinęła głową.

– Może – rzekła i zwróciła się do Rebekki. – Ale tak czy siak dobrze by było, gdyby na wycieczkę dla burzliwych związków pojechał jakiś ekspert. Tim nie chce iść do poradni. Mówi, że poddaje się tylko głosowi natury, bo mężczyźni nie mogą być monogamistami.

– Co za fiut! – oburzyła się Victoria. – Znam wielu mężczyzn, którzy są monogamistami. Choć nasi mężowie się do nich nie zaliczają; oczywiście, z wyjątkiem Harry’ego, Joy. Na przykład mąż mojej przyjaciółki Jackie. Mój tata. Mój kolega Richard, on nigdy by nie zdradził. Mój brat też wciąż jest szaleńczo zakochany w swojej żonie, której wprost nie znoszę, a są już dziewięć lat po ślubie.

Rebecca była ogromnie ciekawa, dlaczego małżeństwo Joy przechodzi kryzys. Czekala, aż coś powie, ale ona tylko patrzyła w milczeniu na drogę.

– Mój brat też – dodała Maggie, gryząc kolejne ciastko. – I mój tata. I mąż mojej koleżanki Sary. Poza tym pracuję z kilkoma facetami, którzy codziennie wracają prosto do żon i dzieci, a co rano przychodzą szczęśliwi i pełni werwy. Nie wszyscy mężczyźni zdradzają.



„Włącznie z Michaeliem” – przemknęło przez myśl Rebecce. Pod tym względem był bez zarzutu. Choć przecież nie łączyły ich więzy małżeńskie. Może wraz ze ślubem w związkach coś się zmieniało? Może obrączki robiły się za ciasne? Ograniczenie do jednego partnera. Rebecca słyszała chyba o wszystkich podręcznikowych przyczynach rozwodów. O przyczynach zdrad. Żona odmawiała seksu. Albo nie chciała się dopasować do perwersyjnych zachcianek małżonka. Ten przytył dwadzieścia kilo, tamten był pracoholikiem, a jeszcze inny popadł w alkoholizm. Ludzie kłócili się, kłócili i kłócili.

Zastanawiało ją, co skłoniło ojca do zdrady, dlaczego Pia Jayhawk zdołała odciągnąć go od mamy, jak to się stało, że złamał przysięgę małżeńską.

– Rebecco, czy zdrada to główny powód rozwodów? – zapytała Ellie.

– Właściwie nie – odparła dziewczyna. – Zdrada stoi wysoko w rankingu, ale główną przyczyną zdają się stare, niedające się pogodzić różnice. Tak naprawdę nie jestem ekspertką od małżeństw, rozwodów ani związków. Sama nic już nie wiem. Nie wiem nawet, czy wciąż mam chłopaka.

– Boże, witaj w klubie – powiedziała Ellie. – Dosłownie! Mogłabyś dołączyć do naszego stowarzyszenia!

– Ona WYJEŹDŹA po weekendzie – odezwała się Joy, nie odrywając oczu od jezdni.

Jej ton był tak kategoryczny, że wszystkie zamilkły i popadły w zadumę trwającą dokładnie minutę. Potem Maggie zaczęła opowiadać o swojej siostrze Frances, która mieszka w Massachusetts ze swoim „żałosnym narzeczonym”, bo ma dwadzieścia pięć kilo nadwagi i uważa, że nikt inny jej nie zechce. To zaś zapoczątkowało dyskusję o wadze i o tym, czy w porządku jest nie czuć pociągu fizycznego do kogoś, kto przytył dwadzieścia pięć kilo, a to właśnie przydarzyło się Victorii, zanim dołączyła do Strażników Wagi. Najwyraźniej jednak utrata dwudziestu dwóch kilogramów nie sprawiła, że mąż padł na kolana i zaczął błagać o jej powrót.

W mikrobusie zapadła cisza na kolejnych kilka minut. W końcu Joy zatrzymała się przed blokiem w Brunswicku.

– Właśnie podjechałyśmy pod dom pana numer jeden – oznajmiła. – Przygotujcie się na spotkanie bardzo atrakcyjnego Clintona Witowskiego.

W samochodzie nastąpiło poruszenie. Panie pootwierały lusterka, poprawiały fryzury, sprawdzały, czy między zębami nie pozostały resztki ciasteczek. Po chwili przy mikrobusie pojawił się mężczyzna. Otworzył drzwi, rzucił: „Dzień dobry paniom”, uśmiechnął się czarująco i zajął miejsce w rzędzie za nimi, na samym środku.

Clinton Witowski wyglądał na czterdzieści lat. Jego grube, ciemne włosy zaczęły się przerzedzać, ale wciąż wyglądały seksownie. I jakimś cudem zmarszczki wokół oczu i ust dodawały mu uroku. Miał w sobie coś z Marlboro Mana, choć z wyglądu wcale nie przypominał kowboja.

Gdy tylko wsiadł, kobiety się zmieniły. Wszystkie wyprostowały plecy. Victoria znacznie się ożywiła.

– Jesteśmy członkiniami Klubu Rozwódek z Wiscasset – poinformowała. – A ty byłeś kiedyś żonaty?

– Dwa razy – odparł, pochylając się do przodu. – Ale żaden z rozwodów nie był z mojej winy. Traktowałem przysięgę bardzo poważnie. Pierwsza żona nie wytrzymała, kiedy przydzielono mnie do innej jednostki. Zadbalem więc o to, żeby moja druga żona też była z wojska, by lepiej mnie rozumiała; no, a ona zakochała się w swoim dowódcy.

Potem opowiadał aż nazbyt długo o tym, że jest byłym wojskowym ze stopniem kapitana, a teraz pracuje w cywilu jako inżynier w bazie lotnictwa morskiego w Brunswicku.

Z ust kobiet posypały się wyrazy współczucia. Rebecca przysłuchiwała się przez chwilę ich pogawędce – raz na jakiś czas pozwalały coś wtrącić Clintonowi – a potem wyjrzała przez okno. Nie mogła za bardzo rozmawiać z Joy w mikrobusie. Może po przyjeździe do Portland będą miały trochę prywatności.

Pół godziny później zajechali po kawalera numer dwa. Victoria, Maggie i Ellie wyjrzały przez okno. Ślina prawie ciekła im z ust, dopóki nie dostrzegły go na horyzoncie. Również był

wysoki i bardzo szczupły. Sprawiał wrażenie nie tyle nieatrakcyjnego, co niezdarne. Podszedł do busu i uśmiechnął się z taką nieśmiałością, że natychmiast rozbudził matczyne instynkty w całym damskim trio.

– Przedstawiam wam Jeda Harkera – odezwała się Joy. – Jed, w pierwszym rzędzie siedzą Ellie Rasmussen, Maggie Herald i Victoria Dale. A tutaj, na siedzeniu pasażera, to Rebecca. Strand – dodała po chwili.

Kobiety przywitały się i uściśniły Jedowi dłoń. Był tak nieśmiały, że prawie nie podnosił głowy. Usiadł obok Clintona, który klepnął go po plecach, prawie zrzucając go przy tym z siedzenia.

Panie od razu zasypały go pytaniami i chłopak pomału zaczął się otwierać. Był trzydziestoletnim singlem, nigdy się nie ożenił. Miał w swoim życiu tylko kilka związków, a przez parę tygodni był nawet zaręczony. Narzeczona poznała kogoś innego.

– Zawsze tak jest – stwierdziła Victoria. – Poznają kogoś innego. Nie rozumiem, dlaczego nie są szczęśliwi z tym, co mają? Dlaczego wagina innej kobiety jest bardziej interesująca od mojej?

Rebecca prawie zadławiła się ciasteczkami, które skubała. Joy zerknęła na nią kątem oka i uśmiechnęła się. Potem jakby przypomniała sobie, że nie chce być przyjacielska, i znów skoncentrowała się na drodze.

Oczy Jeda lekko się powiększyły. Ellie poklepała go po dłoni.

– Przywyknij do tego.

– Wiecie co? – odezwała się Victoria. – W zeszłym roku założyłam profil na stronie randkowej. Poznałam tam kogoś, poszłam na kilka spotkań, a potem on powiedział mi, że nic z tego nie będzie, że nie takiej kobiety szuka. A tak naprawdę perfekcyjnie pasowałam do opisu „kobiety idealnej” z jego profilu, w którym po szczeniacku pisał „3-maj się” i „lol”. W końcu doszłam do wniosku, że tekst pisany oraz człowiek z krwi i kości to dwie zupełnie różne kwestie.

Clinton skinął głową.

– Chemii nie da się wytłumaczyć. Możesz oczekiwać po partnerze jakichś cech, ale chemia zawsze będzie chemią.

„A krew krwią” – pomyślała Rebecca ni stąd, ni zowąd. Znów zerknęła na Joy – na nieznajomą, z którą dzieliła DNA i ojca.

– Ja jakoś nigdy nie wyczuwam chemii – wciął się Jed.

– Bo jesteś nieśmiały – stwierdziła Ellie, klepiąc go po ramieniu. – Popracujemy nad tym. Uśmiechnął się.

– Dlatego zapisałem się na wycieczkę. Uznałem, że w grupie lepiej mi pójdzie.

Przez następne dziesięć minut mężczyźni rozmawiali o bejs-bolu, a panie oddały się dyskusji na temat teściowych. Rebecca przypomniała sobie, że zostawiła suknię ślubną matki Michaela na wieszaku za drzwiami swojego gabinetu w biurze. To musiało coś znaczyć.

– No dobrze – odezwała się Joy. – Ostatnia osoba.

Kobiety znów zaczęły się ślinić z podekscytowania. Joy zaparkowała przed domem wyglądającym na trzyrodzinny, z balkonem na każdym piętrze. Zerknęła w zapisany po brzegi terminarz, a potem zadzwoniła do domofonu. Kilka minut później krzepki mężczyzna z ogromnym workiem marynarskim na plecach podążył już za nią w stronę pomarańczowego mikrobusu.

– Ellie, Maggie, Victorio, Rebecco, Clintonie, Jedzie, poznajcie Victora.

– Victor i Victoria! – zakrzyknął Clinton. – Jak musical!

Victor wyglądał tak, jakby próbował odgadnąć, która z kobiet jest jego musicalową partnerką, po czym wrzucił worek na tył pojazdu i zajął miejsce obok Jeda. Stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Ani na chwilę nie przestawał mówić, tak samo jeść. Trzymał w ręku torebkę czegoś, co wyglądało na kolorowe żelki, i raz po raz unosił ją na wysokość ust. Miał trzydzieści pięć lat, a jego dość atrakcyjną twarz zdobiła hiszpańska bródka. Ponad dwadzieścia zbędnych kilogramów też nie wyglądało na nim najgorzej. Włożył sweter we wzory i klasyczne materiałowe spodnie. Był sprzedawcą krzeseł biurowych – wiedział wszystko o podnośnikach pneumatycznych oraz o odpowiednim podparciu lędźwi.

– To jaka jest twoja historia? – zapytała go Victoria, kiedy w końcu przestał nawijać o krzesłach i drużynach sportowych, którym kibicował.

Nawinęła kosmyk rudych włosów na palec. „Jest zainteresowana” – zdała sobie sprawę Rebecca.

Mężczyzna odwrócił się do Victorii i ze śmiertelną powagą rzekł:

– Moja historia? Moja historia jest taka, że kobiety to kłamliwe suki.

Wszyscy wybałuszyli na niego oczy.

– Żartuję! – wykrzyknął, a potem roześmiał się gromkim śmiechem.

– Nieźle pojechałeś – stwierdził Clinton.

– Naprawdę nieźle – dodał Jed, prawie pękając ze śmiechu. I tak oto dołączył do imprezy.

Z pensjonatu w dzielnicy Portland Munjoy Hill rozciągał się przepiękny widok na Zatokę Casco i obserwatorium, ale nie było w nim pokoju dla Rebekki.

Joy zmarszczyła brwi.

– Nie, dzwoniłam kilka godzin temu i zarezerwowałam dodatkową jedynekę.

Właścicielka pokręciła głową.

– Nie odebrałam żadnego telefonu. – Urwała nagle. – O rety! Pewnie rozmawiała pani z Lizzie. To moja córka. Uważa za wielce dowcipne rezerwowanie nieistniejących pokoi.

Dopilnuję, żeby dostała nauczkę.

Joy westchnęła.

– Ale mamy dodatkową osobę.

Kobieta zerknęła na ekran komputera.

– Moglibyśmy wstawić składane łóżko do pani pokoju. Będzie ciasno, ale połówka powinna się zmieścić. Nie będzie dopłaty za to dodatkowe łóżko.

Joy westchnęła ciężko.

– Mogłabym spać na dole – zasugerowała Rebecca. Przy wejściu mijaly salonik z obitą perkalem wiktoriańską sofą i tapicerowanymi krzesłami.

– Okej – zgodziła się Joy.

Rebecca sposepniała.

– Żartuję – dodała z grobową miną.

Wszyscy przystali na meksykańską kolację. Lokal polecony przez właścicielkę pensjonatu znajdował się na końcu brukowanej alejki otwierającej się na nabrzeże. Stary Port przypominał Rebecce Greenwich Village na Manhattanie, tylko że z zatłoczonym portem, bez centrum z ciuchami firmy Gap i bez manewrujących wszędzie żółtych taksówek. Wokół mieściły się tylko małe, jedyne w swoim rodzaju sklepiki, urocze restauracyjki oraz sklep z prezerwatywami Condom Sense, do którego Clinton koniecznie chciał zajrzeć.

Ellie i Victoria rzekły się przystojnego Clintona na rzecz Maggie, która w ten weekend potrzebowała go najbardziej. Ellie tak naprawdę pragnęła tylko swojego męża, więc – czysto platonicznie – przygarnęła pod swe skrzydła Jeda. Victoria, niemal dorównująca wzrostem Victorowi, chichotała głośno, gdy mężczyzna zaciągnął ją do drzwi sklepu z kondomami, wykrzykując kolejne: „Żartuję!”.

Na razie szło całkiem nieźle.

Okazało się, że w Enchiladaville znajdował się parkiet, przy którym trio gitarzystów przygrywało serenady. Jed tańczył jak Elaine z *Kronik Seinfelda*, wymachując rękami i nogami we wszystkich kierunkach. Sprawiał jednak wrażenie, jakby pierwszy raz w życiu dobrze się bawił. Ellie ograniczyła się do twista, a Victoria i Victor przeszli do wolnego tańca przy szybkiej muzyce. Maggie i Clinton, ponieważ oboje nie potrafili tańczyć, całkowicie pogrążyli się w rozmowie, sącząc swoje margarity.

Rebecca i Joy zostały same przy stoliku, przed w większości pustymi talerzami i półmiskami. Obie siedziały zwrócone twarzą do parkietu, dzięki czemu uniknęły krępującego spoglądania na siebie nawzajem. Raz po raz Joy puszczała oczko albo uśmiechała się do któregoś ze swoich wycieczkowiczów z nieudawaną sympatią i czułością. To oczywiste, że zależało jej na ludziach i że kochała swoją pracę, która polegała na pomocy w nawiązywaniu romansów. Rebecce

ciekawilo, jak Joy zapatrywala sie na relacje Pii Jayhawk z Danielem StranDEM. Czy myslala, ze matka zakochala sie w zonatym męzczyźnie i bardzo sie sparzyła? Albo ze sie zakochala i powinna byla walczyć o swojego ukochanego? Czy jej matka w ogóle byla zakochana w Danielu Strandzie? Dziewczyna nie znala okolicznosci.

Joy uśmiechala sie szeroko do Jeda, który gwałtownie przechylil Ellie podczas tangopodobnego kawalka i niemal ją upuscil. Jej twarz spochmurniala, kiedy poczula na sobie wzrok Rebekki.

– Naprawdę sie ciesze, ze pozwolilas mi przyjechać – odezwała sie Rebecca, upijajac łyk swojej margarity. – Nie wiedzialam, czego sie spodziewac, ale jazda samochodem byla naprawde ciekawa.

– Dlatego wlasnie wciaz to robie. Ludzie szukaja miłości. Nigdy nie wiadomo, kto sie komu spodoba.

– Jak dlugo jeździsz juz busem miłości?

– Okolo roku. Panie z Klubu Rozwodek z Wiscasset to moje stale klientki. Zdarzaly sie tez inne kobiety, ale glownie z ich polecenia. Zeby przyciagnac męzczyzn, jeżdza godzinę we wszystkich kierunkach i rozwieszaja moje ulotki na tablicach informacyjnych w silowniach, pubach, klubach sportowych i w kazdym innym miejscu, jakie przyjdzie im do glowy.

– A co robilas wczesniej?

Joy siegnęła po naczosa, przełamala go na pół, ale nie wzięła do ust.

– Wlasnie to pracowalam na farmie. Dogladalam byków, zajmowalam sie malymi cielatkami. Na studiach skonczylam matme, tam poznalam Harry'ego; zdobylam certyfikat nauczyciela w gimnazjum i w szkole sredniej, ale kiedy nadszedl czas skladania podan do szkól, zamiast tego zaczelam sie starac o przyjecie na okoliczne farmy. Nagle zapragnęlam zajmowac sie bykami albo alpakami. Uwielbialam te prace.

Rebecca nawet nie wiedziala, co to jest alpaka.

– Potem pojawil sie Rex – ciagnęła Joy – wiec zostalam z nim w domu. Tak naprawde to podobalo mi sie najbardziej. W zeszlym roku umarl ekscentryczny stary wujek Harry'ego i zostawil mu pomaranczowy mikrobuz. Prowadzil male biuro podrózy; obwozil ludzi po Maine, zwlaszcza po północy stanu. Pewnego dnia, troche zartem, wspomnialam Harry'emu, ze moglabym kontynuowac prace wuja Jaspera i zabierac lokalne rozwodki na wycieczki dla singli, zeby mogly poznac nowa miłość. Harry uznal to za swietny pomysl i ni z tego, ni z owego narodzil sie mój nowy biznes. Tak po prostu.

– Wolalabyś zajmowac sie bykami? – zapytala Rebecca.

– Chyba tak. Tyle ze wypadlam z obiegu. A to samo sie napatoczylo – daje mi duzo radości i pozwala zarabiac wlasne pieniadze. Podoba mi sie perspektywa powrotu na farmę, kiedy Rex pójdzie do zerówki. To juz za dwa lata. Moze kiedyś bede miala wlasne gospodarstwo. Teraz bus miłości jest wprost idealny. To radosna praca. Wycieczki nie zawsze sie udaja; wlasnie wiekszosc z nich to niewypaly, ale zwykle wszyscy przynajmniej dobrze sie bawia.

– Czy twoja mama byla zakochana w naszym ojcu? – wypalila Rebecca.

Joy spiorunowala ją wzrokiem.

– Rebecco, po pierwsze, przestaln mówic o swoim ojcu jako o NASZYM. On nie byl moim ojcem, jeśli pominac najbardziej podstawowe, biologiczne znaczenie tego slowa. Po drugie, uczucia mojej mamy to jej prywatna sprawa.

Rebecca spiekla raka.

– Ja... Dobrze, masz racje. Przepraszam, nie bardzo wiem, jak sie zachowac.

„A wiec twoja matka wciaz zyje – przemknęło jej natychmiast przez mysl. – Ciekawe, czy bede miala okazje poznac Pię Jayhawk”.

– Ja tez nie – wyznala Joy ze śladem uśmiechu.

– Jemu naprawde zalezalo, Joy. Twojemu... To znaczy Danielowi Strandowi. – Wyciagnęła z torby skórzana szkatulke. – Napisal do ciebie te wszystkie listy. Tłumaczy...

Joy odsunęła szkatulke z powrotem w strone Rebekki.

– Nie obchodza mnie jego tłumaczenia. Nie mam zamiaru czytac tych listów.

– Nie jesteś ani trochę ciekawa swojego ojca? – zapytała Rebecca. Zastanawiało ją, co Pia Jayhawk opowiedziała córce.

– Nie – oznajmiła Joy, zanurzając naczosa w maleńkiej miseczce z sosem. Jej wzrok błądził po parkiecie.

– Naprawdę?

Spojrzała na Rebeccę.

– Naprawdę. Nie znaczy dla mnie nic oprócz kwestii biologii i DNA. Mama wyszła za bardzo porządnego faceta, kiedy miałam dziewięć lat. Pomógł mi wychować. Dlaczego miałby mnie interesować jakiś obcy człowiek, który nie potrafił wziąć na siebie podstawowej odpowiedzialności?

Rebecca zamarła. Oczywiście, Joy miała rację.

– Wygląda na to, że z tobą mu się udało – stwierdziła nagle.

Skinęła potakująco głową.

– Był dobrym człowiekiem. On naprawdę...

Joy odstawiła z brzękiem kieliszek na stół.

– Dobrym człowiekiem. Jasne. Tak dobrym, że zapadł się pod ziemię, kiedy dowiedział się o wpadce z kochanką. Nie wparowuj w moje życie i nie mów mi, jak wspaniałym człowiekiem był mój biologiczny ojciec, bo to oczywista nieprawda. Nie możesz być dobrym człowiekiem, jeśli odwracasz się od własnego dziecka. Teraz rozumiem to bardziej niż kiedykolwiek, bo sama jestem matką.

Rebecca znów oblała się pąsem.

– Ja... – Ale co miała powiedzieć?

Czy można być dobrym człowiekiem, a mimo to zrobić coś niewłaściwego? Uczynku Daniela Stranda nie dało się po prostu nazwać błędem. Albo złą oceną sytuacji. W grę wchodziło coś innego – coś, czego Rebecca zdawała się nie pojmować. Przecież jej ojciec BYŁ dobrym człowiekiem.

– Czasem bywają okoliczno...

Joy upiła łyk drinka.

– Takie jak lęk przed naruszeniem idyllicznego życia rodzinnego?

– To nie takie proste. Nic nie jest czarne albo białe.

– Z wyjątkiem dziecka – rzekła Joy. – Twój ojciec zrobił kobiecie dziecko, a kiedy się o tym dowiedział, zniknął bez śladu. Co w tym szarego?

– Myślę, że jeśli tylko przeczytasz jego listy do ciebie...

– Rebecco, posłuchaj. Rozumiem, dlaczego mnie odnalazłaś. Naprawdę. I jeszcze raz bardzo mi przykro, że straciłaś ojca. Ale to nie jest mój ojciec. A ty nie jesteś moją siostrą. Nie łączą nas żadne więzy rodzinne. Przepraszam.

„Ale ty jesteś córką mojego ojca. Jesteś nią” – pomyślała Rebecca.

– Gdybyś tylko przeczytała te listy...

Joy wstała, sięgnęła do torebki po banknoty i włożyła je pod drinka.

– Chciałabym, żebyś wyjechała z samego rana. I mam na myśli Nowy Jork.

Podeszła do parkietu i szepnęła coś na ucho Victorii, która skinęła głową, cmoknęła ją w policzek i wróciła do tańca. A Joy opuściła restaurację, nie oglądając się za siebie.

„Nie, nie, nie!” – huczało jej w głowie. Jak do tego doszło? W jednej chwili rozmawiały o matmie, bykach i alpakach (czymkolwiek były te alpaki); rozmawiały o życiu i swoich wyborach, a w następnej Joy znów zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

Ze ściśniętym sercem zdała sobie sprawę, że chyba jednak będzie dziś spać w nocy na obitej perkalem sofie w saloniku.

Dwie godziny później Rebecca jechała z powrotem na północ w samochodzie wypożyczonym na koszt Joy Jayhawk. Na siedzeniu pasażera Jed nerwowo obgryzał paznokcie. Zadzwoiła do niego mama, z którą wciąż mieszkał, i powiedziała, że czuje ogromny ból w klatce piersiowej oraz w nogach. Mężczyzna spytał więc Joy, czy mógłby wykorzystać wpłacone pieniądze na wycieczkę w późniejszym terminie. Dziewczyna oczywiście się zgodziła, a potem dodała:

– Rebecca z przyjemnością odwiezie cię do domu.

I tak to się skończyło. Joy zdołała się jej pozbyć nawet wcześniej, niż zamierzała.

W wypożyczalni samochodów wręczyła jej wydruk z mapy Google'a ze wskazówkami dojazdu oraz banknot dwudziestodolarowy na benzynę. Nawet nie wysiliła się na uśmiech.

– Nie wiem, co robić – powiedziała do niej Rebecca. – Czuję, że to koniec. Dałaś mi szansę, a ja ją zmarnowałam. Już mnie nie ma.

„Masz takie same oczy jak tata. I brodę” – przemknęło jej przez myśl.

– Nie jesteśmy rodziną – odparła Joy tak cicho, że Rebecca musiała się pochylić, przez co ta cofnęła się o krok. – Słowa, etykiety: same w sobie nic nie znaczą.

„Ale...” – Rebecca przez chwilę stała w milczeniu, nie wiedząc, o co błagać ani jak naprawić sytuację.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Ale możemy przynajmniej porozmawiać, prawda? Tylko porozmawiać?

Joy westchnęła, odwróciła na moment wzrok, po czym znów na nią spojrzała.

– Rebecco, powiedziałam już wszystko. Przykro mi, ale mówię i mówię, i mówię już od jakiegoś czasu. Nie mam ochoty więcej gadać. Przepraszam, jeśli to brzmi zbyt oschle.

Wtedy podszedł do nich Jed z komórką w dłoni.

– To znowu moja mama. Czuję potworne mrowienie w paluchu. Czy któraś z was wie, co to może oznaczać?

W drodze powrotnej bez ustanku nawijał o mamie, o jej dolegliwościach i o potrzebie ucieczki na wolność, wyprowadzenia się. Stwierdził, że Ellie jest wspaniała i w ogóle, ale trochę się zadurzył w Maggie. Czy zdaniem Rebekki Maggie umówiłaby się z nim? A może taki facet jak on nie ma szans w porównaniu z Clintonem? Rebecca zatrzymała się przed jego domem i zapewniła, że w życiu – bez względu na okoliczności – najlepiej zawsze prosić o to, czego się pragnie.

– To bardzo dobra rada – stwierdził Jed. – Bardzo dobra. – Potem ucisnął jej rękę i podążył ścieżką w stronę domu, raz po raz uderzając walizką o udo.

Joy poinstruowała Rebecce, żeby zwróciła auto do oddziału w Brunswicku, tuż przy zjeździe z autostrady. Podobno ktoś z przyjemnością zgodził się podwieźć ją po jej samochód.

Ktoś bardziej gadatliwy od Jeda.

– Jesteś z Nowego Jorku? Właśnie stamtąd wróciłem; odwiedzałem rodzinę. Byłaś kiedyś na samej górze Empire State Building? A na Statui Wolności? Jako dziecko wdrapałem się pod samą brodę. Ktoś za mną dostał zawrotów głowy od wysokości. Słyszałaś kiedyś o tym? Widziałem ten film, wiesz, ten stary, ale nie sądziłem, że ciągle się go ogląda.

Gadał, gadał i gadał – tak dużo, że Rebecca nie miała szans niczego wtrącić, co bardzo jej odpowiadało. Wyglądała przez okno, przyglądała się uciekającym krajobrazom, życiu mijanemu w pędzie (a właściwie to wijącemu się zakolami) i w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że dopóki znajduje się w tym samochodzie – z tym gadatliwym panem w średnim wieku – znajduje się GDZIEŚ.

– No i jesteśmy – powiedział, zatrzymując auto przy Maple Lane 52 w Wiscasset.

Dziwnie się czuła, stojąc przed domem ze świadomością, że właścicielki w nim nie ma, że jest wiele kilometrów stąd, a ona została niemal wygnana – wygnana z życia Joy.

Wsiadła do samochodu, po raz ostatni omiotła wzrokiem uroczy niebieski domek i pojechała do centrum miasteczka. Miała zamiar znaleźć jakiś hotelik albo pensjonat, wskoczyć do

wanny i wszystko sobie przemyśleć. Czy powinna wrócić do domu? Do Michaela, do kancelarii, do zadufanej w sobie Marcie? Do życia, które nagle zrobiło się niewygodne, jakby przestało pasować? Rebecca nie miała już rodziny – został tylko Michael, ale im bardziej poznawała jego prawdziwe oblicze, im lepiej rozumiała, jak funkcjonuje jego umysł, tym bardziej sam chłopak stawał się odległy.

„Nie mam dokąd pójść” – zdała sobie sprawę, wjeżdżając do centrum.

W oknach Mama's Pizza paliło się światło. Słyszała dochodzącą z wnętrza muzykę, dziwną muzykę, jakby polkę. Arlene na pewno będzie wiedziała, dokąd Rebecca mogłaby pójść – przynajmniej na tę jedną noc. A może na kilka?

W środku trwało przyjęcie. Wszędzie wisiały kolorowe balony z nadrukiem: „Wszystkiego najlepszego z okazji 60. urodzin, Trudy!”. Polka dudniła głośno, a po prowizorycznym parkiecie płąsali w większości seniorzy. Rebecca wprosiła się na imprezę! Gdy tylko odwróciła się, żeby odejść, Arlene zagroziła jej drogę tanecznym krokiem.

– Rebecco! Jak miło cię znowu widzieć! – krzyknęła kobieta. Miała na sobie puchaty, różowofioletowy sweter z ogromnym kwiatem przypiętym na piersi. – Chodź, dostaniesz ostatni kawałek tortu.

– Nie chciałabym przeszkadzać w prywatnym przyjęciu – odparła dziewczyna. – Już sobie idę.

– Nie wygłupiaj się. Sama robiłam. Wierz mi, zasmakuj ci.

Rebecca uśmiechnęła się i przyjęła od gospodyni talerz z kawałkiem tortu czekoladowego pokrytego różowym lukrem z kawałkiem litery „Y”. Spróbowała kęs i przysmak rozpląnął jej się w ustach. Mama też robiła takie pyszne torty. Szkoda, że ona nie odziedziczyła tej umiejętności.

– A nie mówiłam? – odezwała się Arlene.

Muzyka zmieniła się z polki w kadryla i goście zaczęli dygać oraz płąsać po kwadracie. Arlene wyjaśniła, że Trudy to jej siostra, która jest nauczycielką na kursie *Style tańca przez wieki*, prowadzonym przez ośrodek rekreacyjny Wiscasset.

Rebecca musiała się wydierać na całe gardło, żeby przekrzyczeć muzykę.

– Arlene, czy mogłabyś mi polecić jakiś pensjonat albo hotelik w okolicy?! Na noc lub dwie!

Kobieta skinęła potakująco głową.

– U Marianny, zaraz przy Water Street, jest zamknięte poza sezonem, ale właścicielka to moja dobra znajoma. Zadzwońię do niej, jeśli chcesz. Jeżeli masz ochotę, możesz poczekać na mnie na tarasie. Biegnie z niego ścieżka na plażę. Tylko muszę cię ostrzec, że woda jest za zimna na moczenie nóg.

Rebecca w swoim życiu nie poznała tak wielu podobnych do siebie osób – serdecznych bez powodu. Ciepło tej kobiety i jej matczyna opiekuńczość sprawiały, że wcale nie chciała jej opuszczać, ale Arlene już zmierzała do lady po telefon. Po drodze została kilka razy porwana do tańca.

Dziewczyna udała się ze swoim tortem na taras. Przy najbardziej oddalonym stoliku zobaczyła siedzącego samotnie mężczyznę z butelką piwa i stopami opartymi wysoko na poręczu. Poznałaby te włosy na końcu świata. Grube, rozjaśnione słońcem, szalenie seksowne. Pod nimi dostrzegła opalony kark, a niżej szerokie ramiona i ciemnozielony T-shirt.

– Theo, prawda? – zapytała.

Odwrócił się i uśmiechnął. Jego ciemnobrązowe oczy spoglądały na nią bystro i przenikliwie.

– Rebecca, o ile się nie mylę?

Skinęła potakująco głową.

– Ładny widok – rzekła, choć tak naprawdę niewiele widziała.

Światła tarasu ledwie muskały trawę pod spodem. Jakies trzydzieści metrów dalej majaczyła skalista ścieżka, ale poza tym otaczała ich czerń. Słyszała jednak huk oceanu.

Mężczyzna obrócił stojące obok krzesło w jej stronę, by mogła usiąść.

– Co cię sprowadza do Wiscasset we wrześniu? – zapytał, sięgając po piwo. – W zasadzie to

miejscowość letniskowa.

Przez moment rozważała, czy nie wyrzucić z siebie wszystkiego, co jej leżało na sercu, jednak znów doznała dziwnego uczucia, że nie powinna, że przebywa na terytorium Joy, a to również jej historia – nie wypada wszystkim rozpowiadać o jej prywatnych sprawach.

– Hipotetycznie? – zapytała Rebecca, po czym włożyła kolejny kawałek tortu do buzi. Zerknął na nią z uśmiechem.

– Jasne.

Jednak zamiast coś powiedzieć, wybuchła płaczem. Przed oczami zobaczyła ojca leżącego w szpitalnym łóżku, słabego i wychudzonego, z poorly zmarszczkami twarzy i dziwnym spojrzeniem. Co ono wyrażało? Nie było to poczucie winy – na pewno nie.

– Powiedzmy, że komuś umiera ojciec – zaczęła. – Tuż przed śmiercią wyznaje, że ma jeszcze jedno dziecko i że to dziecko jest teraz dorosłe, tylko kilka lat młodsze, powiedzmy, od ciebie.

Mężczyzna sięgnął do dozownika z serwetkami stojącego na sąsiednim stoliku i wręczył jej kilka chusteczek. Osuszyła oczy i zacisnęła w dłoni drapiący biały papier.

– Powiedzmy – ciągnęła – że twoja żona jest jakby... Nawet nie wiem, jak to nazwać. Jest, ale jakby jej nie było. I ta nowina, ta trochę przerażająca nowina coś dla ciebie znaczy; naprawdę coś znaczy. Jedziesz więc na poszukiwanie siostry i znajdujesz ją, ale ona nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

– Och – rzekł, wpatrując się w ciemność. – Pomyślałbym, że potrzebuje trochę czasu.

– Naprawdę? – zapytała, zwracając ku niemu twarz. – Nawet gdyby powiedziała, że nie jesteście rodziną, że nic was nie łączy?

Przytaknął.

– Czas to najlepsze lekarstwo.

Odetchnęła głęboko i włożyła do buzi kolejny kęs tortu, który osiadł jej ciężko w żołądku.

– Mój ojciec pojawiał się i znikał prawie przez całe moje dzieciństwo – rzekł Theo. – Gdyby jakiś jego dzieciak nagle zapukał do mych drzwi i powiedział: „Hej, jestem twoim bratem”, nie czułbym z nim szczególnej więzi. Na pewno nie od razu.

Rebecca skinęła potakująco głową.

– Potrafię to zrozumieć. Ja chyba czuję tę więź, bo wychowywałam się z ojcem. Jego druga córka jest dla mnie częścią niego. Ale ona tego nie ma. Ona nie ma nic, na czym mogłaby się oprzeć. Jestem dla niej nieznaną.

– Hipotetycznie nieznaną – poprawił, wskazując na nią butelką piwa.

Uśmiechnęła się.

– Theo, kochanie, możemy już iść.

Rebecca odwróciła się i ujrzała w drzwiach jedną z senierek, która przed chwilą płaśała po parkiecie. Kobieta spoglądała na nich z uśmiechem. Miała na sobie długi pikowany puchowy płaszcz, choć temperatura na zewnątrz przekraczała piętnaście stopni.

– To moja babcia – szepnął. – Współlokatorka dzisiejszej jubilatki. – Zacisnął na moment palce wokół dłoni Rebekki i dodał: – Czas czyni cuda. Nieraz wystarczy nawet pół godziny.

Posłał jej ostatni uśmiech i zniknął za drzwiami. W ciągu piętnastominutowej rozmowy sprawił, że poczuła się lepiej niż przez cały ubiegły tydzień.

Pensjonat U Marianny okazał się dość luksusową ogromną willą w stylu wiktoriańskim, położoną nad samą wodą. Jednak ponieważ sezon już się skończył, restauracja, spa i hotel były zamknięte dla gości. Marianna Finch, właścicielka o sympatycznej aparycji, poinformowała, że rano podrzuci świeżą pościel, ale Rebecca będzie musiała sama prześcielić łóżko. Och, i powinna się pogodzić z hałasem, bo właśnie trwała budowa nowego pomostu i werandy. Przez te niedogodności zapłaciła za nocleg pięćdziesiąt dolarów, a był to pokój nie lada przestronny, z wielkim łóżem z baldachimem z pięknego ciemnego drewna oraz białą puchową kołdrą, marmurową łazienką i balkonem z widokiem na plażę.

Zbliżała się północ, ale Rebecca włożyła sweter i wełniane skarpetki od L.L. Bean, po czym wyszła na balkon z listami ojca i litrową butelką coli light, którą Arlene wręczyła jej na odchodne.



Przez chwilę wsłuchiwała się w szum fal, pozwalając, by wszechobecny spokój ukoił nerwy. O dziwo, jej myśli powędrowały ku Theo – ku tym przepięknym ciemnym oczom. Już po chwili wizja zatarła się, wyparta przez przystojną twarz Michaela, wyrażającą głęboką dezaprobatę.

Od jej wyjazdu nie zadzwonił ani razu. Jak to możliwe? Jak można budzić się co rano u czyjeś boku, dzielić łazienkę i łóżko, a potem nie zadzwonić, nawet żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, żeby zamienić kilka słów, zwłaszcza kiedy ta druga osoba przechodzi przez... przez co? Przez coś bolesnego. Dziwnego. Burzącego stary porządek. Jeśli nie zrobi tego, co jej każe, co jej sugeruje, pozbędzie się jej jako partnerki życiowej? Na to wyglądało.

Odchyliła głowę na szezlongu i mocno przytuliła szkatułkę z listami, choć jej zawartość wcale nie przynosiła ukojenia. Znajdowały się w niej tajemnice kogoś innego i były dla kogoś innego przeznaczone. Nie dla niej. Charlotte powiedziała, że dzięki tym listom Rebecca pozna ojca – czy to znaczyło, że go nie znała? Że człowiek, który był jej tatą, miał okazać się kimś innym? Kimś skrywającym kłamstwo z przeszłości, kimś mającym sekretne życie emocjonalne?

„Czas czyni cuda” – przemknęło jej przez myśl.

Zamknęła oczy, sięgnęła do szkatułki i losowo wybrała jeden z listów.

*Droga Joy!*

*Masz trzynaście lat. Doskonale wiem, co to znaczy. Przechodziłem przez to z Rebeccą. KŁOPOTY. Rebecca wcale nie sprawia kłopotów wychowawczych. Jest kochaną dziewczyną; przynajmniej przez większość czasu. Ma chłopaka o imieniu Dalton. Dalton – co to za imię? To jej pierwszy chłopak i całkowicie zawrócił jej w głowie. Oczywiście, dziś Dalton złamał jej serce, zranił ją tuż przed szkolnym bale. Najpierw w ogóle po nią nie przyszedł, więc wraz z Charlotte, koleżanką, postanowiły pójść na zabawę same. Ujrzały go tam tańczącego przytulańca z inną dziewczynką. Rebecca zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym po nią przyjechał, a potem zalewała się łzami i pytała, dlaczego chłopcy wybierają inne dziewczyny, i co jest z nią nie tak.*

*Jestem ostatnią osobą, którą powinna o to pytać. Od razu pomyślałem o Twojej matce, o tym, że w pewnym sensie ją „wybrałem”, chociaż miałem już cudowną kobietę, żonę, matkę mojej córki. Chciałem wyjaśnić Rebecce, że można kogoś kochać, a mimo to pozwolić się odciągnąć przez coś, co wzbudza inne emocje, ale jak mógłbym jej to wytłumaczyć? Ostatecznie zasypałem ją jakimiś frazesami.*

*Wybierasz tego, kto w danym momencie życia ma dla ciebie największy sens, a niekoniecznie tego, kogo bardziej kochasz. Nie znaczy to jednak, że kochałem Twoją matkę bardziej niż matkę Rebecki. O Boże, sam nawet nie wiem, co piszę. Wiem tylko, że człowiek dokonuje wyboru w jednej chwili, czasem nawet się nad tym nie zastanawiając. Wydaje mu się, że to właśnie musi być ta właściwa osoba, więc nie myśli za dużo o tej drugiej, którą zostawia za sobą. Do czasu.*

Rebecca pamiętała rozmowę z ojcem o Daltonie i jej złamanym po raz pierwszy sercu.

– Nic ci nie będzie, kochanie. Pojawią się inni. On na ciebie nie zasługuje. Za dwa dni będziesz miała nowego chłopaka.

Przez jakiś czas – bardzo długi czas, nie pojawił się żaden nowy chłopak. Czy wolałaby, gdyby ojciec powiedział: „Chcesz znać prawdę, Beccs? Prawda jest taka, że możesz bardzo lubić jakąś dziewczynę, możesz ciągle o niej myśleć, a potem nagle ci się odmienia i zaczynasz równie mocno lubić kogoś innego. Pragniesz wtedy mieć je obie, ale oczywiście to niemożliwe, więc wybierasz tę, z którą przyszłość wydaje się sensowniejsza”? A dla Daltona sensowniejsza wydawała się oczywiście Carrie Futterman, bo miała ogromne piersi jak na piętnastolatkę – nosiła miseczkę C.

Rebecca sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do hotelu, w którym zatrzymała się Joy ze swoją wycieczką. Poprosiła o połączenie z jej pokojem, a potem prawie się rozłączyła, bo zdała sobie sprawę, jak jest późno. Wiedziała jednak, że Joy nie śpi – miała na głowie nie tylko ją.

– Halo? – odezwał się głos w słuchawce, ani trochę niezaspany, tak jak podejrzewała.

– Joy, tu Rebecca. Chciałam ci tylko powiedzieć, że rozumiem. Właśnie przeczytałam jeden z jego listów do ciebie i wydaje mi się, że on nic nie pojmował. Tłumaczył się, ale to jego tłumaczenie jest do niczego.

– No, oczywiście – rzekła.

Rebecca zamknęła oczy i wstrzymała oddech.

– Czy mogę wrócić jutro rano? Nie po to, żeby o nim rozmawiać ani cokolwiek tłumaczyć. Tylko dlatego, że w pewnym sensie jesteśmy siostrami... Wiem, wiem, tak naprawdę nic nas nie łączy. Ja tylko... Chcę tylko zdać sobie z czegoś sprawę, chociaż sama jeszcze nie wiem, z czego.

Joy rzuciła nazwę restauracji na Commercial Street oraz godzinę, po czym się rozłączyła.

A więc Theo miał rację. Czas pomaga. Niekiedy wystarczy kilka godzin.

Czuła, jak jej barki się rozluźniają, jak z ciała schodzi napięcie – nagle miała już dokąd pójść; Joy dała jej jakiś punkt zaczepienia. Wróciła do pokoju z zamiarem przygotowania ciepłej kąpieli i zakopania się pod kołdrą. Wtedy zadzwonił telefon. Czyżby Joy się rozmyśliła?

Nie, to był Michael. Serce zabiło jej mocniej na widok jego imienia na wyświetlaczu.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. – Wyobraziła go sobie leżącego boso na czarnej, skórzanej sofie, ze stertą papierów piętrzących się przed nim na stoliku.

– No i? Czy ma dwie głowy? Ośmioro brudnych dzieci? Kartotekę policyjną?

Rebecca uśmiechnęła się mimo woli.

– Jestem pewna, że już ją sprawdziłeś, Michaelu.

– Oczywiście. Gdybym znalazł coś choć trochę niepokojącego, od razu bym po ciebie pojechał.

Zrobiłby to – była o tym przekonana.

– Ona... jest sympatyczna – rzekła. – Trochę rozdrażniona, ale to normalne, zważywszy na okoliczności. Bardzo ją zaskoczył mój przyjazd.

– Kiedy wracasz do domu? – zapytał.

Powinna wrócić do pracy w poniedziałek, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby wyjechać już w niedzielę.

– Chyba za kilka dni. Potrzebuję spędzić tutaj jeszcze trochę czasu.

Cisza.

– A więc tak po prostu nie przyjdiesz do pracy? – odezwał się w końcu. – Rebecca, masz obowiązki.

– Obowiązki, w których jestem do dupy.

– Zrobisz kurs przypominający...

„Nie, nie zrobię” – zaoponowała w myślach, a do słuchawki powiedziała:

– Michaelu, jestem asystentką prawną już od sześciu lat.

Czy naprawdę właśnie o tym teraz rozmawiali?

– Becs, kochanie, posłuchaj: zapomnij teraz o tym. Nie powinienem być w ogóle zaczynać tego tematu. Masz za sobą bardzo ciężki tydzień. Rozumiem, że wolałabyś zostać na północy, w innym świecie. Ale to tutaj masz życie i jesteś tu potrzebna.

„Nie chcę wracać do domu” – przemknęło jej przez myśl. Nie chciała wracać. Jeszcze nie. Dopóki sytuacja z Joy nie będzie... Jaka? Jasna? Rozwiązana?

– Nie jestem gotowa na wyjazd, Michaelu. Proszę, zrozum to, dobrze?

Po drugiej stronie rozległo się westchnienie. Potem zapadła cisza.

– Rebecca – rzekł nagle. – Nie powinienem ci tego teraz mówić, ale czuję, że to konieczne. Być może trudne czasy wymagają zdecydowanych działań, rozumiesz?

Czekała. Cisza napawała ją coraz większą grozą.

– Od jakiegoś czasu nie układa się między nami i oboje jakby tego nie zauważamy.

Miał rację.

– Wiem – szepnęła. – I nie mam pomysłu, co z tym zrobić.

– Ja też nie – odparł. – Ale chcę, żebyś wiedziała, że mam nową koleżankę; tylko koleżankę. Poznałem ją na siłowni w zeszłym miesiącu i czuję między nami więź.

Żołądek podszedł jej do gardła, a powieki zapiekły od wzbierających łez.

– I?

– Możesz przeważać szalę na którąkolwiek ze stron, Becs. Możesz wrócić do domu,

a wtedy zaczniemy pracować nad naszym związkiem. Spróbujemy rozwiązać nasze problemy.

Albo... albo nie – dodał.

Zamknęła oczy.

– Nie wiem, co mam na to wszystko powiedzieć, Michaelu – odparła, po czym odwiesiła słuchawkę, tak jak Joy.

Wyobrażała ją sobie siedzącą na łóżku z wielkim ciężarem na piersi, takim samym, jaki teraz ją uciskał; przytłoczoną wszystkim i niczym zarazem.

Kiedy Rebecca dotarła do restauracyjki Wharf's o dziewiątej rano, Ellie właśnie flirtowała z kelnerem. Jej proste jak struna ciemne włosy były zebrane w kucyk, a intensywnie zielone oczy zdobił przydymiony wieczorowy makijaż. Victoria i Victor siedzieli głęboko pogrążeni w rozmowie, z krzesłami zwróconymi do siebie. Victor wciąż muskał dłonią końcówki pięknych rudych pukli Victorii i spoglądał na nią z taką intensywnością, jakby nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy. Maggie zaś, również dość mocno umalowana – skrywająca delikatne rysy pod zbyt grubą warstwą tuszu do rzęs i różowo-brązową szminką – wyglądała na podenerwowaną. Zaciskała mocno dłonie wokół kubka z kawą. Ona oraz Clinton Marlboro Man NIE siedzieli obok siebie, mimo że zeszłego wieczoru tańczyli pępek w pępek. Clinton, w kowbojskim kapeluszu, zdawał się pochłonięty menu. Joy natomiast – z jasnymi włosami okiełznanymi czerwoną zamszową opaską, bez śladu makijażu na pięknej twarzy – spoglądała na mapkę Starego Portu.

Serce Rebekki zabiło mocniej na jej widok.

Gdzieś czytała, że bliźniaki rozdzielone zaraz po urodzeniu i tak mają później wiele wspólnych cech – od, powiedzmy, wybierania tej samej marki szamponu po wstręt do owoców morza.

„Ciekawe, czy Joy używa Pantene Pro-V, czy uwielbia kanapki z tuńczykiem i ogórkiem, czy czerwony to jej ulubiony kolor albo czy płacze naikliwych filmach – zastanawiała się Rebecca – i czy jest jedyną oprócz mnie osobą na świecie, której podobał się film *Ulotna nadzieja*.”

Czy powiedziała by Michaelowi coś innego przez telefon? – zakołatało jej w głowie.

Jednak nie były bliźniaczkami i miały tylko wspólnego ojca. A Rebecca sporo odziedziczyła po matce.

– Spójrzcie tylko, kto wrócił! – ogłosiła Victoria na jej widok.

Wszyscy zaczęli bić brawo i dziewczyna od razu poczuła się trochę lepiej. Najwyraźniej Joy powiedziała wszystkim, że Rebecca sama wczoraj zaproponowała, iż odwiezie podenerwowanego Jeda do domu, żeby nie musiał prowadzić w takim stanie.

Victor zerwał się z miejsca i przysunął dla niej krzesło z sąsiedniego stolika, wciskając je pomiędzy roztrzęsioną Maggie i Joy.

Gdy tylko Rebecca usiadła, Maggie szepnęła jej do ucha:

– Ten palant pseudokowboj oznajmił mi, kiedy miałam sukienkę podwinętą prawie po pachy, że nie szuka niczego poważnego i przez sympatię do mnie postanowił od razu mi o tym powiedzieć. Kutas.

„Och!”

– Tak mi przykro – szepnęła Rebecca w odpowiedzi.

Maggie przysunęła się jeszcze bliżej.

– Choć potem naprawdę mnie kusilo, żeby zapukać w nocy do jego drzwi i powiedzieć: „Wiesz co, palancie? Ja też nie szukam niczego poważnego. Mój były mąż hajta się za dwanaście godzin, jestem zrozpaczona i potrzebuję tylko dobrego, ostrego seksu”.

Rebecca uściśnęła jej dłoń.

– Ale potem poczułabym się tylko gorzej, prawda? – dodała ze łzami w oczach.

Rebecca skinęła głową i rzekła prawie bezgłośnie:

– Bardzo prawdopodobne. Tak naprawdę nie chodzi ci o niego, ale o znalezienie jakiegoś sensu w życiu, o duchowe pokrzepienie. Nie szukasz kolejnego mężczyzny, który ci powie, że mu nie zależy.

– No właśnie! – odparła, ożywiając się nieco. – Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak bardzo się przejmuję tą przebiegłą gnidą, Clintonem. – Zerknęła na drugi koniec stołu, gdzie mężczyzna właśnie pytał kelnera o sos holenderski. – Przecież znam ten typ. Każdy go zna. Ale mimo to całą noc zalewałam się łzami.

– Tu nie chodzi o niego – powtórzyła Rebecca.

W tym momencie pomiędzy nią i Maggie stanął kelner. Rebecca poprosiła o omlet z serem.

– I jeszcze kawę. DWIE filiżanki. – Potem zaś, kiedy Maggie zaczęła zamawiać śniadanie, szepnęła do Joy: – Dziękuję, że zgodziłaś się przyjąć mnie z powrotem.

Dziewczyna skinęła tylko głową i powiedziała, że w pensjonacie zwolniła się jedyńka, więc zarezerwowała ją dla Rebekki. Następnie zaczęła przedstawiać plan na pierwszą połowę dnia, na który składało się zwiedzanie Starego Portu i innych dzielnic Portland, takich jak Munjoy Hill i West End.

Zatem to by było tyle, jeśli chodzi o nocne rozmowy w jednym pokoju. Rebecca oczami wyobraźni widziała już, jak siedzą naprzeciw siebie po turecku na wąskich łózkach i rozmawiają w nieskończoność o swoich gustach i preferencjach. Co chwila rozlegałby się okrzyk: „Ja też!”, a potem Joy sama zapytałaby o ojca.

„Czas” – przypomniała sobie, wspominając twarz Theo Grangera, jego brązowe oczy i uroczy dołeczek.

Kiedy wyszli z lokalu, z przyjemnością odetchnęła świeżym powietrzem. Zadziwił ją rozmiar mew, które przelatywały nad kołyszącymi się w porcie łodziami.

– Mam ochotę wepchnąć tego dupka do wody – szepnęła do niej Maggie, gdy wzrok Clintona omiótł zgrabną panią sunącą wzdłuż Commercial Street.

– Pewnie zaraz sam wpadnie – stwierdziła Rebecca, bo mężczyzna niebezpiecznie zbliżył się do brzegu, wgapiiony w duży biust innej pani.

Joy wręczyła wszystkim ulotki portlandzkiego obserwatorium i mapki poszczególnych dzielnic. Clinton zapytał Victora, czy chce spróbować kupić bilety na mecz bejsbolowy lokalnych Sea Dogsów, ale Victor zacisnął rękę wokół ramienia Victorii i oznajmił, że ma już na dziś inne plany, a po chwili dodał:

– A może i na resztę życia.

Victoria niemal mruczała z zadowolenia, gdy się odwrócili i skierowali w stronę mola.

– Bądźcie o trzynastej w holu pensjonatu, jeśli chcecie iść z nami na obiad! – zawołała za nimi Joy.

Clinton podszedł do Ellie, próbując wziąć ją pod ramię.

– Idziemy, droga pani? – rzekł.

W odpowiedzi Ellie zdzieliła go po ramieniu.

– Twoja strata, maleńka – dodał.

– Jesteś zbyt pewny siebie – odcięła się Ellie.

– Może po prostu już pójdziemy? – burknęła Maggie.

– Clinton, spotykamy się w holu hotelowym o pierwszej, dobrze? – oznajmiła Joy takim tonem, jakby w rzeczywistości mówiła: „Spadaj, palancie!”.

Clinton uniósł brew.

– Nie idziecie chyba planować mojego morderstwa, co? – zapytał, a potem zaśmiał się głośno.

– Ktoś tu został zraniony – szepnęła Joy do Clintona.

Mężczyzna zerknął na Maggie, po czym zdjął kapelusz.

– Maggie, posłuchaj, ja tylko chciałem być uczciwy. Zanim do czegośkolwiek doszło, zanim posunęlibyśmy się za daleko. Rozumiesz?

Maggie przygryzła wargę i wbiła wzrok w kocie łby.

– Czy powinienem był przespać się z tobą, a potem zostawić cię w środku nocy? A rano powiedzieć ci, że ten seks nic nie znaczył?

– Nie spaliśmy ze sobą – mruknęła. – Och, nieważne. Zapomnij.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś na mnie obrażona – powiedział. – Dlaczego nagle jestem złym człowiekiem? Dlatego że chciałem być szczerzy? W NAJWŁAŚCIWSZYM momencie powiedziałem ci, że nie powinnaś robić sobie nadziei.

– Najwłaściwszym? – zachnęła się Maggie, podnosząc głos. – Właściwy moment był wtedy, kiedy byliśmy jeszcze w barze. Kiedy mi mówiłeś, jaka jestem piękna. Kiedy nie potrafiłeś zrozumieć, dlaczego mąż pozwolił mi się wymknąć. – Wskazała na niego palcem. – Albo wtedy, kiedy mi mówiłeś, że mógłbyś patrzeć w moje oczy całą wieczność. Może to byłby właściwy

moment?!

– Złotko, wypilem trzy margarity.

Maggie z załzawionymi oczami odwróciła głowę i skrzyżowała ręce na piersi. Rebecca objęła ją ramieniem. Przez ostatnie dwa lata nie tęskniła za randkowaniem. Zapomniała już, z jakimi nieprzyjemnościami może się wiązać.

Joy podeszła do Clintona i odciągnęła go na stronę. Po kilku chwilach oboje wrócili do grupy.

– Joy ma rację – zwrócił się do kobiety. – Ktoś został zraniony i tylko to się liczy. Bardzo przepraszam, że sprawiłem ci przykrość, Maggie. Sam nie wiem. Może po prostu nie jesteś w moim typie albo wydajesz się zbyt zdesperowana.

Maggie zdjęła but i cisnęła nim w Clintona.

– Co ty wyprawiasz?! Oszalałaś?! – zawołał, odskakując. – Widziałaś to? – zwrócił się do Joy. – Chryste, myślę, że zasłużyłem na dziesięć procent zniżki.

Joy podniosła but i oddała go właścicielce.

– No dobrze, wprowadzam zakaz rzucania butami. I obrzucania się wyzwiskami. Przez moment coś między wami zaiskrzyło, ale nie wyszło. I tak to zostawmy, okej?

– Ja już to zostawiłam – prychnęła Maggie, mrużąc powieki i patrząc w stronę Clintona. Clinton przewrócił oczami.

– Kobiety – rzekł i odszedł spokojnym krokiem.

– Czy często zdarzają się podobne sytuacje? – zapytała Ellie. – To moja pierwsza wycieczka busem miłości – wyjaśniła Rebecce.

Joy zdjęła opaskę i przeczesała włosy dłońmi.

– Czasami. Randkowanie bywa trudniejsze od małżeństwa.

– Może powinnam była spotykać się z Timem dłużej niż trzy miesiące, zanim za niego wyszłam – stwierdziła Ellie.

I wtedy, tak po prostu, rozległy się salwy śmiechu. Kobiety, łapiąc się za brzuchy, opowiadały, ile trwał czas zalotów i zaręczyn w ich związkach, co szybko sprowadziło je na temat fatalnych prezentów ślubnych. Maggie wygrała. Jej nowi teściowie dali jej ręcznie zapisaną listę rad, jak być dobrą żoną dla ich synalka, zawierającą między innymi przepis na jego ulubiony stek i zalecenia, z czym go podawać – do kolacji lubił jedno warzywo zielone ORAZ jedno okopowe. Przepadał za tymi okropnymi słodkimi bułeczkami i wołał nosić klasyczne białe slipki, a nie bokserki reklamowane ostatnio na każdym billboardzie. Maggie powinna uważać i pod żadnym pozorem ich nie krochmalić.

– Mój eks ciągle je nosił i w ogóle nie przejmował się bebeczem, który nad nimi wystawał – prychnęła. – Niezwykle seksownie.

Ellie tak bardzo się śmiała, że potknęła się i upadła na tyłek.

– A czy przyrządzałaś mu ten stek jak należy? – zapytała, gdy Rebecca pomagała jej wstać.

Maggie się rozpromieniła.

– Zwykle go przypalałam. I specjalnie prałam jego slipki w gorącej wodzie, żeby się skurczyły.

Wesoło rozmawiając, ku wyraźnej uldze Joy, kobiety skierowały się ku Exchange Street – ulicy obfitującej w butik i inne ciekawe sklepy. Po przeczytaniu testamentu ojca Rebecca wiedziała, że ma – a raczej wkrótce będzie miała – konto bankowe pełne pieniędzy oraz nedorzeczne inwestycje, z których same odsetki zdołałyby pokryć z nawiązką jej miesięczne wydatki. Jednak tak bardzo obkupiła się we Freeport, że teraz zadowolili ją dwa patyczki jaśminowego kadzidełka oraz mały ceramiczny stojaczek do kompletu.

Maggie w dość drogim butiku przymierzyła zmysłową, obcisłą czarną sukienkę bez rękawów oraz czarne szpilki z odkrytymi noskami i zaniósła wszystko do kasy, żeby zapłacić.

– Nie stać mnie ani na jedno, ani na drugie, ale chcę pokazać temu pseudokowbojowi, że nie dostanie nawet kęsa tego tortu – oznajmiła, wyciągając portfel. – Idiota! Fiut! Debil!

– W porządku? – zapytała Joy i pogładziła ją po ramieniu.

– Chyba tak – odparła. – Tylko dlaczego to wszystko jest takie trudne? Ktoś ci się podoba,

ty też się mu podobasz, a potem... – Westchnęła. – Wiem, że chciał być szczery. Mógłby mnie wykorzystać, a nad ranem okazać się jeszcze większym draniem. Ale dlaczego to tak bardzo boli? – Zalała się łzami, po czym powiedziała sprzedawczyni, że wcale jej się nie podoba ta „głupia sukienka”. Pozostałe panie otoczyły Maggie i wyprowadziły ją ze sklepu.

Joy objęła ją ramieniem i zaproponowała wyprawę do pobliskiego salonu Soakology, gdzie serwowano tysiące różnego rodzaju herbat i ciasteczek, a oprócz tego można było zamówić sobie naprawdę cudowny masaż stóp.

– Świetnie, potrzebuję masażu. I bardzo dużo ciastek – oznajmiła Maggie.

Dziesięć minut później wszystkie siedziały już obok siebie w wygodnych fotelach do pedikiuru i moczyły stopy w rozkosznie gorącej, spienionej wodzie o zapachu lawendy. Rebecca odchyliła się na oparciu, wybrała „głębokie wibracje” i poczuła delikatny, pulsujący ucisk na plecach.

– Tu jest jak w niebie – oznajmiła. – Mam wrażenie, jakby wszystkie problemy, które do tej pory mi ciążyły, wleciały nagle wysoko nad głowę.

– Ja też czuję się już trochę lepiej – przyznała Maggie. – Tylko że wszyscy wokół dobierają się w pary, znajdują z kimś wspólny język; wszyscy oprócz mnie. Zawsze tak jest. I zawsze tak było. W szkole średniej, na studiach, na głupich „szybkich randkach”. Po prostu zawsze czuję się jak ktoś, kogo nikt nie wybrał. – Odchyliła głowę. – Świetnie. A teraz jeszcze jęczę jak marudny bachor.

– Jeśli cię to pocieszy – odezwała się Rebecca – Jed mi wyznał, że się w tobie podkochuje. Maggie się uśmiechnęła.

– Naprawdę? To miłe. Chyba. – Wybuchła płaczem. – Ale widzicie? Jeśli już w końcu ktoś mnie wybierze, zawsze są to tacy Jedowie. Wiem, że to okrutne, ale tak jest za każdym razem. Czasem mi się wydaje, że wszyscy oprócz mnie mają szczęście w życiu.

Rebecca uściśnęła jej dłoń.

– W zeszłym tygodniu zmarł mój tata, a wczoraj wieczorem mój facet powiedział mi przez telefon, że może się zainteresować kim innym, jeśli się nie poprawię i nie dopasuję do jego wizji odpowiedniej partnerki.

Pozostałe panie wychyliły się z foteli i spojrzały na nią.

– Naprawdę? – Maggie rozdziawiła buzię. – To dopiero dupek.

Ellie kopnęła bąblującą wodę.

– Mąż powiedział mi, że powodem, dla którego MUSI się widywać się z innymi kobietami, być może jest to, że nie zgadzam się na seks analny.

Rebecca wypuła herbatę, a Maggie i Ellie wybuchły tak niepohamowanym śmiechem, że Ellie niemal spadła z fotela.

– Sama nie wiem – rzekła Maggie. – Skoro nawet Joy i Harry zmagają się z problemami, może nie ma nadziei dla żadnej pary. Wy zawsze byliście tacy niezachwiani.

– Mogłabyś uchylić nam rąbka tajemnicy i opowiedzieć, co takiego między wami zaszło? – zapytała Ellie.

Joy wlepiała wzrok w sufit.

– My po prostu...

– Nie chciałam być wścibska, Joy – dodała. – Zapomnij, że w ogóle coś powiedziałam.

Chyba czuję się mniej wyalienowana i winna, kiedy mam świadomość, że inne pary też napotykają problemy.

Joy sięgnęła po herbatę, upiła spory łyk, po czym objęła dłońmi filigranową filiżankę.

– Ja... – Odstawiła herbatę. – Dlaczego to dla mnie takie trudne? Nie cierpię, kiedy Harry ma rację.

– Odnosnie do czego? – podpytywała delikatnie Ellie.

„Jeśli odchyłę się mocno w fotelu, tak żeby Joy zapomniała o moim istnieniu, może odpowie na to pytanie” – przemknęło Rebecce przez myśl. Wstrzymała nawet oddech.

– No, cóż... – zaczęła Joy. – Eee... On... Cholera – rzekła, kopiąc wodę. – Powiedział mi, że jestem oziębła emocjonalnie. To jego dokładne słowa. Miał już tego dosyć, dlatego przeprowadził

się na dół.

– Czy on jest dupkiem? – wyrwało się Rebecce, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Joy pokręciła głową.

– Tylko czasami. W większości przypadków ma rację. Jednak nie w kwestii Rexa. O to Harry ma do mnie największe pretensje. Chce, żebym obchodziła się z nim tak, jak obchodzę się z Rexem.

– Chce, żebyś traktowała go jak trzylatka? – zapytała Maggie z diabolicznym uśmiechem.

Rebecca poczuła się znacznie lepiej ze świadomością, że nawet mąż Joy miał problemy z przebicciem się przez jej skorupę.

„A więc nie chodzi o mnie – myślała. – No dobrze, chodzi o mnie, ale Joy to twardy orzech do zgryzienia. Koniec i kropka”.

Mimo wszystko Joy uchyliła przed Rebeccą drzwi i dziewczyna miała zamiar to wykorzystać.

Tego wieczoru Joy, Rebecca, Ellie oraz Maggie wybrały się na kolację do słynnej knajpki Lobster Shack w pobliskim Cape Elizabeth. Victor i Victoria – wymawianie ich imion obok siebie nadal nie traciło uroku – wykręcili się od obiadu (uprawiali seks w pokoju Victora) i kolacji. Clinton zadzwonił do Joy z informacją, że kogoś poznał i nie dołączy do grupy ani na obiad, ani na kolację, ale w niedzielę będzie chciał się zabrać z nimi minibusem do domu i nie miałyby nic przeciwko, gdyby Joy zwróciła mu połowę opłaty za wyjazd, ponieważ „zrobiło się dość nieprzyjemnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę przemoc z butami”. Joy zapewniła go, że wypisze mu czek. Maggie zaś stwierdziła, że powinien dopłacić dziesięć procent za to, że jest skończonym dupkiem.

Po kolacji – po najlepszym homarze, jakiego Rebecca jadła – kobiety udały się na zwiedzanie przepięknej latarni morskiej górującej nad skalistym zboczem. Wtedy Rebecca zrozumiała, dlaczego wszyscy wokół nosili polary. Wiatr świszczwał niemiłosiernie, jednak jej nie było zimno. Czowała ogromny przyływ energii – wielka, ciemnoniebieska tafla oceanu i zupełny brak hałasu kołty jej nerwy niczym lawendowy masaż stóp. Od przyjazdu do Maine ani razu nie słyszała odgłosu klaksonu. Nic dziwnego, że szylt wjazdowy głosił, iż takie powinno być życie.

– Tęsknię za Rexem – wyznała Joy, spoglądając na ocean i obejmując ramionami delikatną sylwetkę.

– Czy Harry dobrze się nim zajmuje? – zapytała Rebecca, próbując odgarnąć włosy z twarzy.

Joy skinęła głową.

– Wiem, że jest w dobrych rękach i już przywykłam do tego, że wyjeżdżam z domu na weekendy, ale teraz to co innego. Odkąd w pewnym sensie się rozeszliśmy, nie zachowujemy się jak rodzina. Albo ja biorę Rexa, albo Harry, ale nic nie robimy wspólnie. Tak jest od czasu przeprowadzki Harry’ego na dół. To mnie dobija. Pragnę, żeby Rex dorastał ze szczęśliwymi rodzicami.

– Ja mam tak samo – wtrąciła Maggie. – Wychowywałam się bez ojca; po rozwodzie wyjechał na drugi koniec kontynentu. Dlatego zawsze marzyłam, żeby moja rodzina się nie rozpadła, kiedy już wyjdę za mąż i będę miała dzieci; żeby moje dzieci nie musiały przechodzić przez cały ten stres i ból rozłąki. Cóż, marzenie przyszło jak bańka mydlana. Wciąż nie mogę sobie tego wybaczyć. – Nagle rzuciła do Joy: – Och, Boże, przepraszam. Nie chciałam popsuć ci humoru.

– Nie ma sprawy – odezwała się dziewczyna. – Harry wciąż mieszka w piwnicy. To daje mi nadzieję.

Na moment zapadła cisza, a potem Ellie zwróciła się do Rebecki:

– Czy twoi rodzice wciąż są małżeństwem? Och! Nie! Bardzo cię przepraszam. Przecież mówiłaś, że twój tata niedawno zmarł. Znowu gafa.

Rebecca uściśnęła jej dłoń.

– Byli szczęśliwym małżeństwem aż do śmierci mojej mamy. Odeszła, kiedy miałam dziewiętnaście lat.

„Szczęśliwym małżeństwem”. Rebecca zrozumiała, jak automatycznie wypowiedziała te



słowa, jak głęboko były w niej zakorzenione. „Któż mógłby wiedzieć, jak szczęśliwi naprawdę byli rodzice? – myślała. – Jak szczęśliwy jest ktokolwiek z nas? Pozory mylą”.

– O mój Boże! – wyrwało się Ellie. – Jesteś sierotą!

Rebecca wpatrywała się w tysiące migoczących gwiazd.

– Na to wygląda.

– Co wydaje ci się gorsze? – zapytała Joy, nie odrywając oczu od oceanu. – Nigdy nie znać ojca, nawet go nie poznać, czy kochać go całe życie, a potem stracić?

Rebecca wpatrywała się w Joy niepewna jej intencji.

„Co próbowała przez to powiedzieć? – zastanawiała się. – Przecież to nie zawody”.

– Joy, to trochę niedelikatne z twojej strony – szepnęła Maggie, zerkając kątem oka na Rebecce.

– Mam tego samego ojca – oznajmiła Joy.

Ponieważ w Maine panowała cisza, pełne zdumienia westchnienia pań odbiły się w uszach Rebekki głośnym echem.

– Naprawdę? – zapytała Ellie, zwracając się do niej. – Tata, którego straciłaś, to ten sam tata, którego Joy nigdy nie poznała? – Patrzyła to na Rebecce, to na Joy.

A więc Joy mówiła już wcześniej Ellie i Maggie o biologicznym ojcu – czyli myślała o nim. A te dwie kobiety były nie tylko klientkami jej firmy – również przyjaciółkami.

Rebecca skinęła głową.

– Ojciec powiedział mi o tym dzień przed swoją śmiercią. – Odetchnęła głęboko. – Miałam na sobie idiotyczną suknię ślubną, a on tak po prostu wypalił: „Było jeszcze jedno dziecko”. Do końca życia nie zapomnę tej sytuacji, tych słów.

– Rety – powiedziała Ellie. – A dlaczego miałaś na sobie suknię ślubną? Jesteś zaręczona? Coś przeoczyłam?

– Mama Michaela bardzo mnie lubi – wyjaśniła Rebecca. – Uważa, że nadszedł czas, żebyśmy się zaręczyli, więc dała mi sukienkę dosłownie chwilę przed tym, jak poszłam do ojca do szpitala. Poprosił mnie, żebym ją przymierzyła, bo nie będzie miał innej okazji, by zobaczyć mnie w bieli.

– To takie smutne! – zawołała.

Rebecca przygryzła wargę.

– Chwilę później oznajmił mi, że mam przyrodnią siostrę, która mieszka w Maine.

– Joy – dokończyła Ellie. – O rety, rety.

– Twój ojciec musiał naprawdę nie lubić twojego faceta – stwierdziła Maggie.

Rebecca odwróciła się do niej.

– Co masz na myśli?

– No, bo stoisz przed nim w SUKNI ŚLUBNEJ – wyjaśniła – a chwilę później on mówi ci, że masz siostrę, o której istnieniu nie wiedziałaś? Zupełnie tak, jakby w tamtej chwili czuł potrzebę poinformowania cię, że nie zostawia cię samej na świecie, że nie musisz wychodzić za swojego chłopaka tylko po to, żeby kogoś mieć.

„Ha! Może”.

A może to tylko zbieg okoliczności. Ojciec wiedział, że umiera. Każde słowo kosztowało go wiele trudu. Musiał jej to powiedzieć właśnie wtedy, bo inaczej mógł w ogóle nie zdążyć. Nie chciał, żeby dowiedziała się o wszystkim, w momencie gdy odziedziczy zawartość skrytki bankowej. Powiedział jej to osobiście. A to coś znaczyło.

– Lubił twojego chłopaka? – zaciekała się Ellie.

Przed oczami stało jej wspomnienie ojca przewracającego oczami na Michaela podczas swojej kolacji urodzinowej dwa tygodnie temu. Tata opowiedział bardzo zabawny żart polityczny wyśmiewający republikanów, a Michael, który lubił mawiać, że jest liberalny społecznie (co nie było do końca prawdą), a konserwatywny fiskalnie, śmiertelnie się obraził. Często zdarzały się podobne sytuacje.

– Twój ojciec musi zacząć poważniej traktować X, Y czy Z – mówił.

– Mój ojciec jest świetnym prawnikiem, ma swoją kancelarię – odpowiadała Rebecca. –

Wie, co to znaczy powaga sytuacji.

- To cud, że jego kancelaria wciąż jakoś przędzie, skoro ma taki sposób myślenia.
- Czy możemy nie obrażać mojego ojca, Michaelu?
- Czasem, Rebecca, trzeba po prostu powiedzieć prawdę.

Ostatnim razem, kiedy ojciec usłyszał słowa „Jest, jak jest”, wychodzące z ust Michaela, uczynił gest, jakby wbijał sobie nóż w serce. Nienawidził tego powiedzenia i zakazał używania go w swoim biurze.

– Nie zawsze jest, jak jest – sarkał. – Świat ma wiele stron. Jeśli uda się wpłynąć nawet na jednego prawnika, sytuacja może się zmienić, może stać się inna.

Tą sytuacją może być ciąża. Albo dziecko. Mała, dorastająca istotka. Rebecca zerknęła na Joy. Dwadzieścia sześć lat temu jej ojciec zmienił „jest, jak jest” – dostosował sytuację do własnych potrzeb. Zacisnęła mocno powieki. Nie podobało jej się, kiedy w myślach instynktownie broniła ojca, nawet na długo po tym, jak Michael skończył przedstawiać swoje argumenty (bo albo szedł spać, albo oddalił się naburmuszony, rzucając na odchodnym: „Ale ty jesteś uparta”), a potem okazywało się, że ojciec nie do końca się mylił. Albo nawet miał rację.

Rebecca kopnęła drobne kamyczki leżące na brzegu drewnianej balustrady.

– Ojciec lubił Michaela, a przynajmniej doceniał jego szczerość i poczucie odpowiedzialności. Może uważał go za nieco sztywnego. Twierdził, że przydałoby mu się większe poczucie humoru.

– A ja myślę, że Maggie ma rację – stwierdziła Ellie. – Twój tata chciał, żebyś wiedziała, że nie musisz wychodzić za Michaela, że nie jesteś sama na świecie. To takie wzruszające.

– Nie z mojej perspektywy – szepnęła Joy.

Kobiety jakby zapomniały o jej roli w całej sytuacji.

– Ale teraz masz siostrę – oznajmiła Ellie. – Zmieniłaś się z jedynaczki w jedną z sióstr.

– Ja też – wtrąciła Rebecca.

– Boże, dałabym wszystko, żeby mieć siostrę – rzekła Maggie. – Nie byłabym taką wariatką, gdybym miała siostrę, której mogłabym się wygadać.

– Tak naprawdę nie jesteśmy siostrami – stwierdziła Joy. – Mamy tylko tego samego biologicznego ojca, mężczyznę, którego nigdy nie poznałam, a który teraz nie żyje. To nie czyni z nas sióstr. Mamy tylko podobne DNA.

– A właśnie że jesteście siostrami – szepnęła Ellie Rebecce do ucha.

Joy wymówiła się od kawy, drinka czy herbaty, a nawet od gry w scrabble w salonie pensjonatu. Ellie i Maggie zrezygnowały z dalszego namawiania jej i tylko szepnęły Rebecce do ucha:

– Odmieni jej się.

Tak więc panie wróciły do hoteliku i z życzeniami spokojnej nocy (Rebecca i Joy posłały sobie niezręczne uśmiechy) rozeszły się po pokojach. Potem do Rebekki zadzwoniła Charlotte, umierając z ciekawości, jak wygląda wyprawa przyjaciółki, więc Rebecca zdała jej pełną relację.

– A więc budujecie więź! – zawołała Charlotte podekscytowana. – To wspaniale, Rebecca. Rozumiem, dlaczego chcesz zostać na północy trochę dłużej. Nie słuchaj Michaela. Rób, co uważasz za słuszne, dobrze?

– Dobrze. Dziękuję, Charlotte.

Po rozmowie Rebecca przebrała się w spodnie dresowe i bluzkę z długimi rękawami, zebrała włosy w kucyk i wskoczyła pod grubą kołdrę. Przez chwilę spoglądała na księżyc, którego srebrna poświata przenikała do wnętrza przez cienkie białe firanki. Nie mogła zasnąć, więc zaczęła liczyć owce, ale wszystkie – małe, białe, puchate, rodem z kreskówek – miały twarz Joy. Zanim zdążyła się zorientować, naliczyła już sześćset trzydzieści dwie brązowookie owieczki z długimi, jasnymi włosami.

Podczas późnego śniadania Joy ogłosiła, że jej życie prywatne nie będzie więcej tematem rozmów, że zamierza przybrać w pełni profesjonalną postawę i ma nadzieję, że wszyscy to uszanują. Rebecca dostrzegła kątem oka uniesioną brew Maggie, która zdawała się mówić: „Taaa, jasne, profesjonalną – czyli oziębłą emocjonalnie”, i uśmiechnęła się do siebie. Joy pochłonęła

omlet w rekordowym czasie, po czym przedstawiła plan dnia. Do wyboru były joga, obrzędy religijne – jeśli ktoś sobie tego życzył, oraz wystawa Edwarda Hoppera w portlandzkim muzeum sztuki. Następnie Joy przewidziała czas wolny i popołudniową zbiórkę w hotelu na wymeldowanie i powrót do domu.

Victor i Victoria wybrali swój pokój i kolejną dawkę łózkowych igraszek. Clinton w ogóle się nie pojawił. Joy oznajmiła, że wybiera się do kościoła.

– Hopper czy joga? – zapytała Ellie Rebecce i Maggie.

– Joga mnie stresuje – odparła Maggie.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Mnie też.

Kupując plakat z jedną z ulubionych reprodukcji Hoppera, zdała sobie sprawę, że nie wzięła pod uwagę – jak zwykle zresztą – czy będzie pasował do czarnej skóry i chromu w mieszkaniu Michaela.

Ponieważ Rebecca przyjechała do Portland wypożyczonym samochodem, musiała się pożegnać z grupą już w pensjonacie. Ze styropianowymi kubkami w jednej dłoni i bagażami w drugiej wszyscy stali na zewnątrz, w przepięknym wrześnieowym słońcu, owiewani rozkosznie ciepłą morską bryzą. Victor i Victoria, nie będąc w stanie oderwać od siebie rąk, jednocześnie objęli Rebecce. Clinton wystawił głowę zza lokalnej gazety i rzucił szybkie: „Och, to pa”. Maggie i Ellie uściskały ją z całych sił.

– No to... – rzekła Rebecca do Joy.

– No to... – odparła Joy.

– Więc... – zaczęła Rebecca, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć. „Co teraz?”

– No dobrze, zbieramy się – ogłosiła Joy. Po raz ostatni zerknęła na Rebecce i poprowadziła grupę w stronę parkingu.

Rebecca zostawiła samochód gdzie indziej – za rogiem, więc to było ostateczne pożegnanie.

Ellie odwróciła się i pomachała jej z oddali. Potem Maggie zrobiła to samo. Rebecca niemal wybuchła płaczem. Chciała biec za nimi, chciała z nimi zostać – w tym ich dużym, skomplikowanym kręgu. Przyglądała się przez chwilę, jak blond kucyk Joy kołysze się przy każdym kroku.

Przez jakiś czas stała samotnie na Commercial Street. U jej stóp wylądowała na moment wielka biała mewa i zaczęła pochłaniać rozrzucony przez kogoś popcorn. Kiedy ostatnie ziarenko zniknęło, kobieta musiała spojrzeć prawdzie w oczy – nie miała już powodu, żeby tak stać i wpatrywać się w ziemię.

„Co teraz?”

Postanowiła zająć umysł czymś konkretnym. Odebrała samochód z parkingu, zapłaciła niedorzecznie niską opłatę parkingową i zgodnie ze wskazówkami pracownika skierowała się na autostradę I-295. Była niedziela, trzecia po południu. Gdyby pojechała prosto do domu, dotarłaby do Nowego Jorku koło dziesiątej – przy założeniu, że napotka niewielkie korki. Mogłaby „przeważać szalę na swoją stronę” w związku z Michaeliem. Mogłaby się porządnie wyspać i punkt dziewiąta być w kancelarii Whitman, Goldberg & Whitman. Mogłaby to robić do końca życia – dryfować z prądem, zamiast sama sterować. Nie wyobrażała sobie powrotu do pracy – do hałasu, korków, ośmiomilionowej metropolii. Do świata, w którym już nie miała ojca.

„Twój tata chciał, żebyś wiedziała, że nie musisz wychodzić za Michaela, że nie jesteś sama na świecie...”

Na światłach mogła skrócić w 295 na południe, w stronę Nowego Jorku, albo w 295 na północ, w stronę Wiscasset.

Światło zmieniło się na zielone, ale ona nie ruszyła. Zerknęła we wsteczne lusterko i ujrzała za sobą samochód. Czekał cierpliwie. Żadnego trąbienia. W Nowym Jorku wszyscy w sznurku już dawno naciskaliby klaksony. W Maine człowiek mógł się zastanowić – bez pośpiechu i ponagleń.

To tutaj mieszkała jej przyrodnia SIOSTRA.

Rebecca włączyła lewy kierunkowskaz. Rozległo się kojące tykanie i zamrugało zielone światełko. Ruszyła na północ.



Wspaniała woń pieczonego ciasta – czyżby placka z dynią? – oraz przerywany odgłos piły mechanicznej powitały Rebecę, kiedy wchodziła do lokalu Marianny. Po weekendzie spędzonym z dala od tego miejsca żółta willa wyglądała przyjemnie znajomo – wydawała się niemal domem. Rebecca wiedziała, które z krętych korytarzy prowadzą do biblioteczki, które do sali telewizyjnej, a które do ogromnej rustykalnej kuchni – bez śladu granitu czy stali nierdzewnej – oraz na imponujące podwórko na tyłach domu – z hamakami, polnymi kwiatami i budkami dla ptaków.

Podążyła za zapachem dyni i nagle do jej uszu zaczęły dobiegać urywki piosenki Beyoncé. Ściany wąskiego korytarza prowadzącego do kuchni pokrywały od podłogi aż po sufit zdjęcia ludzi, krajobrazów i zwierząt, oprawione w ramki najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Pośród nich znajdowały się również malunki i rysunki dzieci. Ściana przy schodach w jej domu rodzinnym wyglądała podobnie – rodzice wieszali na niej zdjęcia oraz oryginalne dzieła Rebekki Strand.

Marianna, w dzinsach i jaskraworóżowym fartuszk z wizerunkiem maleńkiego łosia, z lśniąco srebrnymi włosami upiętymi w niski kok nad karkiem, stała przy kuchni i mieszała coś długą, drewnianą łyżką w ogromnym garze. Poruszała biodrami w rytm muzyki. Na wykafelkowanym blacie stały dwie tace jej słynnych *whoopie pies* – pysznych okrągłych ciasteczek przekładanych pianką. Rebecca przypomniała sobie, że widziała je w pizzerii Mama's, zapakowane w celofan z nalepką z napisem: „Whoopie pies Marianny”, przewiązane czerwoną wstążką w białe groszki.

Pomysł na biznes gastronomiczny w małej miejscowości w Maine wydał się jej nagle nie tylko uroczy, ale całkiem realny. Wprawdzie nie miała pojęcia o pieczeniu, ale czasem zdarzało jej się kroić kupne mrożone ciasto na ciastka i piec je dokładnie tyle czasu, ile sugerowała instrukcja na opakowaniu. Potem jednak i tak wychodziły jej jednocześnie niewypieczone i spalone.

– Och, Rebecca! Nie słyszałam, jak wchodziłaś. Potrzebuję degustatora. Pomożesz mi? Pracuję nad nowym nadzieniem. – Marianna zanurzyła łyżkę w jednym z wielu garnków na kuchni, po czym wyciągnęła ją w stronę Rebekki. – Co sądzisz o tym?

– Wiedziałam, że czuję dynię – rzekła Rebecca. – Mmmm... Cudowne. Wprost przepyszne.

Nagle uśmiech zamarł na jej twarzy. Zbliżało się Święto Dziękczynienia. Nigdy nie przywykła do obchodzenia go bez mamy. Na widok gotowego indyka na stole zbierało jej się na łyzy. Kęs nadzienia, nawet jeśli nie było przyrządzone według jej przepisu, czyli z dodatkiem kiełbasy i bekonu, przypominał o tym, że już jej nie ma i nigdy nie będzie. A w tym roku nie będzie i taty.

Tamtego dnia, kiedy odwiedziła ją mama Michaela i podarowała jej suknię ślubną, powiedziała też, że z przyjemnością przygotuje świąteczną kolację w ich mieszkaniu, a potem zapakuje wszystko i zawiezie do pokoju szpitalnego jej taty. Mogliby wziąć duży rozkładany stół, piękny obrus oraz zastawę Glendy Whitman i urządzić przytulną jadalnię przy łóżku pacjenta.

To dopiero była serdeczność.

Rebecca nie wspomniała o pomysle Glendy Michaelowi – w całym zamieszaniu związanym z romanssem i drugim dzieckiem kompletnie o tym zapomniała. A potem nagle ojca już nie było.

Michael nie powiedziałby wprost: „To byłoby trochę dołujące, nie sądzisz? Kolacja świąteczna w pokoju szpitalnym? Może będzie lepiej, jak zjemy w domu, a potem zaniemiemy mu talerz przysmaków – nawet dwie porcje”. Wiedziała jednak, że tak by pomyślał. Michael spożyłby posiłek w pokoju numer 8-401 w nowojorskim szpitalu Presbyterian z uśmiechem na ustach, popijając z jej ojcem cydr, a może nawet wznosząc serdeczny toast. Jednak w uszach Rebekki dźwięczałyby echem wszystkie niedopowiedzenia: „Ten smród antyseptyków jest nie do wytrzymania... Te wszystkie kroplówki psują mi apetyt...”.

– Wspomniałam już, że zniżka za pokój obejmuje hałas robotników, prawda?! – zawołała Marianna, próbując przekrzyczeć piłę. Uśmiechnęła się szeroko. – Całe to cierpienie przez piły i młotki okaże się warte zachodu, kiedy na wiosnę i lato będziemy tu mieli nową werandę i molo. – Napełniła termos kawą, po czym dodała trochę mleka i cukru. – Zrobisz coś dla mnie, Rebecco?

Zaniesiesz ciasteczka i termos Theo? Biedaczek pracuje już wiele godzin. Wyjdiesz kuchennymi drzwiami, skręcisz za róg i od razu go zobaczysz. Jak wrócisz, mieszanka z dynią powinna już być gotowa. Przygotuję dla ciebie specjalną wersję.

Theo tu był? Rebecce przydałoby się trochę jego mądrości.

– Dla samych tych pyszności warto przecierpieć każdy hałas – stwierdziła.

Wzięła ciasteczka oraz kawę i wyszła z kuchni tylnymi drzwiami. Po raz kolejny na widok iglaków i dębów (czy to były dęby? Rebecca nie знаła się na roślinach) zatrzymała się i odetchnęła czystym powietrzem, przepelnionym wonią drzew, trawy, ptaków i motyli.

Theo, w czarnym T-shircie i wyblakłych bojówkach, klęczał na drewnianej platformie, wałąc młotkiem w deskę. Jego jasne włosy przepięknie lśniły w słońcu. Przyglądała się mu przez chwilę, ale przestraszyła się, że zaraz ją na tym przyłapie, więc zasygnalizowała swoją obecność.

– Cześć – powiedziała.

Odwrócił się. Jego szczery, serdeczny uśmiech przyprawił ją o gęsią skórę.

– Za głośno? – zapytał. – Mogłoby się wydawać, że kobieta z Nowego Jorku powinna być przyzwyczajona do gorszego hałasu, ale tam pewnie człowiek przestaje go słyszeć.

– Jakąś godzinę temu zamyśliłam się na czerwonym świetle – odparła Rebecca – a kiedy zmieniło się na zielone, kierowca za mną nawet nie zatrąbił. Coś takiego byłoby nie do pomyślenia w Nowym Jorku.

– Nie bez powodu umieszcza się napis „Wakacyjny raj” na lokalnych tablicach rejestracyjnych.

Uśmiechnęła się i uniosła smakołyki.

– Marianna poprosiła, żebym przyniosła ci kawę i ciastka.

Zeskoczył z platformy.

– A więc czas na przerwę. – Usiadł, po czym poklepał miejsce obok siebie. – Podzielę się z tobą. – Podał jej ciasteczko.

– Z przyjemnością skorzystam z oferty. – Usiadła obok. Była zadziwiająco świadoma jego bliskości; jego noga niemal muskała jej udo. – Przed chwilą spróbowałam nadzienia dyniowego. Mam nadzieję, że za bardzo się nie przyzwyczaję.

– Wakacyjny raj, pamiętasz? – rzekł, przepoławiając okrągłe ciasteczko najstaranniej jak potrafił. Zlizął z kciuka biały krem.

Rebecca skubnęła kawałek.

– Nawet nie wiem, czy jestem tu na wakacjach. Nie mam pojęcia, jak to nazwać. Może urlopem od życia?

– Większości z nas przydałoby się od czasu do czasu coś podobnego – powiedział, kierując na nią piękne brązowe oczy. – Zatem jak rozwija się ta hipotetyczna sytuacja, o której ostatnio rozmawialiśmy?

Rebecca uniosła wzrok na sosny, tam, gdzie zielone wierzchołki stykały się z niebem.

– Cóż... Mówiąc hipotetycznie, nie bardzo wiem, co dalej robić. Ta osoba, o której istnieniu jeszcze tydzień temu nie miałam pojęcia, to moja przyrodnia siostra. Moja siostra. To słowo musi coś znaczyć.

– Tak samo z siebie?

Zerknęła na niego kątem oka. Joy mówiła tak samo.

– A nie powinno? To słowo coś znaczy. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że mój ojciec nie był dla niej OJCEM, więc słowo „tata” ma dla niej zupełnie inne znaczenie niż dla mnie. Pewnie ze słowem „siostra” jest podobnie.

– Tylko że ty jesteś tutaj. A to duża różnica między tobą i twoim ojcem; dla niej, oczywiście. Słowa same z siebie nie znaczą wiele. Ważne, czym są poparte.

– Chciałabym tylko, żeby pozwoliła mi się do siebie zbliżyć – wyznała Rebecca.

Obserwowała najmniejszego ptaszka, jakiego w życiu widziała, balansującego na gałęzi przed wejściem do jednej z wielu budek dla ptaków, którymi upstrzony był ogród. – Uchyliła mi drzwi, ale tylko ociupinę.

– Więcej nie potrzebujesz.

– Nie mam pojęcia, jak dalej z nią postępować.

– Mogłabyś zasugerować jej spacer po parku przy plaży Hazy Beach. To niedaleko, zaraz za tymi drzewami – rzekł, wskazując przed siebie. – Weź ze sobą ciasteczka Marianny, termos z kawą oraz dwa kubki, i załatwione.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Joy zgodziła się na piknik.

– Ach, Joy Jayhawk. Nie znam jej za dobrze, ale zdarzało mi się pracować z jej mężem, architektem. Właściwie to on zaprojektował tę dobudówkę.

– Jaki on jest?

– To porządny facet. Milczący typ. Zdaje się szaleńczo zakochany w swoim synku.

– A ty masz dzieci?

Zaśmiał się.

– Ja? Nie. Nawet nie mam żony.

– A dziewczynę? – wyrwało jej się. Spiekła raka i odruchowo zakryła usta dłonią.

Znów się roześmiał.

– Powiem tak: pojawiają się w moim życiu kobiety, ale żadna jeszcze nie rozpałała mojego serca.

– Ostatni raz, kiedy jakiś facet zdołał rozpałać moje serce, zdarzył się, jak byłam w szkole średniej – stwierdziła.

– A więc nie masz chłopaka? To zaskakujące.

Uśmiechnęła się na dźwięk tego komplementu.

– Właściwie to mam. Mieszkamy razem w Nowym Jorku. Nazywa się Michael. Ale bardzo możliwe, że spotyka się już z kimś innym. – Westchnęła. Dlaczego to powiedziała, na Boga? – To będzie przyjemne miejsce do siedzenia – rzekła. – Już sobie wyobrażam, jak wspaniale będzie przyjść tu z herbatą i książką i delektować się widokiem drzew, domków dla ptaków, natury.

Theo chciał coś powiedzieć, ale wtedy zadzwoniła komórka Rebekki – idiotyczny dzwonek zaświdrował jej w uszach gorzej niż wcześniej piła mechaniczna. Co za wyczucie czasu – Michael.

„Tak właśnie działa wszechświat – przemknęło jej przez myśl. – Ciekawe, czy chce mi przez to coś powiedzieć”.

– Pozwolę ci odebrać – rzekł Theo. – Wracam do pracy.

„Nie idź” – pomyślała. Tak dobrze się z nim rozmawiało.

Jednak on już klęczał na podeście, całkowicie skupiony na nieoheblowanym drewnie. Kiedy opuścił jej towarzystwo, poczuła się tak, jakby słońce schowało się za chmurą.

– Dziękuję za ciasteczko – powiedziała.

Posłał jej uśmiech.

– Nie ma sprawy.

Telefon nie przestawał dzwonić. Skręciła za róg i odebrała, po czym weszła do hotelu i udała się do swojego pokoju.

– Domyślam się, że jesteś na I-95 gdzieś w Connecticut i za dwie godziny będziesz w domu – zabrzmiał głos Michaela.

– Jestem w Wiscasset.

Cisza. Potem westchnienie.

– A więc nie będziesz jutro w pracy.

– Michaelu, mówiłam ci, potrzebuję trochę więcej czasu z Joy. Nie rozumiesz tego?

– Właściwie to nie. Naprawdę nie pojmuję, po co tam zostajesz. Spędziłaś już trochę czasu z Joy. Możecie się umówić na kolejne odwiedziny. Istnieją e-maile i telefony. To w Nowym Jorku jest twoje życie. Masz tu pracę, chłopaka, mieszkanie.

– Chłopaka zainteresowanego kimś innym – przypomniała mu.

– To tylko koleżanka, Rebecca. Nie przekroczyłem żadnej granicy.

Usiadła w bujanym fotelu przy oknie i wyjrzała na drzewa.

– Nie jestem gotowa, żeby wracać do domu. Najpierw muszę... Muszę zbudować jakąś więź z Joy. Tyle wiem. Chcę ją poznać tutaj, na jej terenie.

– A może po prostu uciekasz? – powiedział. – W pracy sprawy się skomplikowały, między

nami też nie układa się najlepiej, więc wyjechałaś. A myślałem, że chociaż tego nauczyłaś się z mediacji: że ucieczka nie jest rozwiązaniem.

Nie cierpiała, kiedy używał podobnych argumentów, kiedy stawał się protekcyjny, kiedy mówił: „Ja wiem lepiej”. Nie podobała jej się też groźba ukryta między słowami: „Wracaj do domu albo to z twojej winy prześpię się z inną kobietą”.

– Becs, wiem, że jesteś w żałobie – ciągnął. – Wiem, że tęsknisz za tatą. Ale jego niesłubna córka nie pomoże ci pogodzić się z jego odejściem. Ona go nawet nie знаła.

– Pozna go przeze mnie.

– Proszę, Rebecca. To nie dlatego tam zostałaś.

Nie. Nie dlatego. Została, bo wszystko w jej wnętrzu – serce, umysł i dusza – tak jej podpowiadało.

Nad ranem, po ożywym spacerze po miasteczku, Rebecca zadzwoniła do Joy i oto co usłyszała:

– Wciąż tu jesteś...? Och, jeszcze nie wracasz do domu...? Przykro mi, mam bardzo dużo zajęć w tym tygodniu... Nie, naprawdę nie dam rady wyrwać się nawet na kawę... Nie, Rex chodzi do przedszkola, więc i tak nie mógłby iść z nami.

A potem:

– Rebecca, posłuchaj. Dwa dni temu nagle spadłaś mi na głowę. Dopiero spędziłam z tobą weekend. Nie przytłaczaj mnie. Może z czasem zechcę porozmawiać. Nie wiem.

Klik.

Chwilę później:

– Przepraszam, że się rozłączyłam, okej?

Klik.

Okej. Dobrze. Trochę czasu. Czas stanowił odpowiedź. To słowo – tak ulotne, tak niezdefiniowane, a jednocześnie pewne i solidne, dawało jej nadzieję – coś, czego mogła się trzymać. Sama miała też mnóstwo do roboty. Mogła przejrzeć dokładnie jeden z licznych przewodników po Maine, które stały na półkach w hotelowej bibliotece, albo sięgnąć po powieść. Nauczyć się robić na drutach. Opanować włoską kuchnię, włoski język.

Opadła na łóżko i wpatrywała się w ładny wzór na tapecie – delikatne, blade różyczki.

„Czemu zostaję? – zastanawiała się. – Bo Joy jest moją siostrą. Bo to słowo mimo wszystko coś znaczy samo przez się. Znaczy, ale nie znaczy, nie znaczy, ale znaczy. Bo Joy jest chodzącą, oddychającą, żyjącą i namacalną częścią mojej rodziny. Jest ze mną połączona. Nawet jeśli to połączenie jest słabe i nieostre – jak wtedy, kiedy burza naderwie kable telewizyjne”.

Sama przyprawiała się o ból głowy. Potrzebowała wydostać się z pokoju, zza tych czterech ścian – mimo kojącego widoku morelowych różyczek na tapecie – i zainicjować jakoś ten nowy etap – etap będący czymś wielkim i niczym konkretnym zarazem.

„Jestem tutaj, ale gdzie jest tutaj?” – grywała w tę grę podczas długich wypraw samochodowych z rodzicami.

– Jestem tutaj, ale gdzie jest tutaj? – pytała, wyglądając przez okno ich niebieskiego samochodu, a rodzice odwracali się do siedmio-, ośmio- czy dziewięcioletniej Rebekki, której zainteresowanie geografią uwidaczniało się w czytaniu napisów na znakach drogowych. Mystic, Connecticut. Woodstock, Nowy Jork. Wjazd. Wyjazd.

W tej chwili „tutaj” było pokojem hotelowym.

„Idź, zapytaj Mariannę, czy nie potrzebuje pomocy przy posypywaniu ciast albo ubijaniu piany do nowego nadzienia do ciasteczek” – poleciła sobie w myślach.

– Halo – rozległ się przytłumiony głos, gdy wkładała na koszulkę ciemnozielony sweter i wsuwała nogi w chodaki. – Halo.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Przed nią stała Ellie w czerwonych butach i jasnobrązowym trenczu, z twarzą wykrzywioną z bólu. Czy to ślady tuszu na jej policzkach?

Podbiegła do niej.

– Ellie, co się stało?

– Nic. Pomyślałam tylko, że wpadnę się przywitać. Pamiętałam, jak mówiłaś, że



zatrzymałaś się tutaj – powiedziała, a potem wybuchła płaczem.

Rebecca zaprosiła ją do pokoju i posadziła w bujanym fotelu. Przyniosła z łazienki pudełko chusteczek i podała je kobiecie, po czym przysiadła na skraju łóżka naprzeciwko niej.

– Tim? – zapytała.

Ellie wstała po chusteczkę i osuszyła zaczerwienione oczy.

– Dlaczego ja mu nie wystarczę? Tylko to chcę wiedzieć. – Z jej oczu znów trysnęły łzy.

Opadła ciężko na fotel.

Rebecce ścisnęło się serce. „Och, Ellie”.

– Nie wiem, co mam zrobić, żeby był ze mnie zadowolony. – Pociągnęła nosem, a oczy miała pełne łez.

– Możesz być tylko sobą, kochanie – rzekła Rebecca. – I jesteś wspaniała.

– Tim tak nie uważa.

– Ożenił się z tobą – zauważyła Rebecca.

– Więc dlaczego mu nie wystarczę?

Rebecca żałowała, że nie zna magicznej odpowiedzi na to pytanie. Choć wcale jej się to nie podobało, musiała wypowiedzieć oklepaną, ale prawdziwą frazę:

– Nie chodzi o ciebie, Ellie. Przecież o tym wiesz.

– Oczywiście, że chodzi o mnie. Gdybym była bardziej jakaś... gdybym miała więcej czegoś tam... nie mielibyśmy tych idiotycznych problemów. Nie zdradzałby mnie.

– Ellie, przecież wiesz, że to nieprawda.

– No to co powinnam zrobić, żeby uratować małżeństwo? Jeśli nie chodzi o mnie, to nie mogę nic naprawić. Nie mogę nic zmienić. A jeśli to ja jestem problemem, wtedy może zdołam to zrobić. Mogę przestać tak się wszystkiego czepiać. Mogę zrobić sobie cycki. Przefarbować się na blond. Mogę przestać wdawać się w idiotyczne kłótnie z jego durną matką. Cokolwiek. Jeśli to nie ja ponoszę winę, nie mam nad niczym kontroli. Tu musi chodzić o mnie, żebym mogła coś zmienić.

– Ale nie możesz zmienić jego. Tylko on sam to potrafi.

Westchnęła ciężko i wbiła wzrok w sufit.

– Przyszedł do mnie wczoraj wieczorem. Około północy. Żałosne, wiem. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że nie chcę z nim rozmawiać; chcę, żebyśmy po prostu byli razem. Zgodził się i przyjechał. Przebrałam się w seksowne ciuchy, zgasiłam światła, zapaliłam świeczki, włączyłam Kid Rocka, którego uwielbia, i spędziliśmy niesamowitą noc. Było jak wtedy, kiedy dopiero zaczęliśmy się spotykać. Tak romantycznie. A potem, nad ranem...

Znów wybuchła płaczem.

– A nad ranem co? – dopytywała się delikatnie Rebecca.

– Zrobiłam nam śniadanie, prawdziwe śniadanie z jajkami, bekonem i wszystkim innym.

Wymknęłam się nawet do sklepu po sok pomarańczowy, bo to jego ulubiony. Obudził się przy zapachu smażonego bekonu, za którym przepada, i powiedział, że nie może zostać, bo umówił się na ryby z kolegami. Więc mówię: „W porządku, zjedz szybko, a potem wróć do mnie po rybach”, a on na to, że nie wie, bo mieliśmy taką długą przerwę. Odparłam, że chcę popracować nad naszym małżeństwem, że musimy nad nim pracować. Odpowiedział tylko, że to nie powinna być taka ciężka praca. A kiedy stwierdziłam, że małżeństwo to właśnie jest ciężka praca, powiedział mi, że wcale nie musi być taka, bo jego rodzice są już trzydzieści lat po ślubie i jakoś nie mają problemów z dogadaniem się. Tak na marginesie to cholerny żart. Jego rodzice się nienawidzą. Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, dostrzega to gołym okiem.

Rebecca uśmiechnęła się i twarz Ellie na moment się rozpromieniła.

– Zapytałam go więc, czy nie zrobiłby dla mnie tylko jednej rzeczy: czy nie pojechałby ze mną w ten weekend na wycieczkę dla burzliwych związków organizowaną przez Joy. Tim naprawdę lubi Joy i Harry’ego, ma dla nich szacunek, więc pomyślałam, że może przynajmniej to rozważy. Ale on odparł, że nie ma mowy, nie będzie się wygłupiał i bawił w te nowe uzdrawiające metody.

– Czy ta wycieczka wpisuje się w uzdrawiające metody?

Z tego, co Rebecca zdążyła usłyszeć, wycieczka Joy bardziej przypominała grupowy wypad

pod namiot, z tym że uczestnicy mieli się zatrzymać w wynajętym domku z kilkoma sypialniami. Będą leniuchować w salonie z kominkiem oraz tradycyjną kuchnią i rozmawiać grupowo o trzech porach dnia: po śniadaniu, po obiedzie i po kolacji. W wolnym czasie mogą wędrować po okolicznych szlakach albo nie robić zupełnie nic. To „nic” miało pomóc parom przeanalizować swoje związki i skupić się na sobie nawzajem, bez niepotrzebnego wtrącania się znajomych czy rodziny. Domek znajdował się ponoć w jakiejś głuszy, więc ucieczka piechotą nie wchodziła w grę.

– Ależ skąd. Nie będzie ani relaksującej muzyki, ani medytacji. Chodzi tylko o ucieczkę od codzienności, od codziennych problemów. Powiedziałam mu, że to będzie prawie jak poradnia małżeńska, ale bez terapeutów, w których on kompletnie nie wierzy. A on mimo to się nie zgodził.

– To jeszcze nie znaczy, że nie pojedzie. Musisz tylko nad nim trochę popracować. Tak jak mówiłyście mi z Maggie o Joy: „Odmieni jej się”. Timowi też.

– Tak myślisz? – zapytała Ellie, unosząc wzrok.

– Mam nadzieję – odparła Rebecca. – Jak długo jesteście w separacji?

– Prawie dwa miesiące. Ale on przychodzi do mnie kilka razy w tygodniu. Kochamy się i wtedy mnie się wydaje, że wszystko uda się naprawić, a potem wracamy do tych samych rozczarowań i problemów. Nie, on nie pójdzie ze mną do poradni małżeńskiej. Nie czyta poradników. To nie ten typ. Nie zgodzi się na zrezygnowanie na tydzień z wypadów z tymi swoimi dupowatymi kolegami.

– Jaki jest Tim, kiedy nie zachowuje się jak szuja?

Elle znów się rozpromieniła.

– Jest naprawdę cudowny. Potrafi być taki słodki, czuły i zabawny. Ale zawsze, kiedy wydaje mi się, że mogę przymknąć oczy na jego wady, ktoś szepcze mi do ucha: „Widziałam wczoraj twój męża z jakąś tlenioną blondyną”.

– Może nie powinnaś przymykać oczu na jego wady? – odparła Rebecca.

– Wiem. Dlatego pojechałam na tę wycieczkę dla singli; żeby zmusić samą siebie do zaakceptowania faktu, że mnie zdradza. Że to on odwrócił się od naszego małżeństwa. Wiem, że powinnam się z tym pogodzić i zacząć nowe życie. Wiem, że związek z Timem przyniesie mi same rozczarowania. Wiem, wiem, wiem. Ale ta wiedza jakoś mi nie pomaga.

– Czujesz się zraniona tylko przez jego zdrady czy przedtem też mieliście problemy?

– Przez jakiś czas nie miałam pojęcia, że mnie zdradza. Jeszcze zanim się zorientowałam, kłóciliśmy się o wszystko: na co wydawać pieniądze, ile zaoszczędzić, o to, że praktycznie co wieczór wychodził ze swoimi głupkowatymi kolegami i zalewał się w trupa. Wiesz, że ostatnim razem, kiedy wyszedł z tymi idiotami, jeden z nich tak się nawalił, że trafił kogoś metalową rzutką w szyję?

– Może czas postawić ultimatum? – zapytała Rebecca, wręczając Ellie kolejną chusteczkę.

– Już tego próbowałam. Miliony razy. Tim wpada wtedy w popłoch i wraca do mnie, obiecuje, że się zmieni, i rzeczywiście się stara... przez tydzień. Potem wszystko znów jest tak samo. Może po prostu muszę go zaakceptować takim, jakim jest, skoro go kocham. Tak mówi moja teściowa: „Mężczyźni zawsze będą mężczyznami” – rzekła śpiewnym tonem. – „Jak w tym powiedzeniu: żona ma być kucharką w kuchni, damą w salonie i dziwką w sypialni. Ma dbać o figurę i unikać narzekania na temat porzucanych skarpetek”.

– Twoja teściowa naprawdę tak powiedziała? Wydaje się jeszcze gorsza od teściowej Maggie!

Ellie skinęła głową i się zaśmiała.

– To jedyna zaleta rozpadu mojego małżeństwa: nie będę musiała mieć więcej do czynienia z tą kobietą – stwierdziła, ale szybko spoważniała. – Nie chcę rozwodu. Chcę z powrotem męża. Ale chcę go innego. Takiego jak wtedy...

– Kiedy?

– Chciałam powiedzieć, że jak wtedy, kiedy go poślubiłam, ale wcale nie był inny. Po prostu wydawało mi się, że małżeństwo go zmieni. Że się ustatkuje. Boże, jestem taką idiotką.

– Nie, jesteś kobietą zakochaną w swoim mężu. Kobieta, która chce naprawić małżeństwo. Ellie westchnęła.

– Wydaje mi się, że on może pojechać na wycieczkę Joy, jeśli powiem, że to koniec i że to nasza ostatnia szansa na naprawienie związku albo wystąpię o rozwód. On nie chce rozwodu. Nawet nie chce separacji. Pragnie tylko robić to, co zawsze, ale jednocześnie mieć mnie u boku. Proszę, proszę, proszę, obiecaj, że z nami pojedziesz. Joy potrafi świetnie inicjować rozmowy, jak sama to nazywa, ale ty jesteś profesjonalistką. Musisz pojechać. Naprawdę mogłabyś nami pokierować.

Rebecce bardzo podobał się ten pomysł. Mogłaby sprawdzić, jak jej idzie w doradztwie, czy studia podyplomowe z tej dziedziny nie byłyby stratą czasu i pieniędzy. Poza tym spędziłaby kolejny weekend w towarzystwie Joy, w otoczeniu sprzyjającym zwierzeniom i dzieleniu się problemami, a to mogłoby zdziałać cuda dla ich chwilowo zawieszonych relacji. Jednak Rebecce jakoś trudno było sobie wyobrazić Joy mówiącą: „Jasne, zostań nawet dłużej, przysłuchuj się moim najgłębszym problemom i konfliktom małżeńskim”.

– Ellie, bardzo bym chciała, naprawdę, ale myślę, że Joy nie ma ochoty, żebyś została tu do weekendu.

– Mogę się założyć, że chce, żebyś pojechała. Może jeszcze sobie nie radzi ze spotkaniami w cztery oczy, ale w grupie zachowuje się swobodnie w twoim towarzystwie. Przecież zaprosiła cię na wycieczkę w zeszły weekend, prawda?

Rzeczywiście. To było coś. Coś ważnego – znacznie ważniejszego od przelotnego spotkania na kawę w Starbucksie. Joy zaprosiła ją na wyjazd weekendowy z PRZYJACIÓLKAMI. Członkinie Klubu Rozwódek z Wiscasset nie były jakimiś nieznanymi singielkami, ale kobietami, które wiedziały o ojcu Joy. Wiedziały o jej problemach małżeńskich. Jakkolwiek niechętnie, Joy zaprosiła Rebecę na wyjazd z nimi.

– Zapytam ją – powiedziała Rebecca. – Ale niczego nie obiecuję.

Ellie skinęła potakująco głową.

– Jeśli Joy się zgodzi, pojedziesz? Naprawdę cię potrzebujemy. Nie tylko ja i Tim, ale też Joy i Harry. Jesteś mediatorką rozwodową z Nowego Jorku. To musi coś znaczyć dla Tima i Harry’ego. Będą czuli do ciebie szacunek. Wysłuchają cię.

Rety. Joy jedzie razem z Harrym? Rebecca nie miała o tym pojęcia.

– Ellie, nie jestem mediatorką – upierała się mimo wszystko. – Nie jestem też terapeutką, tylko zwykłą asystentką prawną. A ponieważ nie stawiałam się dziś w pracy po tygodniu urlopu, całkiem prawdopodobne, że już niebawem będę bezrobotną asystentką prawną.

Ellie pokręciła głową.

– Liczy się doświadczenie – stwierdziła. – Prawda?

Po tym, jak Ellie wyszła z hotelu z dwoma ciastkami w dłoni i zapewnieniem, że może wpadać niezapowiedziana w każdej chwili, Rebecca zadzwoniła do Joy.

– Nie dzwonię, żeby po raz setny zapraszać cię na kawę – rzekła. Opowiedziała o wizycie Ellie i o wycieczce dla burzliwych związków. – Chciałabym pojechać, jeśli to dla ciebie nie problem. Może naprawdę mogłabym pomóc.

Cisza.

„Myślę, że ten wyjazd pomógłby i mnie samej. Może odkryłabym wreszcie, co chcę robić w życiu, bo wszystko, co czeka na mnie w Nowym Jorku, wydaje mi się teraz takie niewłaściwe”.

– Och, przepraszam. Pewnie uważasz mnie za skończoną idiotkę, skoro wydaje mi się, że jakoś pomogę. Przecież nawet nie rozmawialiśmy o twoich założeniach dotyczących wyjazdu. Słyszałam trochę od Ellie, co zaplanowałaś, ale...

– Nie, nie o to chodzi.

Rebecca czekała, aż Joy powie, o co w takim razie chodziło, ale się nie doczekała.

– Myślę, że taka wycieczka mnie też by bardzo pomogła – dodała pośpiesznie. – Wiem tylko, czego na pewno nie chcę robić w życiu: nie chcę pomagać parom się rozwodzić. Nawet pokojowo. A właśnie przez ostatnie dwa lata to robiłam. Pragnę pomagać małżeństwom uniknąć rozwodu. Chcę kierować ludzi ku sobie, pomóc im odkrywać na nowo to, co sprawiło, że się w sobie zakochali, i znaleźć sposób, by umieli to zauważać w codziennym życiu. Jeśli tak wyobrażasz sobie wycieczkę dla burzliwych związków, to naprawdę mogę się przydać.

Znów cisza. Może Joy nie przekonywały korporacyjne gadki.

Rebecca westchnęła sfrustrowana.

„Jesteś oziębła emocjonalnie! – miała ochotę krzyknąć. – Odpowiedz! Odezwij się! Wścieknij się, tak jak w Portland. Powiedz mi, żebym się odwaliała... Nie, tego mi nie mów”.

– To może się zastanowisz i dasz mi znać? – zasugerowała w końcu. Nawet spodobał jej się pomysł, że Joy tak czy inaczej będzie musiała do niej zadzwonić.

– Właściwie to myślę, że twoja pomoc bardzo by się przydała na mojej wycieczce.

Zapraszam. Możesz dołączyć, jeśli masz ochotę.

Rebecce przyspieszył puls. Zamknęła oczy i przycupnęła na skraju łóżka, czując, jak wielki kamień spada jej z serca. Nagle znów miała cel, konkretny powód, żeby jeszcze kilka dni zostać na północy.

I będzie miała okazję poznać Joy od zupełnie innej strony.

– Nie mam pojęcia, czy mój pomysł na tę wycieczkę zadziała – dodała Joy. – Po raz pierwszy organizuję coś podobnego. I będę jednocześnie jednym z uczestników. To dla mnie nowe doświadczenie i trochę dziwnie się z tym czuję. Czego oczekuję po tej wyprawie? Chcę, żeby trzy pary – trzy, jeśli Tim zgodzi się pojechać – uciekły od codzienności, pogadały ze sobą o problemach, zrelaksowały się i spędziły razem trochę wymuszonego czasu. Ponieważ jednak jestem jedną z uczestniczek, myślę, że bardzo nam się przyda obecność kogoś bezstronnego, kogoś z doświadczeniem w obcowaniu ze skłóconymi parami.

– A więc mam tę pracę? – zapytała Rebecca.

– Masz. Chociaż nie mam jak ci zapłacić.

Rebecca się roześmiała.

– Wiem.

– Oczywiście biorę na siebie koszty wynajmu pokoju dla ciebie, bo tak naprawdę będziesz w pracy.

– Nie trzeba, Joy. Zapłacę za siebie.

Joy wyraźnie odetchnęła z ulgą.

– Miałam nadzieję, że to powiesz. Odkąd Harry przeprowadził się na dół, korzystam tylko ze swoich pieniędzy... – Głucha cisza. – Ech. Widzisz? Jesteś dobra w skłanianiu ludzi do mówienia rzeczy, których nie zamierzają bądź nie chcą powiedzieć. Muszę kończyć. Zbiórka na wyjazd jest przed moim domem w piątek o szóstej trzydzieści.

– Nie pożałujesz – odparła Rebecca, jakby Joy właśnie zatrudniła ją do wymarzonej pracy. – Wiem, że to dla ciebie niełatwe. Spadłam ci na głowę tak nagle, i to jeszcze w momencie, kiedy sama przechodzisz przez pewnego rodzaju separację...

– A więc na wycieczce będą trzy pary – przerwała jej Joy ostrym tonem, jakby chciała powiedzieć: „Daj na wstrzymanie, panienko. Jeszcze nie jesteśmy w busie”.

– Powinam sobie poradzić. A więc ty i Harry, Ellie i Tim i kto jeszcze?

– Cutlassowie. Aimee i Charles. Nie znam ich. To znaczy znam Aimee z biblioteki, to jedna z bibliotekarek. Nie wiem, czy już tam byłaś; taka wysoka, szczupła, ruda. W każdym razie nie znam jej za dobrze. Zobaczyła moją ulotkę. Nigdy nie poznałam jej męża. Wszyscy spotkamy się u mnie w domu w piątek na szybkie powitanie i zapoznanie, a potem pojedziemy mikrobusem do domku lotniskowego.

– Już nie mogę się doczekać – odparła Rebecca. – Naprawdę myślę, że mogę pomóc.

– Do zobaczenia w piątek.

Klik.

„Cel!”. Rebecca zerwała się na nogi i podbiegła do szafy w poszukiwaniu stroju na weekend odpowiedniego dla... Jak w ogóle powinna się nazwać? Podejrzewała, że „asystentka prawna z zakresu prawa rozwodowego” nie pomoże złagodzić napięcia wśród męskiej części wycieczki. „Rozwód” to przerażające słowo, ale może właśnie ono skłoni pary do pracy nad związkami, skoro alternatywa malowała się w tak czarnych barwach. „Mediacje” natomiast to termin wymagający skonkretyzowania. Zwykle ludzie nie bardzo wiedzieli, czym tak naprawdę zajmuje się asystent prawny, co było jej na rękę.

„Pomagam parom osiągać porozumienie”. To właśnie robiła – to lubiła robić, bo to przynosiło pociechę jej sercu.

Właśnie zastanawiała się, czy tweedowa spódnica nie będzie zbyt „terapeutyczna” jak na domek w lesie, kiedy zadzwonił telefon.

„Proszę, niech Joy się nie rozmyśli” – błagała w duchu.

To BYŁA Joy. Rebecca wstrzymała oddech.

Joy odchrząknęła trzy razy, zanim w końcu wyrzuciła z siebie potok słów.

– Na weekend przyjeżdżają do mnie mama z ojczymem, żeby zająć się Rexem. Jeśli przez przypadek zobaczysz mamę w piątek u mnie w domu podczas grupowego powitania, byłabym wdzięczna, gdybyś jej nie wspominała, kim jesteś. Powiem jej o tobie, kiedy będę gotowa.

Pia Jayhawk. Rebecca wielokrotnie zastanawiała się, jak zareaguje na jej widok. Czy w ogóle coś wtedy poczuje? Czy zrozumie całą sytuację lepiej niż teraz?

– W porządku – powiedziała. Nie miała pewności, czy będzie w stanie odezwać się do tej kobiety, a co dopiero się przedstawić. „Cześć, jestem Rebecca Strand. Miała pani romans z moim ojcem dwadzieścia sześć lat temu. Pamięta pani?”

– Dajesz słowo?

„Czy moje słowo coś dla ciebie znaczy?” – chciała zapytać.

– Daję słowo.

– Dzięki – odparła dziewczyna i się rozłączyła.

Nagle Rebecce owiał niespodziewany chłód. Wdarł się do pokoju, przedostał przez sweter, przeszył skórę i kości. Nie była nawet pewna, czy chciała poznać Pię Jayhawk – czy chciała zobaczyć kobietę, która miała romans z jej ojcem, żonatym mężczyzną z dzieckiem.

Pia była „tą drugą” w tej historii, niemniej jakimś cudem stała się „ofiara”, kobietą wzgardzoną, pozostawioną w ciąży samą sobie.

Bo matka Rebekki nie miała o niczym pojęcia aż do śmierci? Bo minęło ponad dwadzieścia pięć lat? Bo liczą się okoliczności?

Bo wszystko jest... względne. Nic nie mogło umniejszyć wartości doświadczenia Pii Jayhawk jako kobiety, która musiała stawić czoło ciąży w samotności. Która sama wychowała dziecko.

Nagle Rebecca poczuła nieodpartą chęć poznania całej prawdy na temat Pii Jayhawk. Zerknęła na skórzaną szkatułkę z listami, stojącą na stoliku nocnym. Nie otwierała jej od wielu dni. Może to właśnie w niej znajdzie jakieś informacje o Pii, o początku romansu, o tym, jak to się stało, że ojciec jej uległ, i co takiego wyjątkowego miała w sobie, że zapomniał na moment o uczuciach do matki.

Jak to wszystko przebiegało?

Czy dzięki temu zdoła rozwikłać zagadkę, dlaczego ludzie w ogóle zdradzają?

Była pewna, że zna odpowiedź na to pytanie – bo tak, i już. Wzruszenie ramion.

Nie istniała jedna właściwa odpowiedź. Nie chodziło o seksowniejsze ciało czy obopólne zainteresowanie parasailingiem. Znacznie łatwiej było odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niektórzy ludzie nie zdradzają. Bo są sobie wierni. Proste.

Gdyby ojciec był wierny matce, ich związkowi, przysiędze małżeńskiej, może cieszyłby się rozmową z Pią Jayhawk, ale nie dotknąłby tej kobiety, nie pocałowałby jej po raz pierwszy. Najsilniejszy impuls pchałby go w stronę małżeństwa, w stronę żony.

Zamiast tego w którymś momencie zrodził się silniejszy impuls i ojciec mu się poddał.

Ale nie każdy musi tak postąpić.

Rebecca nie rozumiała do końca, co to oznaczało dla tych, którzy to zrobili. Z iloma rozwodami miała do czynienia w kancelarii, w których współmałżonkowie wybaczyli sobie zdradę? W dziewięćdziesięciu ośmiu procentach przypadków jeden z małżonków po prostu chciał się uwolnić od drugiego.

Przygryzła wargę. Nic nie wiedziała o małżeństwie. Sama nigdy nie miała męża, więc za kogo się uważała, twierdząc, że zdoła pomóc parom borykającym się z problemami?

Może w listach ojca kryły się odpowiedzi – coś, co pomogłoby jej lepiej pojąć ten cały...

miszmasz. Źle, dobrze, dobrze, źle.

Na drzewie za oknem wisiał termometr. Szesnaście stopni. Pogoda hamakowa. Zrobiła sobie kubek herbaty, wrzuciła skórzany pojemnik z listami do torby i włożyła gruby szetland, żeby odpędzić chłód, który wciąż jej nie opuszczał, po czym udała się w stronę hamaka wiszącego w najdalszym lewym końcu ogrodu.

Wokół panowała błoga cisza. Żadnego piłowania. Żadnego młotka. Żadnego Theo. Tylko rozkoszny świergot ptaków i okazjonalny odgłos przejeżdżającego samochodu. Ktoś zmyślnie przyczepił do pnia drzewa małą półeczkę, więc Rebecca miała gdzie postawić herbatę. Umościła się wygodnie w hamaku, obok położyła szkatułkę. Przejrzała pobieżnie listy w poszukiwaniu czegoś więcej od przelotnego zwrotu: „twoja matka”.

Wkrótce znalazła to, czego szukała.

*Droga Joy!*

*Masz osiemnaście lat. Boże. Jesteś już dorosła. Jak to się stało? Kiedy minął ten czas? Właściwie z niecierpliwością czekałem na ten dzień, zastanawiając się, czy właśnie dziś zechcesz mnie odnaleźć. Pewnie mogłabyś to zrobić wcześniej, gdybyś chciała, ale pełnoletność czyni tę ewentualność bardziej prawdopodobną. Przynajmniej wyobrażam sobie, że tak mogłaby powiedzieć nastolatka: „Kiedy skończę osiemnaście lat, odzyskam ojca”.*

*Oczywiście nie wiem, czy kiedykolwiek powiedziałaś coś podobnego albo czy w ogóle chcesz mnie odnaleźć. Zastanawiam się, jak bym zareagował, gdybyś zapukała do moich drzwi. Czy postąpiłbym z Tobą tak samo jak z Twoją matką, kiedy poinformowała mnie o Twoich narodzinach? Czy zamknąłbym drzwi, zupełnie jakby Cię tam nie było? Pewnie wciąż bałbym się ciężaru Twojego istnienia, tego, co robi Rebecca, kiedy się dowie.*

*Mogłybyście być siostrami. Jesteście nimi. A mimo to nawet nie wiecie o swoim istnieniu. No cóż, może Ty wiesz o niej. Zawsze mnie ciekawiło, co Twoja matka powiedziała Ci o mnie. Czy wiesz, że masz o dwa lata starszą siostrę?*

Pozwoliła kartce opaść na brzuch. Wpatrywała się w białe chmurki dryfujące po niebieskim niebie, niczym wata cukrowa.

Czy Joy wiedziała wcześniej o jej istnieniu? Czy matka powiedziała jej, że ojciec miał żonę i inną córkę?

Czy Joy dorastała ze świadomością, że gdzieś tam mieszka jej przyrodnia siostra?

Dlaczego nie zadała Joy tego pytania?

Bo coś jej podpowiadało, że dziewczyna wiedziała, że dorastała z tą wiedzą. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co znaczy żyć z podobną świadomością. Siostra. Przez ostatnie dni ta wiedza dodawała Rebecce sił: „Mam siostrę”.

„Ciekawe, czy Joy odczuwała coś podobnego przez całe życie, kiedy była smutna albo miała problemy, że gdzieś tam ma anioła stróża, który nad nią czuwa – zastanawiała się. – A może czuła tylko pustkę. Nicość. Niesiostrzaność”.

Nagły powiew wiatru poderwał kartkę i Rebecca złapała ją w ostatniej chwili. Odetchnęła głęboko i powróciła do lektury.

*Nie pisałem Ci o matce i o naszej relacji, bo uznałem, że to nie w porządku wobec Ciebie. Teraz jednak jesteś pełnoletnia, więc chyba nastał dobry moment. Nie wyobrażam sobie, żeby Pia dużo Ci o mnie mówiła, ale ostatecznie nie znałem jej ani długo, ani zbyt dobrze. Choć zdawało mi się, że ją znam.*

*Mam przecucie, że nie opowiadała Ci o mnie zbyt wiele. Pewnie dlatego, że uważała słabość do mnie za pomyłkę. Kto chciałby żyć ze świadomością, że jego ojciec jest pomyłką życiową matki? Nie, nie wierzę, żeby Ci naopowiadała, jakim jestem idiotą i palantem. Coś we mnie zobaczyła, coś ją do mnie przyciągnęło – ją, kobietę o pięknej, wolnej duszy. Najwyraźniej umiałem ją rozśmieszyć. Ja – niski, żydowski prawnik z Nowego Jorku.*

*Pewnie sobie myślisz: „Akurat”, jakby było coś śmiesznego w tym, co zrobiłem. W obu kwestiach. Wdałem się w romans z Pią, a potem odwróciłem się do niej plecami. Jeśli Ci to pomoże – choć wiem, że nie – byłem pewny, że Pia sobie poradzi. Masz wspaniałych dziadków. Poznałem ich. Oczywiście, nic nie wiedzieli o mnie i o Pii, ale wydawali się niezwykle dobrymi, ciepłymi*

ludźmi. Nie miałem wątpliwości, że pomogą córce przetrwać trudny okres. Tym w pewien sposób się pocieszałem.

Pierwszy raz ujrzałem ją na plaży w Wiscasset, po drodze do starego molo, dokąd nikt już nie chadzał. Pokłóciłem się z żoną, a Rebecca wpadła w histerię, więc wybiegłem z domku letniskowego i udałem się na spacer. W końcu wylądowałem na odosobnionym kawałku plaży obok starego molo, całego porośniętego wodorostami. Wrzucałem muszelki do wody – byłem wściekły, że są takie lekkie i nie chcą daleko lecieć.

I nagle, jakby znikąd, rozległ się głos: „Spróbuj tego”.

Odwróciłem się i ujrzałem sobowtóra Madonny – kobietę w poszarpanych czarnych ubraniach, ze zmierzwionymi włosami, z setką srebrnych bransolet i wisiorów. Wręczyła mi kamień, który – jak twierdziła – znalazła po drodze. Zamierzała go namalować, przełać na płótno jego perfekcyjną kanciastość, ale pomyślała, że jego ciężar mnie bardziej się przyda.

Wcisnęła mi go w dłoń; paznokcie miała pomalowane na czarno – pamiętam to jak dziś. Chciałem go rzucić, ale tak dobrze leżał mi w ręku, że nie potrafiłem. Oddałem go jej z powrotem. Powiedziała coś w stylu: „Ciężki dzień w biurze?” – chyba nabijała się z moich spodni w kolorze khaki, nieistotne. W każdym razie potem długo spacerowaliśmy i rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy o wszystkim; chemia między nami zaskoczyła nas oboje.

Jak ją rozśmieszałem tamtego dnia! Śmiała się, kiedy pocałowałem ją po raz pierwszy. Śmiała się tym serdecznym, szalonym śmiechem, a ja po prostu odwróciłem się, zamarłem i pocałowałem ją. Nie zawahałem się nawet przez chwilę. Odwzajemniła pocałunek. Chyba z godzinę tak staliśmy przy tym spróchniałym molo i się całowaliśmy. Potem nie rozmawialiśmy za wiele – trzymaliśmy się tylko za ręce, spacerowaliśmy i wymienialiśmy pocałunki, a później usiedliśmy na piasku, wpatrywaliśmy się w ocean i w siebie nawzajem. Czy byłaś kiedyś w związku, który nie wymagał słów? To zupełnie tak, jakbyś potrafiła znaleźć odpowiedzi na wszystkie dręczące Cię pytania, jedynie patrząc drugiej osobie w oczy. Tak właśnie było tamtego dnia.

Postanowiliśmy spotkać się tego samego wieczoru w tym samym miejscu i to właśnie wtedy... byliśmy ze sobą po raz pierwszy. Widywaliśmy się codziennie przez resztę mojego pobytu w Maine. A kiedy nadszedł dla mnie czas powrotu, chciałem utrzymać naszą wakacyjną relację. „Za rok o tej samej porze” – czy coś w tym stylu.

Po moim powrocie do Nowego Jorku rozmawialiśmy kilka razy przez telefon. Jednak napięta sytuacja pomiędzy mną i Norą – matką Rebekki, w jakiś sposób się naprawiła, zupełnie tak, jakby ten romans pomógł mi na nowo odnaleźć siebie. Nie wiem, czy to, co piszę, w ogóle ma jakiś sens. Powiedziałem Pii, że jest dla mnie ważna, ale chcę ocalić małżeństwo i uważam, że nie powinniśmy więcej rozmawiać. Potraktowała mnie dość łaskawie, choć nie dałem jej zbyt wiele czasu na mówienie. Sześć tygodni później znów usłyszałem jej głos – informowała mnie o ciąży. Zbaraniałem i nie odezwałem się słowem. W końcu odwiesiła słuchawkę. Potem, osiem miesięcy później, zadzwoniła, żeby powiedzieć o Twoich narodzinach i o tym, że rodzice pomogli jej kupić mały niebieski domek na Maple Lane, i tam właśnie będzie. Podziękowałem jej za informację i na tym się skończyło. Odciąłem się od tego myślami. To niesamowite, jak umysł potrafi zamknąć się na rzeczy, z którymi sobie nie radzi. A raczej – z którymi nie chce sobie radzić.

Przepraszam Cię, Joy. Nie zachowałem się tak, jak należało. Teraz masz osiemnaście lat i niedługo sama zaczniesz szukać sobie męża. Mogę się tylko ludzić, że moje czyny nie wpłyną negatywnie na Twoje postępowanie, że nie będziesz dokonywała wyborów, opierając się na tym, co zrobiłem lub nie. Mam nadzieję, że wybierzesz porządnego mężczyznę, który będzie Cię kochał do szaleństwa i zostanie z Tobą na dobre i na złe.

Wszystkiego najlepszego z okazji osiemnastych urodzin, Joy.

Daniel Strand

Rebecca wsunęła list z powrotem do koperty i schowała do pudełka. Potrafiła myśleć jedynie o tym, co by było, gdyby tamtego dnia nie wpadła w histerię. Może ojciec nie wybiegłby z domu i nie poszedłby na plażę akurat wtedy, kiedy Pia Jayhawk szukała idealnych kamieni do namalowania.

A jeśli chodzi o historię miłosną – wcale nie była taka wspaniała. A więc zaiskrzyło między nimi. Długo rozmawiali. Pocałowali się. „Wielkie mi coś, kurwa”.

Obserwowała przepływającą chmurę, pewna, że mogłaby tak leżeć do końca życia i na nią patrzeć. Nic nie rozumiała. Nie rozumiała, jak ojciec mógł się zadurzyć w obcej kobiecie ubranej jak Madonna. Nadal nie pojmowała, jak to się stało.

„A więc poznali się na plaży i poczuli do siebie dziwny pociąg. Ale żeby już po chwili tarzać się w piachu i wodorostach? Patrzeć sobie w oczy jak zakochane czternastolatki? Bez potrzeby używania słów?” – kołatało jej się w głowie. Nie czuła tego. Nie pojmowała.

Przed oczami miała jedynie wizję Pii w podartym topie, z ogromnym srebrnym krzyżem zwisającym z szyi i opadającym na rosnący brzuch. Widziała Pię z potarganymi włosami rozjaśnionymi na końcach i pierścionkami na palcach stóp, stojącą w samotności na plaży, otoczoną wodorostami.

Chciała zobaczyć to miejsce – ten kawałek plaży, gdzie ojciec spotkał Pię. Nie miała pojęcia, gdzie to jest, ale od czego były długie spacery?



Rebecca wsunęła stopy w chodaki i podążyła ścieżką między drzewami, o której opowiadał jej Theo. Trzymała się drewnianego pomostu, nie chcąc dotykać piasku, na którym ojciec zakochał się w innej kobiecie – jeśli naprawdę tak było.

„Czy uczucie opisywane przez niego w liście to MIŁOŚĆ czy coś innego?” – zastanawiała się.

Wlepiła wzrok w piasek – zwykły, przeciętny piasek, i nagle ból tęsknoty przeszył jej serce. Już nigdy nie zobaczy ojca. Została sama z tymi wszystkimi listami, z prawdą o nim – opisaną w sekretnych urywkach, które nie miały nic wspólnego z nią ani z jej rodziną. Listy, Joy, Pia Jayhawk – to wszystko wykraczało daleko poza nią, poza to, co znała i rozumiała.

Jednak tylko to jej pozostało, tylko tego mogła się trzymać. Może właśnie dlatego jeszcze nie wróciła do domu. Sekretne urywki znajdowały się tutaj – na tej plaży, w tym miasteczku – w Maine. W Nowym Jorku, znajomym otoczeniu, prawda zakradałaby się do jej serca i nie dawała spokoju na ulicy, w biurze, w łóżku.

Musiała zrozumieć, stłumić targający ją niepokój. Wtedy będzie mogła wrócić do domu.

Na horyzoncie dostrzegła mężczyznę rzucającego patyk małemu brązowemu pieskowi. Zwierzak puścił się za nim w pogoń. Widok machającego radośnie ogona wywołał uśmiech na twarzy Rebekki. Zmrużyła oczy i przyglądała się, jak pies wyskakuje wysoko w powietrze, łapie patyk, po czym wraca w podskokach do swojego pana. Zbliżywszy się nieco, rozpoznała Theo. Wiscasset to rzeczywiście małe miasteczko. Podobało jej się to, że wszędzie widziała znajome twarze; zwłaszcza jeśli należały do przystojnych mężczyzn, z którymi tak dobrze się rozmawiało. Kiedy dziś rano wyszła z hotelu, wpadła na Arlene z Mama's Pizza, potem na Maggie, która prowadziła swoją mamę do lekarza. Dwa razy rozległ się klakson na jej powitanie: raz była to Marianna rozwożąca swoje wypieki do punktów sprzedaży, a za drugim razem właściciel sklepu z antykami, mieszkający po sąsiedzku z willą U Marianny. Ta wspólnota powitań, trąbienia i machania sobie nawzajem była dla Rebekki zupełnie nowym zjawiskiem. W Nowym Jorku nigdy nie spotykała znajomych, nawet na własnym osiedlu.

Pies Theo przyniósł jej patyk, merdając ogonem. Był zadziornym kundelkiem średniej wielkości, o wesołych czarnych oczkach. Uklękła, żeby go pogłaskać. Jakimś cudem jego wesoła mordka przypominała jej smutny pyszczek Bingo.

Rzuciła patyk i piesek pognał w jego kierunku.

– Czyżbyś chowała stek w kieszeni? – zapytał Theo, podchodząc. Na widok jego uśmiechu na moment zaparło jej dech. Złapała się na tym, że gapi się tępo na jego stopy. – Spock zwykle nie jest taki przyjazny.

Rebecca wybuchła śmiechem, przyglądając się truchtającemu psu, którego spiczaste uszy rzeczywiście upodobały go do bohatera *Star Treka*.

– Mój tata chciał nazwać naszego psa Kapitan Kirk. Ale miałam wtedy sześć lat, więc Bingo wygrał. – Podrapała Spocka pod brodą i pies przewrócił się na grzbiet, nadstawiając brzuch do pieszczot. Rebecca uklękła na piasku i pogłaskała jego różowy brzusek. – Zapomniałam już, jak tęsknię za tym, żeby mieć psa.

Theo usiadł obok niej i cisnął patykiem. Spock rzucił się za nim pędem.

– Spock nie akceptuje każdego. Zawsze uważałem, że psy znają się na ludziach.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Mój ojciec też tak mówił, kiedy Bingo na kogoś warczał.

Mężczyzna uniósł twarz ku słońcu i zamknął na moment oczy. Wykorzystała okazję, żeby lepiej przyjrzeć się wyrazistej linii jego nosa i brody, złocistym włoskom na opalonych ramionach, bicepsom i tricepsom pod rękawami białego T-shirtu.

– Od kilku dni dokarmiam przybłądę – rzekł, gdy Spock podbiegł z patykiem. – Umorusanego, małego biało-czarnego kundelka, którego nazwałem Charlie. Obdzwońłem pobliskie schroniska i wypytałem, czy ktoś nie zgłosił zaginięcia podobnego psa. Rozwiesiłem

nawet kilka plakatów, ale nikt się nie odezwał. Przygarnąłbym go, ale nie mogę go skłonić, żeby wszedł do środka. Chyba boi się uszu Spocka. Jeśli masz ochotę, możesz go wziąć.

Mały biało-czarny piesek do kochania wydawał się kuszącym pomysłem. Jednak Rebecca nie miała pojęcia, gdzie będzie po niedzieli. Tutaj? W Nowym Jorku?

No i co z tego, jeśli w Nowym Jorku? W jej bloku można było trzymać psy, i to nawet bez pozwolenia, jeśli ważyły poniżej jedenastu kilogramów. Mogła więc wrócić do domu z małym biało-czarnym psiakiem. Choć Michael nie przepadał za psami. Ani za kotami. W ogóle nie darzył zwierząt szczególną sympatią.

– Myślisz, że teraz też kręci się gdzieś w pobliżu? – zapytała.

– Bardzo możliwe. Mieszkam jakieś czterysta metrów stąd. Przejdź się ze mną – dodał, wstając. Podał jej dłoń.

Poczuła ucisk w żołądku, zupełnie jak szesnastolatka, którą przystojny chłopiec zaprasza na szkolny bal. Chwyciła go za rękę, a on pomógł jej wstać. Była tak świadoma jego dotyku, jego palców okalających jej dłoń, że zaczęła otrząpywać piasek z pośladków, żeby tylko czymś się zająć.

– Tylko że nie będzie mnie przez weekend – powiedziała, kiedy ruszyli w kierunku, z którego przyszła. – Nie zdołam się nim zająć aż do powrotu.

– No cóż. Jeśli zdecydujesz się go wziąć, przekonam go smakowitymi kąskami, żeby został jeszcze trochę.

– Mieszkasz bezpośrednio przy plaży? – zapytała. – To musi być miłe.

– To prawda. Chodzę ze Spockiem na bardzo długie spacerory i nawet nie potrzebuję butów. – Poruszył palcami u nóg skrytymi w piasku.

– Czyli dość dobrze znasz tę plażę?

Skinął potakująco głową.

– Tutaj przeżyłem swój pierwszy pocałunek; z dziewczyną o imieniu Samantha. Miałem wtedy dwanaście lat. Kilka lat później na tej samej plaży inna dziewczyna, Jessie, po raz pierwszy złamała mi serce. Przeżyłem tu wiele pierwszych razów.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy od słońca.

– No to powiedz mi: jeśli dwoje romansujących ze sobą ludzi miałoby organizować na tej plaży potajemne schadzki, gdzie by poszli?

– Nikt zwykle nie zapuszcza się zbyt daleko na północ. Ludzie nazywają tamten odcinek Plażą Wodorostów. Znajduje się na niej wiele ustronnych zakamarków. Czasem przyłapuję tam jakichś nastolatków na robieniu rzeczy, których nie powinni robić. – Przyjrzał się jej spod oka. – Czyżbyś planowała sekretny romans?

Uśmiechnęła się.

– Po prostu grzebię w przeszłości. Moi rodzice przyjechali tu ze mną na wakacje, kiedy miałam dwa latka. Wtedy właśnie mój ojciec poznał matkę Joy. Zobaczył ją po raz pierwszy na tej plaży. Opisał to w liście. Pomyślałam, że jeśli tu przyjdę, może coś zrozumiem, ale nic z tego.

– Czego nie rozumiesz? Dlaczego zdradził?

Skinęła głową.

– To takie... częste. Zawsze wydawało mi się, że moi rodzice są szczęśliwym małżeństwem, aż do śmierci mamy. Ale skoro ktoś był w stanie tak po prostu go skusić... nawet na tydzień... Może prawdziwa miłość zdarza się tylko w bajkach.

– Znam ludzi, którzy są czterdzieści, pięćdziesiąt lat po ślubie – rzekł. – Ubierają się odświętnie, żeby pójść razem na niedzielne śniadanie do jakiejś podrzędnej przydrożnej knajpki. Wciąż są w sobie zakochani. Ale miłość to ciężka praca. Koniec i kropka.

– Mam mętlik w głowie. Aż trudno mi uwierzyć, że coś tak krótkotrwałego jak wakacyjny romans może zrodzić coś tak trwałego jak dziecko. Z przypadkowego spotkania na plaży powstało nowe życie. Relacja trwająca dwa tygodnie miała bardzo poważne następstwa. – Podniosła muszelkę i rzuciła ją w piach. – Pewnie gadam jak naiwna dwunastolatka.

– Ależ skąd. Gadasz jak ktoś, kto szuka odpowiedzi. Wolę to od chowania głowy w piasek.

– A więc nie uważasz, że ignorancja jest błogosławieństwem?

– W żadnym wypadku.

– W zeszły weekend wybrałam się z Joy na organizowaną przez nią wycieczkę dla singli. Ale nie jako uczestniczka – dodała pospiesznie – tylko dlatego, że Joy mnie zaprosiła, a ja pomyślałam, że może dzięki temu lepiej ją poznam. Dwoje singli przypadło sobie do gustu, ale zdarzyła się też konfliktowa sytuacja. Jeden z mężczyzn powiedział kobiecie, tuż przed tym, kiedy mieli... przespać się ze sobą, że nie powinna robić sobie nadziei. Ona bardzo się tym przejęła; choć facet właściwie zachował się jak palant, w pewnym sensie postąpił uczciwie. Wyznała mi potem, że może nawet wolałaby, żeby nic jej nie mówił, tylko dał jej tę jedną noc i pozwolił, by ból przyszedł nad ranem. Przynajmniej coś by przeżyła.

– Dla mnie to wcale nie brzmi dobrze. Prawdopodobnie o włos uniknęła potężnego ciosu.

– Powiedz mi coś, Theo. Dlaczego twoim zdaniem mężczyźni zdradzają? Oczywiście jeśli kochają swoje żony?

– Nie potrafię odpowiedzieć. Nigdy nie byłem żonaty. I nigdy nie zdradziłem ukochanej kobiety.

– Myślisz, że byś potrafił? To znaczy... wyobrażasz sobie taką sytuację?

– Nie bardzo.

– Ja też nie – rzekła. – A jednak to się zdarza.

Skinął głową, ale się nie odezwał.

Chciała, żeby powiedział coś więcej, opowiedział o rodzinie, o rodzicach, o tej pierwszej dziewczynie i o tej drugiej. Pragnęła wiedzieć o nim wszystko: jak przyrządza jajka na śniadanie, czy smakuje mu likier jajeczny, czy lubi Bruce'a Springsteena... albo kobiety, które nie wiedzą, co robią ani dokąd zmierzają.

Kobiety, które dostają przepiękne suknie ślubne od matek swoich facetów.

Kopnęła piasek.

– Ech... Nie wiem, po co jadę z Joy w ten weekend. Tym razem organizuje wycieczkę dla par z problemami, a ja mam być kimś w rodzaju bezstronnego mediatora, ale przecież ja nic nie wiem! Pracuję w mediacjach rozwodowych, choć tylko jako asystentka prawna, więc mam pomóc, ale co ja mogę wiedzieć, do cholery, o małżeństwie? Albo w ogóle o związkach?

– Sama jesteś w związku. I domyślam się, że sporo przeszłaś. Każdy, kto pracował z rozwodzącymi się parami, na pewno ma mnóstwo doświadczenia. Poza tym wygląda na to, że ty i Joy będziecie miały okazję, żeby naprawdę się poznać.

– Mam nadzieję.

– Hej – rzekł, przykładając palce do ust. – Jest tam. Charlie.

Rebecca zerknęła we wskazanym kierunku i ujrzała piękny domek kryty szarym gontem. Na tarasie siedział mały czarno-biały piesek wyglądający jak krzyżówka jack russell teriera z beagle'em. Na widok Theo zamachał krótkim ogonkiem, ale gdy Spock wyłonił się zza swojego pana, zwierzę natychmiast położyło uszy po sobie.

Rebecca usiadła na drugim schodku. Piesek obserwował ją przez moment, a potem pomału podszedł i usiadł przed nią. Pozwoliła mu obwąchać dłoń. Siedział tak długą chwilę, nie ruszając się.

– Myślę, że to dobry znak – zaopiniował Theo.

– Jest uroczy – stwierdziła.

Jej serce tajało na widok jego cudnej mordki. Wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać, a on pozwolił jej na to, po czym oparł łebek na jej dłoni.

Theo wszedł do domu i po chwili wrócił z miską psiej karmy, którą podał Rebecce. Wzięła kilka groszków i wyciągnęła je na dłoni w stronę Charliego. Piesek przekrzywił uroczo główkę, zjadł przysmaki i usiadł obok niej, opierając nos na jej udzie.

– Chcesz się bawić? – zapytała. – Lubisz aportować?

Podniosła jakiś patyk i rzuciła go, a Charlie natychmiast za nim pomknął i przyniósł, merdając ogonem.

– Och, mały słodziak. Będiesz mój – oznajmiła, ponownie rzucając patyk.

Theo się roześmiał.

– Zaopiekuję się nim do twojego powrotu z wycieczki. Do czasu wyjazdu możesz wpadać,

kiedy tylko zechcesz, żeby się z nim pobawić albo go nakarmić. Dzięki temu lepiej się poznacie.

Pogłaskała pieska po brzuszku.

– Tak zrobię, Charlie – powiedziała. – To jego imię. Pasuje do niego.

– Rzeczywiście wygląda jak Charlie. Nie mam pojęcia dlaczego.

Rebecca zaczęła się śmiać. Miała psa. Była na życiowym rozstaju dróg, nie miała prawdziwego domu, ale miała psa. I miała co robić w ten weekend.

Siedzieli tak z Theo na wyblakłych schodach, opowiadając sobie o zwierzętach, i nagle Rebecca zapragnęła go pocałować. Chciała tego tak bardzo, że aż świerzbiły ją stopy.

„A więc tak to wygląda – pomyślała. – Siedzisz sobie z kimś, rozmawiając o śwince morskiej z dzieciństwa, a on opowiada ci o tym, jak jego szczurki zniknęły kiedyś na dwa dni, i nagle łączy was pies przybłąda. I choć masz faceta – poważnego faceta, faceta, z którym mieszkasz i którego matka dała ci swoją suknię ślubną, odczuwasz silną potrzebę pocałowania innej osoby. Ale nie możesz tego zrobić”.

Dlatego Rebecca wstała, objęła Charliego na pożegnanie, powiedziała Theo, że wpadnie jutro na spotkanie z pieskiem, po czym ruszyła w stronę hotelu. Zwierzak pomknął jednak za nią.

– Nie, Charlie, musisz zostać tutaj.

Pies nie słuchał.

– Może Marianna pozwoli ci go zatrzymać w pensjonacie – powiedział Theo z uśmiechem.

– Wpadnę w sobotę i niedzielę, żeby go wyprowadzić i nakarmić.

– Naprawdę? Dziękuję.

Tak oto Rebecca wracała do hotelu z małym biało-czarnym pieskiem o imieniu Charlie, który zatrzymywał się co chwilę, żeby obwąchać każde napotkane drzewko, kwiatek i liść.

„Pies, który przystaje, żeby powąchać kwiaty, musi być mój” – pomyślała.

Kiedy wróciła do pokoju hotelowego, w drzwiach znalazła liścik:

*Cześć, Rebecca! Nie zastałam Cię – zdałam sobie sprawę, że nie mam Twojego numeru. Czy możesz wpaść do mnie na kolację w środę? Zaprosiłam kilka osób – łącznie z Timem! Możesz przyprowadzić osobę towarzyszącą, jeśli chcesz... 45 Marigold Lane (biały dom, trzeci od lewej). Ellie (555-8259)*

Pies, plany weekendowe, zauroczenie, a teraz jeszcze zaproszenie na kolację. Rebecce znów zabiło mocniej serce. Odszukała Mariannę, która natychmiast zgodziła się na psa i dała nawet dziewczynie dwie ceramiczne miseczki na jedzenie i wodę.

Następnego ranka Rebecca zobaczyła zawieszoną na kłamce niebieską reklamówkę.

– Co to takiego, Charlie? – zapytała małego pieska, który czekał cierpliwie u jej stóp po porannym spacerze.

W środku znalazła czerwoną obrózkę ze srebrną plakietką w kształcie kości. Na jednej stronie był wygrawerowany napis: „Charlie”, a na drugiej: „Rebecca Strand”. Obok leżał liścik.

*Rebecca, przyjmij ten skromny prezent w ramach podziękowania za to, że zgodziłaś się zaopiekować maluchem. Chciałem też zlecić wygrawerowanie Twojego numeru telefonu pod nazwiskiem, ale go nie mam (choć bym chciał). Jeśli zaniesiesz plakietkę do sklepu zoologicznego przy Route 1, tego obok kwaciarni, zrobią to za darmo.*

Theo

Rebecca złapała się za serce. Była pod wrażeniem jego serdeczności i tak przemyślanego prezentu. Uklękła, zdjęła z szyi Charliego starą obrózkę, którą Marianna wyszperała dla niej razem ze smyczą z hotelowego składu rzeczy znalezionych, i założyła mu nową. Wyglądała przepięknie w połączeniu z krótką czarną sierścią w białe ciapki.

– Kupię ci jakąś odjazdową smycz do kompletu, kiedy pójde wygrawerować numer telefonu. Co ty na to? – zapytała Charliego i pogłaskała go po bródce, czyli w jego ulubionym miejscu.

Nie mogąc przestać się uśmiechać, wprowadziła psa do pokoju. Zwierzak natychmiast zwinął się w kulkę na prowizorycznym legowisku zrobionym ze starego siedziska z krzesła, które Marianna znalazła w garażu.

Potem zadzwoniła do Ellie.

– Ellie, zastanawiam się nad czymś. Na kartce napisałaś, że mogę przyjść w środę z osobą towarzyszącą. Znasz Theo Grangera? Zrobił dla mnie coś bardzo miłego – powiedziała, po czym opowiedziała dziewczynie o Charliem i obróżce. – Pomyślałam sobie, że mogłabym mu podziękować, zapraszając go na twoje przyjęcie.

W ten sposób dałaby mu do zrozumienia, jak bardzo wzruszył ją ten gest, a przy okazji uniknęłaby stwarzania sytuacji sam na sam, która byłaby nieunikniona, gdyby w ramach podziękowania na przykład sama zechciała mu coś ugotować (choć nawet nie miała kuchni) albo zaprosiła go na kolację do restauracji.

– Znam Theo. Wszyscy go znają. Oczywiście, przyprowadź go. Jest stuprocentowym singlem, wiesz?

– Ale ja nie – przypomniała jej Rebecca. – Przynajmniej nie do końca.

„Przecież nie zapraszam go na randkę – tłumaczyła się sama przed sobą. – To tylko podziękowanie za uprzejmość. To małe miasteczko. Ludzie tak tu postępują”.

Dostała numer do Theo od Marianny. Prawdopodobnie nawet nie zechce pójść. Zrobił coś niezwykle miłego, a ona zaproponuje mu kolację u koleżanki jako podziękowanie. On odmówi i będą mogli wrócić do niezobowiązującego koleżeństwa.

– Jasne, z przyjemnością pójdę – odpowiedział.

„To nie jest randka – powtarzała sobie w duchu, z głową w szafie. – Przestań się przejmować ubraniami”.

Jej dłoń ciągle zatrzymywała się na czerwonej kopertowej sukience. Jednak to był zdecydowanie strój randkowy. Omijając ją szerokim łukiem, złapała karmelowe sztruksy i kremowy kaszmirowy sweter, który ojciec podarował jej w zeszłym roku na urodziny. Na nogi wsunęła brązowe zamszowe buty, a na nadgarstek kilka złotych bransoletek odziedziczonych po mamie. Jeszcze tylko delikatny makijaż i gotowe.

– Jak wyglądam? – zapytała Charliego, który na wpół drzemał, a na wpół obserwował ją ze swojej poduszeczki leżącej obok łóżka. – Nie sprawiam wrażenia odpicowanej, prawda? Idę do znajomej na domową kolację. Nie mogę się pokazać w dresie.

„Przyznaj, że on ci się podoba” – odpowiedział jej spojrzeniem Charlie.

– Podoba mi się. – Dlatego właśnie zrezygnowała z Chanel N°19. To NIE BĘDZIE randka.

Niemniej jednak po wyjściu z hotelu, kiedy niemal biegła ulicą w podskokach, musiała przyznać sama przed sobą, że ma ochotę odtańczyć taniec szczęścia. Naprawdę czuła się szczęśliwa. Może dlatego, że lekko zadurzyła się w Theo? Albo dlatego, że Joy zaprosiła ją na wycieczkę na ten weekend, albo że miała małego czarno-białego pieska do kochania i plany na dzisiejszy wieczór ze znajomymi, których tydzień temu nawet nie znała? A może przez wszystko po trochu?

Zajrzała do Mama's Pizza, w której aż roiło się od gości, żeby kupić kosz ciasteczek Marianny dla Ellie. Wzięłaby je bezpośrednio od Marianny, ale wiedziała, że kobieta nie zgodziłaby się przyjmując pieniędzy, a ona chciała kupić co najmniej kilkanaście, bo nie miała pojęcia, ilu gości Ellie zaprosiła (podejrzewała, że z osiem osób).

– Ogołociłaś mnie z zapasów – oznajmiła Arlene. – Marianna będzie wniebowzięta. Ale nie powiem jej, że to ty wszystko kupiłaś – dodała, puszczając oczko.

Na koszt firmy dorzuciła butelkę cydru domowej roboty – właśnie testowała nowy przepis. Rebecca obiecała, że przekaze jej opinie wszystkich degustatorów, nawet najbrutalniejsze.

Gdy wychodziła, do lokalu wpadł Matteo, z impetem trzaskając drzwiami. Wyminął Rebecę oraz Arlene i walnął pięścią w blat tak mocno, że podskoczyły wszystkie tace z ciastami. W restauracji nagle zrobiło się cicho.

– Matteo, kochanie, uważaj na dłonie – szepnęła Arlene.

– Nie obchodzą mnie moje głupie dłonie! – wrzasnął chłopiec ze łzami w oczach. – Nie obchodzi mnie, czy jeszcze kiedyś zagram na tej głupiej wiolonczeli!

Wpadł przez wahadłowe drzwi do kuchni i Rebecca usłyszała, jak wbiega po schodach na piętro.

– Ech – westchnęła Arlene. – To mi wygląda na kłopoty sercowe. W takich momentach naprawdę żałuję, że jego ojciec nie mieszka w pobliżu.

– A gdzie on jest? – zapytała Rebecca. Wcześniej z jakiegoś powodu założyła, że Arlene jest wdową.

– W Kalifornii. Często dzwoni do Matteo, nawet kilka razy w tygodniu, ale to nie to samo. Może Theo będzie mógł pomóc. Już z nim rozmawiał w podobnych kryzysowych sytuacjach.

– Widzę się dziś z Theo – wypaliła Rebecca i natychmiast spiekła raka. – To znaczy... będziemy na tym samym przyjęciu.

Arlene uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– To dlatego tak ślicznie wyglądasz? W takim razie może go poprosisz, żeby wpadł do nas jutro i pogadał z Matteo? Teraz sama do niego pójde i zrobię co w mojej mocy.

– Obiecuję.

Z koszykiem pełnym łakoci od Marianny i oznakowaną ręcznie butelką cydru Rebecca podążyła w dół Ocean Avenue, w stronę domu Theo. Wcześniej nie widziała go od frontu. To był naprawdę piękny dom – bungalow we wspaniałym stylu, mały, ale jednocześnie wyjątkowo rozległy.

Zapukała i po chwili Theo otworzył drzwi. Na jego widok prawie spadła z werandy. Boże, jaki on był przystojny. Miał na sobie białą zapinaną koszulę z długimi rękawami i ciemnoszare bojówki. Na nadgarstku dostrzegła zegarek z brązowym skórzanym paskiem. Pachniał mydłem – bardzo świeżo i przyjemnie. W dłoniach trzymał dwa pudełka z etykietkami Mama's Pizza. Rebecca roześmiała się i pokazała mu kosz łakoci oraz cydr.

– No cóż. Nie zabraknie nam dziś deseru – oznajmił. – Kupiłem sernik i ciasto czekoladowe. Ładnie wyglądasz – dodał, gdy ruszyli cichą, ciemną ulicą. Jego komplement zawisł na moment w powietrzu, a szum fal i pokrzykiwanie mew rozbrzmiewały niczym muzyka w tle romantycznej sceny filmowej.

– Dzięki, ty też – odparła, a potem spojrzeli sobie w oczy, co trwało na tyle długo, by Rebecca mogła stwierdzić, że to była randka.

W czasie prawie kilometrowego spaceru do Ellie Rebecca opowiedziała o Matteo i jego łzach.

– Biedaczysko – rzekł Theo. – Od dawna rozmawiam z nim o dziewczynach. Właściwie odkąd skończył dwunasty rok życia. Już trzy razy ktoś złamał mu serce, a ma dopiero siedemnaście lat. Nic mu nie będzie. Czasem zapomina, jak wiele znaczy dla niego muzyka. Jest dla niego wszystkim. To wielkie szczęście, że ją ma.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Ma też szczęście, że zna ciebie.

– Wolałby swojego ojca. O tym też dużo rozmawialiśmy. Ja również wychowywałem się bez ojca, więc go rozumiem. Tylko że ja nie zwierzałem się matce jak Matteo. Dusłem wszystko w sobie.

– Jak to się zatem stało, że z taką swobodą rozmawiasz na podobne tematy? – zapytała Rebecca.

– Dobre pytanie. Nie mam pojęcia. Jako dziecko i nastolatek byłem raczej samotnikiem. Pewnie dzięki temu lepiej zrozumiałem siebie.

Zatrzymał się przed pięknym domem w stylu greckim, z imponującą werandą zdobioną czterema białymi filarami. Pomalowane na czerwono drzwi wejściowe okalały wąskie okna z czarnymi okiennicami.

Rebecca uniosła wzrok na przepiękny budynek.

– Nie wierzę, że Ellie ma taki wielki dom tylko dla siebie.

– Nie cały. Jest podzielony na cztery mieszkania. Wiele dużych domów, które widziałas w okolicy, to tak naprawdę apartamentowce albo domki jednorodzinne z dodatkowym mniejszym mieszkaniem.

– Och – westchnęła, przypominając sobie pierwszy dzień w Wiscasset, kiedy bus miłości podjechał po Ellie i patrzyła, jak Tim schodzi z drewnianego podestu z pierwszego piętra.

Theo poprowadził ją do bocznych drzwi i nacisnął dzwonek.

Ellie otworzyła w seksownej czerwonej sukience i czarnych szpilkach. Zerknęła ponad ich głowami na schody.

– Miałam nadzieję, że to Tim. Choć oczywiście bardzo się cieszę na wasz widok – dodała z uśmiechem. – Rebecca i Theo już są! – krzyknęła w głąb mieszkania i wzięła od nowo przybyłych smakowite prezenty.

„Nie, chwileczkę. Nie można mówić, że JESTEŚMY. Ja jestem. Theo jest. Ale nie razem, jako para. Mam faceta w Nowym Jorku. I mieszkanie. I pracę”.

Nagle poczuła się jak oszustka. Jakby żyła tu drugim życiem, podczas gdy miała inne daleko stąd, z ludźmi, którzy czekali na jej powrót. Choć w zasadzie nikt na nią szczególnie nie czekał. Michael pewnie poszedł na kolację z „koleżanką” z siłowni i może właśnie opowiada jej o tym, jak jego dziewczyna postradała rozum i przeniosła się do Maine. Charlotte miała męża.

Mogłaby naprawić relacje z Michaelem. Może gdyby w końcu przyznała się do tego, że nienawidzi swojej pracy – że lubi stronę psychologiczną, ale nie prawniczą tego zawodu, mogłaby coś osiągnąć. Gdyby wróciła do domu i została z Michaelem, miałyby Glendę Whitman.

To nie wydawało jej się wystarczającym powodem.

– Jak cudownie pachnie. Czuję coś meksykańskiego – powiedziała Rebecca. – Mam nadzieję, że nadziewane ciasteczka będą do tego pasować.

Ellie się rozpromieniła.

– Nadziewane ciasteczka pasują do wszystkiego. – Zerknęła kątem oka przez okno. Ani śladu Tima.

Mieszkanie Ellie było maleńkie (składało się z saloniku i sypialni), ale przytulne – nie licząc motywów dekoracyjnych zainspirowanych przez Tima. W pokoju dziennym dało się zauważyć wpływy ich obojga. Stała tu czarna skórzana sofa (jego), cała obdrapana po przejściach z kotami,

oraz mała, dwuosobowa kanapa z czerwonego aksamitu, wyściełana kolorowymi poduszkami (jej). Każdy swojski, rustykalny element dekoracyjny miał swój odpowiednik w postaci sztuki barowej. „Tim tu był” – głosił napis nad wejściem do łazienki, ułożony z kapsli po piwie.

W małej wnęce jadalnej, na wbudowanej serwantce stała kolekcja zdjęć ślubnych. Rasmussenowie wyglądali na nich tak młodo i radośnie: Ellie była przepiękna w sukni bez ramiączek, a Tim – naprawdę przystojny facet, przypominał Rebecce bramkarzy z popularnych klubów nocnych w Nowym Jorku. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i bardzo umięśnioną sylwetkę. Na zdjęciu z wesela Rebecca naliczyła dwanaście druzhen i dwunastu družbów.

„Ha! – przemknęło jej przez myśl. – A myślałam, że Charlotte, z siedmioma druzhenami, miała duże wesele”.

W salonie siedziały trzy nieznane jej pary. Ellie przedstawiła Mayfairów – dwudziestokilkuletnich małżonków trzy lata po ślubie, którzy byli do siebie zadziwiająco podobni – począwszy od kręconych blond włosów po niemal identyczne okulary bez oprawek. O’Connorowie, z jedenastoletnim stażem małżeńskim, wyglądali na kompletnie niedopasowanych, ale wciąż trzymali się za ręce. Julie O’Connor, wysoka, szczupła kobieta, ani na chwilę nie przestawała mówić. Otto O’Connor – niski, z wyraźnym brzuszkiem – powiedział może trzy słowa. Trzecią parę Ellie przedstawiła jako państwa Ludenowskich – dwadzieścia dwa lata po ślubie, księgowi wspólnie prowadzący biuro rachunkowe.

Gdy prezentacje dobiegły końca i wszyscy wymienili uściski dłoni, mężczyźni zebrali się wokół Theo, a potem odpłynęli w stronę narożnego stolika zastawionego koreczkami serowymi, krakersami i piwem.

Kobiety okazały się członkiniami kółka dziewiarskiego Ellie, które organizowało spotkania w sklepie włókienniczym w Brunswicku.

– Chcę zainspirować Tima przykładami szczęśliwych par małżeńskich na różnych etapach życia – wyjaśniła dziewczyna. – W ten weekend doświadczy czegoś przeciwnego, więc pomyślałam, że pokażę mu, jak MOGŁOBY być. Nawet w dalekiej przyszłości. – Sprawiała wrażenie, jakby miała się zaraz rozplakać. Minęło już pół godziny, a Tima wciąż nie było. – Chciałam też zaprosić sąsiadów; są już ponad czterdzieści lat po ślubie, ale to mogłoby go wystraszyć. – Westchnęła ciężko. – On nie przyjdzie, prawda?

– Daj mu szansę – pocieszała ją Rebecca. – Jest jeszcze wcześniej.

O ósmej po Timie nadal nie było śladu.

– Jeśli przetrzymam mięso jeszcze trochę dłużej, będzie za twarde – rzekła Ellie, wchodząc z Rebeccą do kuchni.

Dziewczyna ułożyła skwierczące kawałki wołowiny i kurczaka na kolorowych talerzach. Ellie przeszła samą siebie – przygotowała salaterki pełne krojonych warzyw, purée z fasolki, guacamole, oliwki, sosy i tortille. Kiedy ustawiły wszystko na stole, Tima wciąż nie było.

– Myślisz, że przesadziłam? – szepnęła Ellie do Rebekki, gdy wróciły do kuchni. – Może to po prostu za dużo? Kolacja i wycieczka weekendowa. Ale obiecał mi, że dziś przyjdzie. A raczej, że spróbuje wpaść. Ale co innego mógłby teraz robić? Grać w pokera? Oglądać *CSI*? Dlaczego nie chce do mnie przyjść? Jestem jego żoną. Ożenił się ze mną, żeby być przy mnie do końca życia. Wyraził to dość jasno w przysiędze małżeńskiej. Mógł uciec w dowolnym momencie podczas ceremonii, na przykład przed najważniejszą jej częścią.

– Zrobię wam po margaricie – oznajmił Theo, wchodząc do kuchni. – To moja specjalność.

Ellie przelała kwaśną śmietaną do pięknej miseczki i wetknęła w nią łyżeczkę. Miała lzy w oczach.

– Szklanki są w szafce nad tosterem. Ja poproszę supermocną.

– Ja też – szepnęła Rebecca do Theo.

W końcu Ellie zawołała wszystkich do salonu i ogłosiła:

– Tim musiał zostać dłużej w biurze. – Ponieważ prowadził własną firmę zajmującą się architekturą zieleni i strzygł trawniki prawie wszystkim zebranym przy stole, dodała: – Zatrzymały go uparte chwasty. – Po tych słowach wybiegła z pokoju.



Małżonkowie spojrzeli po sobie z widelcami uniesionymi w powietrzu.

Theo szepnął:

– Zabawię gości, a ty możesz iść porozmawiać z Ellie. – Uśmiechnął się do zebranych. –

*Bon appétit* – powiedział, nadziewając tortillę.

Chwilę później wszyscy już wesoło rozmawiali, przyrządzając swoje fajity i wygłaszając peany na cześć guacamole, które Ellie sama zrobiła.

Rebecca wyszła na poszukiwania gospodyni – znalazła ją bez trudu. Dziewczyna siedziała na najwyższym stopniu swojej małej werandy, obejmując kolana, z twarzą przysłoniętą ciemnymi włosami.

Rebecca otoczyła ją ramieniem.

– Przykro mi, kochanie.

– Mnie też – odrzekła i oparła głowę na ramieniu koleżanki.

– A więc całe to przyjęcie było swojego rodzaju interwencją? – zapytał Theo, gdy wracali ciemną ulicą.

Nieśli siatki pełne jedzenia, które Ellie wcisnęła im niemal siłą – jeśli nie dla nich, to przynajmniej dla Spocka i Charliego.

– Dobrze to ująłeś. Ellie chce ratować małżeństwo. Nie znam Tima, ale po tym, co mi opowiadała, martwię się o nią.

– Po tym, co widziałem w jego wykonaniu na mieście, ja też – odparł.

Tim nie pokazał się na przyjęciu. Ellie osuszyła łzy, poprawiła szminkę i wróciła do stołu. Nawet coś zjadła. I śmiała się.

– Muszę pamiętać, że te pary reprezentują możliwości udanych związków. To, co najlepsze w małżeństwie – stwierdziła. – Są dla mnie inspiracją. Nawet jeśli Tim ich nie poznał.

Rebecca naprawdę coraz bardziej lubiła Ellie i ten jej ślepy optymizm.

– Jeśli tu skręcimy, możemy dalej iść plażą. – Theo poprowadził ją wąską, krętą ścieżką.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Późnowrzesniowa noc była przyjemnie rześka, a temperatura idealnie wyważona między ciepłem i chłodem. Rebecca przystanąła i kilka razy odetchnęła morskim powietrzem. Theo się uśmiechnął.

– Sam też to często robię. Ellie będzie tego potrzebowała w najbliższym czasie.

– Mówiłeś, że znasz szczęśliwe pary, prawda? One istnieją. Tak jak te zaproszone przez Ellie. Udane małżeństwa. Dokańczające za siebie zdania.

– Oczywiście, że istnieją – powiedział, kopiąc liście pod stopami. – Moi rodzice do nich nie należeli, ale dziadkowie zdawali się zakochani w sobie aż do śmierci. Jedno umarło zaledwie kilka dni po drugim. Lekarz stwierdził, że dziadek umarł, bo miał złamane serce po stracie ukochanej.

Rebecca się uśmiechnęła. W jej głowie od razu pojawili się kochani maleńcy dziadkowie ze strony taty. Murray i Mildred Strandowie – którzy ubierali się odświętnie na każdą kolację, nawet jeśli jedli w swoim mieszkaniu na Brooklynie – również umarli śmiercią naturalną w odstępie zaledwie kilku dni.

– Tak jak rodzice mojego taty. Byli taką słodką parą.

Theo na moment ucisnął jej palce.

– Widzisz? A więc to możliwe.

Poczuła przyjemne mrowienie. Tak bardzo chciała wziąć go za rękę, ale tego nie zrobiła.

– Najbardziej niesamowite jest to, że moi dziadkowie poznali się na randce w ciemno zorganizowanej przez ich rodziny. Wszyscy oczekiwali, że przypadną sobie do gustu, właściwie wręcz na to nastawiali, a oni zakochali się od pierwszego wejrzenia i po dwóch tygodniach już byli małżeństwem. A potem żyli błogo i szczęśliwie przez kolejne sześćdziesiąt lat.

– Może nie co dzień. Jestem pewny, że doświadczyli też trudnych chwil i tragedii, tak jak moi dziadkowie.

– Sę w tym, że pewnie tak, ale nic nie zdołało ich rozdzielić. Czy to dlatego, że czasy były inne?

Theo wzruszył ramionami.

– Myślę, że w przeszłości ludzie przymykali oczy na wiele spraw. Konwenanse społeczne,

znaki czasu, obyczaj, jakkolwiek to nazwać, mają różną trwałość. To, co trzydzieści, czterdzieści lat temu uznawano za „dopuszczalne”, na przykład ślepe godzenie się ze swoim losem, dziś takie nie jest. A to, czego nie akceptowano, na przykład porzucanie nieudanego małżeństwa, dziś jest całkiem normalne. W obecnych czasach nie zmiata się pod dywan, i dobrze. Ludzie często mówią, że woleliby, żeby wszystko było proste, tak jak w latach pięćdziesiątych, ale tak naprawdę to pieprzenie głupot. To, że kiedyś nie rozmawiało się o poważnych problemach, wcale nie znaczy, że życie było prostsze. Dla niektórych musiało być bardzo trudne.

– Zgadzasz się z tobą – przytaknęła, pozwalając jego mądrym słowom zawisnąć na moment w powietrzu. – Ale teraz, kiedy tak wiele rzeczy jest akceptowalnych społecznie, na przykład życie bez ślubu, dlaczego ktoś taki jak Tim w ogóle się żeni, skoro nie chce być w zaangażowanym, monogamicznym związku ze swoją żoną?

Jak Rebecca miała pomóc na wycieczce dla burzliwych związków, skoro nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania?

„A może zamiast na nie odpowiadać, powinnam zadać je parom?” – ta myśl przyniosła jej pocieszenie. Może właśnie strategia zadawania pytań okaże się kluczem.

– Jest jeszcze druga strona medalu – odezwał się Theo. – Na przykład Ellie, która tak bardzo pragnie utrzymania małżeństwa, że ignoruje nawet najbardziej oczywiste znaki ostrzegawcze. Może tak zaangażowała się w ten związek, że nie wyobrażała sobie rozstania. Wolą zaryzykować burzliwe małżeństwo.

– A może para musi być po prostu szaleńczo w sobie zakochana.

– Tylko że to „zakochanie” nie zawsze trwa wiecznie. Związek musi być poparty czymś jeszcze, na przykład dojrzałością.

Gdy w oddali zamajaczył dom Theo, Rebecca usłyszała znajome szczekanie Spocka.

– Chyba wyczuwa, że wracasz.

– Rozpoznaje moje kroki – odparł. – I jestem pewny, że już czuje swoje fajity. Wejdz. Daj mi chwilę, znajdę tylko jego smycz i odprowadzimy cię do Marianny.

Serce Rebekki zabiło szybciej na myśl o wejściu do jego domu. Zobacz, gdzie mieszka, gdzie przesiaduje, jada, śpi. Gdzie bierze prysznic. Podążyła za nim i jej usta natychmiast ułożyły się w uśmiech. Żadnej czarnej skóry. Spock miał pluszowe legowisko przy kamiennym kominku. Wnętrze było urządzone tak pięknie, że zastanawiała się, czy nie mieszkała tu kiedyś jakaś kobieta.

Przycupnęła na sofie – drewnianej podstawie pokrytej poduszkami w delikatne liściaste wzory. Zewsząd otaczała ją natura. Cały parter wyglądał podobnie – z sizalowym chodnikiem na podłodze i karniszami z okorowanych gałęzi, z których zwisały muślinowe zasłony.

– Masz piękny dom – powiedziała, gdy brał Spocka na smycz. – Czy większość tych mebli zrobiłeś sam?

– Tak. Ostatecznie w ten sposób zarabiam na życie.

Stał przy drzwiach z wielce podekscytowanym Spockiem u nóg, ale ona pragnęła zostać. Naprawdę zaczynała lubić tego faceta. Właśnie dlatego wstała.

Po pięciu minutach byli już pod hotelem.

– Zrobiłem ją dla Marianny dwa lata temu – powiedział, wskazując na przepiękną huśtawkę dla dwojga, stojącą na bocznej werandzie.

Usiedli na niej i odepchnęli się, wprawiając ją w ruch. Nad nimi, na czarnym niebie, wisiał srebrny półksiężyc i migotały gwiazdy. Rebecca przyglądała się im przez chwilę, wyęzając całą siłę woli, żeby nie wypowiedzieć życzenia. Żeby tylko się nie zakochać w tym cudownym, przenikliwym, inteligentnym facecie.

Siedzieli tak blisko siebie, że nawet nie musiałyby się poruszyć, żeby go pocałować.

– Posyłasz życzenia do gwiazd? – zapytał.

– Widzę, że czytanie w myślach również należy do twoich licznych talentów. Choć właściwie to, jeśli mam być szczerą, właśnie próbowałam się zmusić, żeby nie wypowiadać życzenia.

– Skomplikowana sprawa?

– Bardzo – przytaknęła, spoglądając na idealną gwiazdkę, kusząc ją swym mruganiem. –

Wczoraj wieczorem przyszedłam tutaj i życzyłam sobie, żeby to wszystko nabrało sensu, cały ten mój pobyt tutaj. Chciałam poczuć, że powinnam tu być, że postępuję właściwie.

– Martwisz się, że tak nie jest?

– Joy mnie tu nie chce – odparła. – A teraz jeszcze TO.

– To?

Zawahała się, ale po chwili wypaliła jednym tchem:

– Siedzę na huśtawce z facetem, którego chcę pocałować, podczas gdy w Nowym Jorku mam chłopaka, z którym mieszkam i który czeka na mój powrót do domu.

Uśmiechnął się.

– A chcesz wrócić do domu?

Zerknęła na księżyc srebrzący się na niebie.

– Nie wiem. Na pewno tu nie czuję się jak w domu. Nie żyję własnym życiem. Próbuję wepchnąć się w życie kogoś innego. Kiedyś już to przerabiałam. Wiem, co to znaczy, kiedy zbyt długo trzymasz się związku, choć ta druga osoba dała jasno do zrozumienia, że cię nie chce, ale ty nie potrafisz odejść. Tak właśnie się teraz czuję; i tak, jak podejrzewam, czuje się Joy.

Skinął głową ze zrozumieniem.

– A co z tym facetem, którego chcesz pocałować? Czy tylko komplikuje sprawę?

– Raczej pomaga mi odnaleźć się w całej sytuacji, choć nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– To ciekawe, że czasem tak się dzieje. Jestem pewny, że pozwoliłby ci przetestować ten pocałunek, gdybyś potrzebowała. Tak tylko mówię.

Wystarczyło tylko unieść twarz i już po chwili MOGŁABY to zrobić. Delikatny wietrzyk popychał ją w jego stronę, ale się zawahała. Pragnęła pocałować tego faceta – tego pięknego mężczyznę, ale nie była wolna. Nie mogła tego zrobić.

„Nie jesteś mężatką – upomniała się. – To co innego”.

Ale dlaczego to co innego? Ona i Michael pozostawali w zaangażowanym związku. Mieszkali razem. Choć ostatnimi czasy nie do końca.

„Dlaczego tak mi przy tobie dobrze? – cisnęło jej się na usta. – Dlaczego tak dobrze czuję się tutaj? Jestem na jakimś pustkowiu, gdzieś daleko od domu, i pragnę pocałować faceta, którego prawie nie znam. Jednak to on sprawia, że czuję się dobrze właśnie tu, gdzie teraz jestem.

Jestem tutaj, ale gdzie jest tutaj?”.

– Chyba właśnie nadeszła właściwa pora, żebyś zaproponował, że odprowadzisz mnie do drzwi – powiedziała. – Żeby mnie bronić przed kojotami i dzikimi zającami.

– I mną?

– I tobą.

Wstał. Zrobiła to samo i Theo odprowadził ją do drzwi frontowych. Otworzyła je kluczem, a on zerwał fioletowy kwiatusek z rabatki okalającej krzaki. Włożył go Rebecce za ucho.

– Przyjdę po Charliego jutro koło piątej. Może być?

– Świetnie. Jak wyglądam? – zapytała, przekręcając głowę, by lepiej wyeksponować udekorowane ucho.

– Przepięknie. Jak zawsze. Dobranoc – powiedział i rozpląnął się w ciemności pod gwiazdami.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała Rebecca, gdy otworzyła nad ranem oczy, był fioletowy kwiatusek. Wstawiła go wczoraj do filizanki z wodą.

– Będziesz w dobrych rękach w ten weekend – powiedziała Charliemu.

A kiedy Theo zgodnie z obietnicą przyjechał po psa o siedemnastej i tylko po przyjacielsku uściskał jej dłoń, nie wspominając słowem o niedoszłym pocałunku i nie mówiąc nic oprócz: „Będę w domu po trzeciej w niedzielę, więc możesz go odebrać, o której zechcesz”, Rebecca wiedziała, że wpadła w jego sidła.

Gdy Rebecca zatrzymała się przed domem Joy, wyszła z niego elegancka pięćdziesięcioletnia kobieta i podeszła do samochodu zaparkowanego na podjeździe. Szukała czegoś na tylnym siedzeniu, a potem w bagażniku. Dziewczyna poczuła, jak zamiera jej oddech.

Pia Jayhawk – była tego pewna.

Miała blond włosy, wycieniowane ku podbródkowi, ostrzyżone na pazia z ciężką grzywką à la Louise Brooks. Cała ubrana na czarno, jak mieszkanka Nowego Jorku, z chustą ozdobioną koralikami na biodrach, podobną do tych, jakie noszą tancerki brzucha. Z uszu zwisały jej długie metalowe kolczyki. Każdą rękę opasywało kilka bransoletek. Zaniosiła do domu jakiś duży przedmiot przypominający sztalugę.

Wszyscy twierdzili, że Rebecca wygląda jak jej ojciec, że poza falowanymi włosami, jasnobrązowymi oczami, nieco przydługim nosem i trochę zbyt szerokimi ustami ma w wyrazie twarzy coś takiego, co nasuwa na myśl Daniela Stranda. Zastanawiała się, czy Pia by ją rozpoznała. Czy spojrzałyby na nią i WIEDZIAŁA.

Wątpliwe.

Rebecca potrzebowała kilku minut, by opuścić bezpieczne wnętrze samochodu. W końcu zabrała swoją torebkę, torbę podróżną i nacisnęła dzwonek.

Joy uchyliła drzwi.

– Pamiętaj o naszej umowie – powiedziała.

Rebecca przytaknęła, a Joy otworzyła szerzej i gestem zaprosiła ją do środka. Weszła do niewielkiej sieni z ustawionymi w szeregu maleńkimi bucikami i kaloszkami oraz przedszkolnymi rysunkami uroczo przymocowanymi do sznura od bielizny wiszącego w poprzek ciasnego pomieszczenia. Kiedy Joy prowadziła ją do salonu, Rebecca zauważyła, że mają podobny gust, jeśli chodzi o wystrój wnętrz – styl ludowy w połączeniu ze współczesnym oraz używanymi przedmiotami. Wygodna pluszowa wersalka w kremowym kolorze o interesującej fakturze wraz z kolorowymi ozdobnymi poduszkami, duży puszysty dywan i ciekawe lampy z podstawami w kształcie słoni. Rebecca, wśród rzeczy, które trzymała u Michaela, miała kilka słoni na szczęście.

U Michaela. Ciekawe, że nie myślała o mieszkaniu w Nowym Jorku jak o swoim domu. To jest i zawsze było mieszkanie Michaela.

– Oczywiście znasz Ellie – rzekła Joy.

Dziewczyna przygryzała wargę i wyglądała przez okno w oczekiwaniu na Tima. Wrzuciła sobie do ust kawałek sera.

– Jeszcze go nie ma.

Rebecca przyglądała się, jak na twarzy Ellie nadzieja przeplata się z rozpaczą. Oby tym razem Tim się pojawił.

– A to są Aimee i Charles Cutlassowie – kontynuowała prezentację Joy, prowadząc ją ku parze trzydziestolatków siedzących bardzo blisko siebie na niewielkiej sofie. – Aimee jest bibliotekarką, a Charles menedżerem w przedstawicielstwie handlowym Hondy w Brunswicku.

Byli wysokimi, szczupłymi rudzielcami, jednak kędzierzawe loczki Aimee zdawały się prawie pomarańczowe, a włosy Charlesa miały bardziej kasztanowy odcień. Oboje włożyli białe golfy, spodnie w kolorze khaki i dopasowane granatowe wiatrówki. Joy uśmiechnęła się do nich.

– Rebecca jest tą specjalistką od mediacji, która miała do nas dołączyć.

Po paru minutach pogawędki Ellie odciągnęła Rebeccę na stronę, do znajdującego się pod oknem małego stolika z przekąskami.

– Ciekawe, jaka jest ich historia – wyszeptła. – Wydają się szczęśliwym małżeństwem. Do tego stopnia, że noszą identyczne ubrania.

– „Wydaje się” zawsze jest kluczem – zwróciła uwagę Rebecca.

Zadzwoił dzwonek do drzwi i niemal poczuła, jak dziewczyna sztywnieje.

– Niech to będzie on – powiedziała cichutko ze względu na Ellie.

I to był on. Odetchnęła z ulgą na widok Tima Rasmussena. Miał co najmniej metr

dziewięćdziesiąt wzrostu i kark zawodnika drużyny futbolowej. Stał w drzwiach, uśmiechnął się z zakłopotaniem do Joy i się rozejrzył. Jego spojrzenie spoczęło na rozpromienionej teraz Ellie, do której pomachał. Podbiegła do niego i wyszeptowała mu coś do ucha. Rebecca usłyszała, jak Tim mówi: „Spróbuję”.

Na razie wystarczy.

Spojrzała dookoła, mając nadzieję, że znów dostrzeże Pię Jayhawk. Usłyszała dziecięcy głos, a potem słodki chichot i podążyła za nim, udając, że z uwagą przygląda się niewielkim obrazkom rozwieszonym na ścianie salonu. Za przeszklonymi drzwiami, w pokoju, który prawdopodobnie służył do zabaw, dostrzegła Pię siedzącą na dużym okrągłym dywanie, budującą wraz z Rexem zamek z klocków. Do pokoju weszła Joy, chwyciła synka, przycisnęła go mocno do siebie i zawirowała z nim wkoło. Rebecca dosłyszała szept: „Do zobaczenia za dwa króciutkie dni” i „Będziesz się świetnie bawił z babcią”. Znów go uścisnęła, po czym wysliznęła się z powrotem przez drzwi. Rex usadowił się na kolanach Pii i zaczął się bawić jej długim łańcuszkiem od okularów.

Rebecca wpatrywała się w chłopca, swojego siostrzeńca, wnuka jej ojca. Chciała wbiec do pokoju, uklęknąć na podłodze, zbudować wieżę z klocków i ulepić kota z ciastoliny. Jednak to nie był odpowiedni czas. Może kiedy wrócą z podróży, Joy zgodzi się, by dołączyła do niej i Rexa na placu zabaw lub w bibliotece podczas czytania bajek?

Patrzyła, jak Harry Jones wchodzi do pokoju i robi to samo co Joy. Harry był bardzo przystojny, w niewymuszony sposób, jak model z katalogu L.L. Bean, z tymi swoimi lekko zmierzwionymi brązowymi włosami i orzechowymi oczami. Harry i Joy wyglądali na parę, jakby należeli do siebie nawzajem. Mieli na sobie takie same dżinsy z niskim stanem, swetry w stylu J. Crew i buty od Merrella. Na ich atrakcyjnych twarzach malowała się ta sama przyjazna życzliwość. Człowiek był w stanie wyobrazić sobie, że podchodzi do Joy w supermarkecie i pyta, czy ona wie, jak sprawdzić dojrzałość mango. A zielonej w kwestii samochodów Rebecce z łatwością przyszło na myśl, że dzwoni ze stacji benzynowej do Harry’ego, by spytać, czy użycie etyliny super ma sens.

Pia miała też w sobie coś onieśmielającego – bardzo charakterystycznego dla większości mieszkańców Nowego Jorku.

Rebecca patrzyła na nią, a Pia uniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej. Dokładnie w tym momencie ujrzała tę kobietę w jej fatalaskach w stylu Madonny, bransoletkach i wodorostach owiniętych wokół kostek, szukającą idealnego kamienia do namalowania.

Oddaliła się czym prędzej. Jednak kiedy przemierzała krótki korytarz prowadzący do salonu, kolejny obraz sprawił, że stanęła jak wryta.

Ojciec.

Była pewna, że to on. Nieduży obrazek na nieobramowanym płótnie miał wymiary dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Młody Daniel Strand siedział na plaży, rękami obejmował nogi, nie wyglądał ani na szczęśliwego, ani na spokojnego. Zdawał się poszukiwać odpowiedzi w falujących przed nim błękitnych wodach. Trzymał coś w ręce. Kiedy Rebecca się nachyliła, dostrzegła kamyk, prawdopodobnie ten sam, który dała mu Pia, gdy się poznali. Wpatrywała się w twarz ojca. W jego spojrzeniu był ledwie dostrzegalny ślad żalu, jak gdyby starał się to ukryć. Pia uchwyciła na obrazie prawdę o jej tacie. Było to tak dojmujące wrażenie, że Rebecca pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć farby.

Pia kochała Daniela Stranda, tego dziewczyna była pewna.

Pamiętała z jednego z listów ojca, że to był dom Pii, ale teraz mieszkała tu Joy, a obraz wciąż wisiał. Czy Joy wiedziała, że mężczyzna na plaży, ściskający w dłoni kamyk, był jej ojcem? Może wiedziała i lubiła mieć obraz w domu, choćby w niewielkim korytarzu, który nie zachęcał do podziwiania sztuki i pozostania w nim na dłużej? Może Joy wystarczyła świadomość, że tam był? Od czasu do czasu stawała w miejscu, w którym stała teraz Rebecca, i spoglądała na niego, zastanawiała się.

– Kto to? – usłyszała dziecięcy głos.

Podskoczyła, a chwilę potem zdała sobie sprawę, że Rex Jayhawk-Jones mówi o niej. Stał w holu przed przeszklonymi drzwiami, w odległości paru stóp od niej i gapił się na nią tymi swoimi

ogromnymi orzechowymi oczami; patrzył to na nią, to na Pię.

– To z pewnością przyjaciółka mamy – odparła Pia.

Rzuciła okiem na obraz, przed którym stała Rebecca, później przeniosła wzrok na nią – jej spojrzenie było tak przenikliwe, że dziewczyna przygryzła wargę.

Ona wiedziała. Wiedziała. Wiedziała.

– Zgadza się – powiedziała Rebecca do Rexa tym nazbyt radosnym głosem, jakim ludzie zwracają się do dzieci, i pospieszyła do salonu.

Stanąła przy stole zastawionym serem oraz krakersami i skupiła wzrok na obrazie znajdującym się nad pianinem – przedstawiał Pię i mężczyznę skaczącego z klifu.

– Nie byliśmy zbyt pewni – odezwał się głos za nią. – Rany, byliśmy w błędzie.

Rebecca się odwróciła. Pia stała za nią ze wzrokiem utkwionym w obraz.

– Pobraliśmy się z mężem siedemnaście lat temu. W listopadzie zamierzamy odnowić naszą przysięgę.

Rebecca nie dowierzała, że stoi tu i rozmawia z Pią Jayhawk; co więcej, pod tym obrazem.

– Czy fakt, że to właśnie siedemnaście lat, ma dla was szczególne znaczenie?

– Raczej nie, ale w zeszłym roku podejrzewali nowotwór u Jacka, dlatego chcemy to zrobić.

– Mój ojciec zmarł niedawno na raka – powiedziała Rebecca i szybko zamknęła usta.

Nie było powodu, dla którego Pia Jayhawk miałyby wiedzieć o śmierci Daniela Stranda. Nie musiało jej też to obchodzić; chociaż Rebecce wydawało się, że człowieka zawsze powinno to obchodzić.

Pia na chwilę zatrzymała wzrok.

– Bardzo mi przykro. Jesteś tu z powodu wyprawy Joy?

Przez chwilę Rebecca nie wiedziała, co powiedzieć: „Miałaś romans z moim ojcem.

Przespałaś się z nim na plaży. Urodziłaś jego dziecko. Kochałaś go? Rozmyślasz o nim? Wiesz, że on nie żyje?”.

Pia wpatrywała się w nią, więc Rebecca w końcu skinęła głową.

– W takim razie powodzenia.

– Ja... – Przecież nie mogła powiedzieć, że wcale nie znalazła się tutaj, by wziąć udział w wyprawie dla burzliwych związków. Poza tym szczęście było jej potrzebne.

Rzuciła okiem na korytarz. Stał tam Harry i trzymał synka na rękach. Joy omawiała coś spisanego na kartce z jakimś mężczyzną, prawdopodobnie jej ojczymem Jackiem. Być może był to plan dnia malucha.

Wzrok Joy splółł się ze spojrzeniem Rebekki. Delikatnie zmrużyła oczy.

– Mamo, mogłabyś zabrać Rexa? Za pięć minut wyjeżdżamy.

Pia uśmiechnęła się i ruszyła przez korytarz. Uściskały się z Joy, która następnie wzięła chłopca od Harry'ego. Mocno przytuliła syna i obsypała go pocałunkami, zanim przekazała go Pii. Joy nie przedstawiła Harry'emu Rebekki prawdopodobnie dlatego, że nie mogłaby powiedzieć przy matce: „Harry, to jest ta przyrodnia siostra, o której ci mówiłam; jej ojciec miał romans z moją matką, a potem udawał, że nic się nie stało i że nie było żadnej ciąży”.

Serce Rebekki się ścisnęło. Była w domu Joy, pośród jej rodziny. To ona tu nie pasowała, nie należała do niej. Kiedy ojciec opowiedział Rebecce o dziecku, od którego się odwrócił, to Joy była tą, która nie należała do rodziny Strandów. Ale tutaj Joy miała cały swój świat, swoje życie, rodzinę, przyjaciół, męża i dziecko. To Rebecca była obca.

Podczas trzydziestominutowej jazdy z Wiscasset do South Freeport Rebecca dowiedziała się od Aimee Cutlass, że próbują z Charlesem zająć w ciążę od ich miesiąca miodowego pięć lat temu. Aimee była już gotowa na adopcję. Charles natomiast był gotów zaadoptować psa; a może nawet dwa. Aimee sądziła, że nie może zająć w ciążę, bo Charles w głębi duszy nie chce mieć dzieci. Usłyszała w programie Oprah Winfrey o książce zatytułowanej *Sekret* i okazało się, że cała rzecz polega na tym, że trzeba myśleć pozytywnie. Najwyraźniej Charles sądził, że dzieci oznaczają wydatki, że to zmieniające twoje życie, płaczące, bezradne, zależne od ciebie, wymagające małe stworzenia, dlatego też jego sperma nie docierała do jajeczka.

Aimee podzieliła się tą informacją z Rebeccą, Ellie i Joy z przedniego siedzenia. Jeśli

słyszał to Charles, nie dał tego po sobie poznać. Siedział w środkowym rzędzie, lecz był odwrócony bokiem i rozmawiał z Harrym oraz Timem, którzy znajdowali się z tyłu. Joy zasugerowała, by tak właśnie usiedli, aby początek wyprawy był łatwiejszy dla Tima, by mężczyzna mógł wdać się w męską pogawędkę, zamiast siedzieć obok narzekającej żony i wysłuchiwać listy swoich małżeńskich wykroczeń.

– Rebecca, może mogłabyś poprowadzić dyskusję o tym, czego wszyscy pragniemy w małżeństwie? – wyszeptwała Ellie.

– Właściwie myślę, że powinniśmy zostawić sprawy własnemu biegowi – odszepnęła Rebecca. – Spójrz, Tim świetnie się bawi tam z tyłu, rozmawiając o Red Soxach i o tym, czy zagrają w barażach. Ten dobry nastrój przeniesie się na porę obiadową.

– Zgadzam się – powiedziała Joy, gdy pomarańczowy bus skręcił w gruntową drogę ze znakiem Harborview Lodge.

Jakiś kilometr dalej pojawił się na horyzoncie piękny dom z kamienia. Wyglądał bardziej na mały zamek niż chatkę dla narciarzy, jakiej spodziewała się Rebecca (choć przecież Freeport to nie kurort narciarski). Dom otaczały zimozielone rośliny i kręte ścieżki rozchodzące się w różnych kierunkach, ale biegnące w stronę lasu. Rebecca z zaskoczeniem stwierdziła, że w środku domek jest uroczy i przytulny, choć urządzone w surowym rustykalnym stylu. Ogromny salon zastawiono kanapami, na podłodze leżały poduszki i miękkie, wyblakłe dywaniki. Znajdował się tam też masywny kamienny kominek, na którego rozpalenie Harry potrzebował niecałej minuty. Wszędzie stały wypielęgnowane rośliny, a każde wejście ozdobiono migoczącymi białymi lampkami bożonarodzeniowymi. Dom składał się z ogromnej kuchni, dwóch łazienek i oszklonej werandy prowadzącej na taras z widokiem na ocean. Na górze znajdowało się pięć obszernych sypialni i trzy łazienki. Pokój Rebekki miał niewielki balkon wychodzący na las. Rozpakowała się, a potem stała tam, patrząc na pomarańczowe i czerwone liście drzew, do czasu gdy Aimee i Charles wyszli na swój balkonik. Wciąż mieli na sobie dopasowane białe golfy i spodnie khaki. Obejmowali się. Ze sposobu, w jaki to robili i w jaki na siebie patrzyli, Rebecca od razu wywnioskowała, że kochają się tak bardzo, że przezwyciężą wszystkie problemy. Byli tu, by coś przedyskutować, lecz ich małżeństwu nic nie zagrażało.

Nie miała tego samego odczucia w stosunku do Ellie i Tima; ani do Joy i Harry'ego. Głównie dlatego, że z zachowania Joy nie dało się wiele wyczytać.

Joy ogłosiła, że wszyscy mają pomagać w kuchni w przygotowaniu obiadu, jej słynnych ravioli z czterema serami, sałatki oraz chleba czosnkowego. Rebecca zeszła do przestronnej wiejskiej kuchni. Małżeństwo Jonesów zajmowało się pierożkami, Rasmussenowie – sałatką, a Cutlassowie byli pochłonięci przygotowaniem chleba czosnkowego. Rebecce powierzono wybór wina i nakrycie do stołu.

Do tej pory wszystko szło dobrze – do momentu gdy Tim spytał Harry'ego i Charlesa, czy mieliby ochotę wybrać się po obiedzie na poszukiwanie baru z rzutkami.

– Tim... – powiedziała Ellie, uśmiechając się z zawstydzaniem. – Jestem pewna, że Joy zaplanowała już coś dla nas po obiedzie.

Tim wepchnął sobie kawałek sera do ust i spojrzał na Joy.

– Zaplanowałaś?

Joy wrzuciła ravioli do ogromnego gara z gotującą się wodą, stojącego na kuchence.

– Cóż, wiem, że to jeszcze nie Święto Dziękczynienia i to może wyglądać na podróbkę, ale pomyślałam, że moglibyśmy razem usiąść przy kominku z lampką wina i porozmawiać o tym, za co jesteśmy wdzięczni. Tak na dobry początek, za co chcielibyśmy podziękować, z czego się cieszymy.

Tim gapił się na nią, jak gdyby wyrosła jej druga głowa.

– To nie w moim stylu. Kiedy Ellie poprosiła, żebym tu przyjechał, powiedziała, że to będzie wspólny weekendowy wypad kilku par. No wiesz, dobra zabawa. Nie grono siedzących beczynnie nudziarzy.

Ellie się zarumieniła.

– Tim, jesteśmy tu po to, żeby ratować nasze małżeństwo.

– Ja jestem tu po to, żeby odpocząć.

Na widok jej wyrazu twarzy, na której ból mieszał się z zawstydzeniem, Tim dodał:

– Boże, tobie nigdy nie można dogodzić. Przecież tu jestem, prawda?

„Właściwie to cię tu nie ma”. – Rebecca rzuciła okiem na Ellie, która najwyraźniej też to wiedziała. Wiedziała o tym na długo wcześniej, ale trzymała się. Gwałtownym gestem podniosła rękę do góry i podeszła do zlewu z główką sałaty. Odkręciła pełny strumień wody, co według Rebekki oznaczało, że płacze.

Cholera.

Zanim wsiedli do busu miłości, Rebecca spytała Ellie, czy naprawdę chce, by wybadła Tima, by zadała mu parę trudnych pytań. Ellie powiedziała, że tak, że nadszedł już czas, by wyjąć głowę z piasku. Rebecca wcale nie miała pewności, czy teraz był właściwy moment, czy po jej interwencji Tim nie ucieknie gdzie pieprz rośnie trzydzieści minut po przyjeździe. Ale może zdoła powiedzieć coś takiego, co do niego dotrze, co przypomni mu czas, kiedy kochał Ellie, kiedy się oświadczył i powiedział „tak”.

Rebecca nalała do siedmiu kieliszków białe wino, o którym nic nie wiedziała (wybrała to z najładniejszą naklejką) i podała jeden Timowi. Mężczyzna był tak wysoki (o wiele wyższy od Rebekki, która mierzyła metr pięćdziesiąt siedem), że dziewczyna musiała wyciągnąć szyję, by na niego spojrzeć.

– Tim, czy nadal chcesz być mężem Ellie?

Tim wypił wino dwoma haustami.

– Co masz na myśli? Jestem jej mężem.

– Ale czy CHCESZ być jej mężem?

Spojrzał na Ellie, która zastygła przy zlewie, a następnie podał Rebecce kieliszek, by znów napełniła go winem.

– Taa. – Przerwał. Po chwili dodał: – Ja tylko...

Ellie przewróciła swoimi zielonymi oczami.

– Tylko co?

Wzruszył ramionami.

– Tylko trudno mi jest nie próbować... zaliczyć.

Ellie wypuściła powietrze, położyła mokrą główkę sałaty na desce do krojenia znajdującej się na stole i opadła na jedno ze stojących w kuchni krzeseł. Było jasne, że to nie pierwsza taka rozmowa. I zdawało się, że wprawiła ona w zdenerwowanie pozostałych dwóch mężczyzn. Harry i Charles intensywnie skupiali się na swoich zadaniach – Harry na miesaniu ravioli w parującym garnku, a Charles na nadzwyczaj równym układaniu czosnku na bochenkach włoskiego chleba. Od czasu do czasu unosili wzrok znad blatu i wyglądali na zaciekawionych, zawstydzonych lub chętnych do ucieczki jak najdalej stąd.

– Czemu chcesz zaliczać inne kobiety? – spytała Rebecca.

Tim zaśmiał się i zmasakrował krojonego właśnie ogórka.

– Dlaczego? No, daj spokój.

Harry przestał mieszać makaron.

– Cóż, masz piękną żonę, więc to uzasadnione pytanie.

Wszyscy z uczuciem ulgi odwrócili się w stronę Harry'ego, a ich twarze zdawały się mówić: „Racja”.

Tim spojrzał na Ellie, która powoli darła liście sałaty.

– Taa, wiem.

„Dalej – zachęcała się w myślach Rebecca. – Ale ostrożnie”.

Wyraz twarzy Tima nieco złagodniał. Jedną z pierwszych spośród setek zasad w mediacjach rozwodowych jest nie dać odczuć żadnej ze stron, że jest atakowana.

– Czyli... w zaliczaniu nie chodzi tylko o seks? – spytała Rebecca.

„Pleciesz, co ci ślina na język przyniesie, Rebecco”. Dlaczego o to zapytała? To nie było właściwe pytanie. Nie chciała doprowadzić do tego, że odpowie „tak”, że przyzna, iż szuka czegoś więcej niż tylko przygodnej rozrywki.

Dodała z pośpiechem:



– Chcę powiedzieć, że przecież masz w domu piękną żonę, kobietę, która cię kocha, z którą się ożeniłeś. Co sprawia, że chcesz sypiać z innymi kobietami?

Nie była przekonana, że wyszło lepiej, ale przynajmniej nie było to pytanie wymagające odpowiedzi „tak” lub „nie”.

– Jezu, to nieco osobiste – wymamrotał Tim. – Czemu faceci w ogóle mają ochotę się bzykać z innymi babkami? Czemu ty tego chcesz? – zwrócił się do Harry’ego. – A ty? – rzucił do Charlesa.

Rebecca zerknęła na Joy zajmującą się sosem przy blacie pośrodku kuchni. Jej ramiona na chwilę zeszywniały. Było jasne, że czeka na odpowiedź, być może nawet wstrzymuje oddech.

– Ja nie chcę – powiedział Harry.

Tim przewrócił oczami.

– Jasne.

Harry zamieszał ravioli.

– To prawda. Choć mamy z Joy problemy, nie zdradzam jej. Nigdy bym tego nie zrobił i nigdy nie zrobiłem.

Tim uniósł brew.

– Proszę cię. Ile czasu jesteście małżeństwem? Jakies cztery lata. Pogadamy, jak będziecie dziesięć lat po ślubie.

– Tim, my pobraliśmy się DWA lata temu – powiedziała Ellie. – Więc o co ci chodzi?

Mężczyzna dopił swoje wino.

– Ja tylko mówię.

– I oni mają trzyletnie dziecko – wtrącił się Charles. – Jeśli dziecko nie dokłada stresów w małżeństwie, to już nie wiem, co jeszcze może ich dołożyć.

Ramiona Aimee opadły.

– Cóż, to zupełnie inny temat do rozmowy – dodała szybko Rebecca. – Tim i Ellie nie mają dzieci. Zatem o co ci chodzi, Tim? Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś wciąż był kawalerem?

Tim rozciął kolejnego ogórka.

– Nie zachowuję się jak kawaler. Po prostu lubię imprezować. No co? Nie mogę wyjść i się zabawić, bo jestem żonaty?

Ellie pokręciła głową.

– Problem w tym, w jaki sposób się bawisz.

– Chodzi o zaliczanie lasek, jak sądzę? – spytała Rebecca. – Właściwie nie odpowiedziałeś na pytanie. Dlaczego zabawiasz się z innymi kobietami, kiedy w domu masz Ellie?

Tim zsunął posiekanego ogórka do miski z sałatką, a potem trzasnął naczyniem o blat z takim impetem, że ogórki z powrotem wypadły.

– Jezu Chryste, czego wy ode mnie chcecie? Nie wiem, okej? Nie, wiem: dla zabawy. Zadowoleni?

– Tim, nie sprzymierzyliśmy się przeciw tobie – powiedział Harry. – Tylko rozmawiamy. Wszyscy staramy się zrozumieć, co się z nami dzieje, i teraz padło na ciebie.

– Szczęściarzem ze mnie. Mogę przynajmniej napić się piwa? – spytał. – Nie przepadam za winem.

Harry wyjął z lodówki sama adamsa i otworzył.

– Jeszcze się nie schłodziło, ale proszę.

Tim jednym haustem wypił pół butelki.

– Pozwól, że o coś cię spytam – powiedziała Ellie z oczami czerwonymi od łez. – Sprawia ci to przyjemność, bo nie jesteś uczuciowo związany z tymi kobietami? Bo nie wchodzi w grę czynnik emocjonalny? A może lubisz to, bo istnieje też szansa, że za którymś razem się zakochasz?

Tim unikał spojrzenia żony. Błądził wzrokiem po podłodze lub wlepiął go w ścianę za kuchenką wyłożoną kafelkami w kolorach tęczy.

– Nie szukam kolejnego związku. Wiem, że jestem żonaty. Czasem chodzi o ten dreszczyk związany z polowaniem, innym razem po prostu o zabawę, kiedy kogoś poznajesz i z nim flirtujesz.

Ellie się skrzywiła.

– Czyli twierdzisz, że tak do końca nie wiesz? Jesteś w stanie sobie wyobrazić, że kogoś poznajesz i się zakochujesz?

Tim spojrzął po twarzach wszystkich.

– Oj, daj spokój, każdy może to sobie wyobrazić.

– Ja nie – powiedział Harry.

– Ja też nie – zawtórował mu Charles.

– Ja też nie – powiedziała Ellie i zaszlochała.

Rebecca pobiegła po pudełko chusteczek do łazienki znajdującej się na tyłach kuchni.

Podawała je Ellie, która chwyciła opakowanie niczym linę ratunkową.

– Tim, mogę cię o coś spytać? – powiedziała Rebecca po tym, jak pomogła Charlesowi wsunąć do pieca cztery bochenki chleba czosnkowego, podczas gdy Aimee uprzątnęła czosnek i odstawiła masło. – Dlaczego oświadczyłeś się Ellie? Wiadomo, że jest uroczą młodą kobietą, ale jaki był główny powód tego, że chciałeś się z nią ożenić?

Tim odetchnął głęboko. Spojrzął na Ellie, która usiłowała przestać płakać.

– Właściwie to nie chciałem. Jednak ty ciągle mnie naciskałaś, zgadza się? Robiąc aluzje do pierścionka... A potem... sam nie wiem, zmarł mój ojciec i byłem tym bardzo przybity, a Ellie zachowała się naprawdę cudownie. Naprawdę byłaś dla mnie wsparciem. Tak więc pewnego dnia po prostu kupiłem jej pierścionek i oświadczyłem się; jednak nieco później zacząłem się czuć tak, jak czułem się zawsze, chciałem wychodzić, imprezować, poznawać kobiety i dobrze się bawić.

– Ale jesteśmy tu i teraz. – Ellie osuszyła już łzy. – Jak jest teraz? Przystaniesz się włączyć? Muszę to wiedzieć.

– Mówisz tak, odkąd dwa i pół roku temu przespaliśmy się ze sobą pierwszy raz, Ellie.

– A jeśli ona teraz twierdzi, że twoje romanse łamią waszą przysięgę? – zasugerowała Rebecca.

Tim patrzył to na Rebecę, to na Ellie.

– Może tak twierdzić, ale nie sądzę, by mówiła serio, bo nigdy tego serio nie mówi.

W końcu zawsze pozwala mi wrócić do domu.

Ellie wstała i zacisnęła ręce na krześle.

– A gdybym ci oznajmiła, że to koniec? Że nie ma powrotu? Że jeśli nie możesz mi teraz powiedzieć, że wybierasz mnie, wybierasz nasze małżeństwo, to w poniedziałek składam pozew o rozwód?

Wzruszył ramionami.

– Chybabym ci nie uwierzył. Nie sądzę, byś to zrobiła.

Rebecca zauważyła, że nawet nie drgnęła na dźwięk słowa „rozwód”.

– A więc nie powiesz mi teraz, nie przyrzekniesz przed tymi wszystkimi ludźmi, że będziesz wierny, że będziesz moim mężem? – spytała dziewczyna.

– Jezu, Ellie, daj spokój. Kocham cię. Czy to się nie liczy? Nie chcę z tobą zrywać.

Wszyscy patrzyli to na Tima, to na Rebecę.

Rebecca włączyła światelko w piekarniku, żeby spojrzeć na chleb.

– Zrywać? Tim, kiedy jesteś żonaty, to się nazywa rozwód. To bardzo poważna sprawa.

I bardzo bolesna.

– Właśnie, stary – powiedział Charles. – Na litość boską, nie jesteś w liceum.

– Jestem, jaki jestem – odparł Tim i dopił piwo. – Bierz mnie lub zostaw. Wszystko jedno.

Wszystko jedno. Co za dupek. Ellie zasługiwała na wiele więcej.

– Timothy Rasmussenie – powiedziała Ellie, patrząc wprost na niego. – Czy chcesz być moim mężem? W pełnym znaczeniu tego słowa.

– Jeśli to słowo oznacza, że mam być kurewsko zgorzkniały przez resztę życia, to nie, nie chcę. – Trzasnął butelką po piwie o blat.

Dziewczyna wybiegła z kuchni. Rebecca usłyszała jej obcasy na schodach.

– W poniedziałek składam pozew o rozwód! – krzyknęła z półpiętra. – Więc idź sobie, Tim! Wynoś się stąd! Nie ma już nic do powiedzenia!

Wszystkie oczy zwróciły się na mężczyznę, który otwierał właśnie lodówkę

w poszukiwaniu kolejnego piwa.

– Czy zostało jeszcze coś do powiedzenia? – spytała go Rebecca. – Zamierzasz stąd wyjechać? Wypisać się ze swojego małżeństwa? Pozwolisz jej się z tobą rozwieść?

Zesztywniał, ale dalej szukał piwa. Wyjął butelkę i zdjął z niej kapsel, potem westchnął, postawił ją na blacie i wyszedł do salonu.

Rebecca spojrzała na czwórkę ludzi wstrzymujących oddech. Wszyscy tłoczyli się w drzwiach, żeby nie wyglądało na to, że podglądają, co oczywiście robili.

Tim zatrzymał się tuż przed półpięciem. Wpatrywał się w górę ku żonie.

– Jeśli ma to jakieś znaczenie, Ellie, jest mi bardzo przykro.

– Gównu mnie to obchodzi! – odrzyknęła i pobiegła do ich pokoju.

Chwilę później pojawiła się znowu z jego brązową skórzaną kurtką i marynarskim workiem, które na niego zrzuciła. Kurtka uderzyła go w twarz, a worek z łomotem wylądował mu na stopach. Podniósł go.

– Pójdę do tawerny, którą mijaliśmy – powiedział, nie kierując tego do nikogo konkretnie. – Zadzwoń po kumpla, żeby po mnie przyjechał.

I zniknął.

Gdy obiad był już gotowy, a delikatne pukanie do drzwi Ellie nie zachęciło jej do zejścia na dół, Joy zaniósła talerz na górę. Dziewczyna zbyła ją tylko machnięciem ręki i dalej szlochała na łóżku. Rebecca zamierzała spróbować później z kawą po irlandzku i czekoladowym ciastkiem z dynią od Marianny.

Tak oto wszyscy z ciężkim sercem zasiedli w jadalni przy pięknym starym drewnianym stole i skubali jedzenie. Jedynie Charlesowi zdawał się dopisywać apetyt.

– Cały Tim – powiedział Harry, chwytając widelec i próbując nim rozgnieść pomidorek koktajlowy, który okazał się jednak zbyt twardy, więc mężczyzna się poddał. – Wygląda na to, że wygrał.

Joy dźgnęła ravioli, lecz potem odłożyła sztuciec.

– Tak naprawdę przegrał. Tim to dupek. Nie docenia tego, co ma. Nie mógł lepiej trafić. Trudno sobie wyobrazić, by kiedyś zadurzyła się w nim inna równie wspaniała osoba.

– Zdaje się, że jemu i tak na tym nie zależy – powiedział Charles, sięgając po kromkę chleba czosnkowego z koszyka znajdującego się pośrodku stołu. – Sprawia wrażenie osoby, która nie wie, czego chce.

Nikt nie zamierzał się sprzeciwiać ani dyskutować z tą krztyną prawdy, więc jedli w ciszy, dopóki nie usłyszeli Ellie schodzącej po schodach w botkach na wysokich obcasach, które kupiła specjalnie na tę wyprawę.

– Zadzwoń do Maggie – powiedziała, wchodząc do jadalni. – Przyjedzie po mnie. – Trzymała w ręce paczkę chusteczek, ale nie pociągała już nosem i nie płakała. Rzuciła okiem na siedzących przy stole.

Joy zabrała krzesło Tima i wszyscy poprzesuwali się, by jego nieobecność nie rzuciła się zbyt mocno w oczy, ale możliwe, że przyniosło to odwrotny skutek.

Joy wstała.

– Przykro mi, Ellie. Wiem, że oczekiwałaś po tym wyjeździe czegoś zupełnie innego.

Dziewczyna usiadła i chwyciła kromkę zwykłego włoskiego chleba z innego koszyka. Na przemian jadła niewielkie kęsy i rozrywała kawałki na okruszki.

– Przynajmniej mam pewność. Przynajmniej nie ma już pytań w stylu: „Jak sądzisz, co to mogło oznaczać?”. Wyraził się jasno w obecności świadków.

– Zamierzasz złożyć w poniedziałek pozew o rozwód? – spytała Aimee.

Ellie skinęła głową.

– Maggie twierdzi, że zna świetnego adwokata. – Popłakała się.

Rebecca przysunęła się do niej na krzesło i objęła ręką jej drobne ramię.

– Przykro mi, Ellie – szepnęła.

Dziewczyna pociągnęła nosem i delikatnie przetarła chusteczką skórę pod oczami.

– Wiem, że źle się czujesz z powodu rozmowy, która nie potoczyła się po mojej myśli. Ale

zrobiłaś coś, czego nie był w stanie dokonać nikt inny w ciągu dwóch lat, odkąd w kółko rozstawaliśmy się i wracaliśmy do siebie. Doprowadziłaś go do prawdy i zmusiłaś, by to powiedział. Wiesz, chciałam tylko, żeby to powiedział. A może nie. Chyba jednak nie. Myślę, że nigdy nie byłam na to gotowa. Ale teraz jestem, nieważne, jak bardzo to boli.

– Możesz na nas liczyć, Ellie – oznajmiła Joy. – Zwracaj się do nas ze wszystkim, czego tylko zapragniesz, okej?

Ellie pociągnęła nosem, przytaknęła i zdołała przełknąć parę kęsów czekoladowego ciasteczka z nadzieniem dyniowym. Harry przyrządził jej w termosie kawę po irlandzku. Trzydzieści minut później, kiedy na zwirowym podjeździe dał się słyszeć chrzęst kół samochodu, zabrała bagaże i odjechała.

Harry zrobił kawę po irlandzku dla wszystkich (bezalkoholową dla Charlesa, który nie pije) i zebrali się w salonie przed dużym kamiennym kominkiem. Każda z par rozsiadła się na dwuosobowej sofie, a Rebecca zajęła miejsce na wprost nich na bujanym fotelu.

– Czy nie powinnaś spytać, jak sprawa Ellie i Tima wpłynęła na nasze samopoczucie? – zapytał Charles.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Mówiłam, że nie jestem terapeutą. Ale powiedzcie, JAK się po tym wszystkim czujecie?

– Powiem ci, jak się czuję – odpowiedział Harry. – Boli mnie żołądek. – Spojrzał na Joy i chwycił jej rękę w obie swoje dłonie. – Zdałem sobie sprawę, że mamy kilka problemów, ale niedojrzałość nie jest jednym z nich. Wiem, że możemy popracować nad tym, co powoduje te głupie kłótnie i ciche dni.

Twarz Joy aż wykrzywiła się od natłoku emocji, od ulgi i szczęścia, które nią zawładnęły. W końcu wybuchła płaczem. Była w stanie tylko skinąć głową. Mąż chwycił ją za rękę i poprowadził na górę.

Widok małżeństwa rozpadającego się na oczach wszystkich miał wpływ na dwie pozostałe pary i do czasu niedzielnego śniadania w powietrzu wyczuwało się magię. Kruchość tego, co mogli stracić, zamieniła Jonesów i Cutlassów w romantyków spod znaku „co tylko zechcesz, kochanie”.

– Nie, tak jak TY zechcesz – odpowiedział Charles żonie wyglądającej jak jego wierna kopia, kiedy Joy spytała, czy nie podkręcić ogrzewania.

Termometr przytwierdzony do drzewa za kuchennym oknem pokazywał dziesięć stopni. Dla Rebekki było wystarczająco zimno, by włączyć ogrzewanie, ale może nie dla rdzennych mieszkańców stanu Maine. Wszyscy z wyjątkiem Rebekki mieli na sobie swetry z polaru.

– No to skończyłam – stwierdziła uśmiechnięta Rebecca, stawiając dzbanek z kawą na stole w jadalni.

Wszyscy znowu wspólnie gotowali. Harry przyrządził omlety z szynką i papryką, Charles zajął się bekonem, Aimee bajglami (mieszkańcy Maine nie jadali nieupieczonych bajgli, tak jak robili to nowojorczyki), Joy wycisnęła sok z pomarańczy, a Rebecca zaparzyła kawę (piła już trzecią filiżankę).

Charles Cutlass dołożył sobie na talerz porcję bekonu, po czym zjadł kawałek w dwóch kęsach.

– Na śmierć mnie przestraszyli, do kurwy nędzy – rzekł.

Jego żona wybałuszyła oczy, po czym się roześmiała.

– Czy ty właśnie przekląłeś? On nigdy nie przeklina.

Mężczyzna położył rękę na dłoni żony.

– Nie chcę, żeby coś się popsuło między nami. Naprawdę nie wiem, czy jestem teraz gotów na ojcostwo, ale jeśli to sprawi, że będziesz szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa, poszukam informacji na temat adopcji. Chiny, Gwatemala, co tylko zechcesz.

Aimee ścisnęła go za rękę.

– A ja chcę, żebyś ty był szczęśliwy. Naprawdę sędzę, że za rok lub dwa będziesz czuł się podobnie. Zawsze będzie ci się wydawało, że nie jesteś gotowy. A ja będę tylko siedzieć i czekać. Myślę, że kiedy już zostaniesz ojcem, kiedy będziesz trzymał dziecko w ramionach, wtedy poczujesz to, co ja czuję. Mówię tak, bo znam cię już siedem lat, Charlesie. Kocham cię i nigdy nie

próbowałabym cię zmuszać do czegoś, co by cię unieszczęśliwiło.

– Więc zrobmy to – powiedział. – Serio. Dzieci są wspaniałe, prawda? – To ostatnie pytanie skierował do Harry’ego.

Ten skinął potakująco głową.

– Dzięki Rexowi chcę być lepszym człowiekiem.

– Zatem jakie wy macie problemy? – spytała Aimee, patrząc gdzieś pomiędzy Harrym a Joy. Joy gapiała się na jajka na swoim talerzu.

– Mam wrażenie, że oddaliśmy się od siebie. Oboje mamy dopiero po dwadzieścia sześć lat. I trzyletniego syna. A wyglądamy na jedną z tych małżeńskich par, które jedzą w ciszy i nie mają sobie do powiedzenia nic poza: „Jak tam dzisiaj Rex?”. Po obiedzie ja idę poczytać albo planuję podróż, a Harry idzie do swojego gabinetu popracować nad projektem albo porobić coś na komputerze.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Rebecca.

– Wszystko. Chcę, żebyśmy mieli o czym rozmawiać, tak jak na początku. – Potrząsnęła głową. – Gadam jak Tim.

– Nieprawda – powiedziała Rebecca. – Mówisz jak osoba, która chce odzyskać męża.

Mówisz tak, jakbyś czuła, że zgubiłaś go we wnętrzu waszego domu, wewnątrz waszego małżeństwa.

– Dokładnie tak się czuję – odpowiedziała cicho Joy.

Harry uniósł swój kubek z kawą.

– Wciąż to powtarza. A ja powtarzam: „Jestem tu”. A ona na to: „Nie rozumiesz”. Ja z kolei: „Masz rację, nie rozumiem”. I wracamy do naszej ciszy, każde do swojego pokoju. Od ostatnich sześciu miesięcy mieszkam w na wpół wykończonej piwnicy.

Joy spojrzała na niego, potem w talerz i znowu na niego.

– Twierdzisz, że jestem oziębła i pozbawiona emocji. Jak myślisz, jak się przez to czuję? Jestem, jaka jestem.

– Czy Tim właśnie tak się nie wyraził? – wtrąciła ostrożnie Aimee, zakładając sobie za uszy pomarańczowe loki.

– Nie usprawiedliwiam się – odgryzła się Joy. – Przepraszam – dodała.

– Właśnie, że się usprawiedliwiasz – powiedział Harry. – Twierdzisz, że nie jesteś ciepła i serdeczna. Ale JESTEŚ taka. Widzę, jak się zachowujesz w stosunku do Rexa. Widzę, jak opuszczasz tarczę, kiedy z nim przebywasz. Proszę cię, byś już się za nią nie chowała.

– Czy zrobić komuś więcej kawy? – spytała Joy, zrywając się z miejsca.

– Tim też uciekł – powiedział Harry głośno i wyraźnie.

– Idę tylko do kuchni – prychnęła Joy.

Harry przewrócił oczami i podszedł do kominka, by dorzucić dREW do ognia. Płomienie zahipnotyzowały Rebeccę. Pragnęła, by wlały w nią nieco mądrości, by doradziły, co należy teraz powiedzieć.

Kiedy Joy wróciła z kubkiem pełnym parującej kawy, Rebecca rzekła:

– Mogę cię o coś spytać?

Joy poruszyła się, jakby miała zamiar wstać, ale po chwili umościła się wygodniej w fotelu. Już prawie wybuchła i wybiegła z pokoju, ale się powstrzymała. Nieźle.

– W porządku.

Rebecca sięgnęła po swój kubek i upiła orzeźwiający łyk kawy.

– Twoja matka będzie odnawiać przysięgę małżeńską. Co o tym sądzisz?

Joy odchyliła głowę do tyłu i wpatrzyła się w sufit.

– Szczerze? To totalna porażka.

– Czy ona wie, że ty i Harry oddaliliście się od siebie?

Joy przytaknęła.

– Twierdzi, że możemy o tym porozmawiać, ale ja nie mogę. Chyba sądzi, że odnowienie przez nią przysięgi pomoże mi się skupić na własnej.

„Ha! Jakby przysięga małżeńska miała znaczenie dla Pii Jayhawk” – przebiegło przez myśl

Rebecce. Tamtego dnia na plaży jej ojciec bez wątpienia miał na palcu ślubną obrączkę. Kiedy go całowała, kiedy z nim spała, wiedziała, że był żonaty, że ślubował miłość, szacunek i troskę komuś innemu.

– Wiesz, co myślę? – odezwał się cicho Harry. – Sadzę, że dużo rozmyślałaś o swoim ojcu. A potem, ni z tego, ni z owego, pojawiła się jego druga córka, która cię szukała. Wszechświat mówi ci, że czas się z tym zmierzyć.

– Rozmyślałaś o nim? – spytała Rebecca.

– Nie ROZMYŚLAŁAM o nim. To znaczy, nie ma tu o czym rozmyślać. Nigdy go nie znałam. Zupełnie jakby nie istniał.

– Ale on istnieje – stwierdził Harry. – Zawsze istniał. Joy, w naszym domu jest jego obraz. A więc wiedziała.

Teraz to Joy przewróciła oczami.

– WIEM. I wiem też, że rzucasz mi w twarz ten argument, ilekroć się o coś kłócimy. Nie znałam swojego ojca. Mój ojciec nie był zainteresowany poznaniem mnie. Co z tego? To nie miało na mnie żadnego wpływu. Nigdy go nie znałam, więc nie wiąże się z tym żadna strata. Tak jak w przypadku dzieci poczętych za pośrednictwem dawców spermy.

– No, niezupełnie – wtrąciła Aimee Cutlass, nalewając sobie soku do szklanki.

– Nie, to zupełnie nie tak – przytaknął jej Harry, wpatrując się w Joy. – Jednak w ten sposób to usprawiedliwiasz. W porządku. Ale może już czas, byś pozwoliła sobie na żal czy coś w tym stylu.

Joy patrzyła na niego tępo.

– Żal? Opłakiwać stratę kogoś, kto odwrócił się plecami od własnego dziecka? Taka osoba nie zasługuje na to, by się zadrećcać.

– Ta osoba to twój ojciec, Joy – odparł Harry.

– Boże, ależ ta kłótnia jest nudna – odparowała Joy. Wstała i sztywnym krokiem poszła do kuchni, a chwilę później pojawiła się w drzwiach z kolejnym kubkiem kawy. Została tam.

– Ten człowiek nie jest moim ojcem. To tylko DNA.

– Ona ma rację – wtrącił się Charles. – Ojciec nie staje się ojcem tylko dzięki biologii. To znaczy poza technicznym punktem widzenia.

– Ale Joy nie została poczęta za pośrednictwem dawcy spermy – upierał się Harry. – Jej matka miała romans z żonatym mężczyzną, zaszła w ciążę, a kiedy on się o tym dowiedział, zniknął z powierzchni ziemi.

– Och – westchnęła Aimee, a wyraz jej twarzy złagodniał.

– Ten mężczyzna miał wtedy dwuletnią córkę. Ona siedzi tam – powiedziała Joy, wskazując na Rebecce.

Aimee i Charles spojrzeli w jej kierunku.

– Mój ojciec zmarł parę tygodni temu – odezwała się dziewczyna. – Opowiedział mi o Joy. Pomyślałam, że powinnam ją odnaleźć.

– Jaki miałaś plan? – spytała Aimee. – To znaczy po tym, jak już ją znalazłaś?

Rebecca wzruszyła ramionami.

– Nie miałam planu. Chciałam ją po prostu odszukać.

Spojrzenie bladobrazowych oczu Joy było wymierzone w Rebecce.

– Dlaczego? Jeśli powiesz, że dlatego, że jesteśmy siostrami, wyleję na ciebie tę kawę.

„Bo jesteśmy siostrami – powiedziała sobie w duchu Rebecca. – Jesteśmy nimi, w podstawowym sensie tego słowa”.

– Cóż, JESTEŚCIE siostrami – wyręczył ją Harry. – Wasze DNA to potwierdza. DNA stwierdza, że jesteście siostrami.

Joy uniosła podbródek.

– Mój biologiczny ojciec nie jest moim ojcem. A to, że Rebecca i ja dzielimy jego krew, nie czyni z nas sióstr. Daje nam jedynie coś wspólnego, to wszystko.

– To ważne – odezwała się Aimee.

Joy westchnęła.

– Mam już tego szczerze dość. Zawsze kiedy kłócimy się z Harrym, powodem jest mój ojciec. Jak mam się bronić, kiedy ojca nie ma? Ja mówię: „Ojca nie ma”, a on na to: „Ty tak twierdzisz”. I nagle zaczynamy się o to spierać. O ciszę w eterze. Nicość. Pustkę.

Pustka. Tego słowa Joy jeszcze nigdy nie użyła, opisując uczucia wobec ojca.

– Nie chcę się uciekać do tego argumentu – powiedział łagodnie Harry. – Ani stosować go jako broni. Chcę tylko, żebyś go uznała, zamiast w ogóle o nim nie mówić. Nigdy o tym nie mówisz, Joy.

– Cóż, teraz nie mam wyboru – odpowiedziała. – A biorąc pod uwagę, że jest tu Rebecca... to znaczy, sama ją zaprosiłam... powiedziałabym, że... to już coś znaczy.

Harry podszedł do Joy i chwycił ją za rękę.

– Znaczą. Bardzo dużo.

Dziewczyna skrzywiła się i odwróciła głowę, ale potem zawiesiła ręce wokół szyi Harry'ego i wtuliła się w niego mocno.

Rebecca dała jej chwilę, a później powiedziała:

– Joy, jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego twój ojciec się tak zachował, wszystko jest w listach, które do ciebie pisał. Każdego roku, na każde twoje urodziny. Począwszy od pierwszych, a skończywszy na ostatnich.

– Nie mogę. Nie mogę się zmusić nawet do myślenia o tym.

– Dlaczego? – spytał Harry. – Nie jesteś ciekawa?

– Czasem jestem, a czasem nie. Od czasu do czasu patrzę na jego portret namalowany przez mamę, ten mały, który wisi w domu. Ale patrzę na niego i nic tam nie ma.

– Może to w sobie blokujesz, Joy – zasugerowała Rebecca. – Może boisz się tego, co się w tobie obudzi, kiedy pozwolisz sobie na uczucia? Może boisz się masy przerażających emocji, których nie będziesz w stanie kontrolować, bo przez lata je w sobie tłumiałś? Lata niewiedzy? Zastanawiania się? Zostałaś pozbawiona tego, do czego masz prawo z racji urodzenia. Zostałaś pozbawiona ojca.

Joy wpatrywała się w nią w milczeniu. Drżała jej dolna warga, ale szybko opanowała się i przywróciła twarzy kamienny wyraz.

– Możliwe.

– Jesteś naprawdę dobra – zwrócił się Harry do Rebekki.

Podczas niedzielnego poranka obie pary całowały się w kuchni, wchodziły na piętro, trzymając się za ręce, spontanicznie masowały sobie plecy... Cóż, Cutlassowie nieco częściej niż Jonesowie. Rebecca zaobserwowała (choć wcale nikogo nie szpiegowała), że przy każdym objęciu Joy i Harry'ego jedno z nich strzelało focha typu: „Nie słuchasz mnie” (ulubiony zwrot Harry'ego) albo: „Wcale tak nie twierdzą” (to Joy).

Przy bajglach z serkiem śmietankowym, mocnej kawie i świeżo wyciskanym soku z pomarańczy Aimee i Charles zapytali, czy mogliby wcześniej wyjechać i wrócić do swojego codziennego życia, skoro weekend zakończył się sukcesem dla obu par. Aimee nie mogła się już doczekać wypełnienia formularza, który od miesiący leżał w szufladzie jej biurka. Joy i Harry tęsknili za Rexem i przyznali, że też chętnie wróciliby do domu. Rebecca czuła, że powrót w domowe pielesze, gdzie czekał na nich mały chłopiec, mógłby im bardziej pomóc w odnalezieniu drogi do siebie nawzajem niż ten domek w głuszy.

I w ten oto sposób o 10.00 Rebecca znajdowała się znowu w busie miłości, a o 10.40 była już w domu. Nie zastała tam nikogo, kto by ją powitał, nawet Charliego. Theo powiedział, że będzie w domu po piętnastej, więc musiała poczekać, aby odebrać swojego pieska.

Zadzwoiła do Ellie, która zapewniła ją, że wszystko u niej w porządku, chociaż nie do końca. Wspomniała też, że wraz z Maggie zakładają Klub Zgorzkniałych Byłych Żon z Wiscasset, aczkolwiek mile widziani są „byli” różnego typu, od byłych dziewczyn po byłych mężów. Ellie spytała później o los pozostałych i ucieszyła się na wieść, że jest nadzieja dla dobranych par i że długoletnia miłość nie jest z góry skazana na niepowodzenie. Nie wszyscy uznaliby dwa lata małżeństwa za długi staż, ale właśnie tyle trwał najdłuższy związek Rebekki. Nie wiedziała, czy wszystkie pary muszą przechodzić kryzysy pod hasłem: „Ja cię nawet nie lubię”. Zastanawiała się też, czy wątpliwości, jakie ją gryzły przez ostatni rok, oznaczały, że powinna była uciec od tej relacji dawno temu. Czasem kochała Michaela – i to w taki sposób, który poruszał jej serce, powodował mrowienie palców u nóg i sprawiał, że była wdzięczna, że żyje. A później przez dłuższy czas patrzyła na niego każdego ranka i miała ochotę wylać mu na twarz zawartość jego wymuskanego dzbanka z wodą (który zawsze musiał stać na jego nocnej szafce). Powoli.

To on zorganizował pogrzeb jej ojca.

To on nazwał Joy zachłanną zdzirą.

Jednak tak to właśnie wyglądało. Zaskakiwał ją jakimś wspaniałym gestem – czymś, bez czego nie mogła oddychać, a już w następnej chwili jego postępowanie wysysało z niej całe powietrze.

Czy tak wyglądało małżeństwo? Pchanie i przyciąganie, dawanie i zabieranie? Kiedyś słyszała, jak Charlotte mówi, że nienawidzi obżarstwa Petera i że jest największym dupkiem na ziemi. Już następnego dnia stali ramię w ramię i pocierali się nosami. Kiedy Rebecca spytała przyjaciółkę, w jaki sposób tak szybko się pogodzili, ta spojrzała na nią zdziwiona i powiedziała:

– Rebecco, jesteśmy MAŁŻEŃSTWEM.

Zupełnie jakby Rebecca wiedziała, co to oznacza.

No cóż, nic z tego nie pojmowała. Czy małżeństwo oznaczało, że wszystko się wybacza? Skąd wiadomo, co tak naprawdę jest złamaniem przysięgi? I kiedy się to dzieje? Ellie podobne odkrycie zajęło trochę czasu.

Zastanawiała się, jak zachowałyby się jej matka, gdyby wiedziała o romansie męża z Pią Jayhawk tamtego lata. Gdyby wiedziała o dziecku. Najpierw wydało jej się, że zostawiłaby ojca, nie tolerowałaby zdrady. Jednak tak naprawdę nie miała pojęcia, co by zrobiła. Znała matkę i znała ojca, ale tylko do pewnego stopnia. Nie mogła odkryć ich małżeństwa, jego prawdziwego charakteru. Z tego, co wiedziała o mamie, złamaniem przysięgi niekoniecznie musiałby być dla niej romans. Mogłoby nim być odwrócenie się od drugiej osoby.

Usłyszała Mariannę wchodzącą bocznymi drzwiami. Odnalazła ją w kuchni rozkładającą zakupy spożywcze. Głowę kobiety zdobił elegancki kapelusik z woalką; w ogóle była ubrana



odświętnie – jakby właśnie wróciła z kościoła. Rebecca zasugerowała, że ją wyręczy, bo chce się zająć czymś niewymagającym myślenia, i Marianna chętnie przystała na jej propozycję. Poszła się przebrać, a gdy wróciła, w bluzce z polaru i džinsach, wzięły się do pracy nad pięcioma tacami czekoladowych ciastek z tradycyjnym piankowym nadzieniem.

– Marianno, jak sądzisz, dlaczego mężowie zdradzają żony? – spytała Rebecca, odmierzając mąkę i wsypując ją do srebrnej miski.

– To ważne pytanie – odparła kobieta, starając się wymieszać cukier z masłem i jajkami. Rebecca podała jej pół filiżanki oleju i olejek waniliowy, a następnie dosypała do swojej miski kakao w proszku. – Nie sądzę, by ktokolwiek znał odpowiedź, nawet Bóg, terapeuci małżeńscy czy Einstein. Założę się, że powodów jest tak wiele jak samych mężczyzn.

– Chyba tak.

Rebecce wydało się ciekawe, że ojciec wdał się w romans ledwie trzy lata po ślubie z matką, a później „nie popełnił cudzołóstwa nawet w sercu, niczym Jimmy Carter” (jak sam napisał w jednym z listów do Joy) przez następnych piętnaście lat. Dlaczego? Mogła jedynie przypuszczać, że częściowo przez strach, a częściowo przez poczucie winy. Nawet jeśli wazektomia udaremniła szanse na kolejny telefon mogący przerwać rozwiązywanie niedzielnych krzyżówek, „niewidzialne” konsekwencje romansu ciążyły mu niczym kamień u szyi. To właśnie powstrzymało go przed choćby spojrzeniem na inną kobietę. Rebecca nie miała co do tego wątpliwości.

Marianna wyłączyła mikser.

– Nie jesteś zamężna, prawda?

– Ja? Nie. Ciekawi mnie tylko twoja opinia. – Odmierzyła odpowiednią ilość proszku do pieczenia oraz sody i wsypała wszystko do miski.

Kobieta przez chwilę jej się przyglądała, a potem powiedziała:

– Mój mąż zdradził mnie dwa razy. I szczerze mówiąc, choć bolało, nie myślałam o tym zbyt dużo.

Rebecca uniosła brew.

– Dlaczego nie?

– Cóż, za pierwszym razem zrobiłam sobie wroga z pewnej kobiety na spotkaniu stowarzyszenia rodziców i nauczycieli i ona wtedy poszła na całość. Uwiodła mojego męża, by mnie skrzywdzić. Pracowała w tym samym biurze co on, zaczęła się seksownie ubierać, niepostrzeżenie się do niego zbliżała w tych swoich głęboko wyciętych bluzkach i stanikach firmy Miracle, aż w końcu nie wytrzymał. Upewniła się, że plotka do mnie dotrze, i tu jej zadanie się skończyło.

Rebecca zastygła z solą w ręce.

– Nie wściekłaś się?

Marianna wytarła ręce w fartuch i westchnęła.

– Chyba najbardziej na nią. Oczywiście, chciałabym, żeby mój mąż był wystarczająco silny, by ją zignorować, ale wobec pochlebstw, jej ogromnych piersi i tych wszystkich wlewanych mu do ucha gorących szeptów o tym, co chciałaby z nim robić, w końcu uległ jej w magazynie.

– A potem zdradził cię po raz drugi?

– Kolejna puszczałka w pracy. Ale tym razem naprawdę się podobał. Wydawało się jej, że może mi go ukraść. Co się wtedy działo! Dla niego to była relacja o podłożu seksualnym, a ona myślała, że to związek emocjonalny.

Rebecca podała Mariannie suchą mieszaninę, którą ta wsypała do miski. Dodała trochę mleka, a następnie znowu zaczęła ubijać.

– Jak się o tym dowiedziałas? – spytała.

– Zadzwoiła do mnie jakaś kobieta z jego pracy. Uważała, że powinnam wiedzieć, iż mój mąż migdali się z koleżanką z biura. Użyła dokładnie tego zwrotu: „migdali się”. Chyba nie chciała się wyrażać zbyt mocno. W każdym razie mąż wyznał mi potem, że próbował z nią zerwać, ale ona nie przyjmowała tego do wiadomości. Powiedziałam mu, że będzie lepiej, jeśli się podda i zrezygnuje z pracy, zanim ziści się scenariusz *Fatalnego zauroczenia*. Przez trzy miesiące był

bezrobotny, ale w końcu znalazł następną dobrze płatną menedżerską posadę.

– Odbierałaś jeszcze jakieś telefony?

Marianna wyłączyła mikser.

– Nie, ale nie mam wątpliwości, że to nie był jego ostatni wyskok.

– I... to jest według ciebie w porządku?

– I tak, i nie. Oj, Rebecca, to jest naprawdę skomplikowane. Nie, to nie jest w porządku.

Jasne, że to nie jest w porządku. Ale owszem, jeśli chodzi tylko o seks, kryzys wieku średniego i odrobinę rozrywki w tym monotonnym życiu, byłam w stanie to zaakceptować. Wiedziałam, że Aaron mnie kocha całym sercem i duszą. Myślę, że wmówiłam sobie, że to w porządku, skoro i tak by mnie zdradzał.

Rebecca zaczęła nakładać płynne ciasto na tacę, formując łyżką kółka.

– A gdybyś mu postawiła ultimatum?

– Myślę, że by się na nie zgodził, a potem romansowałby z wielką ostrożnością.

– Sądziś, że istnieją mężczyźni zdolni do wierności? Tacy, którzy są monogamistami do grobowej deski?

– Jestem o tym głęboko przekonana. Paru takich nawet znam.

Objęła Rebeccę ramieniem.

– Nie zniechęcałam cię całkiem do małżeństwa, co?

– Nie. Prawda jest zawsze najlepsza, nie sądziś? – Rebecca skończyła już drugą tacę i zaczęła nakładać ciasto na trzecią.

– No cóż, dopóki pamiętasz, że nawet prawda absolutna nie jest do końca prawdą. Owszem, istnieją fakty i kłamstwa, ale zwykle są też okoliczności łagodzące, nawet najmniejsze, które czasem odgrywają zasadniczą rolę. Moja matka nazywała to „byciem elastycznym”.

„Moja matka nazwałaby to usprawiedliwianiem się” – pomyślała Rebecca, jednak nigdy nie powiedziałaaby tego Mariannie.

– Ale skąd wiesz, że nie jesteś już zbyt elastyczna? Skąd wiesz, kiedy zaczynasz przekraczać granicę?

Kobieta wsunęła tacę do pieca.

– Po prostu wiesz. Budzisz się pewnego ranka i wiesz. Budzisz się inna. I powiem ci, że jeśli wtedy nie posłuchasz wewnętrznego głosu i ugniesz się mimo wszystko, po tym jak obudziłaś się i poczułaś, że osiągnęłaś punkt zwrotny, to ta świadomość cię zabije. Może nie od razu: za parę miesięcy, może za rok, ale prędzej czy później cię złamie. Wtedy będzie po tobie.

To było otrzeźwiający.

Widząc wyraz twarzy Rebekki, Marianna dodała:

– Skarbie, słyszałaś o powiedzeniu: „Podążaj za głosem serca”? Właśnie o tym mówię.

Podążasz za tym, z czym budziłaś się przez wiele dni, wiele tygodni, nawet jeśli twoja głowa nie jest o tym do końca przekonana. W ten sposób niczego nie żałujesz, nawet swoich błędów. Serce nie jest tak głupie, jak niektórzy sądzą.

– Pogubiłam się. Z jednej strony, rozumiem, co mówisz, a z drugiej, zupełnie tego nie pojmuję.

Marianna się uśmiechnęła.

– Czasem to dobrze.

Rebecca zerknęła w górę, na zegar w kształcie łośia wiszący na ścianie. Była już za dziesięć trzecia. Zdjęła fartuch i powiesiła go na kołku razem z innymi.

– Jeśli nie jestem ci już potrzebna, pójdę odebrać Charliego od Theo. Strasznie tęsknię za tym maluchem.

Kobieta posłała jej kolejny uśmiech.

– Idź. Zbyt wiele mi już pomogłaś jak na wypłacalnego klienta.

Lubiła piec z Marianną. Może nie kochała tego zajęcia – odmierzanie składników wydawało jej się nudne i często zapominała, czy dodała już proszek do pieczenia lub sodę, więc musiała zaczynać od nowa – lubiła jednak wspólne rozmowy podczas wypieków. Uwielbiała też, kiedy z piekarnika zaczynały się rozchodzić pyszne zapachy, nasuwające na myśl bożonarodzeniowy

poranek, kiedy to mama zwykła przygotowywać bułeczki cynamonowe. No i – oczywiście – uwielbiała produkt końcowy, ciepłe ciastko czekoladowe prosto z pieca. Lubiła brać pół okrągłego ciasteczka i polewać je z góry kremową pianką, która rozpływała się na boki.

Nie lubiła jednak przypadkowości całego procesu. Zawsze tak samo odmierzasz, mieszasz i nastawiasz sekundnik w piekarniku, a za każdym razem wychodzi inaczej. Tego nie mogła zrozumieć. Dlaczego, kiedy już zabierała się do pieczenia, niektóre ciasta wychodziły jej świetnie, a inne okazywały się do kitu. Właśnie dlatego szuflada kuchenna w jej nowojorskim mieszkaniu była pełna ulotek reklamujących jedzenie na wynos.

Rebecce kłębiło się w głowie od przemyśleń – własnych i Marianny, dlatego w drodze do Theo postanowiła skrócić na plażę. Miała nadzieję, że zimne oceaniczne powietrze rozjaśni jej umysł. Tak się nie stało. Wkrótce jednak wszystkie myśli i tak pierzchły na widok Theo Grangera w ogródku za domem. Patrzyła na niego oczarowana popołudniowym słońcem mieniącym się na jego jasnych włosach i opalonych ramionach. Ciepłe promienie muskały jego apetyczną wysoką i silną sylwetkę okrytą koszulką z długimi rękawami (tym razem ciemnozieloną) i džinsami z niskim stanem.

„Rzecz piękna” – zamyśliła się, przywołując w pamięci ulubioną strofę swojej matki, z ukochanego wiersza Nory Strand. Gdyby szły ulicą i zaczęłyby padać śnieg, jej matka zachwyciłaby się śnieżynką i powiedziała: „Rzecz piękna jest radością wieczną”, nawet jeśli płatek śniegu stopiłby się przy pierwszym kontakcie z jej dłonią.

Charlie zaszczeakał i zaczął biegać w kółko, więc Theo spojrział w górę, by sprawdzić, co przykuło jego uwagę. Na jej widok się rozpromienił.

O Boże, ona też mu się podobała.

– Nic dziwnego, Charlie, że jesteś taki podekscytowany – powiedział, otwierając jej furtkę. – Witaj z powrotem.

Rebecca uklękła i uściskała zwierzaka, drapiąc go po brzuchu, kiedy przeturlał się na plecy. Theo rzucił gumową zabawkę, a Charlie i Spock popędzili za nią. Oba psy już się zaprzyjaźniły. Najwyraźniej Theo też był dobrym mediatorem.

W tej chwili Rebecca pragnęła jedynie rzucić mu się w ramiona, tak jak Joy rzuciła się w objęcia męża. Chciała czuć te silne ramiona wokół siebie, jak ją wspierają i dają jej siłę. Tak jak ramiona Michaela w dniu, w którym dowiedziała się o Joy. Ciekawe, czy pocieszenie dawała jej świadomość, że te muskularne ręce należały właśnie do niego, czy po prostu tak desperacko pragnęła, by ją ktoś przytulił, że sprawdziłby się ktokolwiek.

– Wydajesz się wykończona – stwierdził Theo. – Piękna, ale wykończona. Jak minął weekend?

– Ellie i Timowi nie wyszło, ale pozostałe dwie pary chyba stanęły na pewnym gruncie.

– Żal mi Ellie – powiedział. – Trzyma się?

– Wyjechała wcześniej. Maggie się nią zajmuje.

Theo skinął potakująco głową.

– Jadłaś już? Po drodze do domu odebrałem pizzę od Mama’s.

– Zjadłam ogromne drugie śniadanie. Dziękuję.

– To może dotrzymasz mi towarzystwa – zaproponował. – Możesz być moją zaufaną asystentką przy tej wiolonczeli. Arlene zleciła ją dla Matteo. – Za nim znajdował się blat i blok pięknego drewna, w którym zaczął już rzeźbić.

– Lepiej się czuje?

– Nie. Dziewczyna go rzuciła.

– O, biedaczysko.

Wszyscy mieli problemy miłosne. To wielki, cikliwy, trudny temat dla każdego.

Rebecca wyobraziła sobie Theo, jak próbuje odreagować po kłótni, znikając na wiele godzin w swoim warsztacie, by coś rzeźbić. Migdałacego się Theo. Nagle poczuła się bardzo zmęczona, wręcz wykończona.

– Jestem wyczerpana, muszę już iść do domu. Jeszcze raz dziękuję. I dzięki, że tak dobrze zająłeś się Charliem.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Ale... DO DOMU czy do Marianny?

– Nie wiem. – W jej oczach zaszklily się łzy, więc zamrugła, by się ich pozbyć. –

Naprawdę nie wiem.

Na chwilę przestał pracować.

– W takim razie masz dobry powód, żeby zostać w Wiscasset. Skoro już tu jesteś.

Rebecca zapatrzyła się na ocean; na jego ogromny, rozległy, nieskończony błękit. Właściwie to był dobry powód.

– Zgoda, czyli na razie Marianna. W jej pensjonacie jakoś trzeźwiej mi się myśli.

„W powietrzu jest tajemniczy składnik” – przypomniała sobie słowa Arlene. Ta kobieta miała rację. W powietrzu Maine, w powietrzu Wiscasset było coś takiego, co wpływało kojąco na jej duszę.

– W każdym razie przydałby mi się teraz relaksujący spacer z Charliem – oznajmiła.

Skinął głową.

– Zatem do zobaczenia wkrótce.

To było równie dobre jak uścisk.

Usiadła z Charliem w altance w niewielkim parku. Doceniła obecność pojemnika z plastikowymi torebkami obok znaku z napisem: „Proszę, sprzątnij kupkę”, ponieważ zapomniała wziąć własne. Park był zwykłą trawiastą polaną ze ścieżką biegnącą wzdłuż większego skupiska drzew i uroczą drewnianą altanką zwieńczoną wiatrowskazem z kutego żelaza. Na drugim jego końcu Rebecca dostrzegła parę z dwoma psami rasy golden retriever.

– Co teraz, Charlie? Powraca to samo stare pytanie.

Pies oparł swój słodki pyszczek na jej ręce.

– Ty też nie wiesz, co? – zapytała, drapiąc go za uchem. – Gdzie mam się podziać? Co mam zrobić? I czemu tego nie wiem?

Zadzwoił telefon. Michael.

Przygryzła wargę i odebrała.

– Cześć.

– Jest niedziela, Rebecca. Druga niedziela. Wracasz już do domu?

„No właśnie, wracasz?” – zapytała samą siebie.

– Michaelu, chciałabym, żeby to miało sens, dla mnie też. Ale nie jestem gotowa na powrót do domu. Chcę tu jeszcze trochę zostać. Chcę popracować nad moją relacją z Joy. Tutaj.

Westchnął jej do ucha.

– W ogóle tego nie rozumiem. Tak po prostu tam zostajesz? Po co, do cholery?

– Właśnie ci powiedziałam po co. Żeby popracować nad moją relacją z Joy.

– Tak. Z Joy. Z tą obcą ci osobą, która – jak sama mi powiedziałaś – nawet nie ma ochoty cię tam widzieć. Chcesz wiedzieć, co myślę na ten temat?

Prawdę mówiąc, chciała wiedzieć. Michael bywał zimny, ale potrafił też być nieprawdopodobnie wnikliwy.

– Myślę, że zostajesz tam, bo chcesz uciec, Rebecca. Zmarł twój ojciec, zawałasz sprawy w pracy, my mamy problemy, więc wypisałaś się stąd. I dopóki Joy będzie cię odpychać, dopóty nie będziesz czuła presji. Możesz nachodzić ją do woli.

– Nie nachodzę jej, Michaelu. O rany!

– Wszystko jedno. Ona nie przychodzi do ciebie, więc ty chodzisz do niej, bo takie postępowanie wydaje ci się słuszne. Mówisz, że znajomość przebiega na jej warunkach, ale tak naprawdę odbywa się na twoich. To ty podejmujesz decyzje. To ty zdecydowałaś, że zostajesz.

– A to chyba znaczy, że od niczego nie uciekam, zgadza się? Dążę do czegoś. Dlaczego nie możesz tego zrozumieć?

– Dlatego, że to bzdura. Tu nie ma do czego dążyć. Stworzysz więc z niczego? Ni stąd, ni zowąd?

Boże, on był jak gderliwa babcia. Nie dało się z nim wygrać.

– Michaelu, coś się wydarzyło w ten weekend. Pojechałam na jeden z wyjazdów Joy, taki

dla par z problemami, oczywiście nie jako uczestnik. Moje doświadczenie w mediacjach było tak naprawdę...

– NIE JESTEŚ mediatorką, Rebecca. Jesteś niewykwalifikowanym pracownikiem kancelarii adwokackiej. I to takim, który popełnił ostatnio mnóstwo błędów. Mam nadzieję, że Joy dała ci do podpisania zrzeczenie odpowiedzialności...

„Kretyn!” – pomyślała.

– Jesteś gotów powiedzieć wszystko, byleby osiągnąć swój cel? – przerwała mu. – Czy tak właśnie robią mediatorzy? Przedstawiają sprawy tak, że człowiek nie ma wyboru i zgadza się z nimi, bo są nieomylni? Cóż, istnieją jeszcze tak zwane odcienie szarości.

– No dobrze. Masz tu pytanie z serii czarno-białych. Firma musi wiedzieć, czy ma zatrudnić kogoś tymczasowo albo na zastępstwo. – Znowu westchnął. – Rebecca, wszyscy wiedzą, że przechodzisz trudny okres. Zatrzymamy dla ciebie etat, ale muszę wiedzieć, co robisz.

– Wiem – rzekła i nagle zdała sobie sprawę, że Michaelowi nie chodzi tylko o pracę. Spojrzała na krzewy w parku, a potem zamknęła oczy. – Myślę, że powinieneś znaleźć kogoś na zastępstwo. Nie mam pojęcia, kiedy wrócę. Nie jestem niezastąpiona.

– Nie tak łatwo cię zastąpić, do ciężkiej cholery! – syknął i się rozłączył.

Kiedy wróciła do Marianny, przed jej drzwiami stał niewielki koszyk. Podniosła go. Pod białą ściereczką znajdowało się coś ciepłego i pysznego – bochenek świeżo upieczonego chleba i słoik dżemu truskawkowego z naklejką, na której czarnym tuszem wypisano: „Truskawki. Wrzesień”.

Była też karteczka: „Dzięki, Joy”.

Rebecca uśmiechnęła się i zadzwoniła do Joy.

– Sama upiekłaś chleb?

– To mi pomaga myśleć.

– A o czym myślisz?

– Myślę, że weekend okazał się ogromnym sukcesem, nawet dla biednej Ellie. Jest gotowa uwolnić się od Tima.

„Ja nie jestem gotowa uwolnić się od ciebie” – pomyślała Rebecca. Pomimo dwóch weekendów poza domem i wszystkiego, co zostało powiedziane, nic porozumienia między nimi wciąż była bardzo cienka. Brakowało tego... CZEGOŚ.

– To jak, wracasz do Nowego Jorku? – spytała Joy.

– Chcesz, żebym wróciła?

Cisza.

– Niekoniecznie. I nie jesteś już tak bardzo obca. Wiesz o moich prywatnych sprawach więcej niż ktokolwiek inny.

Serce Rebekki zabiło mocniej.

– Sytuacja, nasza sytuacja, jest, jaka jest – dodała Joy.

Rebecca się uśmiechnęła. Joy zdecydowanie nie dorastała z Danielem Strandem.

– Chcę powiedzieć, że jesteś, kim jesteś, Rebecca. Moją przyrodnią siostrą. To się nie zmieni, niezależnie od tego, czy będziesz tutaj, czy też setki kilometrów stąd, czy w Nowym Jorku. Myślę, że będzie mi nawet trudniej poradzić sobie z sytuacją, jeśli wrócisz do swojego domu, w myśl zasady: „Co z oczu, to z serca”. Jakoś nie mogę cię wyrzucić z głowy. Próbowalam, uwierz mi. Jeśli zostaniesz tutaj, to przynajmniej będę mogła spróbować nadać moim relacjom z tobą jakiś sens, zastanowić się nad uczuciami i nad swoim postępowaniem wobec ciebie. Chodzi mi o to, że nie możemy po prostu pstryknąć palcami i nagle STAĆ SIĘ rodzeństwem.

„Stworzysz więc z niczego? Ni stąd, ni zowąd?”

– Wiem. Też nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Może byłoby łatwiej, gdyby łączyło nas jakieś wielkie życiowe wydarzenie, gdybyśmy na przykład obie były nowo upieczonymi matkami albo miały dzieci w wieku przedszkolnym, albo gdybyśmy były samotne, bez pracy i czuły się kompletnie same na świecie.

– Czy ty tak się właśnie czujesz? – spytała Joy.

– Tak się czułam. Ale to miejsce i ludzie, których poznałam, mają coś w sobie. Ty też,

oczywiście.

– Nie chcę rozmawiać o naszym ojcu – powiedziała. – Harry pomyśli, że zrobiłam gigantyczny krok wstecz, ale naprawdę nie mam ochoty poruszać tego tematu.

– Rozumiem.

– Tylko o czym jeszcze możemy rozmawiać?

– Nie wiem – odparła Rebecca. – Mogłybyśmy porozmawiać o twoim małżeństwie, ale to prawdopodobnie doprowadzi nas do wiesz kogo.

– No właśnie, czyli będziemy musiały wymyślić coś innego.

Rebecce ulżyło. Dziwnie się czuła, będąc na czyjejś łasce – i to na łasce kogoś innego niż chłopak, który chciał ją rzucić; bo w TYM Rebecca miała doświadczenie. Jednak z Joy sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. To właśnie ona dyktowała warunki. To ona decydowała o tym, czy chce widzieć Rebeccę w swoim życiu. Rebecca nie czuła, by miała tu nad czymkolwiek kontrolę. Zaczęła widzieć w sobie tę komiczną i żalostną kobietę z *Kronik Seinfelda*, która odmawiała George'owi Costanzie zerwania ze sobą. Wciąż powtarzała „nie”.

– Joy, zastanawiałam się... czy mogłabym kiedyś zabrać Rexa na plac zabaw? Albo na czytanie bajek? Bardzo chciałabym go poznać. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Cisza. Po chwili:

– Jutro rano o 10.30 wybieram się z nim do biblioteki. Chętnie się tam z tobą spotkamy.

– Dziękuję, Joy. To dużo dla mnie znaczy. Do zobaczenia.

– Na razie – powiedziała Joy.

– Na razie – powtórzyła Rebecca, czując ulgę w sercu.

Leżała na łóżku i gapiała się w sufit. Nie mogła spać. Ukroiła jeszcze jeden kawałek chleba, tym razem rezygnując z dżemu. Przyrządziła sobie filiżankę herbaty i usadowiła się przy oknie. Było tuż przed północą. Charlie węszył przy drzwiach, więc włożyła sweter, skarpetki oraz chodaki i wyszła na dwór. Skierowała się w inną stronę niż zwykle, a Charlie dreptał przy jej nogach, obwąchując liście zalegające na ścieżce. Ulice były kompletnie puste, ale czuła się całkowicie bezpiecznie. Już miała skręcić, kiedy dostrzegła przepiękne stare drzewo. Jego zmieniające właśnie kolor liście lśniły w poświacie księżyca... czerwony, złoty, żółty. Przeszła na drugą stronę ulicy i stanęła pod rozłożystymi konarami. Pewnego razu mama powiedziała jej, że kiedy coś ją trapiło, gdy nie potrafiła podjąć jakiejś decyzji, szła do Central Parku, stawiała pod owocującym drzewkiem, a wtedy odpowiedź zawsze się pojawiała. To stare drzewo nie owocowało, ale wydawało się wiekowe i wszytkowiedzące.

Rebecca stała pod najniższą gałęzią. Nieruchome miękkie liście delikatnie muskały jej skronie. Może gdyby stała tu przez wiele dni, serce przemówiłoby do niej, jak twierdziła Marianna? Może dowiedziałaby się, czy kocha Michaela, czy powinna wracać do domu?

„Dlaczego ludzie muszą sami siebie pytać o to, czy kogoś kochają? – zastanawiała się. – Czy takich rzeczy się po prostu nie wie?”

Czemu na razie wiedziała jedynie to, że chce być tutaj – tu, gdzie mieszka Joy? Ponieważ to dawało jej powód, by być w tym miejscu, do którego mogła uciec i skryć się, gdzie niczego od niej nie wymagano? Czy Michael miał rację, czy też ona tak bardzo się myliła?

Odpowiedzi na te pytania musiały poczekać, bo Charlie owinął smycz wokół jej nóg. Kiedy się odkręcała, by się z niej uwolnić, ujrzała dom.

Ten dom.

Dom z obrazu wiszącego w Mama's, który zobaczyła pierwszego dnia pobytu w Wiscasset. Mały żółty domek z białymi wykończeniami, doniczkami na kwiaty i wybrukowaną ścieżką. Stanowił połączenie bungalowu, takiego jak dom Theo, i nadmorskiego budynku w stylu domu Joy. Rebecca stała tam i wpatrywała się w jego urokliwą żółtą fasadę, w maleńką werandę z bujanym fotelem. Uświadomiła sobie, że to nie był dokładnie ten sam dom, co na obrazie, ale bardzo go przypominał.

Wyobraziła sobie huśtawkę, którą Theo by dla niej zbudował. Zobaczyła, jak oboje siedzą na niej, trzymając się za ręce. Wyobraziła sobie siebie w środku, jak wchodzi do domu i z niego wychodzi.

Ujrzała w nim życie.

Przed domkiem dostrzegła tabliczkę: „Na sprzedaż”. Uśmiechnęła się do siebie. Oczami wyobraźni widziała już, jak wbiega na ganek po trzech niewielkich kamiennych schodkach z torbą na ramieniu wypełnioną podręcznikami z dziedziny doradztwa. Spojrzała w okno na piętrze i wyobraziła sobie siebie siedzącą przy biurku pod oknem z widokiem na to drzewo i zapamiętała piszącą pracę semestralną na studiach podyplomowych, radośnie przeglądającą materiały naukowe z filiżanką herbaty i Charliem ułożonym na stopach.

Ale to było tylko marzenie. W rzeczywistości musiała popracować nad swoim związkiem z Michaeliem, nad ich problemami. Michael nie rozminął się z prawdą, oskarżając ją o ucieczkę od zmartwień zostawionych w Nowym Jorku, poczynawszy od pracy, przez ich problemy, a skończywszy na stresie związanym z samym miastem. Rebecca BYŁA mieszkanką Nowego Jorku, obserwującą przez chwilę życie kogoś innego. Nie mogła tak po prostu wszystkiego zostawić i kupić małego żółtego domku marzeń w niewielkim miasteczku w Maine.

Jednak na wszelki wypadek zanotowała nazwę agencji nieruchomości i numer telefonu.

Tuż przed 10.30 Rebecca czekała w dziale dziecięcym Biblioteki Publicznej w Wiscasset. Sześcioro czy siedmioro dzieci siedziało w półokręgu na kolorowych poduszkach rozłożonych na podłodze wokół młodej uśmiechniętej kobiety o nienagannej dykcji. Rodzice i opiekunowie usadowili się na sofach rozmieszczonych pod ścianami. Niektórzy coś czytali, inni rozmawiali ze sobą, a jeszcze inni się rozglądali. Rebecca zerknęła na zegarek. Być może Joy zmieniła zdanie.

A jednak przyszli. Rex wyglądał słodko w czerwonym stroju Supermana i niebieskich okularkach pływackich, które wywołały śmiech wśród pozostałych dzieci. Wcisnął się na miejsce między chłopcem a dziewczynką, których chyba znał, i też wbił wzrok w młodą kobietę. Był taki uroczy! Pani prowadząca spotkania z cyklu *Czas na czytanie* wzięła do ręki *Czapki na sprzedaż*. Rebecca przypomniała sobie, że też jej to czytano, gdy była mała. Kiedy kobieta rozpoczęła lekturę, dzieci całkowicie się na niej skupiły. Joy podeszła do dwuosobowej sofy, na której siedziały Rebecca, i usiadła obok niej.

Kiedy maluchy zaśmiewały się z błazeństw, jakie w historyjce wyczyniały niegrzeczne małpki, Rebecca pomyślała o tym, ile razy ona i Michael, leżąc w łóżku, rozmawiali o dzieciach, które pewnego dnia będą mieli – dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Michaelowi podobały się imiona ponadczasowe, takie jak Catherine i Henry, ona wołała Clementine czy Milo. Wreszcie doszli do porozumienia: ona wybierze dwa imiona i on też dwa. Tylko że przestali o tym ze sobą rozmawiać już dawno temu. Teraz nie wyobrażała sobie, że mogłaby mieć dzieci z kimś tak kategorycznym. Z kimś, kto byłby w stanie powiedzieć swojej trzyletniej córce, że jest „niedoinformowana”, skoro chce zjeść ciasto na śniadanie.

– Bardzo mi się podoba ta peleryna. I okulary też. Wygląda uroczo – zwróciła się szeptem do Joy.

Ta się uśmiechnęła.

– Harry ma zdjęcie, na którym jako dziecko też jest przebrany za Supermana. Przysięglabyś, że to Rex.

Rex rzeczywiście wyglądał jak Harry – mieli te same grube, błyszczące, brązowe włosy i oczy o kolorze orzecha. Jednak kilka cech chłopiec odziedziczył po Joy: okrągłe oczy, lekko orli nos, wydatną brodę. Widać było, że płynie w nim krew Strandów.

Kiedy czytanie się skończyło, dzieci wstały z podłogi i zaczęły wybierać sobie lektury znajdujące się na niższych półkach.

Rex przyniósł którąś z serii o Ciekawskim George’u, przycupnął z boku sofy obok Rebekki i położył jej książkę na kolanach.

– Jejku! – Joy się zdziwiła. – Zwykle tylko ja mogę mu czytać. Chyba coś mu się w tobie spodobało.

Rebecca się roześmiała.

– Spodobało ci się coś we mnie? – zapytała chłopca.

Ten nie odpowiedział, ale tak przywarł do niej główką, że poczuła na skórze chłód pasków od jego niebieskich okularków. Ponieważ patrzył wymownie na książkę i czekał, Rebecca otworzyła ją, a wtedy Rex pokazał palcem na rysunek George’a stojącego na lotnisku i przyglądającego się przez wielkie okno małemu samolotowi.

– On latuje samolotem! – zachichotał.

Rebecca też się roześmiała i pozwoliła Rexowi przerzucać strony. Robił uwagi do obrazków i wydawał się zainteresowany nimi znacznie bardziej niż samą historyjką.

– Dobrze sobie radzisz z dziećmi – rzuciła Joy.

Ten komplement sprawił jej niewymowną radość.

Byli rodziną, niezależnie od tego, jak bardzo Joy starała się odepchnąć od siebie tę prawdę i jak wielki opór mogła jeszcze stawiać. Ta kobieta i ten chłopiec byli dla Rebekki rodziną – najbliższymi krewnymi, choć nie było lekko.

Gdy Joy zabrała Rexa do łazienki, Rebecca odszukała w torebce karteczkę, na której



zapisła numer do agencji nieruchomości. Kiedy tylko znalazła się z powrotem w swoim pokoju u Marianny, zadzwoniła tam. Nagle poczuła, że znalezienie sobie własnego lokum tutaj, w Wiscasset, to wcale nie jest taki zwariowany pomysł. W końcu miała tu rodzinę. A Maine w istocie było wakacyjnym rajem.

– Agencja nieruchomości Na Wybrzeżu, tu Maggie Herald.

„Maggie?”. Ach, Rebecca zapomniała, że dziewczyna była pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

– Maggie, tu Rebecca Strand.

Przemierzała swój mały pokój u Marianny w tę i z powrotem, podekscytowana i podenerwowana jednocześnie.

– Cześć, złotko! Jeśli dzwonisz, żeby zapytać o Ellie, to z nią już dużo lepiej. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałam, czyli wczoraj w środku nocy, przed jej domem stało pięć wielkich worów na śmieci ze szpargałami tego dupka. Wystawiła wszystko na zewnątrz, żeby mógł po to przyjechać.

– Musi jej być ciężko tak się pozbyć jego rzeczy.

– To oczyszczające. Dla duszy to coś jak wymiotowanie zgniłym jajem, którym ten typ zresztą jest. Ellie da sobie radę. Przygotowałam dla niej całą stertę moich rozwodowych książek: *Rozwód a dusza*, *Dobry rozwód*. Tak jakby istniał jakiś rodzaj rozwodu, który nie jest do dupy. O właśnie, skoro mowa o rozwodach: czy Ellie mówiła ci, że powołałyśmy do życia nowy klub? Klub Zgorzkniałych Byłych Żon z Wiscasset. Musiałyśmy zorganizować się na nowo, bo Victoria jest tak szaleńczo zakochana w Victorze, że nie może znieść towarzystwa wiecznie niezadowolonych staruch. Myślisz, że ci od turystyki w urzędzie miasta pozwolą nam włączyć wzmiankę o klubie do ich informatora?

Rebecca się roześmiała.

– Cóż, brzmi to nader ciekawie.

– Będziemy się spotykać co tydzień. Miałyśmy z Ellie nadzieję, że zechcesz się przyłączyć i prowadzić spotkania. Wiesz, pomagałabyś nam trzymać właściwy kurs, żebyśmy w którymś momencie nie zaczęły ostrzyć noży czy coś w tym stylu.

– Nie jestem pewna, czy w przypadku takich klubów można mówić o właściwym kursie – powiedziała Rebecca. – Tak naprawdę chodzi o to, że potrzebujecie siebie nawzajem. I trochę jedzenia z fast foodu.

– O, jedzenie z fast foodu będziemy mieć na bank. Ale uważamy, że przydałaby się również bezstronna osoba. A może przyjdiesz chociaż na pierwsze spotkanie? Jeśli się znudzisz, nie będziemy się dziwić. Odwdzięczymy ci się napitkami i naprawdę pysznymi zakąskami. Naczosy i inne cuda. Czekolada. Żadnych kanapek z ogórkiem i tym podobnych. Pierwsze spotkanie u mnie w czwartek o osiemnastej. Przyjdą jeszcze dwie inne kobiety i jeden mężczyzna. Możliwe, że aby było sprawiedliwie, trzeba będzie zmienić nazwę na Klub Zgorzkniałych Byłych.

W myślach Rebekki zabrzmiał głos Michaela: „Nie jesteś mediatorką”. Miała jednak głowę na karku i miała też serce, a tak się składało, że zawsze była dobra w pomaganiu ludziom, którzy borykali się z problemem ogarnięcia własnego życia, własnych uczuć; nawet jeśli nie potrafiła pomóc w tych sprawach samej sobie.

– Uwielbiam niezdrowe zarcie, więc możecie na mnie liczyć. Aha, Maggie, spacerowałam sobie wczoraj wieczorem i zauważyłam uroczy żółty domek, taki trochę rustykalny.

– A, wiem. Na Wiązowej, tak?

– Tak.

– Na rynku jest od ponad pół roku. Już dwa razy cena była obniżana. Problem w tym, że jest malutki. Ma tylko dwie sypialnie. I półtorej łazienki. A ludzie lubią mieć dwie normalne łazienki w domu. I chcą też trzecią sypialnię, wszystko jedno, czy na gabinet, czy na pokój dla gości.

Malutki? To był wolno stojący dom! W porównaniu z mieszkaniem w Nowym Jorku, w którym była tylko jedna sypialnia dzielona przez dwie osoby, ten dom wydawał się... ogromny!

– Wiem, że jest przeznaczony na sprzedaż, ale czy możliwy byłby najem z miesiąca na miesiąc? Dopóki się nie sprzeda?

Rebecca zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

– Oczywiście! Reklamowałam go w tutejszej gazecie i co miesiąc na portalu Craigslist. Oglądało go nawet kilka osób właśnie z myślą o wynajęciu, ale nikt się nie zdecydował. W Maine jest tak, że jeśli dom nie ma garażu, to ludzie nie chcą go nawet wynajmować.

– Dziękuję, wszechświecie – szepnęła Rebecca, zwracając wzrok w stronę sufitu.

Co się tyczy braku garażu i zbliżającej się zimy (to wcale nie znaczyło, że spodziewała się być jeszcze tutaj, gdy zaczną się burze śnieżne), od czego jest Home Depot? Od tego, żeby kupić tam odśnieżarkę i skrobaczkę do szyb.

– Chciałabym go obejrzeć. Mogłabyś mi go dziś pokazać?

– Wiesz co, zrobimy tak: mam dziś jeszcze kilka spotkań w Brunswicku, pokazuję tam nieruchomości, więc może sama pójdziesz do tego domu, obejrzysz go i powiesz mi, co o nim myślisz? Aha, jest tam trochę mebli, ale jeśli będziesz wolała, właścicielka wynajmie ci go bez nich. Mieszka nad jeziorem Sebago; w razie potrzeby po prostu odda je gdzieś na przechowanie. Jeżeli ci się spodoba, przyjdę tam z tobą i omówię wszystko bardziej szczegółowo. Klucz znajdziesz w puszczyce w donicy zawieszanej pod oknem, tuż przy płocie. Wejdz i się rozejrzyj. Miło, że osobiście mogę za ciebie ręczyć.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Dzięki. Zadzwoń do ciebie później.

Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy o czymś sobie przypomniała – Charlie.

– Maggie, właścicielka zgadza się na psy?

– I na psy, i na koty. Sama ratuje trzynożne biedactwa. Z tego co wiem, teraz zajmuje się fretką, która ma tylko jedno oko.

Rebecca nie przestawała się uśmiechać.

– Dzięki, później się odezwę.

Wzięła Charliego na smycz i właściwie pobiegła do małego żółtego domku. W ogródku rosło piękne drzewo, które rzucało cień na werandę. Sąsiednie domy nie stały zbyt blisko; były równie urocze co ten, tylko białe.

Odnalazła klucz. Trzy schodki prowadziły na niewielką werandę. Otworzyła drzwi wejściowe i znalazła się w malutkim przedpokoju. Na podłodze leżał dywanik, zmieścił się tu także stylowy kuty wieszak. Szerokie klepki w podłodze były stare, ale nie dostrzegła na nich zadrapań. Ściany w salonie pomalowano na piękny bladzi niebieski. Nad ozdobnym gzymsem kamiennego kominka wisiał wyjątkowo udany obrazek, przedstawiający pięć łodzi pomalowanych na intensywne kolory. Meble wydawały się zupełnie przyzwoite – była tu sofa w kolorze żurawinowym, jeszcze jeden pleciony dywanik i stolik kawowy wykonany z czegoś, co przypominało patyki. W trzech wysokich oknach wisiały zwiewne białe firanki w delikatny czerwony wzorek. Krótki korytarz prowadził dalej do niewielkiej łazienki połączonej z toaletą. Nad umywalką zobaczyła stare okrągłe lustro w białej drewnianej ramie.

Kolejny korytarzyk prowadził do kuchni. Pomieszczenie nie było duże, ale miało ustawny kwadratowy kształt, drewnianą podłogę i duże okno nad białym emaliowanym zlewozmywakiem, co przywiodło Rebecce na myśl dawne nowojorskie mieszkanie jej zmarłej babci. Sprzęty wyglądały na sprawne. Dodatkowo podobało jej się to, że nie znalazła tu nic ze stali nierdzewnej. A już w całkowity zachwyt wprawił ją widok białego drewnianego stołu na jednej nodze i krzesel do kompletu, stojących przy oknie z żółtymi zasłonkami. Już widziała oczami wyobraźni, jak je tutaj śniadania.

Na górę prowadziło dziesięć stopni. Na piętrze znajdowały się dwie całkiem spore sypialnie. Każda miała po cztery okna i każdą zaopatrzone w podwójną szafę wnękową. W jednym z pokoi, tym, którego ściany pomalowano na bladożółty kolor, stały wielkie łóżko i toaletka. W drugim natomiast umieszczono dwa pojedyncze łóżka. Pomiedzy sypialniami znajdowała się łazienka. Na jej środku stała wanna na lwich łapach, a piękna toaletka wydała się Rebecce jak wyjęta z garderoby gwiazdy filmowej.

Bez dwóch zdań to był dom kobiety. Rebecca wiedziała, że ostatnio nie przebywał tu żaden mężczyzna. Wydawało się, że to takie miejsce, w którym mogła mieszkać kobieta na zakręcie, znajdująca się między jednym a drugim życiem.

To był dom dla niej.

Stojąc w małym ogrodzonym ogródku (co było dodatkowym plusem) na tyłach domu, zadzwoniła do Maggie.

– Jest fantastyczny! Jak najbardziej chcę go wynająć.

– Świetnie! Dzięki tobie będę miała prowizję. Wpadnę dziś do Marianny z umową najmu z miesiąca na miesiąc. Będę potrzebowała od ciebie czynszu za pierwszy miesiąc i równowartości czynszu jako kaucję. Jak tylko to załatwimy, będziesz mogła się wprowadzać. Za ten miesiąc czynsz wyliczę proporcjonalnie.

– A ile w ogóle wynosi czynsz? – zapytała Rebecca. Właśnie sobie uświadomiła, że nie ma pojęcia, ile kosztuje wynajęcie całego domu. Koszt mieszkania, w którym żyła z Michaeliem, to trzysta dolarów miesięcznie.

– Tysiąc sto, plus opłaty. Pewnie namówię Annę na tysiąc pięćdziesiąt, skoro dom stoi pusty od tak dawna. Będzie zachwycona, że wreszcie ktoś się tam wprowadzi. Swoją drogą może się upierać przy tysiącu stu, bo w zeszłym roku w lecie postawiła nowe ogrodzenie. Widziałaś ogródek za domem? Ogrodzeniem zajął się Theo Granger. Ellie mówiła, że przyprowadziła go na jej przyjęcie w zeszłym tygodniu. Spotykacie się?

Rebecca uśmiechnęła się i obróciła na pięcie. Patrzyła teraz na biały płot, który postawił Theo.

– Nie. Tylko się przyjaźnimy. A tysiąc sto jest w porządku.

Dzięki temu, że Michael był taki oszczędny, miała sporo pieniędzy na koncie.

– Czyli nie jesteś nim zainteresowana?

– Theo? Maggie, wiesz, że z kimś jestem.

– Ale wynajmujesz dom w Maine. Chyba że twój chłopak też ma zamiar się tu przeprowadzić?

Słuszna uwaga.

– Moje życie trochę się skomplikowało.

– Wszystkim nam życie trochę się komplikuje – skomentowała Maggie. – Z ciebie to jednak szczęściara. Theo ma całkiem spory wybór, jeśli chodzi o samotne kobiety w tym mieście, ale nikt nie wpadł mu do tej pory w oko. Z wyjątkiem ciebie.

– Nie wpadłam mu w oko, Maggie. Po prostu jesteśmy przyjaciółmi.

– „Po prostu przyjaciele” nie chodzą razem na przyjęcia. „Po prostu przyjaciele” nie spacerują razem po plaży. „Po prostu przyjaciele” nie siedzą na ganku u Marianny, gadając do późna w nocy.

Hm. Życie w małej miejscowości ma też swoje wady.

– Przyznaję, jest miły. Ale, jak mówiłam, w sumie nie wiem, co robię. Wiem tylko, że bardzo chcę wynająć ten dom.

– Cóż, w tym akurat mogę ci pomóc. Spotkajmy się u Marianny o piątej, dobrze?

– Piąta mi pasuje.

Charlie buszował po swoim nowym królestwie i podlał jedną z roślinek. Rebecca robiła natomiast w głowie listę rzeczy, które będzie musiała kupić. Na początek nowe materace. Pościel, ręczniki, środki czystości. Wszystko do kuchni, od sztućców po garnki i patelnie. Lista zaczęła się wydłużać, więc sięgnęła do torebki po notes i długopis. Właśnie zapisywała „zasłona do prysznic”, gdy zadzwonił telefon. Numer z Nowego Jorku, ale nie rozpoznała go.

– Słucham?

– Rebecco, mówi Martin Fischer. – Prawnik jej ojca. Był jego dobrym przyjacielem; po pogrzebie obiecał, że skontaktuje się z nią, kiedy wyjaśni się wszystkie sprawy majątkowe. – Jak wiesz, jesteś jedyną spadkobierczynią majątku swojego ojca. Potrzebuję twojego podpisu na kilku dokumentach, żebyś mogła dostać czek na sumę miliona trzystu tysięcy dolarów. Plus jakieś pomniejsze kwoty: pięćset tysięcy z polisy na życie i pieniądze z jego kilku kont.

„O kurczę!”

Długopis wypadł jej z ręki. Wiedziała, że ojciec był ubezpieczony na życie i że nieźle mu się powiodło. No i że dobrze zainwestował oszczędności, bo nie dopadł go kryzys na rynku. A jednak

nigdy nie wierzyła Michaelowi, kiedy mówił, że jej ojciec jest wart ponad milion dolarów. Zawsze myślała, że tak tylko gadał, że to taka przenośnia, a nie konkretne pieniądze. I że jak przyjdzie co do czego, dostanie po nim jakieś dwieście tysięcy.

– Najpierw dzwoniłem do ciebie do domu – ciągnął prawnik – ale Michael powiedział, że wyjechałaś do Maine na jakiś czas, będę więc potrzebował twojego nowego adresu, żeby przesłać ci dokumenty.

Nowy adres. Rebecca pobiegła do frontowej części domu i sprawdziła numer na drzwiach.

– Ulica Wiązowa 44, Wiscasset, Maine. Nie znam kodu. Albo nie; Martinie, lepiej będzie, jeśli prześlesz papiery na adres hoteliku, w którym się zatrzymałam, tak na wszelki wypadek. Nie jestem pewna, czy będę się do nowego domu wprowadzać jutro czy pojutrze.

Podawała mu adres Marianny.

– No to wszystko ustalone. Jeśli mogłabyś przeczytać dokumenty, podpisać je i odesłać do mnie jak najszybciej, przekazałbym je dalej i czek miałabyś u siebie za kilka tygodni.

„Czek. Wolałabym mieć znów tatę”.

Rebecca przysiadła na schodach werandy.

– Martinie, muszę cię o coś zapytać. Mówią ci coś imiona Pia Jayhawk albo Joy Jayhawk? Nigdy ich nie słyszał.

– W testamencie tata w ogóle o nich nie wspomina?

– Nie, nie ma w nim ani Pii Jayhawk, ani Joy Jayhawk – odpowiedział Martin.

Rebecca opowiedziała mu więc, co usłyszała od ojca leżącego na łożu śmierci.

Opowiedziała o listach, o odnalezieniu Joy i o tym, dlaczego jest teraz w Maine.

– A więc nie ma w dokumentach taty nic, co wskazywałoby na to, że przez lata posyłał Pii Jayhawk jakieś pieniądze na dziecko? Albo że założył jakieś specjalne konto dla Joy Jayhawk?

No tak. Martin Fischer był dobrym przyjacielem jej ojca, ale był też doskonałym prawnikiem. A Rebecca rozumiała, na czym polega tajemnica zawodowa. Martin nie piśnie ani słowa, nawet jeśli tata powiedział mu o Pii i Joy. Powie jej tylko o tym, na co są jakiegokolwiek dokumenty, co jest legalne.

– Nie, niczego takiego nie ma. Nie ma najmniejszej wzmianki o kimś o nazwisku Jayhawk.

Jak to? Jak to możliwe, że nie wysłał Pii żadnych pieniędzy, nawet anonimowo? Naprawdę tak całkowicie się od niej odwrócił? Okej, Rebecca rozumiała, że mógł się wycofać emocjonalnie, mentalnie i fizycznie, ale finansowo? Jak mógł nie zapewnić im pieniędzy na najbardziej podstawowe rzeczy: jedzenie, ubranie, dach nad głową? Joy była przecież jego córką, niezależnie od tego, czy chciał ją mieć, czy nie.

Co roku siadał za biurkiem i pisał do niej głupi, nic nieznaczący list o sobie, o tym, co myślał i co czuł, a tymczasem tak naprawdę potrzebowała wtedy jedynie prawdziwej kartki z życzeniami urodzinowymi. Jakiegoś kontaktu. Ojca.

Rebecca poczuła, że skręca ją w żołądku. Joy całkowicie zasługiwała na swoją część tych pieniędzy. I dostanie je. Wszystko jedno, czy jej prawnik też będzie tak uważał. Zresztą Michael nie był przecież jej prawnikiem. Nigdy kogoś takiego nie potrzebowała.

Ledwie skończyła rozmowę, znów rozległ się dzwonek telefonu. Tym razem to Michael.

– Kontaktował się z tobą prawnik twojego ojca? Dzwonił kilka minut temu. Powiedziałem mu, że wyjechałaś, a potem zdałem sobie sprawę, że nie mam nawet twojego aktualnego adresu. Ciekawe, co? Nie mam adresu do mojej dziewczyny, która od dwóch tygodni mieszka gdzie indziej.

– A właściwie czemu zostałeś w domu w poniedziałek? – Rebecca zerknęła na zegarek. – Jesteś chory?

– Obchodzi cię to?

– Przecież pytam, prawda?

– Mam grypę czy coś takiego. Nie wiem. Przeżyję.

Uwielbiała, gdy robił z siebie biedactwo, udając jednocześnie, że jest najdzielniejszy na świecie.

– Michaelu, wiesz, że zatrzymałam się w hoteliku U Marianny w Wiscasset. Nie byłoby ci trudno znaleźć ten adres.

Nie chciała mówić mu na razie o nowym domu. Nie rozumiałby. Ona sama ledwie to pojmowała. Poza tym byłby to tylko pretekst do rozpoczęcia kłótni, na którą nie miała ochoty.

– Z tego, co rozumiałem, Fischer prześle ci do podpisania jakieś papiery spadkowe.

Dostałaś ponad milion, tak?

– Milion trzysta – doprecyzowała.

– Z takimi pieniędzmi nie musisz się martwić o przyszłość.

– Cóż, z połową tych pieniędzy.

Cisza. Po chwili się odezwał:

– Rebecca, chyba nie mówisz poważnie. Nie dasz jej przecież połowy spadku. Ona nie JEST jego córką.

– Już o tym rozmawialiśmy. Ona jest jego córką. Nie miała z jego strony żadnego wsparcia finansowego. Mogłaby go podać do sądu.

– Czemu jej tego nie zasugerujesz? Skoro najwyraźniej nie zależy ci na własnej przyszłości...

– Oddam jej połowę spadku. Koniec, kropka. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej. Cześć.

– Rebecca, choć raz pomyśl, dobrze? Zastanów się trochę. Jesteś teraz w trudnym emocjonalnie momencie...

– Dlaczego? Dlatego że nie robię tego, co ty chcesz? Co według ciebie powinnam robić? Dlatego że mam własne zdanie na temat swojego życia? Muszę kończyć.

Powiedziawszy to, zamknęła klawkę telefonu i wrzuciła go do torebki. Wtedy właśnie zauważyła, że po drugiej stronie ulicy stoi jakaś staruszka i się jej przygląda.

W myślach udzieliła sobie kolejnej dobrej rady: kiedy jest się w małym miasteczku, nie należy rozmawiać przez telefon na dworze.

W sklepie Bed, Bath & Beyond Rebecca trochę zaszalała. Wybieranie właściwej kołdry spośród jakichś dwudziestu, z wiedzą, że każda grzeje inaczej, i możliwością dotknięcia próbek, pozwoliło Rebecce natychmiast zapomnieć o kłótni z Michaeliem.

– Niech pani weźmie jak najlżejszą – odezwał się za nią jakiś głos. – Kupiłam sobie nieco cieplejszą i zeszłej zimy niemal zapociałam się na śmierć. Serio.

Rebecca uśmiechnęła się do kobiety i jej córeczki siedzącej w wózku na zakupy.

– Wierzę pani na słowo. Zresztą muszę, bo inaczej spędzę tu całą wieczność.

Chwyliła opakowaną w plastikową torbę kołdrę w rozmiarze jej małżeńskiego łóżka i wsadziła ją do wózka. Potem dobrała jeszcze żółtą pościel w drobne kwiatki i pasujące do niej solidne poszewki. I jeszcze miękkie bawełniane i flanelowe prześcieradła. Pomiędzy działem pościeli a działem z ręcznikami znalazła całą masę rzeczy, którym nie potrafiła się oprzeć, takich jak radio pod prysznic, dzięki któremu będzie mogła słuchać Lady Gagi albo Coldplay, myjąc włosy. Dwadzieścia minut zastanawiała się nad odkurzaczem (chciała model firmy Dyson, ale nie mieściło jej się w głowie, jak mogłaby wydać aż tyle pieniędzy), a jeszcze dłużej zeszło jej się z wyposażeniem łazienki. W końcu zdecydowała się na miękkie ręczniki w kolorze lawendowym i puszystą matę na podłogę. I szklanki. I komplet kieliszków do wina. I korkociąg.

I wycieraczka.

Kiedy skończyła zakupy, okazało się, że wydała ponad osiemset dolarów na wyposażenie domu, do którego z oficjalnego punktu widzenia nie miała nawet prawa. Rzuciła okiem na zegarek. Dopiero minęła czternasta. Wróci do Marianny i zanim przyjedzie Maggie, zdąży zadzwonić do firmy wywożącej śmieci, zamówić materace i pomyśleć nad tym, jak urządzić po swojemu nowe lokum.

Zakupy ledwo zmieściły się w jej wypożyczonej hondzie. Może powinna sobie kupić subaru – wszyscy tu takimi jeżdżą.

„Znów dajesz się ponieść chwili – upomniała samą siebie, zła, że nie zatrzymała się nawet na moment, żeby na spokojnie pomyśleć o przyszłości. – Ale kto mówi, że powinnam?”

Kiedy obudziła się następnego dnia, jej wzrok padł na szafkę nocną, na której leżały lśniący srebrzyście klucz i umowa najmu. Przygarnęła Charliego do siebie i mocno go przytuliła.

– Jutro się przeprowadzamy! A dziś mamy milion rzeczy do załatwienia, żebyśmy jutro mogli zamieszkać w naszym nowym domu.

Pies polizał ją po policzku, co Rebecca odebrała jako znak, że też jest zadowolony. Już rozmawiała z Marianną, która kazała jej obiecać, że raz w tygodniu pojawi się u niej na płotecku przy ciastkach.

Warkot piły mechanicznej oznaczał, że jest tu Theo. Wzięła szybki prysznic; biorąc pod uwagę, że byli „tylko przyjaciółmi”, trochę za długo zajął jej wybór odpowiedniego sweterka. Wreszcie wyszła z Charliem na zewnątrz.

Theo wyłączył piłę i podniósł gogle na czoło.

– Wiesz co? – zapytała.

Theo spojrzał na nieskazitelnie błękitne niebo, a potem znów na nią.

– Wynajęłaś ten uroczy żółty domek na Wiązowej?

– Zgadłeś! – Szturchnęła go radośnie w ramię. – Wiadomości szybko się tu rozchodzą.

Muszę o tym pamiętać.

– Gratuluję. To chyba oznacza, że trochę tu zabawisz?

– Na to wygląda.

Uśmiechnął się.

– Daj znać, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować. Nie przepadam za robieniem regałów na książki, bo to potwornie nudne, ale każdy ich potrzebuje.

– Nie mam żadnych książek. To znaczy na razie nie mam.

– No to już wiem, co ci kupić na nowe mieszkanie.

Rebecce wpadł do głowy pewien pomysł – mogłaby zorganizować parapetówkę. W końcu знаła już w tej miejscowości trochę osób, które na pewno by przyszły; na przykład Ellie i Maggie, i Joy, Harry’ego, Arlene i Matteo, Victorię i Victora, Cutlassów, Mariannę, no i oczywiście Theo.

Kiedy przed budynkiem pojawił się jakiś mężczyzna z pudłem z narzędziami, Rebecca powiedziała:

– Dobrze, nie przeszkadzam ci dłużej. Charlie, chodź. Musimy posprzątać nasz nowy dom od fundamentów po dach.

W życiu nie cieszyła się tak bardzo na myśl o odkurzeniu i pryskaniu odświeżaczem powietrza.

Kiedy wróciła do hotelu, była wykończona. Żałowała, że w ferworze zakupów nie pomyślała o gumowych rękawiczkach. Zobaczyła, że czeka na nią przesyłka, i już miała ją odłożyć na biurko, kiedy zauważyła, że paczka nie była od Martina Fischera. Nadawcą okazała się kancelaria Whitman, Goldberg & Whitman. Być może to oficjalne zwolnienie. Albo pozywali ją do sądu za porzucenie pracy? Albo chłopaka?

W przesyłce znajdował się list doczepiony do dwóch zaklejonych plastikowych torebeczek. Wewnątrz nich znajdowało się coś, co wyglądało na patyczek do uszu, i jeszcze jedna plastikowa paczuszka. Na którejś z licznych naklejek Rebecca zauważyła napis „DNA”.

Co to, u diabła, miało być? Usiadła na krześle przy oknie i zaczęła czytać.

*Droga Rebecca!*

*Nie wiem, dlaczego nie wpadłem na to wcześniej. Być może dlatego, że to nie Joy upiera się, że jest twoją przyrodnią siostrą, i to nie ona czegokolwiek chce od Ciebie, a zwłaszcza pieniędzy Twojego ojca. Niemniej jednak kto ma prawo mówić, czy ona jest, czy nie jest córką Daniela Stranda? Niejaka Pia Jayhawk, z którą Twój ojciec miał romans, powiedziała mu, że to jego dziecko. A skąd wiadomo, że w tym czasie nie była w związku z kimś innym? Skąd wiadomo, kim naprawdę jest ojciec? Nie próbowała niczego dowieść, prawda? Biorąc pod uwagę, że Twój ojciec był wybitnym prawnikiem, aż się o to prosiło – jeśli rzeczywiście był ojcem Joy.*

*Uważam, że powinnaś z Joy dostarczyć swoje próbki DNA do zbadania. Adres laboratorium, do którego masz je odesłać, znajduje się na opakowaniu. Dzięki temu dowiesz się przynajmniej, czy nie marnujesz życia (że nie wspomnę o wielkich pieniądzach), próbując nawiązać stosunki z kimś, z kim w ogóle nie jesteś spokrewniona.*

*Zwróć, proszę, uwagę, że załączyłem czek na kwotę 495 dolarów dla firmy wykonującej*

*badanie. Prześlij go razem z próbkami na adres podany na kopercie. Nic prostszego.*

*Całuję.*

*Michael*

Boże święty. Czy on musi być aż tak przemądrzały?

Rebecca cały czas zdawała sobie sprawę z tego, że być może Joy nie jest jej przyrodnią siostrą, że być może jej ojciec nie był ojcem dziecka Pii Jayhawk. Oczywiście, że istniała taka możliwość. To jednak mało prawdopodobne. Rebecca szybko przestała myśleć, że Joy nie była jego córką. Po pierwsze, jej tata powiedział, że jest jej ojcem. Po drugie, Joy była podobna do Daniela Stranda – miała jego oczy i podbródek, a także to coś w wyrazie twarzy. Była przyrodnią siostrą Rebekki.

A jednak istniała możliwość, że nią nie była. Lata pracy w świecie prawniczym sprawiły, że Rebecca oceniała pewne rzeczy w kategorii białe – czarne, albo – albo. Ojcostwo było jedną z nich. Ojcowskie czy siostrzane uczucia, to, co stanowiło o rodzinie – to coś zupełnie innego, ponieważ jawiło się w odcieniach szarości. Ale testy DNA i krew były rzeczami absolutnymi.

Aż ją ścisnęło w żołądku na myśl, że stara się stworzyć więź z kimś, kto może wcale nie jest jej siostrą. Istniało przecież niewielkie prawdopodobieństwo. Być może jej ojciec zostawił Joy i Pię, ponieważ nie był na sto procent pewien swojego ojcostwa?

„Nie, to głupota – myślała. – Gdyby chciał mieć całkowitą pewność, mógł się poddać testowi na ojcostwo. A więc uważał, że jest ojcem Joy. Albo... nie chciał się upewnić”.

Z głębokim westchnieniem wsadziła list i całą zawartość przesyłki z powrotem do koperty i odłożyła ją na biurko.

Jedyną osobą, która wiedziała, czy Joy to dziecko Daniela Stranda, była Pia Jayhawk. A jeśli ona sama nie miała pewności, cóż... może Joy zdecydowałyby się na test DNA. Żeby wiedzieć.

Tylko co potem? Co będzie, jeśli się okaże, że Joy nie jest jej siostrą? Ma się spakować i wrócić do domu? Do swojego starego życia? Jakby nic się nie stało?

Jak miałyby to zrobić? Jak miałyby wrócić do siebie, skoro właśnie teraz była u siebie? Wynajęła dom. Nakupowała rzeczy za tysiąc dolarów! Na miejsce dostarczono już nowiutkie materace. I chciała, żeby Joy była jej siostrą. Jeśli chodzi o serce, umysł i duszę, Joy jest jej siostrą. Koniec, kropka.

Nie potrzebowała formalnego potwierdzenia. Tata powiedział, że tak wygląda prawda, i jej to w pełni wystarczyło.

„A jeśli Michael ma rację? Jeśli Pia miała tego lata kilku kochanków? – kołatało jej się po głowie. – Myślała, że Daniel Strand jest ojcem, ale wcale nim nie był? Może wybrała jego, bo był najlepszy z całego zastępu facetów? Cholera, kto to wszystko wie?”.

Przypomniał jej się show Maury'ego Povicha, w którym często poruszano kwestię ojcostwa. Na scenie mężczyzna i kobieta czekają z niecierpliwością, aż skończą się reklamy i Maury ogłosi wyniki DNA. Trzymając w ręce papiery, gospodarz programu oświadcza: „Nie jesteś ojcem”. Facet często skacze po scenie, wykonuje triumfalny taniec i palcem wskazującym celuje w kobietę, wyrzucając jej kłamstwo albo pomyłkę. Czasami mężczyzna chowa twarz w dłoniach i płacze.

Ale przecież Joy nie zechce się poddać testowi.

Chociaż właściwie może zechce. Joy lubiła fakty, prawdę. Gdyby wiedziała na pewno, że jest córką Daniela Stranda, być może runąłby mur, na który narzekał Harry. I może wreszcie zechciałyby przeczytać listy. I przebaczyć. A może nie. Wiedziałyby jednak, na czym stoją, jeśli chodzi o DNA.

Tylko że gdyby poprosiła o zrobienie testu, stawiałoby to mamę Joy w niedobrym świetle. Rebecca nie była przekonana, czy Joy by się na coś takiego zgodziła.

Nie miała pojęcia, co robić. Dać sobie spokój czy właśnie pociągnąć temat?

Musiała znaleźć owocujące drzewko, i to szybko.

Wieczorem zapukała do drzwi Theo. Wcześniej spacerowała z Charliem plażą w nadziei, że nocne niebo i cisza odpowiedzą jej, co robić, jednak żadne wskazówki nie nadeszły. Nie

zamierzała kontaktować się z Michaeliem, który zdążył zadzwonić już trzy razy, żeby się upewnić, czy dostała przesyłkę. Nie miała ochoty wysłuchiwać, jak wykrzykuje jej przez słuchawkę swoją opinię na ten temat.

Theo otworzył uśmiechnięty.

– Powiedziałaś, że gdybym czegoś potrzebowała... Właśnie potrzebuję.

Zamiast jednak powiedzieć mu o liście Michaela oraz teście DNA i spróbować opisać, co się dzieje w jej głowie, Rebecca się rozplakała.

– Hej – powiedział, biorąc ją za rękę i prowadząc w głąb domu. – Co się stało?

Usiadła przy nim na sofie. U jej stóp Charlie i Spock obwąchivali się zawzięcie. Otarła łzy spod oczu, wzięła głęboki oddech, a następnie niemal jednym tchem opowiedziała mu o liście.

– Możesz iść od razu do Pii i po prostu ją zapytać – zasugerował, podając jej kolejną chusteczkę.

– Ale Joy prosiła, żebym nie mówiła matce, kim jestem. Obiecałam.

– No to problem pomoże ci rozwiązać ktoś, kto jest bliżej, niż myślisz: Marianna. Wie o każdym sekrecie. Mieszkała tu całe życie, nigdy nie wyjeżdżała. Jestem przekonany, że znała Pię dwadzieścia pięć lat temu. Wydaje mi się, że są mniej więcej w tym samym wieku.

Marianna. No przecież.

– Mogłabym cię ucałować, Theo. Dzięki.

Theo nachylił się nieco w jej stronę i przez moment Rebecca miała ochotę zrobić dokładnie to, co przed chwilą powiedziała – zwyczajnie go pocałować. On jednak podniósł się z sofy.

– Wezmę tylko smycz Spocka i cię odprowadzę. Gdybyś chciała, mogłabyś pogadać z Marianną jeszcze dziś; pewnie o tej porze nie będzie spała.

Rebecca odchyliła głowę i zapatrzyła się na belki stropowe w suficie.

– Jestem taka zmęczona. Nie mam sił na mówienie.

– Wiem. Możesz sobie tu posiedzieć i nie mówić nic tak długo, jak tylko chcesz.

Boże, jaką miała ochotę go objąć! Powoli stawała się niemal uzależniona od jego dobroci i od tego, z jaką łatwością mu ona przychodziła. Mogłaby tak z nim siedzieć na sofie całą noc, mając świadomość, że jest obok, że pachnie mydłem ivory, że jego udo styka się z jej udem.

– Lepiej, żebym jednak poszła. Marianna to ranny ptaszek.

– Jak moja babcia. Co wieczór w łóżku przed dziewiątą. Chodźmy – zakomenderował, klepiąc ją delikatnie po udzie.

Psy szalały, zatrzymując się od czasu do czasu, by powąchać jakieś liście albo siebie nawzajem, oni tymczasem szli w milczeniu. Theo odprowadzał ją, włożywszy jej rękę pod swoje ramię, jak to się robiło za dawnych czasów. Kiedy doszli do Marianny, Rebecca usiadła na schodach werandy.

– A jeśli ona nie jest moją siostrą?

Usiadł przy niej.

– No, to nie jest łatwa sprawa. Powiedziałbym ckliwie, że twoje serce czuje, czy to twoja siostra, czy nie, ale z tego, co mi mówiłaś, znajdujecie się dopiero na początku tej drogi. Poznałyście się zaledwie kilka tygodni temu, więc jeśli nie ma pewności, że jest dzieckiem twojego ojca, to naprawdę nie możesz dać jej góry pieniędzy. Ale możesz poprosić, żeby zrobiła test. Może też wolałaby mieć to z głowy.

– Tak myślałam, ale teraz mam wątpliwości. Wydaje mi się, że ona wcale nie chce nic wiedzieć. Mam wrażenie, że nic jej to nie obchodziło, dopóki się nie pojawiłam i nie obarczyłam całą tą historią.

– Każdy jest ciekaw swojej historii, tego, skąd się wziął. Może nie zawsze ludzie zdają sobie sprawę, że chcą albo powinni to wiedzieć, ale tak to wygląda.

Rebecca patrzyła na gwiazdy.

– Nie byłoby mnie teraz tutaj, gdyby tata nie powiedział mi o Joy. Nie poznałabym ciebie ani żadnego z mieszkańców. Nie miałabym Charliego. Szaleństwo. Jeśli Joy nie jest moją siostrą, to całe życie, jakie mam tutaj, nie jest tak naprawdę moje. – Potrząsnęła głową i dodała: – Nie zwracaj na mnie uwagi. Plotę głupoty.



– Skąd! Ale tu, Rebecca, toczy się twoje prawdziwe życie, wszystko jedno, jakie będą wyniki testu.

– Tak, wynajęłam dom. Przygarnęłam psa. To poważne sprawy, Theo. To nie wakacje. Jeśli Joy nie jest moją siostrą, to chyba nie miejsce dla mnie, nie sądzisz?

– To akurat zależy od ciebie. Po jakimś czasie sprawy przestaną się kręcić tylko wokół Joy.

– To wszystko jest takie skomplikowane! Wcale nie chcę wiedzieć, czy Joy jest moją przyrodnią siostrą, czy nie.

– Chcesz, chcesz. W tym wszystkim chodzi właśnie o to, żeby wiedzieć, i o to, co będzie potem.

– Właśnie, a co będzie potem?

Wzięła ją za rękę. Patrzyła na ich splecione palce, a Theo mówił dalej:

– Przecież sama się przekonasz, prawda?

Marianna była w pokoju, który nazywała swoją czytelnią. Lubiła podawać tu popołudniową herbatę. Teraz siedziała na obitym tapicerką fotelu i coś czytała w świetle lampy stojącej na stoliku obok. Było to jedyne źródło światła w pomieszczeniu.

– Marianno? Masz chwilę?

– Jasne – odpowiedziała i odłożyła książkę. Klepnęła ręką w siedzisko krzeselka stojącego obok niej; Rebecca posłusznie na nim usiadła.

– Znasz Pię Jayhawk? – zapytała.

– Matkę Joy? Oczywiście. Znam ją od wieków. A przynajmniej znałam, bo to już ładnych kilka lat, odkąd się wyprowadziła. Była najlepszą przyjaciółką mojej młodszej siostry.

Rebecca wzięła głęboki oddech.

– Marianno, mój ojciec zmarł kilka tygodni temu. Przed śmiercią powiedział, że miał romans z kobietą, która nazywa się Pia Jayhawk, i że Pia powiedziała mu, że jest w ciąży i urodziła dziewczynkę, Joy.

Marianna była zaskoczona.

– Czy to dlatego przyjechałaś do Wiscasset? Żeby poznać swoją przyrodnią siostrę?

Rebecca przytaknęła.

– Mój chłopak, który został w Nowym Jorku, uważa, że zanim poważniej zaangażuję się emocjonalnie, powinnam się upewnić, że Joy jest moją siostrą. I zanim przekażę jej połowę swojego spadku.

– Dobry Boże! – powiedziała kobieta. – To zrozumiałe. Pewnie chce, żeby Joy poddała się testowi DNA?

Rebecca znów skinęła głową.

– A mnie wydaje się to bardzo niewłaściwe. Joy niczego ode mnie nie chce. To nie ona szukała mnie, tylko ja jej. Nie rości sobie do niczego praw. Nigdy nawet nie spytała, co ojciec zostawił i czy spisał jakiś testament. Zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, że stoję przed nią i mówię: „Jeśli chcesz dostać połowę pieniędzy, które zostawił nasz ojciec, musisz udowodnić, że istotnie jesteś jego córką”.

– Hm... Jeżeli ci to cokolwiek da, zdradzę ci, co pamiętam z okresu, kiedy Pia była w ciąży. Bardzo cierpiała z powodu tego mężczyzny. Nie mogę sobie przypomnieć jego imienia. To było, zdaje się, jakieś dwadzieścia pięć lat temu?

Rebecca przytaknęła.

– Miał na imię Daniel. Daniel Strand.

– Rzeczywiście. Już sobie przypominałam. Ojej, pamiętam coś, co powiedziała Pia. Było już po niej widać ciążę. Patty, to znaczy moja siostra, zapytała ją, czy w ogóle ma kontakt z tym facetem. A Pia, taka bardzo smutna, powiedziała tylko: „On już ma córeczkę i swoje życie”, a potem przestała w ogóle o nim mówić. Wydaje mi się, że wolała skupić się na dziecku i na tym, jak je wychować bez ojca. Była w nim zakochana do szaleństwa. Patty i ja miałyśmy kiedyś okazję go zobaczyć. Nie to, że nie był przystojny... Chodzi raczej o to, że był taki... mały. Pia miała niezwykłą osobowość, snuła wielkie plany, chciała zawojować świat sztuki i organizować wystawy w Nowym Jorku. Kiedy on wyjechał i wrócił do swojego poprzedniego życia, zmieniła się.

Przycichła. Nie przestała jednak malować; była tutaj i w okolicy całkiem cenioną malarką. Lokalne galerie cały czas ją wystawiają. Miała nawet wystawę w jakiejś galerii w Bostonie.

Rebecce ścisnęło się serce na myśl o bólu Pii, jej niespełnionych marzeniach i samotnym macierzyństwie.

– A więc to mało prawdopodobne, żeby kto inny mógł być ojcem Joy? – zapytała.

– Nie mogę powiedzieć na pewno, ale wydaje mi się, że to niemożliwie. Pia była piękna za młodu. Zawsze miała jakichś adoratorów. Wiem, że kiedy zakochała się tamtego lata, miała jakiegoś chłopaka, ale z nim zerwała.

– Czyli Joy mogłaby być jego córką?

Marianna zrobiła niewyraźną minę.

– Prawdę mówiąc, Rebecca, wolałabym o tym nie mówić. Ja i Joy nie jesteśmy bliskimi przyjaciółkami, ale zawsze miło mi się z nią rozmawiało. Wiedziałaś, że jej mąż zaprojektował dla mnie werandę i pomost, którymi zajmuje się teraz Theo? Są cudowną rodziną. Pia wyprowadziła się z Wiscasset. Zdaje się, że teraz mieszka w Portsmouth. Ale źle się czuję, opowiadając ci o ich prywatnych sprawach. Już i tak za dużo powiedziałam.

– Wprawiłam cię w zakłopotanie, przepraszam.

Marianna ścisnęła jej rękę.

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi o to, że to smutna historia, która ma bardzo poważne konsekwencje w teraźniejszości. Nie opowiadam ci po prostu, co się wydarzyło dwadzieścia pięć lat temu, tylko mówię coś, co będzie miało na ciebie wpływ tu i teraz.

– Nie pisnę ani słowa – obiecała Rebecca. – I wiem, co powinnam zrobić. Muszę powiedzieć Joy o liście Michaela, pokazać jej głupi test i zobaczę, co ona na to.

Marianna kiwnęła głową.

– Powiem ci coś jeszcze. Joy jest drobniutka, tak jak ty, prawda? A Pia była wyższa niż ja czy Patty, a obydwie mamy ponad metr siedemdziesiąt. Chodzi mi o to, że dlatego obie byłyśmy takie zaskoczone, kiedy wreszcie zobaczyłyśmy go tamtego lata: bo okazał się taki... niski.

Niski. Joy była niewysoka, tak samo jak Rebecca i jej ojciec, pomimo że jej matkę można było zaliczyć raczej do wysokich.

Rebecca poczuła, jak ogarnia ją przemożna ulga. Pragnęła, aby Joy była jej siostrą. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek w życiu. Byłyby siostrami od dnia śmierci jej ojca. Czyli już od tygodni. Może to melodramatyczne, ale w głębi serca Rebecca czuła, że Joy jest jej siostrą. I nie zniosłaby, gdyby test DNA stwierdził coś innego.

Gdy Marianna oddalała się w stronę kuchni, żeby przygotować im po filiżance herbaty, Rebecca nadal myślała o tym, jak niska jest Joy. Nosila buty na obcasach (Rebecca słyszała w głowie stukot jej zamszowych czerwonych szpilek), dlatego dziewczyna nie zwróciła wcześniej uwagi na jej wzrost. Joy nie wyglądała na drobniutką. Ale taka była, co bardzo ucieszyło Rebecę.

O świcie Rebecca razem z Charliem zajechała przed swój nowy dom. Dziewczyna miała ze sobą walizki i fiólek afrykański w doniczce, który Marianna podarowała jej poprzedniej nocy – był to prezent na nową werandę. Otworzyła drzwi i poczuła się bardzo szczęśliwa. Słońce oświetlało przedpokój, salon również żółcił się promieniami. Kolorowe poduchy ożywiały sofę, a miska z szyszkami o zapachu cynamonu sprawiała, że cały dom pachniał przyjaźnie i zachęcająco.

Charlie ruszył poznawać dom, a Rebecca niespiesznie układała ubrania w szafie w sypialni, czyli w żółtym pokoju z małżeńskim łóżem. Materac został dostarczony jeszcze wczoraj, i to na samym początku wyznaczonego na dostawę czasu. Do tego był tak wygodny, jak obiecywano w sklepie. Mięciutka, obleczone w kwiecisty materiał kołdra wręcz zapraszała ją do łóżka, więc klapnęła na nie radośnie.

I chyba się zdrzemnęła, bo kiedy otworzyła oczy, była już prawie dziewiąta, a Charlie trącał ją nosem.

Wypuściła go do ogródka na tyłach domu, a potem zaparzyła sobie dzbanek kawy. Była to codzienna i prosta czynność, a jednak tak niezwykła, że przypomniał jej się film *Ognie świętego Elma* i scena, w której Mare Winningham próbuje wytłumaczyć Robowi Lowe'owi, jak cudownie było po raz pierwszy we własnym mieszkaniu zrobić sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem.

Naturalnie nie był to pierwszy dom, w którym zamieszkała bez rodziców, ale różnił się od pozostałych. To ona dokonała wyboru. Zakochała się w nim i wybrała go sobie. Chciała w nim mieszkać, podczas gdy w poprzednich miejscach – począwszy od obskurnego mieszkania w bloku bez windy, które dzieliła z niesympatycznymi ludźmi i na które nie było jej stać, a skończywszy na ładnym, apartamenciku z tylko jedną sypialnią (ale za to ponadsiemdziesięciometrowym) należącym do Michaela, znajdującym się w trzydziestodwupiętrowym budynku z uprzejmym portierem – nie czuła się u siebie. To ostatnie miejsce należało do Michaela, ona po prostu się do niego wprowadziła. Tak samo zresztą wprowadzała się w przeszłości do różnych mieszkań z tego czy innego powodu. Po raz pierwszy wybrała sobie dom dlatego, że zwyczajnie jej się spodobał.

Ten mały budynek bardzo jej się podobał.

Wypiła dwa kubki kawy, po czym wreszcie chwyciła za telefon.

– Cześć, Joy. Mówi Rebecca. Miałabyś trochę czasu, żeby wpaść dziś do mojego nowego domu? Chciałam z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym.

– O co chodzi?

– Na taki temat powinniśmy porozmawiać raczej twarzą w twarz.

Po chwili ciszy usłyszała:

– Właściwie mogę być u ciebie za chwilę. Właśnie odwoziłam Rexa na zajęcia i jestem przy samochodzie.

– Super, do zobaczenia niedługo. Wiązowa 44.

Nalała sobie jeszcze jeden kubek kawy i zauważyła, że nieznacznie trzęsą jej się ręce. Żeby się czymś zająć, postanowiła zaparzyć dzbanek świeżej kawy. Wyjęła z szafki jeden z nowych kubków i ustawiła go obok ekspresu.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Rebecce w oczy, gdy przyjechała Joy, było to, jak drobną miała figurę. Spojrzała na jej stopy. Dziś włożyła adidasy.

Joy była niska. Tak jak Rebecca. Tak jak Daniel Strand.

– Kupiłeś dom? – zapytała.

– Wynajmuję z miesiąca na miesiąc.

Joy patrzyła na nią oczami bez wyrazu.

– Aha. To o tym chciałaś ze mną porozmawiać?

Rebecca zaprzeczyła ruchem głowy i zaprosiła dziewczynę do środka.

– Przytulnie tu – zauważyła Joy, idąc za nią do kuchni.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Znalazłaś mnie wtedy w pizzerii. Wisiał tam na

ścianie rysunek takiego właśnie żółtego domku. Coś w nim sprawiło, że poczułam się szczęśliwa, chociaż byłam wtedy zagubiona i nie wiedziałam, co robić, dokąd iść i co czuć. A potem, któregoś wieczoru, wyprowadzałam Charliego (od niedawna mam psa) i zauważyłam ten dom, więc go wynajęłam.

– To wszystko było w wyposażeniu? – zapytała, patrząc na toster w stylu retro i ekspres do kawy.

– Duże meble tak, na przykład ten stół i krzesła. Co do reszty, to trochę zaszalałam w Bed, Bath & Beyond. Kawy? Mam sumatrę. – Pamiętała, jak podczas obydwu wycieczek Joy mówiła, że to jej ulubiony gatunek.

Joy wyglądała, jakby miała krzyknąć: „Przestań się tak wysilać”.

– Jasne – odpowiedziała i sama nałała sobie do kubka.

Usiadły przy kuchennym stole. Rebecca zaczęła szukać w twarzy Joy podobieństwa do swojego ojca. Zauważyła je w minach, na przykład w tej, z którą Joy powiedziała „oj”, gdy nasypała sobie zbyt dużo cukru.

Joy Jayhawk była córką Daniela Stranda. Rebecca nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziały to i jej serce, i rozum.

– Daniel Strand miał metr sześćdziesiąt wzrostu. Wiedziałaś? – spytała.

Joy spojrzała na nią, nie kryjąc zdziwienia nagłym rozpoczęciem takiego akurat tematu.

– Tak mi się wydawało, że był dość niski. Moja mama ma metr siedemdziesiąt trzy. Ja mam metr sześćdziesiąt jeden.

– Ja metr pięćdziesiąt siedem.

– No, chyba żadna z nas nie znalazłaby faceta niższego od siebie. Kiedyś chodziłam z chłopakiem, który miał metr siedemdziesiąt dwa. I wydawał mi się bardzo niski.

– Rozmawiałaś o tym ze swoją matką?

– O chodzeniu z niskim facetem?

– Nie, nie; o tym, czy twój ojciec był niski. W ogóle kiedykolwiek pytałaś ją o niego?

Joy upiła łyk.

– O jakieś podstawowe sprawy. Kiedy byłam młodsza, pytałam więcej. Pamiętam, że chciałam wiedzieć, czemu go nie ma w naszym życiu i co się stało. Powiedziała mi, że zakochała się w kimś, kto już miał rodzinę i kto mieszkał daleko stąd. I że chociaż nie jest obecny w naszym życiu, to nie znaczy, że mnie nie kocha, tylko że po prostu nie może z nami być. – Joy prychnęła. – Wierzyłam w to, kiedy miałam sześć czy siedem lat. Jako dziesięciolatka powiedziałam jej, że to bzdury.

– Zmieniła wersję?

– Nigdy. Gdy miałam szesnaście lat, też się jej trzymała. I tak jest aż do dziś.

Rebecca wstała, żeby dolać sobie kawy.

– To w sumie odpowiednia historia dla dziecka. Właściwie to jedyna wersja, jaką można w takiej sytuacji mu przedstawić, jak ci się wydaje?

– Pewnie tak. Mama mnie kocha, dlatego zawsze w ten sposób opowiadała tę historię. Ale Daniel Strand na pewno mnie nie kochał.

Rebecca zaczerpnęła głęboko powietrza i usiadła z powrotem przy stole. No to do dzieła.

– Skoro o nim mówimy. Wczoraj odezwał się do mnie jego adwokat. Poinformował mnie, że sprawy spadkowe są już uregulowane i że ojciec zostawił mi milion trzysta tysięcy.

– O kurczę! – powiedziała Joy. – Serio?

– No, też powiedziałam wczoraj „o kurczę”, jak się dowiedziałam. Całkiem serio.

I chciałam, żebyś dostała połowę spadku.

Joy patrzyła na nią twardym wzrokiem.

– Dlaczego?

– Jesteś jego córką, tak samo jak ja.

– O nie, Rebecca, wcale nie tak samo jak ty. On mnie nie wychowywał. Nie był moim tatą.

– Tym bardziej więc powinnaś dostać połowę tych pieniędzy.

Joy odepchnęła od siebie swój kubek.

– Nie chcę tych pieniędzy. On nie jest moim ojcem, nigdy nim nie był. Dlaczego miałabym chcieć od niego pieniędzy teraz, kiedy nie żyje?

Rebecca wiedziała, że mogą się tak klócić do upadłego.

– Upieranie się niczego ci nie przyniesie. Dosłownie.

– Mówisz jak mój mąż. Dokładnie tak by to skomentował.

– No to może obydwójce mamy rację?

– A może obydwójce nie jesteście mną? Może ja mam coś, co się nazywa dumą.

To właśnie dumą będzie jej kazała zrobić test DNA.

Rebecca wstała, wzięła do ręki przesyłkę od Michaela i podała ją Joy.

– Co to?

– Otwórz.

Dziewczyna wyciągnęła plastikowe opakowanie, do którego nadal był przyczepiony list Michaela. W miarę jak czytała, jej twarz tężała coraz bardziej.

– Ja wierzę, że jesteś jego córką – powiedziała Rebecca. – Mój ojciec wierzył, że nią jesteś. Na każde twoje urodziny, przez całe twoje dotychczasowe życie, pisał do ciebie listy. Uważał, że jesteś jego dzieckiem i że zostawiając was, nie spełnił swego podstawowego obowiązku. Nawet jeśli – choć to mało prawdopodobne – nie jesteś jego córką, myślę, że chciałby, abyś przyjęła połowę spadku.

Joy patrzyła nieruchomo na Rebecce.

– Przypisujesz bardzo szlachetne myśli człowiekowi, który w rzeczy samej zostawił nas i nie dopełnił swojego podstawowego obowiązku. Rebecco, nie myl własnej szczodrości z jego.

– No dobrze, to ja mam gest. Wiem, że jesteś jego córką. Wiem, że jesteś moją przyrodnią siostrą. Widzę to, kiedy na ciebie patrzę, Joy. Rozpoznaję to w twoich oczach, w kształcie twojej twarzy, w minach, jakie robisz. Poza tym mój ojciec, człowiek, którego kochałam bezgranicznie, powiedział mi, że jesteś jego córką. I że wstydził się tego, jak postąpił. On naprawdę chciałby, żebyś miała te pieniądze.

Joy ścisnęła kubek w dłoniach. Gdyby to była filiżanka, coś o cieńszych ściankach, z pewnością by to zgniotła.

– No to powiem ci, co wiem. Usłyszałam to od mojej mamy. Częściowo jej wierzę, częściowo nie. Wierzę w to, że mężczyzna, który nazywał się Daniel Strand, był moim ojcem. I to tyle. Pokazywała mi jedyne jego zdjęcie, jakie miała. Potem przeniosła je na płótno i powiesiła w domu. Kiedy patrzyłam na tę fotografię i kiedy teraz patrzę na obraz, nie uderza mnie myśl: „O rany, to mój tata”. I w przeszłości, i teraz myślę: „O, proszę, jakiś obcy facet siedzi na plaży i patrzy na ocean”. Najważniejsze w tym zdaniu jest słowo „obcy”, Rebecco. Nie chcę pieniędzy, które mają usunąć wyrzuty sumienia. A teraz już za późno, żeby dał mi to, czego naprawdę mogłabym od niego chcieć.

– Wiem – zapewniła Rebecca. – Rozumiem.

Joy wzięła do ręki list Michaela i rzuciła go na stół.

– A więc ten dupek, twój chłopak, uważa, że moja matka była dziwką?

Pięknie.

– Nie, on... Wiesz, on jest prawnikiem, Joy. I to specjalizującym się w rozwodach. On po prostu... zachowuje się jak prawnik.

– Kiedy robiłaś te wielkie zakupy do domu, kupiłaś nożyczki?

– Nie. Czemu?

Joy sięgnęła do torby. Grzebała w niej chwilę, aż w końcu wyciągnęła z niej garść drobiazgów: wyciory do fajki, plastikowe oczy, klej w sztyfcie i małe turkusowe nożyczki dla dzieci. Odcięła nimi trochę swoich włosów przy końcówkach.

– Wystarczy?

Rebecca nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ja... Właściwie włosy nie są potrzebne. Wystarczy wymaz z wewnętrznej strony policzka. W laboratorium porównają mój i twój i określą, czy nasz materiał genetyczny jest zgodny.

– Dobrze – rzuciła Joy. Otworzyła plastikową torebkę, wyjęła z niej wacik, odpakowała go

i pogmerała nim w ustach. Potem z powrotem go zapakowała. – Masz. Wyślij to do swojego chamskiego chłopaka. Dowiemy się, czy Daniel Strand jest moim ojcem. A jeśli się okaże, że nie, to z pieniędzmi nic nie jest pewne, prawda?

„Wtedy nic już chyba nie będzie pewne...”.

Joy wstała, założyła torbę na ramię i ruszyła w stronę drzwi.

– Joy, ja...

– Co? No co? Najpierw pakujesz się w moje życie z pękiem listów od mego ojca, mężczyzny, którego nigdy nie widziałam na oczy, a teraz mam udowodniać, że on jest moim ojcem? A jeśli nie jest, Rebecca, co wtedy? Będę musiała zapytać matkę, kto w takim razie nim jest. I co potem? Po tym wszystkim pozostanie mi ta sama pustka, tylko będzie to nowa, jeszcze bardziej pusta pustka. – Po twarzy pociekły jej łzy, które natychmiast otarła wierzchem dłoni. – Zadzwoń, jak będziesz miała wyniki – powiedziała, a potem skręciła w lewo i z hukiem zatrzęsła za sobą drzwi.

Rebecca brała właśnie wyjątkową bąbelkową kąpiel, gdy usłyszała dzwonek. Spojrzała na zegarek wbudowany w jej nowe radio pod prysznic, zwisające z kurka ciepłej wody. Było tuż po ósmej, co oznaczało, że moczyła się w wannie ponad godzinę. Dziś rano, po rozmowie z Joy, było jej tak źle na duszy, że musiała się czymś zająć. W domu wszystko wysprzątała i teraz nie miała w nim nic do roboty. Postanowiła więc zabić czas, sadząc rośliny – na kolanach, po łokcie w ziemi. Pojechała do sklepu ogrodniczego i szkółki, kupiła *Szybki kurs ogrodnictwa dla początkujących* i przywozła do domu trochę cebulek – żonkile i tulipany, które zasadziła od frontu i z tyłu. Aż ją bolały ramiona.

A potem poszła do kuchni i odpakowała drugi wacik. Potarła nim o wnętrze policzka, zapakowała i przeczytała informację na temat oznaczania próbek, pakowania ich i wysyłania. Nie zważając na ziemię za paznokciami i na fryzurę, którą stanowił byle jak zawiązany na czubku głowy kok, pojechała na pocztę, żeby odesłać próbki, zanim zdecyduje się wyrzucić je do kosza.

„To nie zależy od ciebie – przekonywała się. – Prawda to prawda”.

W tym przypadku trafne było powiedzenie: „Jest, jak jest”, albo: „Będzie, co ma być”.

W ciągu ośmiu do dziesięciu dni roboczych wszystko się wyjaśni.

Opatuliła się szczelnie frotowym szlafrokiem (w *Bed, Bath & Beyond* naprawdę można było znaleźć wszystko), zawinęła włosy w ręcznik i zeszła na dół otworzyć drzwi. Miała przecucie, że to Maggie – zapowiedziała, że postara się dziś wpaść, żeby zobaczyć, jak Rebecca odmieniła ten dom.

Jednak to nie była Maggie, tylko Theo. Nagle zawstydziła się turbanu z ręcznika i dopiero co oczyszczonej pilingiem twarzy, zupełnie pozbawionej makijażu. Theo nigdy nie widział jej bez tuszu na rzęsach i szminki na ustach. Dobrze, że przynajmniej nie była brudna i upačkana ziemią, jak jeszcze godzinę temu.

Theo uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam, że wyciągam cię spod prysznic, ale coś czeka na ciebie w ogródku.

– Co takiego?

– Niespodzianka – odpowiedział i poszedł za nią do salonu, którego przesuwane drzwi okienne wychodziły na tył domu.

Przy płocie, który zbudował, stała drewniana buda dla psa. Została pomalowana na taki sam słonecznie żółty kolor jak jej dom, a czarny napis „Charlie” otaczały malutkie kości.

– Och, Theo – wyszeptwała. – Brak mi słów.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. W tej płataninie rąk, głów i ust nawet nie zauważyła, że spadł jej ręcznik, a mokre włosy opadły na ramiona. Theo rozwiązał szlafrok i wsunął pod niego ręce. Gładził ją po brzuchu, a potem coraz wyżej i wyżej. Stali tak, patrząc sobie w oczy, a jego dłonie zawędrowały tuż pod jej piersi. Nie spuszczać z niej wzroku, zaciągnął zasłony i znów ją pocałował.

– Jesteś taka piękna – powiedział, przeczesując dłońmi jej mokre włosy.

I nagle znaleźli się na żółtym puszystym dywaniku przy kominku. Pozbyli się jego ubrań i jej szlafroka, a potem Theo sprawił, że zupełnie zapomniała o wacikach, puklach włosów

i gniewie. Zamiast tego poczuła niewyobrażalną przyjemność. I wiedziała, że tak właśnie powinno być.

Zniknął. Gdy pierwsze promienie słońca przedarły się przez cienkie zasłony, Rebecca obudziła się w łóżku, w którym kochali się po raz drugi i w którym zasnęli – jej głowa na jego klatce piersiowej, jego ręka przerzucona przez jej brzuch.

Ale nie było go. Rozczarowanie przeniknęło ją do głębi. Dotarło też do jej głowy. Theo nie wydawał jej się mężczyzną typu „rozkochaj i rzuć”, takim, który wymknąłby się o trzeciej w nocy z łóżka, zostawiając w nim śpiącą kobietę.

Na poduszce leżała karteczka. Chwyciła ją i usiadła, żeby przeczytać.

*Śpiąca Królowno! Na siódmą mam być w pracy. Szkoda, że nie mogę zrobić Ci śniadania. Następnym razem, czyli już bardzo niedługo.*

*Theo*

Przyłożyła karteczkę do piersi i zamknęła oczy, rozkoszując się wybuchem radości, która przeniknęła całe jej ciało.

„Bardzo niedługo” nie mogło się jednak odbyć tego samego wieczoru, ponieważ właśnie dziś Rebecca miała spotkanie z Klubem Zgorzkniałych Byłych z Wiscasset. Jej też nie było lekko. Noc, którą spędziła z Theo, chociaż prawie nic nie mówili (zdała sobie sprawę, że nawet nie podziękowała mu za budę), przegoniła z jej głowy większość innych myśli i innych ludzi.

Na przykład Michaela.

Jej faceta. Mieszkała z nim w Nowym Jorku. Pracowała z nim. A teraz wzięła sobie od niego swego rodzaju urlop. Jednak taki urlop nie oznaczał, że mogła go zdradzić. Zalało ją poczucie winy i nie chciało odejść.

– Daj spokój – skwitowała tego ranka jej przyjaciółka Charlotte. – Wasz związek jest w głębokim dole. Powiedziałabym, że to, co zrobiłaś, to nie zdrada, tylko poznawanie siebie. Skąd masz wiedzieć, co naprawdę czujesz do Michaela i czy chcesz do niego wracać do Nowego Jorku, jeśli nie ma niczego, co byłoby dla was sprawdzianem?

Tylko czy to nie było usprawiedliwianie zdrady? Czy Michael miał – jak określiła to matka Marianny – „dostosowywać się”?

– Na dodatek groził, że może cię zdradzić – powiedziała Charlotte. – „Jeśli natychmiast nie wrócisz do domu, pocałuję laseczkę z siłowni”. Rebecco, proszę cię. Naprawdę wierzysz, że nie pieprzył jej, kiedy to mówił?

Rebecca nie miała pojęcia. Naprawdę. Michael zawsze zachowywał się uczciwie, dlatego wierzyła, że najpierw by z nią zerwał, a dopiero potem zajął się kimś innym. Uczucie do innej kobiety byłoby dla niego wystarczająco jasnym sygnałem, nie musiałby „poznawać siebie”. Przecież sam jej powiedział, że miałby kogoś na oku, gdyby ze sobą zerwali.

– Nie, Rebecco, oznajmił ci wyraźnie, że jeśli nie wrócisz do niego, żeby na powrót zostać jego posłuszną dziewczynką, może przerzucić się na kogoś innego – przypomniała Charlotte. Jej słowa tak podziały na Rebeccę, że aż opluła się kawą, plamiąc beżowy sweter. – Wychodzi na to, że to będzie twoja wina, jeśli cię zdradzi – dodała, prychając pogardliwie. – Mówię ci, kochana. Masz o Michaelu zbyt dobre zdanie. Zawsze tak było.

Po co zadzwoniła do Charlotte? Zamiast tego mogła sobie poleżeć w łóżku, powspominać, jak usta Theo wędrowały po jej ustach i całym ciele. Mogła przeżywać na nowo każdą chwilę wspólnie spędzonej nocy, która była słodka i pełna czułości, ale też namiętności, i to jakiej! Tylko że w pewnym momencie jej wzrok padł na szafkę nocą, na której stało zdjęcie jej i Michaela (no dobrze, było częściowo schowane za stojakiem na biżuterię w kształcie tańczącej baleriny, ale i tak widziała na nim prawie całą siebie). Zadzwoniła więc do Charlotte, żeby opowiedzieć jej, że spała z innym. Przyjaciółka waliła prosto z mostu:

– Nie ściemniam, Rebecco. Nic złego nie robisz. Tylko to, co musisz. Nie jesteś mężatką.

To nie znaczy, że nie dopuściła się zdrady. Jej związek z Michaeliem był na poważnie.

Gdy parkowała przed domem Maggie, tuż za czarną toyotą Ellie, zastanawiała się, czy suknia ślubna matki Michaela nadal wisi na drzwiach jej biura w siedzibie kancelarii Whitman, Goldberg & Whitman. Rzut oka na dom Maggie zmienił jednak tor jej myśli – spróbowała przypomnieć sobie chwilę, gdy po raz pierwszy ujrzała ten zakątek kraju, pierwszy dzień w Wiscasset, kiedy Joy zaprosiła ją na wycieczkę i kiedy wsiadała do pomarańczowego minibusu. Uśmiechnęła się na wspomnienie słów Maggie, która obwieściła Victorii, że oto nadjechał bus miłości.

Żeby zadzwonić do drzwi, musiała przełożyć z jednej ręki do drugiej dużą puszkę ciastek, które sama upiekła. Obydwa przepisy – i na ciastka z czekoladą, i na te z masłem orzechowym – dała jej Marianna. Wyszły doskonale.

– Promieniejesz – zauważyła Maggie, otwierając drzwi. – A to oznacza, że albo jesteś w ciąży, albo byłaś u kosmetyczki, albo się bzykałaś.

Rebecca zaczęła się śmiać.

– Nie powiem.



Miło było zobaczyć Maggie i Ellie w nieformalnych okolicznościach. Ta druga siedziała właśnie na sofie i rozmawiała z jakąś kobietą. Maggie związała swe lśniące brązowe włosy w krótki uroczy kucyk na karku. Miała na sobie dzinsy i dziergany ścięciem warkoczowym sweter w serek. Ellie rozpuściła włosy, ale też włożyła dziś dzinsy, wysokie buty i luźny moherowy pulower w kolorze butelkowej zieleni. Rebecca jeszcze nigdy nie widziała, żeby były ubrane w wygodne ciuchy – zawsze robiły wszystko, żeby wyglądać seksownie.

– Rebecca! – Ellie podbiegła do niej i wzięła ją w objęcia. – Naprawdę promieniejesz!

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Rzeczywiście. Promieniała. Jej brązowe oczy błyszczały, a skóra wydawała się oczyszczona i rozświetlona od wewnątrz. I dawno, ale to bardzo dawno nie wyglądała na tak szczęśliwą.

– To przez dom, prawda? – zapytała Maggie. – Uwielbiasz go!

„Tak, dom i jedna idealna noc z Theo”.

– Uwielbiam. Już czuję się w nim jak u siebie.

– Bardzo się cieszę, że przyszedłeś – powiedziała Ellie. – Potrzebujemy pomocy. Sporej pomocy. Pozwól, że ci wszystkich przedstawię.

Zaprowadziła Rebeccę do salonu, który okazał się idealnie czystym prostokątnym pomieszczeniem z dwiema obitymi białym materiałem sofami ustawionymi naprzeciwko siebie przy kominku (od razu można się było domyślić, że Maggie nie ma dzieci). Obok obleczonej w srebrną powłoczkę poduchy, na której siedział jakiś mężczyzna, stał koszyk z włóczką i dwoma bambusowymi drutami. Wyglądało na to, że robiono na nich niebieski kocyk dla dziecka. Czy to ten facet znał się na robótkach ręcznych?

– To Lucy. Jest księgową w naszej agencji nieruchomości i wreszcie powiedziała swojemu chłopakowi, że z nimi koniec, jeśli nie oświadczy się jej do końca lata. Już prawie październik, a pierścionka zaręczynowego, jak widzisz, nie ma.

Lucy się rozplakała. Była tuż po trzydziestce, miała krótkie kręcone włosy i sweter z aplikacją małego tańczącego łosia, który sprawiał, że wyglądała na młodszą o piętnaście lat.

Maggie dotknęła ramienia koleżanki.

– Kochanie, dobrze robisz.

Ellie przytaknęła skinieniem głowy.

– Inaczej skończyłabyś jak ja. Mnóstwo jęczenia, proszenia, pokazywania mu pierścionków z diamentami, chociaż on tego tak naprawdę nie chce. W końcu oświadczyły, bo właśnie zmarł jego ojciec, on ma doła i nagle stwierdza, że w życiu nie spotkał lepszej przyjaciółki. A potem odzyskuje dobry humor i dochodzi do wniosku, że nie jesteś tą jedyną. Albo że jeszcze nie jesteś tą jedyną.

– To „jeszcze” jest tu problemem – powiedziała Rebecca, siadając obok Lucy. – Trudno odgadnąć, co tak naprawdę oznacza. „Jeszcze nie wiem, co do ciebie czuję”? „Jeszcze nie jestem gotowy na małżeństwo”?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Czasami jednak ludzie nie zastanawiają się, tylko biorą ślub, chociaż nadal obydwójce mają jakieś swoje „jeszcze”; bo chcą coś dostać w zamian, na przykład bezpieczeństwo.

– Ojej, właśnie do mnie dotarło, że was sobie nie przedstawiłam – zreflektowała się Ellie. – Rebecca, to Darren Doyle. Jest zastępcą menedżera w Rite Aid.

Pomachał do niej ręką. Miał około trzydziestu pięciu lat, ubrał się we frakową koszulę z krótkimi rękawami i spodnie khaki. Jego jasnobrązowe włosy były krótko ostrzyżone jak u żołnierza.

– Któregoś dnia Ellie przyszła kupić coś na żołądek i tak z grubsza opowiedziałem jej historię mojego życia. To było wtedy, kiedy moja żona oznajmiła mi przez telefon, że to koniec naszego małżeństwa.

– Powiedziała ci to przez telefon? – Rebecca się zdziwiła.

– Cóż, nie za pierwszym razem. Kilka tygodni wcześniej poinformowała mnie, że kogoś ma, ale potem się rozmyśliła; mówiła, że to ze mną chce być. A potem znów zmieniła zdanie.

W jego oczach pojawiły się łzy, więc Ellie podała mu chusteczkę.

Maggie pochyliła się w jego stronę.

– Powiedz mi coś, Darren. Czy wasze stosunki też nie układały się najlepiej, kiedy jeszcze była twoją dziewczyną? Wiecznie z tobą zrywała, a potem wracała?

– Skąd wiesz? – zapytał i głośno wydmuchał nos.

– Wydaje mi się, że oczekujemy od innych, że po ślubie się zmienią. Jak ja; naprawdę myślałam, że mój beznadziejny mąż będzie inny, gdy zmieni się też status naszego związku. Że nagle przestanie być maminsynkiem, któremu trzeba odkrawać skórę od chleba, żeby zjadł śniadanie. Albo że przestanie zaglądać kelnerkom w dekolt. Ale po ślubie nic się nie zmieniło. Tylko moje nazwisko. Swoją drogą wracam do panińskiego. Gdybym miała dzieci, może bym tego nie robiła, ale tak... Maggie McDonald.

– I dobrze! – powiedziała Ellie, przekładając swoje długie włosy na jedno ramię. – Ja ciągle jeszcze nie jestem na tym etapie. Czuję się Ellie Rasmussen. Może to dlatego, że przez tak długi czas chciałam być tą kobietą.

Oczy Darrena znów się zaszkliły.

– Czasami zastanawiałem się, czy moja żona kiedykolwiek mnie kochała. Nie mam pojęcia, jak mogła tak zniecka zakochać się w kimś innym, jeśli darzyła mnie prawdziwym uczuciem. Cóż, może koniec końców jednak mnie nie kochała.

– Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie – powiedziała Rebecca. – Mój ojciec zdradził moją mamę. Wiem, że ją kochał, mimo to w pewnym momencie coś go od niej odciągnęło: inna kobieta.

Orzechowe oczy Maggie zapłonęły gniewem.

– Coś nie powinno być w stanie odciągnąć go od żony. Jeśli jesteś w związku na poważnie, to jesteś na poważnie. Tyle. Nie ma o czym mówić. – Spojrzała na Rebeccę. – Nie mam nic do twojego ojca, kochana.

Rebecca uściśnęła jej dłoń.

– Wszystko w porządku. Przecież zdradził. Wakacyjny romans. Kiedy przyszło go zakończyć, po prostu wziął się w garść i wrócił do mamy, jakby nic się nie stało. A stało się coś KOLOSALNEGO. Musiał się zakochać, żeby wdać się w romans z inną kobietą. A jeśli się zakochał, to jakim cudem był w stanie tak po prostu ją opuścić?

– Ja, całe szczęście, nie mam o tym pojęcia – powiedział Darren. – Nigdy nikogo nie zdradziłem, ani dziewczyny, ani żony. I nie wyobrażam sobie czegoś takiego.

Maggie poklepała go po kolanie.

– Porządny z ciebie facet. Szkoda, że po świecie nie chodzi takich więcej.

– Moim zdaniem zaangażowania w związek nie można stopniować. Wóz albo przewóz. Ja osobiście podchodzę do tego bardzo poważnie, ale niektórzy mają do tego inny stosunek, na przykład ten krety, mój już wkrótce były mąż.

– Powiem wam coś niezwykłego – odezwała się Lucy. – Moja mama wie o wszystkich romansach taty, od ślubu aż do teraz. Zdaje się, że nawet wczoraj z kimś był. Ale zawsze wracał na noc do domu, przynosił prezenty na urodziny i rocznice, kochający mąż, który nie opuszczał niedzielnych obiadów u teściów. W życiu nie zostawiłby mojej matki. Twierdzi, że ją kocha. Czy to się liczy jako zaangażowanie?

– Trudno powiedzieć – skomentował Darren.

– Tylko jeśli żona o niczym nie wie – stwierdziła Ellie. – Skoro nie wie o zdradach, wszyscy są zadowoleni, nie sądzicie?

Rebecca zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Moja mama nie wiedziała. Ale i tak musiało to mieć jakiś wpływ na małżeństwo, prawda? Przecież romans musiał zmienić mojego ojca, pomimo że go zakończył. Zdradził, zakochał się w kimś innym. Dynamika związku musiała ulec zmianie, nawet w nieznacznym stopniu.

Maggie przytaknęła.

– Mnie się wydaje, że żona zawsze to wyczuje. Właśnie dlatego, o czym przed chwilą mówiłaś, Rebecca. Chodzi o te subtelne, niewielkie zmiany. To się wie.

– Ja wiedziałam – zgodziła się Ellie – a właściwie podejrzewałam, do czasu gdy sprawa

stała się zbyt oczywista. Ale czasami życie w nieświadomości rzeczywiście jest błogosławieństwem. Dalej miałabym męża, moje małżeństwo nadal by trwało. Nie byłabym niczego świadoma, więc chyba nie działałby mi się krzywda?

– Owszem, działałby się, ponieważ twój mąż by cię okłamywał – powiedział Darren. – Kłamałby o tym, gdzie idzie i co robi. Poza małżeństwem prowadziłby drugie życie. I wszystko, co o nim wiedziałaś, nie byłoby prawdą.

Ellie odchyliła głowę do tyłu i ciężko westchnęła.

– No tak. Zapomniałam o tym wszystkim. – Nagle wyprostowała się i uśmiechnęła się szeroko. – Nic się nie martwcie, nie ma szans, żebym wróciła do Tima. A dacie wiarę, że teściowa powiedziała mi, że mam nierealne oczekiwania? Że to ja powinnam się zmienić, a nie on?

Maggie chrząknęła znacząco.

– Zupełnie jak moja była teściowa. „Chłopcy to chłopcy – powiedziała. – Zapamiętaj to sobie, a twoje małżeństwo będzie długie i szczęśliwe”. Może i długie, ale na pewno nie szczęśliwe.

– Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że nie wszyscy faceci zdradzają żony – wtrącił Darren.

Ellie puściła do niego oczko.

– Wiemy, że gdzieś tam na świecie istnieją też faceci, którzy są w porządku. Nie jesteśmy aż tak zgorzkniałe.

– Ja, niestety, chyba jestem – powiedziała Lucy. – Czuję się tak, jakbym na złość mamie odmroziła sobie uszy. I wcale nie mam pewności, czy postąpiłam właściwie. Dobrze zrobiłam, że dałam Johnowi ultimatum? Albo ślub, albo z nami koniec? Twierdzi, że gdybym naprawdę go kochała, nie zakończyłabym naszego związku. Ma chyba trochę racji, co?

– Czy on nie rozumie, co to jest ultimatum? – zapytała Rebecca. – Brzmi jak manipulator: „Nie, bądź ze mną i żyj tak, jak ja chcę, choćby łamało ci to serce. Jeśli naprawdę mnie kochasz, złamane serce nie będzie ci tak bardzo przeszkadzać”.

Lucy skinęła potakująco głową, ale i tak wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać.

Ellie przysiadła się do niej i objęła ją ramieniem.

– Rebecce chodzi o twój punkt krytyczny, o to, kiedy coś jest dla ciebie do zaakceptowania, a kiedy przestaje być w porządku. Mówi, że tylko ty możesz ustalić tę granicę, tak, Rebecca?

Czy Rebecca była ekspertem od związków i tym podobnych? To ludzie w tym pokoju nimi byli – ci, którzy już nie są w małżeństwie i ci trwający w nim do teraz. To oni przeżywali wzloty i upadki, tkwili w tym na dobrze i na złe – a zwłaszcza na złe.

– Tak, uważam, że tylko ty możesz decydować o tym, kiedy osiągasz własną granicę wytrzymałości. Czasami trochę to trwa, zanim zdasz sobie sprawę, że prawdą jest, co mówili ci twoi znajomi i rodzina. Zazwyczaj nikt nie powinien ci dyktować, na co masz się zgadzać, a na co nie. Jeśli ci powiem: „Nie powinnaś czuć, myśleć czy robić tego albo owego”, i tak nie będzie to miało znaczenia, chyba że ty uwierzysz, że ma.

Lucy znów skinęła głową. W jej oczach widać było łzy.

– Wiem, że on mnie nie kocha. Nie tak naprawdę. Nie tak, jak kochał swoją poprzednią dziewczynę, tę, której się oświadczył. I która za niego nie wyszła. Wiem, że mnie nie kocha tak jak jej.

– Tak mi przykro, Lucy – powiedziała Rebecca. – Cieszę się, że trafiłaś do tej grupy; że wszyscy trafiliście na siebie nawzajem. Sama rozmowa o tym pomaga, prawda?

– Tak, prawda – zgodziła się Maggie. – A wiesz, co jeszcze pomaga? Tequila. – Podeszła do stolika przy oknie. Stały na nim cztery butelki tequili, shaker, dwie butelki triple seca i butelka soku z limonki. – Ktoś bez soli?

Przez następne pół godziny wypili sporo drinków, schrupali mnóstwo naczosów z wołowiną, fasolą pinto, serem, guacamole, śmietaną i salsą. Rozmowa potoczyła się w stronę lżejszych, weselszych tematów, takich jak najbardziej gburowaty klient w Rite Aid czy historia Maggie o tym, jak w domu, który właśnie miała pokazywać, natknęła się na innego pośrednika uprawiającego seks z potencjalną klientką.

Ellie zadzwoniła łyżeczką w swój kieliszek.

– No dobrze. Dotarliśmy do fazy naszego spotkania, która nazywa się oczyszczenie przez

spalenie.

– Palenie i oczyszczenie? – Rebecca spytała szeptem Maggie.

– Objaw geniuszu – wyjaśniła Maggie. – Doszliśmy do wniosku, że na pierwsze spotkanie każdy powinien przynieść ze sobą coś, co symbolizuje pragnienie wyrzucenia byłych z naszego serca, umysłu i duszy. Potem wpakujemy to do ognia i będziemy patrzeć, jak płonie do cna.

Ellie podeszła do kominka.

– To ja pierwsza.

Zdjęła z palca obrączkę i wrzuciła ją w płomień.

– Naprawdę to zrobiłaś? – Maggie opadła szczęka. – Naprawdę właśnie wrzuciłaś do ognia swoją obrączkę ślubną?

– Tak jest – potwierdziła Ellie i natychmiast zatkała sobie usta ręką. – Nie mogę w to uwierzyć. Czy to znaczy, że dobrze mi idzie?

– Dobrze ci idzie – przytaknęli chórem.

Ellie przygryzła wargę.

– W poniedziałek podpisuję papiery. Składam wniosek o rozwód. Taki na poważnie, są w nim fakty, liczby i zwroty typu: „Rasmussen versus Rasmussen”. Oto, jak dobrze mi idzie.

– Jesteś bardzo inspirująca, Ellie – powiedziała Lucy. Wyciągnęła coś z torebki i podeszła do kominka.

– Co to? – zapytała Maggie.

Lucy podniosła wysoko białe pudełko z kolorowymi napisami.

– Mój prezent urodzinowy od Johna. Pudełko Alli. Wiecie, to te tabletki, które pomagają schudnąć. Jeśli się oszukuje, skutki mogą być dość nieprzyjemne.

Ellie otworzyła usta ze zdziwienia.

– Mój Boże. I właśnie to dał ci na urodziny?

Lucy była na skraju płaczu.

– Powiedział, że może do tej pory się nie oświadczył, bo chciałby, żebym schudła jakieś piętnaście kilogramów. Słyszał też, że po ślubie kobiety przybierają na wadze, a do tej pory to już będę wyglądać jak słonica.

– Co za szuja! – Darren nie wytrzymał. – I ty chciałaś wyjść za tego palanta?

Lucy zaczęła szlochać.

– Zasluguję na kogoś lepszego. Zasluguję na kogoś lepszego. Zasluguję na kogoś lepszego.

– Oczywiście, że tak – powiedziały zgodnie Rebecca, Maggie i Ellie.

I tak pudełko Alli skończyło w ogniu. Lucy wróciła na sofę z bardzo zdecydowanym wyrazem twarzy.

Maggie wyciągnęła z torebki wycinek z gazety.

– To jest nieszczęsna idiotka, która kilka tygodni temu wyszła za mąż za mojego byłego męża. Wycięłam jej zdjęcie ślubne z kroniki towarzyskiej. Muszę przyznać, że dokładnie je analizowałam, starałam się pojąć, co takiego ma ona, czego nie miałam ja, co w niej było takie niezwykle. I wiecie co? Wcześniej to była dla mnie cizia i suka, która ukradła mi męża. Teraz patrzę i widzę idiotkę, która będzie się męczyć z moim byłym. Więc nie ma jej czego zazdrościć.

Kiedy rzuciła kawałek gazety w ogień, wszyscy patrzyli, jak płonie.

Teraz Darren podszedł do kominka.

– Ja przyniosłem list. Moja żona napisała go do mnie, kiedy ostatnim razem twierdziła, że chce, żeby nasze małżeństwo przetrwało. Mam przeczytać?

Zgodnie powiedziały „tak”.

Darren odchrząknął.

– „Kochany Darrenie, bardzo mi przykro, że przeze mnie tak cierpisz. Myliłam się co do Vincenta; to zdecydowanie nie jest męczyzna dla mnie. I zdecydowanie nie jest nawet w połowie takim człowiekiem jak Ty. Został zwolniony z pracy i tylko udawał, że szuka nowego zajęcia. A ja, wyobraź sobie, miałam płacić jego czynsz! Dar, kochanie, tak bardzo za Tobą tęsknię. Za nami. Kocham Cię, Misiaku. Dziś wieczorem pokażę Ci, jak bardzo. Całuję, Carrie”.

– To jeszcze gorsze niż Alli – powiedziała Lucy. – Od razu wiadomo, o co chodzi.

– I co? Pewnie wróciła do Vincenta? – zapytała Ellie.

Darren kiwnął głową.

– Dostał pracę.

– Do ognia z nim! – zakrzyknęła Maggie.

Mężczyzna zmiął list w małą kulkę i rzucił go w płomień.

– Wspaniałe uczucie. Czuję się silniejszy.

– A co z tobą? – zwróciła się Ellie do Rebekki. – Podjęłaś decyzję w sprawie Michaela? Spotykasz się z Theo? Masz dla nas jakąś sensacyjną wiadomość?

To nie czas ani miejsce, żeby zacząć zwierzenia o tym, jak można się oddalić od kogoś, kogo kiedyś chyba się kochało. I o tym, że z czasem nasze potrzeby chyba się zmieniają i że wtedy wszystko się sypie. A potem spotyka się kogoś nowego, przy kim po prostu czujesz się świetnie, jakbyś przytulała misia. A może właśnie to jest czas i miejsce na taką rozmowę? Chodziło o nadzieję, o możliwości. A Rebecca właśnie odkrywała, że możliwości są wszędzie – trzeba je tylko wykorzystywać, jeśli się chce.

– Mój związek z Michaelem trwa w zawieszaniu. Tak jak całe moje życie w Nowym Jorku. Powiedzmy, że spotykam się z Theo. Próbuję sobie to wszystko ułożyć. Uważacie, że postępuję źle? Bo spotykam się z nim, chociaż właściwie wciąż jestem w związku z kimś innym?

– Cóż, mieszkasz tutaj – zauważyła Maggie. – Ile to już czasu? Prawie miesiąc. Wynajęłaś dom i masz psa.

– To nie fair, że trzymasz faceta z Nowego Jorku w niepewności, jeśli tak właśnie jest – powiedziała Lucy. – To znaczy, nie znam dobrze okoliczności...

– To nie od okoliczności zależy, czy coś jest w porządku, czy nie – powiedział Darren.

– No, nie wiem – powiedziała Ellie. – Przecież Rebecca nie jest mężatką. I o to chodzi: żeby przed ślubem postanowić, z kim się chce być.

– I za to wypiję – powiedziała Maggie, wznosząc kieliszek z margaritą.

Stuknęli się swoimi drinkami. Ale Rebecca i tak wiedziała, że to, co robi, to zdrada.

Nieważne, czy byli po ślubie, czy nie.

Wreszcie miała szansę podziękować Theo – i za psią budę, i za poprzednią noc – jeszcze tego samego wieczoru. I następnego. I następnego. W piątek na parapetówce wystąpił jako jej partner. Ellie i Maggie przyszły na imprezę, a także Arlene i Marianna (Matteo próbował wyjaśnić sprawy z dziewczyną) oraz Victor i Victoria, z dłońmi non stop splecionymi w uścisku. Z godzinnym opóźnieniem, ale także z prezentem w postaci orchidei, przybyli Joy i Harry.

Rebecca nie mogła przestać się szczerzyć. Joy przyszła. I nie dlatego, że było coś do omówienia, albo dlatego, że Rebecca ją o to błagała. Rebecca zaprosiła ją na pierwsze przyjęcie w swoim domu i Joy przyszła.

Kiedy skończyła oprowadzanie kolejnej tury gości po domu, który zyskał kilka nowych wazonów, świec i roślin doniczkowych – prezenty od jej gości, wróciła na dół do salonu, gdzie zobaczyła Joy i Maggie siedzące na sofie i zatopione w rozmowie. Płynnie przemknęła koło nich, stwarzając wrażenie, że robi to tylko po to, żeby zabrać ze stolika kawowego puste szklanki.

– Och, żałuję, że nie mogę, Joy – mówiła Maggie – ale obiecałyśmy z Ellie jednemu z członków Klubu Zgorzkniałych Byłych, że jutro zabierzemy go na kabaret.

– To by oznaczało, że mogę skreślić z mojej listy również Ellie – powiedziała Joy, zgarniając swe blond włosy i zarzucając je na plecy. – Hm... Pytałam już Arlene i obydwie moje sąsiadki, ale nikt nie może. Aż by się chciało, żeby ktoś w naszym mieście zaczął pilnować dzieci na zasadzie: „Potrzebna ci opiekunka na ostatnią chwilę – zadzwoń do nas”.

– Ja mogę – powiedziała Rebecca. „Popilnuję mojego siostrzeńca. I to za darmo”.

Joy utkwiała w niej wzrok.

Rebecca musiała postępować teraz delikatnie. Miała asa w rękawie – ten cudowny poranek w bibliotece. Jednak od czasu kłótni wywołanej przez test DNA Joy trzymała dystans.

– Coś się Rexowi we mnie spodobało, pamiętasz? I już mnie zna, widzieliśmy się kilka razy.

„No, zgódź się” – dodała w myślach.

– I po problemie – powiedziała Maggie, wrzucając sobie do ust czekoladkę.

– I po problemie – powtórzyła Joy, uważnie przyglądając się Rebecce. – Jeśli jesteś tego pewna, byłabym ci bardzo wdzięczna. – Zawahała się, a potem dodała: – Spróbujemy z Harrym iść na randkę. Zamierzamy się wystroić, zamówiliśmy stół w restauracji i w ogóle.

– Brzmi świetnie. – Rebecca się rozpromieniła. – O której mam być?

– O szóstej byłoby idealnie.

– No to o szóstej. A wy się nie przejmujcie. Wróćcie, o której chcecie.

Joy westchnęła tak, że Rebecca nie miała wątpliwości – to było westchnienie ulgi.

– Dzięki.

„Mam siostrzeńca” – powiedziała to sobie w myślach po raz nie wiadomo który, od czasu gdy poznała Rexa. A jednak nadal uważała to za cud, za coś niemal magicznego. Miała siostrę i siostrzeńca, chociaż jeszcze kilka tygodni temu dla niej nie istnieli.

Rex był przesłodki. Rebekki w ogóle nie dziwiło, że dla tych dziewięćdziesięciu centymetrów szczęścia Harry chciał stać się lepszym człowiekiem. Nie miała doświadczenia z małymi dziećmi. Nie zdawała sobie sprawy, jak zabawne, sprytne i interesujące mogą być trzylatki. Na Halloween Rex chciał się przebrać za chmurkę, co wymawiał „murka”. Z jedzenia najbardziej lubił jabłka, a może ciasteczko czekoladowe, albo nie, lody „tłuskafkowe”. Jego ulubionym kolorem był pomarańczowy, ulubioną postacią – Elmo. I mamusia, i tatuś.

Przyglądała się twarzyczce chłopca, szukając w niej rysów dziadka. I choć brązowe włosy i orzechowe oczy przywodziły na myśl Harry’ego, miał okrągłe oczy Strandów, ich nos i podbródek.

„Jesteś moim siostrzeńcem” – pomyślała, obserwując, jak Rex buduje z klocków fort w dużym pokoju. Poczwała, jak wzbiera w niej fala uczucia. Czy to dlatego, że jest jej siostrzeńcem? Czy dlatego, że wiedziała, przez co przeszli jego rodzice, ile znaczy dla nich ten mały chłopiec? Bo oni też dużo dla niej znaczą...

– Chcesz ze mną pokolorować? – zapytał ją, kiedy zabrali się do rysowania.

Ze sporej kolekcji wybrał tę o robotach i przez następne pół godziny każde z nich pokolorowało pięć rysunków. Rebecca powiesiła jego dzieła na specjalnym sznurku biegnącym po ścianie, na którym wisały już inne prace.

O siódmej chodził spać. Poszli więc na górę umyć zęby i włożyć piżamkę (śpiochy w chmurki i błyskawice), a potem Rebecca przeczytała mu trzy bajeczki – wszystkie o świnkach, ale bez udziału wilków, „bo one nie są za fajne”. Właśnie kończyła trzecią, kiedy zorientowała się, że małe śpi; z otwartą buzią i rączką zarzuconą na czoło.

Boże, jaki był słodziutki. Nie czuła jeszcze potrzeby posiadania dziecka, ale mogła sobie wyobrazić, że jest mamą takiego małego Rexa. Zgasiła światło i na palcach wyszła z pokoju. Z sercem przepelnionym emocjami wróciła na dół. Czytała jakieś czasopismo, które znalazła na stoliku kawowym, kiedy Joy i Harry wrócili do domu. Harry burknął coś na powitanie, a potem zniknął w swojej niedokończonej piwnicy.

„Ojoj”.

Joy się rozplakała. Rebecca wzięła ją za rękę i zaprowadziła na kanapę.

– Z Rexem wszystko w porządku? – zapytała, pociągając nosem.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– To aniołek.

– Tylko sprawdzę, co u niego, i zaraz wracam.

Wróciła minutę później, usiadła z podkurczonymi nogami i nawet nie spojrzała na Rebecce. Nic nie mówiła.

– Joy?

Oparła głowę o kanapę i rozprostowała nogi.

– Po prostu nie umiemy przeskoczyć tego samego tematu kłótni. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek uda nam się zostawić to za sobą. To moja sprawa. Czemu on mnie nie może zrozumieć?

– Chodzi o twojego ojca? – zapytała Rebecca.

– O niego i o wszystko inne. Wreszcie powiedziałam mu o naszej rozmowie, o pieniądzech

i o teście DNA. Przyznałam, że nawet nie chcę tych pieniędzy, a on po prostu się wściekł. Zarzuciłam mu, że dba tylko o tę kasę, o nic innego. Tak się zdenerwował, że uparł się, żebyśmy wracali do domu.

– Naprawdę myślisz, że zależy mu tylko na pieniądzach? – Oczywiście, Rebecca nie знаła Harry’ego zbyt dobrze, ale spędziła z nimi weekend w domku i dałaby sobie głowę uciąć, że nie o to mu chodziło. Jemu zależy tylko na Joy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Dobrze byłoby mieć trochę kasy, jasne. Rozumiem to. Po prostu... Sama nie wiem. Wy z Harrym naprawdę myślicie, że nie chcę pół miliona dolarów? Za sześćset pięćdziesiąt tysięcy można by opłacić edukację Rexa. Spłacilibyśmy dom. Moglibyśmy kupić nowy samochód, zamiast cały czas ładować pieniądze w naprawy po to, żeby ten stary w ogóle przeszedł przegląd. Mogłabym rzadziej jeździć na wycieczki. A Harry wreszcie miałby porządny urlop, a nie harował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rodzice, gdyby chcieli, mogliby przejść na emeryturę. Tak, pieniądze by się przydały. Tylko że nie czuję, żeby one były moje. Mam wrażenie, że nie należą do mnie. Nie podoba mi się, że nic się z nimi nie wiąże. Tego właśnie Harry nie rozumie.

– Ależ wiąże się – zaprzeczyła delikatnie Rebecca. – Listy, które Daniel Strand do ciebie napisał. Może dobrze by było, gdybyś je przeczytała.

Joy potrząsnęła głową.

– Nie chcę. Tego Harry też nie rozumie. Mówi, że blokuję swoje emocje i że to jest doskonały przykład.

„Ma trochę racji, Joy” – pomyślała Rebecca. Przyjdzie kiedyś taki dzień, że ona i Joy będą się kłócić i przekomarzać jak siostry, że będzie mogła powiedzieć, co myśli, a Joy nie trzaśnie w odpowiedzi drzwiami. Właśnie tak powinno być między siostrami – że się kłócą i przekomarzają, a potem godzą, bo łączą je siostrzane więzi. A drzwi są zawsze otwarte.

– Nie wiem, Joy, czy spodoba ci się moja propozycja, ale może by ci pomogło, gdybyś porozmawiała o tym ze swoją mamą? Może gdybyś usłyszała, co ona ma na ten temat do powiedzenia, byłoby ci lżej?

Joy głośno wypuściła powietrze.

– Może i tak. Nie wiem. Nigdy nie poruszam z nią tego tematu. Ale rozmawiam z nią w końcu, jeśli test ostatecznie potwierdzi, że twój ojciec jest moim ojcem. W przeciwnym razie, jak mówiłam, nie ma o czym gadać, a tym bardziej o pieniądzach.

– Tak czy siak potrzebujemy pomocy. – W drzwiach stanął Harry. Przeszedł przez pokój i usiadł naprzeciwko nich. – Rebecco, chciałbym cię zatrudnić jako mediatorkę. Uważam, że powinniśmy usiąść i porozmawiać. Ktoś bezstronny mógłby nas poprowadzić i przywoływać do porządku, gdyby zrobiło się za gorąco.

– Ona nie jest bezstronna – zauważyła Joy.

– Jak to nie? – zapytał Harry. – To ty ciągle powtarzasz, że jest obca.

„No właśnie”.

Joy milczała przez chwilę, a potem zwróciła się do Rebekki:

– Jak by to wyglądało? Taka sesja?

– Zaraz, zaraz – wtrąciła Rebecca. – Nie jestem doradcą małżeńskim. Nie uczyłam się nawet mediacji. Nie mam żadnych kwalifikacji w doradztwie ani niczego takiego. Po prostu pracuję w firmie, która zajmuje się doradztwem prawnym przy rozwodach. Pracowałam.

– Widzieliśmy cię w akcji – powiedział Harry. – Jesteś w tym dobra. Nie chcę iść do jakiegoś psychologa, który nas w ogóle nie zna. Denerwowałoby mnie zaczynanie wszystkiego od początku, kiedy jesteśmy już w środku.

– Rozumiem – powiedziała Joy i zwróciła się do Rebekki. – Zgadzasz się? Wchodzisz w to? Ja tak. Zatem jak to będzie? – zapytała znowu. – Jak wygląda takie spotkanie? On mówi swoje, a ja swoje? Kłótnia polegająca na odbijaniu piłeczki?

– Próbowalabym ograniczyć kłócenie się. Tak, Harry mówi swoje, a ty wtedy słuchasz. Potem zadaję wam obydwojgu pytania. Jeśli zaczynacie się kłócić, zmieniam kurs rozmowy. Potem ty mówisz, co masz do powiedzenia, a Harry słucha. I znowu ja zadaję pytania. Gdzieś w tym

wszystkim zaczynacie się nawzajem wysłuchiwać. I mam nadzieję, że zaczynacie też postrzegać sprawę oczami tej drugiej osoby. Potrzeba wam trochę czasu. Potem dołożycie do tego jeszcze miłość, która jest między wami, i coś zacznie się zmieniać.

– Brzmi nieźle – przyznała Joy. – Uda ci się to osiągnąć?

– Mnie nie. Ale tobie tak. I tobie – dodała, zwracając się do Harry'ego. – Mogłabym przychodzić tutaj, jeśli na swoim terenie będziecie się czuć pewniej, albo możecie przychodzić do mnie, jeżeli chcecie rozmawiać na neutralnym gruncie.

– Wolałabym u nas – powiedziała Joy.

– Może w poniedziałek o szóstej? – zaproponował Harry.

– Dobrze, poniedziałek o szóstej – potwierdziła Rebecca.

Joy sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej kilka banknotów.

– Za dzisiejszy wieczór.

Rebecca się nie zgodziła.

– Nie wezmę za dzisiejszy wieczór żadnych pieniędzy. Ani za sesje. Jeśli wam to nie pasuje, to nici z naszych spotkań.

Harry się uśmiechnął.

– Uparciuch z ciebie.

– Chyba raczej jesteś do tego przyzwyczajony – zażartowała Joy, a Rebecca pomyślała, że czeka ją zadanie trudne, ale nie niemożliwe. Miała przed sobą nie parę szykującą się do rozwodu, tylko taką, w której tli się coś więcej niż ledwie iskierka miłości.

Ci ludzie bardzo się kochają i stoją za sobą murem. Mają po prostu spore problemy z wsłuchaniem się w siebie nawzajem, pójdziem na kompromis i akceptowaniem współmałżonka. Ponowne zbliżenie ich do siebie będzie dla Rebekki czystą przyjemnością.

W nocy obudził ją dzwonek telefonu. Spojrzała na zegar stojący na szafce nocnej. Druga. Michael.

– Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, że moja relacja z nową znajomą nabrała charakteru bardziej romantycznego.

Rebecca usiadła, wspierając się na poduszkach.

– I pewnie właśnie wyszedłeś z jej mieszkania?

– Jestem w domu. Siedzę na sofie i czuję się potwornie.

– Ja też się z kimś spotykam – powiedziała delikatnie.

– Super. Zatem obydwójce kogoś mamy. Czy myśmy ze sobą zerwali, tylko ktoś zapomniał mnie o tym poinformować?

Nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc zamiast tego powiedziała:

– Wysłałam test. Pod koniec przyszłego tygodnia będą wyniki. Swoją drogą to miło z twojej strony, że załączyłeś czek.

– Pomyślałem, że ci się przyda, na wypadek gdyby okazało się, że ona jednak jest twoją siostrą i że dasz jej siedemset tysięcy dolarów. – Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem Michael zapytał: – Jeśli się okaże, że jesteście siostrami, czy zamierzasz zostać tam na stałe?

Rebecca wstała z łóżka, przeszła do okna i usiadła na poduszce na parapecie. Spojrzała w nocne niebo. Nie świeciła dziś żadna gwiazda.

– Nie wiem, Michaelu. Naprawdę nie wiem. Po prostu czuję, jakbym znalazła się między dwoma światami. A w tej chwili muszę tu być.

– Chcesz tam być, Rebecca.

– No więc tu chcę być.

– Ile twoim zdaniem powinienem dać ci jeszcze czasu? Nieokreśloność zaczyna być wkurzająca. A może chcesz powiedzieć, że to zależy ode mnie? Co będzie, jeśli zadzwonię jutro, a ty skończysz rozmowę i pójdziesz się pieprzyć ze swoim nowym chłopakiem?

Rebecca wróciła do łóżka i wsunęła się z powrotem pod kołdrę, podciągając ją aż pod brodę.

– To zależy od ciebie, Michaelu. Nie wiem, co teraz czuję w jakiegokolwiek kwestii. Wiem tylko, że kiedyś było między nami coś niewiarygodnego, ale ulotniło się już dawno temu.



Nastąpiła chwila ciszy.

– Myślisz, że udałoby nam się to odzyskać? Dziwnie mi było z kimś innym, Becs.

„A mnie nie” – pomyślała. Czy powinno? Czy to oznaczało, że naprawdę nie kochała Michaela? Dlaczego nie umiała sobie odpowiedzieć na te pytania?

– Uważasz, że to możliwe?

– Nie wiem, ale myślę, że to się nie uda, dopóki mieszkasz prawie pięćset kilometrów stąd.

– Nie mogę wrócić teraz do domu.

– W kółko to powtarzasz, a ja nadal nie wiem, czemu nie możesz. To przez tego faceta?

– Częściowo – odpowiedziała. – Ale czułam tak, jeszcze zanim coś mnie z nim połączyło.

– Mam dość takiego gadania. Nic się dzięki temu nie zmienia. Czy mam ci postawić ultimatum? Wolisz tam siedzieć i powtarzać, że nie jesteś jeszcze gotowa, żeby wrócić. Nie będę czekał bez końca, Rebecca. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Rozłączmy się lepiej, bo w którymś momencie nie będę mógł dłużej znieść tej rozmowy.

Biiip.

Położyła telefon z powrotem na stół i otworzyła szufladę, w której trzymała zdjęcie swoje i Michaela. Dlaczego nie czuła się jeszcze gotowa, aby zakończyć ten związek? Gdyby jej ojciec żył, nadal mieszkaliby z Michaeliem, pracowała w Whitman, Goldberg & Whitman i wiodła to samo znane jej życie. Byłoby tak samo, gdyby ojciec zmarł, nie mówiąc jej o Joy.

Jak to się działo, że ta świadomość robiła aż taką różnicę?

W głowie zadźwięczały jej słowa Maggie: „Twój tata chciał, żebyś wiedziała, że nie musisz wychodzić za Michaela, że nie jesteś sama na świecie”.

Chciał jej powiedzieć, że ma rodzinę gdzie indziej; że jeśli Michael nie wydawał się jej prawdziwą rodziną, mogła jej poszukać w innym miejscu. I właśnie ją znalazła.

Następnego ranka Rebecca siedziała pod drzewem w parku nieopodal centrum miasteczka. Piękno czerwonych liści przypominało jej, jak długo już tutaj mieszkała. Wystarczająco długo, żeby Michael uległ lasce z siłowni.

Czy ona była dużo lepsza? Zakochała się w Theo niemal od pierwszego wejrzenia.

Oparła się plecami o pień drzewa i zapatrzyła się na obłoki podobne do biegnących po jasnoniebieskim niebie owieczek.

– Hej.

Zaskoczył ją widok Joy Jayhawk stojącej na ścieżce. Blond włosy związała w niski kucyk. Miała na sobie ciemnoniebieską dzinsową kurtkę – kolejny znak, że późne lato przeszło już w jesień. Rebecca nie rozumiała, czemu Joy się przywitała, skoro mogła się prześlizgnąć całkiem niepostrzeżenie, ponieważ ona miała zamknięte oczy. Jednak zdecydowała się przywitać.

To było coś.

– Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie śpisz. – Weszła na trawę i podeszła do miejsca, w którym siedziała Rebecca, a za nią nadbiegł Charlie ze swoją piszczącą zabawką. Podrapała go po grzbiecie i rzuciła mu gumowego kota, za którym podreptał.

– Rozmyślałam nad czymś – powiedziała Rebecca, mrużąc oczy w słońcu. – Sama mam trochę problemów sercowych.

Joy zerknęła na Charliego, który pędził ku nim z gumowym kotem. Rzuciła go jeszcze raz, a on znów ruszył w pościg.

– Związanych z twoim chłopakiem w domu i tym nowym facetem?

Rebecca przytaknęła.

– Ogólnie rzecz biorąc, Michael powiedział mi, że nie będzie już dłużej czekał. I ja to rozumiem; zostawiłam go w stanie zawieszenia. A poza tym... jest Theo.

– Czyli sytuacja między wami się rozwija? – zapytała Joy, siadając obok Rebekki. Wyrwała długie źdźbło trawy.

– Bardzo. – Znów zamknęła oczy. – Chciałabym wiedzieć, co powinnam zrobić i co tak naprawdę czuję. Jesteśmy z Michałem parą od dwóch lat. Był ze mną, gdy przechodziłam trudny okres, kiedy mój ojciec...

– Umierał – dokończyła Joy.

Rebecca spojrzała na nią.

– Zorganizował pogrzeb. Zrobił za mnie wszystko.

Charlie podbiegł i upuścił zabawkę przy kolanie Joy, po czym pobiegł za białym motylem.

– A jednak widzisz się z kimś innym.

Poczuła, jak gdzieś głęboko dławi ją poczucie winy.

– Michael to dobry człowiek, ale nasz związek jest... tak bardzo spóźniony. Wcześniej myślałam, że przechodzimy przez różne fazy, bo mieszkamy ze sobą od roku i od czasu do czasu działamy sobie na nerwy. Ale to chyba normalne, prawda?

– Jeżeli za normalne uznamy to, że mój mąż mieszka w piwnicy... – powiedziała Joy i nagle wstała, jakby poczuła, że ich rozmowa zaczęła być zbyt intymna, zbyt... siostrzana. Jakby Rebecca przestała być tylko mediatorką. – Muszę już iść. Czas odebrać dziecko z przedszkola. Do zobaczenia w poniedziałek. – Wróciła na ścieżkę, głaszcząc po drodze Charliego.

Rebecca odprowadziła ją wzrokiem do zakrętu. Po raz pierwszy rozmawiały o niej, o jej problemach – tak jak to robią siostry. Może ta rozmowa nie dała jej odpowiedzi na żadne z pytań dotyczących Michaela i Theo, ale na pewno poprawiła jej nastrój.

– Nie rozumiesz – warknęła Joy do Harry'ego po raz dziesiąty, a może jedenasty.

Rebecca siedziała na podwójnej kanapie już od dwudziestu minut, a skłócona para na drugiej kanapie po skosie, każde w najdalszym kącie swojej połowy. Joy była sztywna jak marionetka, którą ktoś ciągnie do góry za niewidzialny sznurek, Harry natomiast rozciągnął się na kanapie, jak gdyby chciał zaanektować dla siebie jak najwięcej miejsca. Gdy ona wyrażała swoje

zdanie, on słuchał z zaciśniętymi zębami. Wyglądał tak, jakby powstrzymywał się, żeby nie wrzasnąć: „Co z ciebie za idiotka!”. Joy, która robiła krótką pauzę po każdym jego westchnieniu, uniesieniu brwi lub potrząśnięciu głową, zatrzymywała się w połowie zdania ze słowami: „Jaki w tym sens?”, a potem krzyżowała ręce na piersi. Wtedy Harry wygłaszał swoje zdanie, a ona wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpląkać lub wybiec z pokoju, i odpowiadała: „To niesprawiedliwe” lub: „Nie rozumiesz”.

– Nie, to ty nie rozumiesz – podkreślił po raz dziesiąty lub jedenasty. W tym momencie po raz pierwszy wstał i wyszedł z pokoju.

Rebecca usłyszała, jak trzaska drzwiami, odpala silnik auta i odjeżdża.

Brązowe oczy Joy wyrażały jednocześnie gniew i ból, gdy maszerowała schodami na górę. Wtedy Rebecca usłyszała kolejne trzaśnięcie drzwiami.

„O nie, o nie, o nie” – zakołatało się jej w głowie.

Jak mogła wyobrazić sobie, że może im pomóc? Nie była mediatorem. Nie była doradcą małżeńskim. Była nikiem i bawiła się kosztem cudzego małżeństwa – małżeństwa Joy.

W mediacji rozwodowej głównym celem jest uniknięcie otwartej wojny, która może prowadzić do kosztownego procesu. Należało przekonać parę do uczciwości wobec siebie nawzajem. Jednak to, co każde z małżonków uważało za uczciwe, zależało od ich humoru danego dnia, od cyferek zapisanych czarno na białym, od wielkości majątku, od różnych czynników.

Jednak w ratowaniu małżeństwa nie chodzi o to, co jest arbitralnie sprawiedliwe. Chodzi o miłość.

Może dała im zbyt wiele czasu na wyłożenie swoich racji. Przecież na pewno już sobie to wszystko powiedzieli. Musiała wypracować nowe podejście – oparte na sercu, nie na rozumowej analizie istoty sprawy, nawet jeśli w tym przypadku było nią ratowanie tego małżeństwa.

Poszła do kuchni i napisała liścik, który przyczepiła magnesem do lodówki:

*Joy i Harry, proszę, nie zrażajcie się dzisiejszym spotkaniem – pierwsze jest zawsze najtrudniejsze. Może się wydawać, że zmierzacie donikąd, ale dajecie upust swoim emocjom i zaczynacie słuchać siebie nawzajem. Chciałabym jak najszybciej spotkać się ponownie.*

*Rebecca*

Wyobraziła sobie, jak Joy wstaje w środku nocy, bo nie może zasnąć, znajduje liścik, zgniata go w kulkę i ciska do kosza na śmieci.

– Potrzebujesz jednego z moich słynnych na cały świat masażu i pysznego hamburgera – oznajmił Theo.

Zadzwoiła do niego chwilę po tym, jak wskoczyła do samochodu zaparkowanego przed domem Joy i Harry’ego. Bolało ją serce, ramiona ciążyły ku ziemi, a w głowie kotłowało się milion myśli. I wtedy opowiedziała mu całą historię ze szczegółami, takimi, którymi dotąd się z nim nie dzieliła, bo wydawały jej się osobistymi sprawami Joy i Harry’ego. Teraz uświadomiła sobie, jak dużą rolę odgrywała w ich problemach małżeńskich – myślała o teście DNA, o kwestii dziedziczenia.

– Do zobaczenia za dwadzieścia minut – powiedział.

– Mam nadzieję, że twoje masaże nie są aż tak dobrze znane – powiedziała, ale Theo odłożył już słuchawkę.

Jego masaże powinny być słynne na cały świat. Rebecca całkowicie się zrelaksowała pod ciepłymi dłońmi, otoczona zapachem olejku Kama Sutra, który rozgrzewał się w kontakcie ze skórą. Leżała na brzuchu w swoim łóżku, a Theo klęczał nad nią, gładząc, masując, uciskając i pocierając jej ciało. Co chwila szeptał jej do ucha słodkie słówka, czasem wręcz nieprzyzwoite, ale sam się nie rozebrał ani nie dotknął jej w żadnym innym miejscu niż plecy, stopy czy ramiona. W pewnym momencie zniknął na kilka dramatycznie długich chwil, żeby przygotować jej kąpiel z bąbelkami, po czym kontynuował masaż swoimi silnymi dłońmi. Potem wyszeptał:

– No chodź. – I zaprowadził ją za rękę do łazienki.

– Proszę się wymoczyć w wannie. Ja coś ugotuję.

Był mężczyzną idealnym.

– Dziękuję, Theo.

Dwadzieścia minut później pojawił się z ręcznikiem i dokładnie ją wytarł, po czym nasmarował ją specjalnym talkiem, który najwyraźniej nadawał się do jedzenia – pachniała tak pięknie, że sama mogłaby siebie schrupać. Dobry znak – była głodna. Odzyskała apetyt akurat na czas kolacji.

Gdy zeszła na dół, zastała Theo zapalającego świece na stole. Stały tam już dwa talerze z hamburgerami przykrytymi sałatą, pomidorami, cebulą i ogórkami konserwowymi oraz frytki, które uwielbiała.

– Czy istnieje cokolwiek, czego nie potrafisz robić? – spytała, wgrzyzając się w hamburgera, który był tak pyszny, jak się zapowiadał.

– Nie potrafię narysować prostej kreski – odpowiedział. – Dlatego nie jestem architektem. Nie potrafię też zrobić dobrej kawy.

Uśmiechnęła się. Jeśli chodzi o kawę, to była prawda.

– Nie mogę udawać, że jestem doradcą małżeńskim – powiedziała, dłubiąc we frytkach. – Michael miał rację, nie jestem mediatorem.

– Michael, twój chłopak? – spytał.

– Michael ktoś-tam – odpowiedziała, od razu żałując swojej uwagi. Co ona wyprawiała?

Theo spojrzał jej w oczy, otworzył dwie butelki piwa Shipyard i napełnił nim kufle, które kupiła któregoś razu w szale zakupów, mimo że nie pijała piwa.

– Joy i Harry rozmawiają, to dobrze. Czasami ludzie się wycofują i nie chcą ze sobą rozmawiać, wcale się ze sobą nie komunikują. Z twoich słów wynika, że posługują się ciągle tym samym argumentem; to nic nowego, co oznacza, że nie pogorszyłaś sytuacji. Oni się nie zmienili. Nadal jest im wygodnie i znajomo, ale rozmawiając z tobą, znaleźli się w nowej, już nieco mniej wygodnej sytuacji. Jesteś na dobrej drodze. – Świeca rzuciła cień na jego przystojną twarz.

– Skąd tyle wiesz o tych sprawach? I w jaki sposób nauczyłaś się tak dobrze gotować?

Uśmiechnął się.

– Lubię pracować rękami.

Rebecca wyszczerzyła zęby.

– Zauważyłam. Cieszę się, że mogłam tego doświadczyć więcej niż kilka razy. Charlie też uwielbia swoją budę.

Podniosła głowę, żeby wyjrzeć przez okno na białą-czarną sierść psiaka, który leżał zwinięty w budzie, z głową zwisającą z krawędzi poduszki.

Zjedli, słuchając Johnny'ego Casha. Theo upierał się, że jego muzyka koi umysł i duszę, a Rebecca musiała się zgodzić, chociaż nie wiedziała, czy to z powodu Theo, masażu, kąpieli, jedzenia, czy połączenia tych wszystkich czynników czuła się ważna i dopieszczona. Zaczęło padać i Charlie przybiegł do szklanych przesuwanych drzwi, żeby wpuścić go do środka. Uwielbiała stukanie deszczu o szyby i dach, gdy siedziała w przytulnym i ciepłym domu, nawet kiedy psiak wytrzepał całą wodę ze swojej sierści prosto na nią.

Usiedli na kanapie w salonie z piwem i babeczkami, które Theo kupił po drodze w pizzerii, a Charlie zwinął się w kłębek przy ich nogach.

– Lepiej? – spytał.

– Dużo lepiej – odpowiedziała. – Wiele ci zawdzięczam.

Pokręcił głową.

– Nie.

Wzięła go za rękę.

– Może trzeba być po ślubie, żeby móc rozmawiać z kimś o jego małżeństwie. Co ja w ogóle wiem o życiu w małżeństwie? Jak to jest podjąć takie zobowiązanie? Nie mam pojęcia, co dzieje się między ludźmi, którzy wzięli ślub.

– Nie musisz tego wiedzieć, żeby pomagać innym. Potrzebujesz tylko zrozumienia dla drugiego człowieka i empatii. I ty to masz. Biorąc pod uwagę, że była to ich pierwsza sesja, pewnie oczekiwali zbyt wiele: on być może spodziewał się, że ona nagle go zrozumie, może ona chciała tego samego od niego. A teraz okopali się na swoich pozycjach. – Pochylił się, żeby podrapać

Charliego za uszami. – To trudna sytuacja, bo każde z nich ma rację.

Spojrzała na niego wnikliwie.

– Tak myślisz? Ja uważam, że Harry ma lepsze argumenty.

– Oczywiście, że tak. Ty też czegoś od niej chcesz, podobnie jak Harry.

– Chcę tylko, żeby była moją siostrą. Harry chce chyba nieco więcej.

– Niekoniecznie. Harry chce tego co ty: żeby Joy się otworzyła i była w stu procentach emocjonalnie przy nim obecna. Ty chcesz tego samego: żeby była twoją siostrą w pełnym znaczeniu tego słowa.

Nagle poczuła wzbierające łzy.

– Masz rację. Tego od niej oczekuję. Nic więcej. To dużo, prawda?

Potwierdził.

– Kiedy cię poznała? Kilka tygodni temu? Tak, to dużo. Harry pracował nad otwarciem się Joy przez lata.

Nie patrzyła jeszcze z tej perspektywy na ich sytuację.

– Znów masz rację. Musi czuć dużą presję. Jestem siostrą, która ni z tego, ni z owego pojawia się w jej życiu i prosi o relację opartą na posiadaniu wspólnego ojca, którego nigdy nie poznała.

– A co się stanie, jeśli się okaże, że nie jest twoją siostrą? Co wtedy? Jesteś na to przygotowana?

– Nie. I nie muszę, bo wiem, że Joy nią jest.

Uniósł brwi.

– Wiesz to na sto procent?

– Nie bez cienia wątpliwości, ale jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent.

– A jeśli ten ułamek okaże się prawdą?

Nie odważyła się spojrzeć w jego orzechowe oczy.

– Nie mam pojęcia. Może wrócę do Nowego Jorku. Nie wiem. – Naprawdę nie była przygotowana na taką ewentualność. Czy mogła zostać tutaj i zbudować swoje życie od nowa, jeśli powód jej przyjazdu przestałby istnieć?

Theo zeszywniał.

– Masz na myśli powrót do Michaela?

– Nie. Po prostu sama nie wiem. Nie wiem...

Odstawił szklankę na stół.

– A to, co jest między nami? To relacja tylko na czas twojego pobytu w Wiscasset?

– Nie. Nie to chciałam powiedzieć. – Co to było? Dlaczego Theo nagle naciskał na nią, żeby wyjawiała mu swoje uczucia?

– A zatem?

– Nie wiem, Theo.

– Kiedy wynajęłaś ten dom, pomyślałem, że zdecydowałaś, żeby tu zostać. A teraz mówisz, że nie wiesz, co cię ze mną łączy, a „to coś” w Nowym Jorku jest nadal dla ciebie ważne. Czy dobrze zrozumiałem?

Jej ramiona opadły, przytaknęła.

– I co? Jestem facetem i mam się na to godzić? Nie szukam kolejnego związku, który złamie mi serce; mam to już za sobą. Wystarczająco dużo czasu minęło, żebym nie popełnił drugi raz tego samego błędu.

– Nie wiedziałam, że miałeś złamane serce.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Bo o to nie pytałaś, prawda? Rozmawialiśmy głównie o tobie.

– Pewnie tak. Moje życie to teraz jedno wielkie wariactwo.

– Wiem o tym, ale to nie uprawnia cię do tego, żebyś nie zważała na moje uczucia... lub tego faceta z Nowego Jorku.

– Wiem, że chcę być z tobą, Theo.

– Masz na myśli czas, kiedy jesteś tutaj?

– Nie, mam na myśli... – Co miała na myśli? Wieczność? Być może. Tak teraz czuła, ale będąc tutaj, czuła się jakby w stanie zawieszenia... zawieszenia uzależnionego od sześciu kolejnych dni roboczych.

Theo wstał.

– Przyjdź do mnie, kiedy – o ile w ogóle – będziesz wolna i pewna, czego chcesz, Rebecca Strand.

Aż podskoczyła.

– Theo, proszę. Nie rób tego. Nie odchodź.

– Czasem łatwiej dojść do tego, czego się chce, nie będąc w samym środku danej sytuacji – powiedział.

– Ach, to tak?! Albo zerwę z Michaeliem, albo to koniec?

– Rebecca, to są sprawy na poziomie licealnym. Tak. O to właśnie mi chodzi. On albo ja.

Nie możesz mieć nas obu. Czy on o mnie wie?

Przytaknęła.

– I nie przeszkadza mu to?

– Dał mi czas, żebym podjęła decyzję.

Otworzył drzwi wejściowe.

– Zatem albo naprawdę cię kocha, albo jest idiotą.

– A ty?

– Ja na pewno nie jestem idiotą.

Rebecca zabrała Charliego na długi spacer po bocznych uliczkach, których jeszcze nie знаła, z nadzieją, że kąpiący na głowę deszcz przyniesie jej odpowiedzi na pięć tysięcy pytań. Jedno z nich brzmiało: jak masaż i cudowna kolacja mogły się skończyć w ten sposób?

Teraz nagle to Michael okazywał się elastyczny, dawał jej czas i przestrzeń? Sytuacja tak szybko się odwróciła?

Jednak Theo miał rację.

Albo Michael.

Podniosła twarz do gwiazd. Miło było czuć delikatny deszcz na twarzy. „Co mam zrobić, tato?”.

Żałowała, że go z nią nie było. Zawsze, kiedy czuła się smutna lub kiedy miała z czymś problem, spotykała się z ojcem, który zabierał ją na chińskie jedzenie. Zamawiali pięć różnych potraw, ale dwie zawsze stanowił kurczak w sezamie. Ojciec miał dla niej tyle mądrych rad. Mówił to, co należało, unikając wygłaszania kazań i zbędnych komunałów.

– Tęsknię za tobą – powiedziała ze łzami w oczach.

Pozostała jej po nim tylko skrzyneczka z listami, jednak przestała je czytać, ponieważ nie były skierowane do niej. Choć ojciec nieustannie o niej wspominał w tych kilku, które przeczytała – to były listy Joy, DLA Joy. Kiedy Rebecca przyjechała tutaj i poznała swoją siostrę, pojęła, że te listy to prywatna korespondencja pomiędzy Danielem Stradem a córką, której nigdy nie poznał.

Pomyślała, że mimo wszystko mogłaby zajrzeć do jeszcze kilku tylko po to, by usłyszeć jego głos. Te listy, których treść już poznała, nie zawierały zbyt osobistych wyznań – jedynie wzmianki w stylu: „Droga Joy, masz teraz siedem lat. Założę się, że uwielbiasz Barbie. Rebecca je uwielbiała, kiedy miała siedem, osiem lat”. Tak, pójdzie do domu, otworzy parę kopert i w ten sposób spędzi trochę czasu ze swoim ojcem. Może to przyniesie jej ukojenie.

Pozwoliła Charliemu prowadzić i zatrzymywać się przy każdym interesującym go listku i źdźble trawy. Potem przez dobre pięć minut stała na deszczu i rozmawiała z kobietą, którą często widywała w parku z mopsem.

Kiedy wróciła do domu, rozłożyła się na łóżku i czytała list po liście, zaczynając od pierwszego. Część jedynie przeglądała, ponieważ traktowały głównie o tym, co Joy prawdopodobnie w danym momencie robiła i czym w jej wieku zajmowała się Rebecca. Bardzo niewiele pisał o tym, co robił, jak się czuł i za czym tęsknił.

Jak mógł oczekiwać od Joy, że będzie go znała po lekturze tych listów? A może nie o to

w nich chodziło? Miała nadzieję, że korespondencja wyjaśni więcej – dlaczego zdradził, dlaczego odsunął się od kobiety, którą opisywał Rebecce jako miłość swojego życia. I jak mógł żyć po tym, co zrobił Pii i Joy. Nie znajdowała żadnego wyjaśnienia, niczego, co pomogłoby jej zrozumieć. Tylko te głupie wodorosty, skały i chemia na plaży, kiedy miał zły dzień.

Po co pisał te listy? Tylko po to, żeby w jakiś sposób upamiętnić każdą rocznicę narodzin córki? Czy naprawdę chciał, żeby Joy je kiedyś przeczytała? Może sam nie wiedział, po co je pisze. Może zrobił z tego rytuał, przyzwyczajenie, które ewoluowało z upływem miesięcy, lat.

Chciałaby zrozumieć.

Przejrzała list zaczynający się od: „Droga Joy, masz teraz dwadzieścia pięć lat, to ćwierć wieku”, bla, bla, bla. Potem wyjęła ostatnią kartkę z koperty. Miał datę sprzed sześciu miesięcy.

*Droga Joy!*

*Trzydzieści dni temu wykryto u mnie raka trzustki. Jeszcze nikomu nie powiedziałem, nawet Rebecce. Ale mówię Tobie. Jeśli umrę jutro, Joy Jayhawk, chcę, żebyś wiedziała, że w głębi serca Cię kochałem. Prawdopodobnie w to nie uwierzysz. Pokochałem Cię od momentu, w którym o Tobie usłyszałem, mimo że o tym nie wiesz.*

*Można kochać kogoś, z kim nie można być. Można kochać kogoś, kogo się nigdy nie poznało, nawet wyobrażenie o kimś. Skąd wiem, że to możliwe? Wiem, bo tego doświadczyłem, czuję to.*

*Teraz masz dwadzieścia sześć lat i pewnie mnie nienawidzisz. Ale ja Cię kocham, Joy. Zawsze Cię kochałem. Nie wszystko można łatwo wyjaśnić. Nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczysz mi to, że opuściłem Ciebie i Twoją matkę. Mam nadzieję, że tak. Nie byłem dla Ciebie ojcem i nie ma szansy, żebym Ci to wynagrodził. Chcę Ci teraz powiedzieć dwie rzeczy. Przede wszystkim przepraszam. Przepraszam Cię, Joy. Jest mi bardzo przykro. I kocham Cię.*

*Przez ostatnich kilka tygodni zastanawiałem się nad czymś, a ponieważ już niedługo zapewne nie będzie mnie tutaj, muszę coś z tym zrobić. To jedyna rzecz, którą mogę zrobić. Nie wiem, czy masz rodzeństwo, ale Rebecca jest jedynaczką. Zawsze chciała mieć siostrę. Kiedy skończyła pięć lat, zaczęła prosić o siostrzyczkę. I zawsze ją miała. Obie jesteście tylko niewinnymi obserwatorkami zaistniałej sytuacji, ale jeśli udałoby się Wam znaleźć drogę do siebie nawzajem, czy nie byłoby to wspaniałe?*

Daniel Strand

Łzy płynęły jej po policzkach. „Tak, tato, to byłoby wspaniałe”.

Powinna była pomyśleć o przeczytaniu najnowszego listu jako pierwszego, ale miała wątpliwości, czy wcześniej tak naprawdę tego potrzebowała.

I czy tak naprawdę potrzebowała tego Joy?

Rebecca zapukała do domu Joy i Harry’ego o dwudziestą drugą godzinę, ale nikt nie odpowiadał. Wiedziała, że byli w domu, bo oba samochody i bus miłości stały na podjeździe. O tej porze Rex musiał już głęboko spać, więc tylko na chwilę przycisnęła dzwonek, mając nadzieję, że mały się nie obudzi. Pod pachą trzymała skrzynkę z listami, dokładnie tak samo, jak pierwszego dnia, kiedy pojawiła się w Wiscasset.

Kiedy Harry otworzył drzwi, powiedziała:

– Pomyślałam, że może chcecie z Joy odbyć kolejną sesję.

Joy wyłoniła się zza męża. Wyglądała bardziej na zaskoczoną niż zmartwioną.

– Teraz?

– Teraz – odpowiedziała Rebecca.

Harry odsunął się, żeby ją wpuścić.

– Skoro wszyscy tu jesteśmy, to czemu nie.

– Czy mogę zrobić dzbanek kawy, zamiast siedzieć tutaj i czuć się nieswojo? – spytała Joy, spoglądając na skrzynkę z listami.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Marzę o kawie.

Harry usiadł przy stole naprzeciwko Rebekki.

– Przy okazji, dziękujemy za liścik. Chyba byliśmy nieco zniechęceni.

– Nie rozumiem, czemu tym razem miałyby być inaczej – powiedziała Joy, włączając ekspres do kawy.

– Będzie inaczej, bo wprowadzimy dwie zasady – odpowiedziała Rebecca. – Pierwsza zasada: Nie używamy sformułowania: „tak, ale”, co w waszym przypadku oznacza nieużywanie zwrotów: „nie rozumiesz” i „ty nigdy nie słuchasz”. W praktyce nie będziecie już ze sobą dyskutować. To ja będę zadawać każdemu z was pytania. Macie tylko siebie słuchać. Potem coś wam przeczytam.

Joy usiadła z lekkim grymasem na twarzy i objęła rękami pusty kubek.

„Teraz się rozstrzygnie” – pomyślała Rebecca.

– Harry, co twoim zdaniem Joy powinna przede wszystkim wiedzieć?

– Przede wszystkim? – Zamyślił się, przeczesał dłoń ciemne włosy.

– Przede wszystkim – powtórzyła Rebecca.

Spojrzał na swoją żonę.

– Że kocham ją na zabój.

Rebecca uśmiechnęła się do siebie. Miała nadzieję, że tak odpowie. Nie, wiedziała, że tak odpowie. Zwróciła się do Joy.

– Joy, co najważniejszego powinien wiedzieć Harry.

Joy patrzyła raz na Harry’ego, raz na Rebecę, przygryzając wargę.

– Że też go kocham. I że za nim tęsknię. Bardzo.

Harry objął dłońmi dłonie Joy.

– Też za tobą tęsknię.

Rebecca odetchnęła głęboko.

– Chcę wam przeczytać ostatni z listów, który mój ojciec napisał do ciebie, Joy, w dniu twoich dwudziestych szóstych urodzin. Zgadza się na to?

Twarz Joy nabrała surowego wyrazu, ale Harry ścisnął jej rękę, więc w końcu szepnęła:

– Dobrze.

Rebecca siedziała i czytała list, a kiedy skończyła, zapadła grobowa cisza. W końcu jednak Joy nie wytrzymała.

– Nie wybaczam mu! – krzyknęła. – Nie chcę i nie mogę. Nie obchodzi mnie to, że napisał, że mnie kocha. Potrzebowałam ojca. Mam dwadzieścia sześć lat i mam się z tym uporać, a nie płakać jak nieudacznik. Zawsze marzyłam, że pewnego dnia go spotkam, zapytam dlaczego i dam mu w twarz. A teraz on nie żyje i nie wiem, jak mam sobie z tym poradzić. Nici z mojego marzenia, które pielęgnowałam, od kiedy pamiętam. – Łzy spływały jej po policzkach. Oparła się na Harrym i płakała w jego koszulę. – Nie wiem, jak mam sobie z tym dać radę.

– To nie było głupie marzenie – powiedział Harry, głaszcząc ją po głowie. – Pomogę ci przez to przejść. Po prostu musisz ze mną rozmawiać, tak jak teraz.

Przytaknęła wtulona w niego.

Harry odetchnął głęboko.

– Dziękuję – wyszeptał do Rebekki.

– Dziękuję, tato – powiedziała bezgłośnie w stronę sufitu.

W końcu ich ojciec powiedział to, co powinien, w odpowiedni sposób i w odpowiednim momencie.



Kiedy skręciła w ulicę Wiązową, zobaczyła, że ktoś siedział na jej ganku, na schodach, zaraz obok doniczki z fiołkami afrykańskimi. Mężczyzna. Czy to Theo? Serce jej waliło, nie mogła się doczekać, kiedy opowie mu o tym, co się stało. Powie mu, że jest jej przykro i że potrzebuje trochę więcej czasu.

Wjeżdżając na podjazd, wiedziała już, że to nie był Theo. Theo był wyższy, szczuplejszy i nie czekałby o dwudziestą trzecią u niej na ganku w garniturze. Nie miał też brązowego sedana, zaparkowanego teraz przed domem. Siedziała chwilę w samochodzie, zastanawiając się, czy mały Charlie byłby w stanie wyskoczyć przez okno i zaatakować w razie potrzeby.

Kiedy mężczyzna wstał, zdała sobie sprawę, że to Michael.

„Michael?”

– Kupiłeś dom? – powiedział charakterystycznym dla Joy tonem, gdy wysiadła z samochodu i szła w jego kierunku. Charlie szczekał w domu jak opętany. – I masz psa? Kiedy właścicielka twojego pensjonatu podała mi ten adres, pomyślałem, że to kolejny hotelik, skoro poprzedni został zamknięty. Ale to nie jest hotel, prawda?

Zapomniała już, jaki był przystojny. Jak jego ciemnoniebieskie oczy w niektóre burzowe letnie dni przybierały kolor oceanu. Jak grube, ciemne włosy czasami wpadały mu do oczu i jak je odgarniał ruchem ręki. Dobrze było go widzieć, naprawdę dobrze, i czuła to całą sobą. Michael oznaczał znajome rewiry, wygodę, wszystko to, co zostawiła w Nowym Jorku. A teraz przyjechał do Maine w swoim garniturze i drogich czarnych butach.

Nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Wynajmuję ten dom. A pies jest mój.

Wpatrywał się w Rebeccę. Spodziewała się, że zaraz powie, że już o tym dyskutowali, że nie będą mieć zwierząt, bo załatwiają się i wymiotują, gdzie popadnie. Zamiast tego powiedział:

– Ładnie wyglądasz.

Uśmiechnęła się.

– Ty też.

– Czy twój pies będzie próbował mnie zagryźć? – zapytał. – Psy mnie nienawidzą.

To była prawda. Każdy pies, jakiego spotykali w Nowym Jorku, warczał na Michaela, poczynając od niewinnego teriera sąsiadki, a kończąc na przyjacielskich golden retrieverach przynoszących frisbee w Central Parku.

– Jesteś bezpieczny – zapewniła go. – Moi przyjaciele są też przyjaciółmi Charliego.

– Tym teraz jesteśmy... przyjaciółmi?

Otworzyła drzwi, żeby uniknąć odpowiedzi na pytanie. Kiedy Michael wszedł za nią do środka, Charlie stanął między nimi, położył uszy po sobie i zaczął warczeć najgroźniej, jak tylko potrafił.

Michael spojrzał na niego surowo, po czym się rozejrzał.

– Kupiłeś te wszystkie rzeczy.

– Dom był w większości umeblowany – odpowiedziała, wypuszczając wciąż zaniepokojonego Charliego na dwór.

Michael usiadł na czerwonej kanapie, oparł się o poduszkę z wyszytymi słonecznikami i nagle wyglądał tak bardzo nie na miejscu, że każdy, kto grałby w zgadywanke „Co nie pasuje do tego obrazka”, od razu wskazałby Michaela Whitmana.

– Przyleciałeś samolotem? – spytała. – I wynajęłeś samochód na lotnisku? – Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Michael jechał tu z Nowego Jorku po pracy siedem lub osiem godzin. Lot trwał tylko godzinę.

Przytaknął.

– Jak zwykle wyszedłem późno, ale jakoś nie potrafiłem się zmusić do powrotu do pustego mieszkania. Co wieczór wychodzę z pracy bez ciebie, wracam do domu bez ciebie, wciąż cię nie ma. To daje mnóstwo czasu do myślenia.

Usiadła obok niego.

– I o czym tak rozmyślałeś?

– O tym, że za tobą tęsknię. Nie jestem tak naprawdę zakochany w Lenie. Chcę, żebyś wróciła do domu, Becs.

„Ach, Michaelu” – pomyślała, zachowując to westchnienie dla siebie.

Wstała.

– Chcesz coś do picia lub jedzenia? Mam w lodówce pysznego kurczaka. I piwo Shipyard, na pewno ci zasmakuje.

– Mamy shipyarda w Nowym Jorku, Rebecca.

– Aha.

– Nie chcę niczego do picia ani do jedzenia. Chcę odpowiedzi. Chcę, żebyś wróciła do domu. Przyjechałem tutaj, żeby zabrać cię z powrotem.

Wiedziała, że wiele go to kosztowało. Przyleciał tutaj tylko po to, żeby jej to powiedzieć. Nie był człowiekiem skłonny do wielkich poświęceń, a to było duże poświęcenie. Jej serce wyrywało się do niego i żałowała, że nie może podejść i go objąć. Stała zatem jak skamieniała.

– Wyobrażam sobie, jak pewnego dnia bierzemy ślub i zamieszkujemy w tym brązowym trzypiętrowym budynku na Perry Street, o którym rozmawialiśmy. Wiem, że musimy nad sobą popracować, ale wiemy też, jak to osiągnąć. Wszystko będzie dobrze.

Rebecca usiadła.

– Nie zgadzamy się w kilku najbardziej podstawowych kwestiach, Michaelu.

– Masz na myśli twój spadek?

– Mam na myśli spadek, Joy i to, co dla mnie znaczy, i moją obecność tutaj.

– Domyślam się, że nie dostałaś jeszcze wyników DNA?

Pokręciła głową.

– Pojutrze mogę zacząć sprawdzać, czy nie pojawiły się w internecie.

– Myślałem o tym z twojej perspektywy – powiedział. – Jeśli jest twoją siostrą, byłoby dużą hojnością, gdybyś dała jej dziesięć tysięcy.

Chyba żartował.

– Dziesięć tysięcy? To nie pokrywa nawet kosztu alimentów do momentu osiągnięcia pełnoletności, biorąc pod uwagę dochody mojego ojca. Ta kwota nawet nie pokrywa pożyczki, jaką wzięła na studia.

– Dobrze, zatem dwadzieścia pięć tysięcy. Niech będzie nawet pięćdziesiąt tysięcy. To byłaby wielka hojność, Rebecca.

„Hojność, kurczę”.

– Nie jestem zainteresowana hojnością, chcę zrobić to, co uważam za słuszne. Dam jej połowę.

Pokręcił głową, jakby to do niego należało podjęcie decyzji.

– Połowa to nasza przyszłość, Rebecca. To zaliczka na mieszkanie w brązowym budynku, wykształcenie naszych dzieci, domek letniskowy w Montauk, o którym rozmawialiśmy. Moglibyśmy nawet wynająć tutaj domek na sezon narciarski.

Rebecca nie jeździła na nartach i nieszczególnie miała na to ochotę.

– Nieważne, nie musimy teraz o tym rozmawiać – powiedział, przysuwając się do niej i biorąc jej dłonie w swoje. – Porozmawiamy na ten temat, kiedy sprawdzisz wyniki badania DNA. Wróc ze mną do Nowego Jorku jutro rano. Możesz sprawdzić wyniki w domu.

Odsunęła się od niego.

– Nawet przez chwilę nie słuchałeś tego, co mówiłam. Wcale mnie nie słuchasz.

– Rebecca, słyszę cię głośno i wyraźnie. Po prostu uważam, że popełniasz błąd, od którego staram się cię odwieść. Możesz stracić te pieniądze.

Doprowadzał ją do szału. Czy zawsze tak się działo między nimi? Czy jego pomysł zawsze musiał być najlepszy, jego przekonania zawsze jedynie słuszne?

– Nie uważam, żebym popełniała błąd. I nie chcę więcej z tobą o tym rozmawiać.

Westchnął sfrustrowany.

- Dlaczego jesteś tak cholernie uparta?
- Przyleciałeś tutaj, żeby mnie wyzywać?
- Przyjechałem, żeby przemówić ci do rozsądku.

Spojrzała na niego uważnie, po czym oparła się na kanapie.

- Michaelu, co powinnam wiedzieć, twoim zdaniem?

Wyglądał na poirytowanego.

- Że popełniasz wielki błąd.

– Dlatego, że chcę dać Joy pieniądze? Czy dlatego, że nie wracam do domu? O co ci chodzi?

- O obie te sprawy.

Spojrzała na mężczyznę, z którym była od dwóch lat, który pocieszał ją po śmierci ojca, który zorganizował pogrzeb, który przytulał ją w tych nocnych godzinach, kiedy potrafiła jedynie płakać.

- Kochasz mnie? – spytała.

Michael spojrzał na nią uważnie.

- A ty mnie kochasz?

Miała ochotę powiedzieć: „Ja byłem pierwsza”, ale nagle zdała sobie sprawę z istoty problemów w ich związku. Odkryła prawdziwy problem, źródło wszystkich problemów – już się nie kochali. Kiedyś byli w sobie zakochani i nieco z tego uczucia pozostało – czułość, delikatność, ale nie miłość. A na pewno nie była to miłość potrzebna do stworzenia szczęśliwego małżeństwa. Michaelowi zależało na niej i nie był gotowy na to, by odeszła, podobnie jak ona. Potrzebował tych pieniędzy jako czegoś konkretnego, co będzie gwarantem ich niepewnej przyszłości. A jednak jej nie kochał i nie była pewna, czy ten mądry, silny i wnikliwy Michael Whitman w ogóle o tym wiedział.

Patrzył jej w oczy.

– Bardzo mi na tobie zależy, Rebecca. I uważam, że możemy się dogadać. Chcę, żebyśmy się dogadali.

Wiedział. Wiedział, ale nie był na to gotowy. Poczwała kolejną falę emocji, coś na kształt oczyszczenia. ONA była gotowa pozwolić mu odejść.

– Mnie też na tobie zależy, Michaelu. I myślę, że na początku kochaliśmy się, ale w którymś momencie przestaliśmy, ale byliśmy zbyt... zbyt nie wiem jacy, żeby się do tego przyznać, więc żyliśmy dalej, mieszkaliśmy razem, pracowaliśmy razem, nasze losy były ze sobą splątane. Zależy nam na sobie, ale się nie Kochamy.

Wpatrywał się w nią, po czym odetchnął ciężko i kopnął jedną z gumowych zabawek Charliego, aż odbiła się od ściany. Zamknął oczy i zaległ na kanapie.

- Zależy mi na tobie, Rebecca. Może nawet bardziej, niż myślisz.

- Ja czuję to samo.

- Czy to koniec? – zapytał, spoglądając na nią. – Czy to koniec z nami? Tak po prostu?

– Chyba nie „tak po prostu”, prawda? Od jakiegoś czasu zmierzaliśmy w tym kierunku – powiedziała łagodnie.

Przytaknął, po czym oparł się o kanapę i zapatrzył się w sufit.

- To wszystko jest do dupy – stwierdził.

Przygryzła wargę. Miał rację, ale taka była prawda. Czarno na białym, bez odcieni szarości.

– Dobrze, Rebecca – odezwał się, wstając. – Powodzenia we wszystkim – dodał, po czym wyszedł z domu.

Nie czuła się wolna i pewna tego, czego chce. Leżąc w łóżku z Charliem u boku, marzyła o Theo. Chciała, żeby wziął ją w ramiona, chciała być pod nim, na nim, pragnęła się z nim połączyć. Tęskniła za samym jego widokiem, za ciepłym i słodkim spojrzeniem jego intensywnie brązowych oczu. Jednak on pragnął jej wolnej i pewnej tego, czego chce, a ona jeszcze tego nie czuła – z powodu Michaela, który nadal stanowił część jej życia, ale nie tylko.

Niezależnie od wyników testu DNA może powinna wrócić do Nowego Jorku i zobaczyć wszystko z tamtej perspektywy, sprawdzić, jak będzie się tam teraz czuła. To miasto było przecież

jej domem. Tam się urodziła i tam żyła spokojnie z rodziną, do czasu gdy Wiscasset i kobieta o nazwisku Jayhawk wkroczyły do jej życia, nawet o tym nie wiedząc.

A jednak przez ostatnie tygodnie to Wiscasset stało się jej domem.

„Czego pragniesz najbardziej?” – zapytała samą siebie.

Chciała wiedzieć, gdzie jest jej miejsce na ziemi. Nie mogła się doczekać wyników testu DNA. Jeśli rzeczywiście były z Joy rodzeństwem, pragnęła coś dla niej znaczyć. Chciała, żeby ich pokrewieństwo zmieniło je w prawdziwe siostry.

A jeśli jej marzeniem było, żeby Joy została jej prawdziwą siostrą, musiała dać jej czas i przestrzeń na przyzwyczajanie się do nowej sytuacji, pozwolić, żeby ich relacja nabrała kształtów. Musiała dać jej wolność, by Joy sama podjęła decyzję.

Minęły dwa dni, a Rebecca wciąż nie miała z nikim kontaktu. Mogła leżeć od dwóch dni martwa, po tym jak na przykład poślizgnęła się na swojej świeżo umytej podłodze (stres związany z oczekiwaniem na wynik testu DNA, na stanie się wolną i pewną tego, czego chce, na ogarnięcie wszystkiego rozumem powodował u niej manię sprzątaną). Znaleźliby biednego, zagłodzonego Charliego z głową na jej piersiach.

Świetnie – zaczynała myśleć tak jak jej świętej pamięci babka Mildred.

Nie miała wieści od Harry’ego i Joy, nie wiedziała, czy jeszcze potrzebują sesji. Ellie i Maggie też się nie odzywały. Theo oczywiście również nie. Michaelowi zajmie trochę czasu, zanim się z nią skontaktuje, żeby zabrała z mieszkania swoje rzeczy. Postanowiła zadzwonić wkrótce do jego matki i powiedzieć jej, że z radością włożyłaby jej suknię ślubną, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, i że na pewno już niedługo jakaś inna wspaniała kobieta będzie miała szczęście pójść w niej do ołtarza.

Miała ochotę zadzwonić do Joy i opowiedzieć jej o rozmowach z Theo i z Michaeliem, o tym, jak szybko z posiadania dwóch chłopaków przeszła do bycia singlem. Wiedziała jednak, że takim telefonem ze zwierzeniami wywierałaby presję na Joy, jakby oczekiwała, że ta wpadnie do niej zaraz z litrem lodów i pudełkiem chusteczek.

A jednak marzyła o tym.

– Zostaliśmy tylko we dwoje, Charlie – powiedziała.

Spojrzała na zegarek i postanowiła zabrać Charliego na ostatni dzisiaj spacer. Potem zamierzała się położyć, ale już wiedziała, że nie będzie mogła zasnąć.

Włożyła sweter i pozwoliła Charliemu prowadzić się ścieżką do plaży. To była jego ulubiona trasa, a jeśli przy okazji wpadłaby na Theo Grangera... no cóż, takie było życie w małym miasteczku. Kiedy tylko poczuła, jak Charlie ciągnie za smycz i próbuje się wyrwać, jak merda wesoło ogonem, wiedziała, że jego najlepszy przyjaciel, Spock, jest niedaleko.

Pozwoliła Charliemu pociągnąć się za ciemny zakręt tworzony przez wiecznie zielony żywopłot, a serce waliło jej jak młotem. Najpierw zobaczyła spiczaste uszy Spocka. Chwilę później z ciemności wyłonił się Theo. Wyglądał tak pociągająco, a jednocześnie... wydawał się zmartwiony. A może był po prostu wkurzony, że zapuściła się na ścieżkę w jego części plaży.

Ledwie zdążyła się przywitać, kiedy zadzwonił jej telefon. Theo skinął do niej i zaczął się oddalać, wołając: „Chodź, Spock!”, ale ten oczywiście nie zwracał na niego uwagi, zajęty pogonią za ogonem Charliego.

Na małym ekranie pojawiło się imię Maggie. Jest prawie północ. To Maggie?

– Rebecco, musisz tu przyjechać. Jestem u Ellie. Może tobie uda się ją przekonać. Mówi, że popełni samobójstwo. Zamknęła się w łazience. Jest pijana jak bela.

– CO? O Boże. Theo! – krzyknęła. Jej głos zabrzmiał złowrogo w nocnej ciszy. – Maggie mówi, że Ellie ma kłopoty, że jest pijana i chce się zabić. Maggie, zaraz tam będziemy – powiedziała do telefonu.

Podbiegł do niej.

– Mój samochód jest bliżej. Chodźmy.

Pobiegli do jego domu, odległego o niecałe pół kilometra. Rebecca miała nogi jak z waty, serce jej łomotało. Theo wpuścił psy do ogródka, po czym wskoczyli do samochodu i za chwilę byli już u Ellie w domu.

Maggie zostawiła im drzwi otwarte. Stała teraz z rękami opartymi o drzwi, twarz miała bladą jak ściana, oczy czerwone.

– Ellie, kochanie, proszę, wpuść mnie. – Odwróciła się, słysząc, jak wchodzi. – Siedzi tam od pół godziny, zaczynam się naprawdę martwić.

Szeptem opowiedziała im, co się wydarzyło. Ellie podpisała papiery rozwodowe, wsadziła je do koperty i zawiozła Timowi do domu jego matki, do mieszkania nad garażem, które zajmował. Ponoć Tim podpisał wtedy dokumenty z komentarzem: „Mam nadzieję, że tak będzie lepiej”, i wręczył je z powrotem Ellie, po czym dodał: „Chcesz to zrobić ostatni raz?”. Ellie zrobiło się ciepło i sentymentalnie, ale Timowi nie stanął, więc uklękła, co też nie podziałało. Wtedy Tim powiedział:

– Domyślam się, że już więcej tego dla mnie nie zrobisz. Nie oznacza to jednak, że nie możemy zostać przyjaciółmi. A właściwie to oznacza, że powinniśmy zostać przyjaciółmi.

W odpowiedzi Ellie uderzyła go w brzuch, a Tim, który niczego się nie spodziewał, poślizgnął się na butelkach po piwie, upadł i uderzył się w głowę o jedną z szafek. Połała się krew. Wtedy przyszła jego matka i oskarżyła Ellie o próbę zabójstwa jej KOCHANEGO SYNKA.

– Przynajmniej miała na tyle rozumu, że wychodząc, zgarnęła podpisane papiery rozwodowe – wyszeptwała Maggie.

Zwołano nadzwyczajne zebranie Klubu Zgorzkniałych Byłych, na którym Ellie była bardzo przybita. Po kilku godzinach rozmów, płaczu i jedzenia Lucy i Darren wyszli niechętnie, po namowach Maggie i jej zapewnieniach, że zostanie u Ellie na noc. Wtedy Ellie zaczęła pić, wlewała w siebie pięćdziesiątki tequili jedną po drugiej, chociaż Maggie prosiła ją, żeby przestała i zamiast tego napiła się kawy. Dziewczyna się rozpląkała i nie mogła przestać, a w końcu zniknęła, kiedy Maggie poszła zaparzyć dzbanek kawy. Maggie znalazła ją zamkniętą w łazience. Ellie powiedziała jej, że nie wyjdzie, i przestała odpowiadać. Aż w końcu zawołała:

– Maggie?!

Siedząca pod drzwiami kobieta aż podskoczyła.

– Co, kochanie? Proszę cię, otwórz, żebyśmy mogły porozmawiać twarzą w twarz.

– Mags, myślisz, że moja różowa golarka jest wystarczająco ostra? Czy powinnam raczej użyć mininożyczek z apteczki? To takie barbarzyństwo – wybełkotała. – Tim używał ich do wycinania włosków z nosa. Maggie, czy możesz zadzwonić do Darrena i spytać go, czy golarki marki Rite Aid są wystarczająco ostre? Oszczędzałam ostatnio, dlatego je kupiłam. Pewnie golarki Bic czy jakiegokolwiek inne są ostrzejsze.

W tym momencie Maggie pobiegła po telefon i zadzwoniła do Rebekki.

– Może po prostu połknę te wszystkie tabletki – usłyszeli jęk Ellie. – Tylenol, midol... Jest ich wystarczająco dużo.

Rebecca, Maggie i Theo patrzyli na siebie przerażeni.

– Ellie, tu Theo. Otworzysz drzwi? Bardzo chciałbym z tobą porozmawiać. Przedstawiłbym ci tę sytuację z perspektywy mężczyzny, dobrze?

To był dobry pomysł, który mógł odnieść pożądany skutek. Ellie miała obsesję na punkcie męskiej perspektywy. Według Maggie w ostatnim tygodniu hurtowo wypożyczała z biblioteki książki typu *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus, Jak uleczyć złamane serce w 30 dni czy Rozwód nie jest odpowiedzią*.

Robienie sobie krzywdy też nie było odpowiedzią.

– Mężczyźni cuchną gównem – wymamrotała. – Wszyscy cuchniecie. Nienawidzę was.

– Jest kompletnie pijana – wyszeptwała Maggie.

Theo usiadł na podłodze pod ścianą przy drzwiach do łazienki.

– Zobaczymy, jak tobie pójdzie – szepnął do Rebekki.

Wypowiedziała krótką modlitwę do nieba i oparła dłonie o drzwi.

– Ellie? Tu Rebecca. Kochanie, proszę, otwórz drzwi. Chcę z tobą porozmawiać.

– Cześć, Berecca. – Zaśmiała się. – Czy właśnie przekreśliłam twoje imię? – Zaczęła szlochać. Łkała głośno, po czym nagle przestała. – Jestem tak bardzo pijana.

– Nic nie szkodzi, Ellie. Czasem człowiek musi się upić. A ty masz tutaj trzy osoby, którym

na tobie zależy, które chcą z tobą porozmawiać. Do tej pory byłaś taka silna. Wyjdź do nas teraz, dobrze?

– Jest mi tu tak wygodnie – powiedziała. – No, może nie aż tak wygodnie. – Zaśmiała się, po czym wyjęczała: – Słyszeliście, że zabiłam Tima?

Poczuła, jak coś ściska ją za serce.

– Godzinę temu Theo widział go wchodzącego do sklepu z bandażem na skroni. Żyje i ma się nieźle.

Usłyszeli szloch.

– Nienawidzę go. I nienawidzę jego głupiej matki.

– Ellie, wyjdź wreszcie i połóż się na kanapie. Zostaniemy z tobą, dobrze?

Nastała cisza, po czym usłyszeli kolejny jęk, łomotanie, pstryknięcie i kolejne łomotanie. Otworzyła drzwi? Maggie i Theo zamknęli oczy, a Rebecca złapała za klamkę, która w końcu się przekręciła. Rebecca westchnęła głęboko i delikatnie otworzyła. Ellie leżała w pustej wannie, przykryta ręcznikiem po samą szyję, na twarzy miała rozmazany makijaż. Pusta butelka po tequila stała na podłodze. Widać było, że wymiotowała obok klozetu.

– Ja tylko chcę, żeby on mnie kochał – powiedziała, nakrywając głowę ręcznikiem.

Rebecca odsunęła kosmyki długich ciemnych włosów, które opadały jej na usta.

– Dlaczego on mnie nie kocha? Dlaczego, Theo? Czy wciąż tu jesteś?

Theo wszedł do łazienki i usiadł na brzegu wanny.

– Jestem tutaj.

– Dlaczego on mnie nie kocha?

Wziął ją za rękę.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, Ellie, ale wiem, że na pewno nie dlatego, że nie jesteś piękna czy wspaniała. Tutaj wcale nie chodzi o ciebie.

– Czyli nie mogę nic z tym zrobić? – powiedziała i znów się rozplakała, naciągając ręcznik na twarz. Jej drobne ciało było udręczone szlochaniem.

Theo podniósł ją z wanny i zaniósł na czarną skórzaną kanapę. Położył ją na niej, przykrył narzutą i odgarnął jej włosy z twarzy.

– Ellie, kochanie, wiem, że to piekielnie boli, ale masz rodzinę i przyjaciół, którzy cię kochają i pomogą ci przez to przejść.

Odwróciła się do nich plecami, nie przestając płakać. Maggie zaczęła głaskać ją po głowie i po kilku minutach szlochanie ucichło. Zdali sobie sprawę, że zasnęła.

Maggie głęboko westchnęła.

– Jutro nieźle będzie ją bolała głowa.

Theo zsunął się na podłogę i oparł się o kanapę. Był blady jak ściana.

Maggie wręczyła mu kubek kawy.

– To powinno pomóc. – Poszła do kuchni po kolejny kubek dla Rebekki. Ręce jej się trzęsły.  
– Myślę, że teraz ją przekonam do spotkania z moim terapeutą. Wcześniej mi się nie udało, ale założę się, że teraz się zgodzi. Bardzo wam dziękuję za to, że przyjechaliście. Tak się bałam. Popilnuję jej w nocy.

Rebecca pogłaskała Maggie po ramieniu.

– Zostanę tu z tobą.

Theo odstawił kawę i poszedł do kuchni. Wrócił kilka minut później z butelką płynu do podłogi o zapachu sosnowym, mopem i ręcznikami kuchennymi, po czym zniknął w łazience. Gdy wyszedł, powiedział:

– Teraz jest tam dużo czystiej. – Odstawił mopa, płyn i ręczniki. – Dobrze, pójdę już. Jeśli będziecie mnie potrzebować, dzwońcie.

Przez moment patrzyli sobie z Rebecą w oczy, po czym wyszedł.

– Jest jak żywe srebro – wyszeptała Maggie. Zgasła światło i położyła się na podłodze z głową na poduszce.

Rebecca znalazła obok łazienki schowek na bieliznę i wyjęła z niego dwa bawełniane koce. Jednym z nich przykryła Maggie, potem położyła się obok niej i patrzyła na odbicia srebrnego

światła księżycyca na suficie, zanim w końcu zasnęła, chociaż sztuczny zapach koca nie pasował jej do zapachu sosen.

Rano Ellie miała oczywiście potwornego kaca. Była też bardzo zawstydzona. Przysięgała, że nie chciała się zabić, że upadła na samo dno i teraz mogła się tylko od niego odbić. Zadzwoiła nawet do swojej matki, a ta do swoich czterech sióstr, które z kolei skontaktowały się ze swoimi córkami i synowymi. W rezultacie wszystkie wpadły do Ellie o dziewiątej, żeby się nią zająć.

Kiedy przyjechała grupa przynajmniej dziesięciu głośnych kobiet, które mówiły jedna przez drugą, piszczały i przekazywały sobie Ellie z rąk do rąk, powtarzając: „Ten oszust, łajdak i nieudacznik nie wie jeszcze, co to rozlew krwi!”, Rebecca czuła, że będzie dobrze.

Ellie miała rodzinę, miała przyjaciół i wszyscy byli gotowi o nią zadbać.

Rebecca i Maggie wyszły od niej dopiero po tym, jak przysięgła, że jeszcze tego samego ranka umówi się na wizytę z terapeutą. Chłodne, poranne powietrze odświeżało, ale Rebecce wciąż paraliżował stres, w dodatku od spania na podłodze piekielnie bolał ją kręgosłup.

– Chyba wystarczająco wystraszyła drzemiącą w niej zgorzkniałość – stwierdziła Maggie, gdy szły do jej samochodu. Wyglądała na wyczerpaną; jej zawsze żywe brązowe oczy były teraz podkrążone i spuchnięte.

– A przecież nie jest jeszcze nawet byłą żoną – rzekła Rebecca. – Martwię się.

– Przejdzie jej. Jestem tego pewna. Tkwiałam w tym samym punkcie co ona. Może nie wyglądało to aż tak źle, ale w pewnym sensie było nawet gorzej. Musimy tylko przez dłuższy czas bacznie ją obserwować. Poza tym ma te wszystkie kobiety, które wokół niej biegają. Będzie dobrze.

Kontynuując swoje zapewnienia i dziękując Rebecce za pomoc, Maggie zostawiła ją pod domem. Rebecca wzięła szybki prysznic, a potem zasnęła. Obudził ją telefon.

To był Theo. Jego głos był jak balsam na duszę. Spytał o Ellie, powiedział, że zostawił Charliego, nakarmił go i wyprowadził. I rozłączył się. A jednak zadzwonił do niej; równie dobrze mógł zadzwonić do Maggie lub bezpośrednio do Ellie. Mógł też po prostu poprosić ją o odebranie Charliego.

Zależało mu. W tym momencie to było dla niej najważniejsze.

Dzisiaj wypadła ósmy dzień roboczy od momentu złożenia próbek, co oznaczało, że wyniki testu DNA miały szansę wreszcie zostać opublikowane w internecie. Rebecca sprawdzała już poprzedniego dnia, dwa, a nawet trzy dni wcześniej, ale tak naprawdę nie spodziewała się wtedy, że pozna wyniki. W klinice poinformowano ją, że dzisiaj najwcześniej mogą się pojawić w sieci.

Przyniosła swojego laptopa do kuchni i postawiła go koło wazonu ze słonecznikami. Dostała je wczoraj w podziękowaniu od Ellie.

Wpatrywała się w niewielkie okienka, które prosiły ją o podanie nazwy użytkownika i hasła. „Po prostu zrób to” – ponaglała się w duchu. A jednak nie była w stanie. Teraz, kiedy wyniki testu mogły się wyświetlić na ekranie, obezwładniał ją lęk. A jeśli Joy nie jest jej siostrą? Co wtedy?

Wątpliwości oznaczały, że przyszedł czas na spacer z Charliem lub na kolejne szorowanie nieskazitelnej bieli zlewozmywaka. Wybrała Charliego. Po godzinnej przechadzce po nieubitych ścieżkach była z powrotem w domu. Usiadła do komputera.

Tak naprawdę wcale nie zastanawiała się, co zrobi, jeśli Joy Jayhawk nie jest jej siostrą. W ogóle nie dopuszczała do siebie takiej ewentualności. Jednak gdzieś w głębi duszy czaił się cień wątpliwości i teraz po raz pierwszy zaczął ją przerażać.

Odetchnęła głęboko. Czuła się dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy pięć razy wpisywała imię i nazwisko Joy w wyszukiwarkę internetową, a potem je kasowała. Teraz jednak nie było z nią Charlotte, która mogłaby wziąć sprawę w swoje ręce.

Dobrze.

– Po prostu zrób to! – krzyknęła do siebie. Wpisała nazwę użytkownika i hasło, wstrzymała oddech i zamknęła oczy.

Otworzyła je i zobaczyła gmatwaninę wyrazów: „Test DNA na ustalenie pokrewieństwa w stopniu: rodzeństwo... Test DNA jest rozstrzygający – potwierdza silne pokrewieństwo...”.

Aż podskoczyła.

– Dziękuję ci, wszechświecie!

Wydrukowała stronę z wynikami i pojechała do domu Joy. Zapukała do drzwi, powtarzając: „Błagam, bądźcie w domu”.

Brak odpowiedzi.

Zadzwoiła raz, potem drugi.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Joy, która wyglądała tak samo jak tego dnia, kiedy Rebecca przyjechała do niej po raz pierwszy: włosy związała w kucyk, a na nogach miała te same czerwone chodaki.

– Jesteś moją siostrą – powiedziała Rebecca, ściskając wydruk.

Joy wpatrywała się w nią, po czym wzięła dokument i przejrzała go.

– Teraz to takie... oficjalne – wydusiła z siebie. – Zapisane czarno na białym.

– Ani przez moment nie miałam wątpliwości. Czuję, że jesteśmy jak siostry, Joy.

– To jednak niczego nie zmienia. Zawsze wiedziałam, kim był mój ojciec. Nie potrzebowałam testu, żeby się upewnić.

Ależ ona była uparta!

– Czy to nie sprawia, że nasze pokrewieństwo staje się nieco bardziej namacalne? – spytała Rebecca.

W tym momencie przybiegł Rex w swojej pelerynie Supermana i uczeplił się nóg Joy.

– Ceść, Beksa, przeczytasz mi bajkę?

Kiedy Joy przygryzła wargę i przymknęła na chwilę oczy, Rebecca wiedziała już, że się łamie. Pojawiła się duża rysa i teraz cały mur trząsł się w posadach.

– Kochanie, nie wiem, czy Rebecca ma czas, żeby przeczytać ci bajkę – wytłumaczyła Joy.

– Mogę zostać na chwilę, ale twoja mama musi się zgodzić – powiedziała Rebecca, patrząc na Joy.

Rex złapał ją za rękę i pociągnął do środka.



– No, chodź! Chcę ci pokazać, co zrobiłem dzisiaj w przedszkolu. Jamnika z lulek!

Rebecca się zaśmiała, a Joy przesunęła się na obok, chociaż jej twarz nadal wyrażała napięcie. Jednak pozwoliła Rebecce wejść.

O godzinie szóstej tego samego wieczoru Rebecca przyjechała do Joy z bochenkiem portugalskiego chleba. Rano bawiła się z siostrzeńcem tylko dwadzieścia minut. Potem Joy przerwała im tworzenie budowli z klocków i oznajmiła, że przyszedł czas na drzemkę Rexa. Zaprosiła ją jednak na kolację, żeby porozmawiać. To było już coś.

Rebecca chciała przynieść wino, ale nie była pewna, czy Joy uważała odebranie wyników testu za powód do celebrowania, czy raczej za stwierdzenie faktu. Jednak po wejściu do kuchni zobaczyła na stole butelkę białego wina i dwa kieliszki. Joy napełniła je i wzniosła toast:

– Za uczenie się, jak być siostrami.

Serce Rebekki aż podskoczyło. Uniosła kieliszek i obie wzniosły toast.

– Wypijmy za to.

Joy uśmiechnęła się szeroko.

– Nie wiem, czy nie powinnam wypić za to całej butelki. Tak jak powiedziałam, nie potrzebowałam potwierdzenia. Od początku wiedziałam, że jesteś moją siostrą. Po prostu nie mogłam się z tym pogodzić. Z ewentualnymi konsekwencjami.

– A jakie są dla ciebie te konsekwencje? – spytała Rebecca.

Joy napiła się wina.

– Muszę się pogodzić z tym, że mój biologiczny ojciec mnie zostawił, nie chciał mnie, nie był mną zainteresowany. Moja matka zawsze mi powtarzała, pomimo że brzmi to niewiarygodnie, że nie powinnam tego brać do siebie, bo to z moim ojcem był problem, nie ze mną. Ale dziecko nie rozumie takich rzeczy.

Rebecca przytaknęła.

– Dużo o tym myślałam, od kiedy tata powiedział mi o tobie.

– Wtedy, ni z tego, ni z owego, pojawia się z nowiną, że on umarł, a ty jesteś moją siostrą. Na dodatek wszyscy oczekują, że przyjmę cię z otwartymi ramionami.

Rebecca oderwała kawałek chrupkiego pieczywa.

– Teraz to rozumiem. Chyba przyjechałam tu z nierealnym marzeniem, że tak właśnie będzie.

– Zauważyłam to – skomentowała Joy i się zaśmiała. – Jesteś uparciuchem, Rebecca, prawda?

Rebecca wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Chyba tak.

– Mój syn cię lubi.

– To już dwa plusy dla mnie.

Joy odetchnęła głęboko i odchyliła się na krzesło; jej blond włosy opadły na oparcie.

– A więc mam siostrę, rany!

– Wiesz co, mamy jeszcze jakieś siedemdziesiąt lat, żeby ułożyć sobie relacje. – Może nie powinna była tego mówić? W ten sposób wywierała na Joy jeszcze większą presję.

Ale Joy się uśmiechnęła. Były rodziną. Nie tylko dlatego, że potwierdzały to wyniki testu DNA. Dlatego, że ONE to stwierdziły. Dlatego, że Joy to w końcu powiedziała.

Kiedy pałaszowały makaron i portugalski chleb przyniesiony przez Rebecce, Joy się odezwała:

– Nadal czuję się nieco skrępowana, biorąc te pieniądze, ale już się zdecydowałam. Czy to nie paradoks? Żeby uratować swoje małżeństwo, muszę przyjąć ponad pół miliona dolarów. – Pokręciła głową. – To jakieś szaleństwo. Nie mogę uwierzyć, że największym problemem okazała się spadająca mi z nieba fortuna.

– Cieszę się, że już podjęłaś decyzję – stwierdziła Rebecca.

– Myślę, że Harry ma rację: przyjęcie tych pieniędzy będzie symbolem tego, że akceptuję to, co się stało, i żyję dalej. – Przygryzła wargę i spojrzała na Rebecce. – Chcę, żebyś wiedziała, że cieszę się, że tutaj zostałam i wytrzymałam tyle czasu, i to ze mną! Wiem, nie jestem najłatwiejszą

osobą do zaprzyjaźniania się. W drugiej klasie nauczycielka napisała w mojej karcie ucznia: „Nie jest łatwo zaprzyjaźnić się z Joy, ale jestem pewna, że kiedy już się otworzy, zabłyśnie”. Była na mnie zła. Zdarzało się, że kazała przynosić na lekcje interesujące przedmioty i opowiadać o nich innym uczniom. Ja nigdy nic nie przynosiłam. Niektórzy po prostu nie chcą przynosić rzeczy ze swojego domu i opowiadać o sobie obcym ludziom. Rozumiesz, co mam na myśli?

Rebecca się zaśmiała. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie Joy opowiedziała jej o sobie.

– Też mam taką uwagę w karcie ucznia.

Joy przez chwilę spoglądała na Rebeccę.

– Zauważyłam, że ostatnio jesteś przybita. Problemy sercowe?

Rebecca prawie się rozplakała – po pierwsze dlatego, że pytała ją o to jej siostra, po drugie, na wspomnienie Theo.

– Theo zerwał ze mną, bo oficjalnie nadal byłam z Michaeliem, a ja zerwałam z Michaeliem, bo już do siebie nie należymy. Nie wiem, czy nie przesadziłam z Theo. Tak bardzo za nim tęsknię! Ale nie mam pojęcia, czy przyjmie mnie z powrotem.

Joy otworzyła drugie wino i Rebecca poczuła, że jest nawet lepiej niż na wieczornym spotkaniu z lodami i chusteczkami.

– Czemu tego nie sprawdzisz? Pamiętaj, że łatwo się nie poddajesz.

Rebecca się zaśmiała.

– To prawda.

– Prawie zapomniałam – rzekła. – Mam coś dla ciebie. – Wyjęła ulotkę Uniwersytetu Southern Maine. – Zabrałam dzisiaj Rexa do planetarium w Portland na przedstawienie dla dzieci, a przy okazji zajrzałam do biura rekrutacyjnego, bo planetarium mieści się na terenie kampusu. Poprosiłam o ulotki dotyczące kursów na terapeutów. Wiesz, że mają takich kilka? Mogłabyś zostać terapeutką, doradcą małżeńskim, kimkolwiek zechcesz. Powinnaś się temu przyjrzeć.

Rebecca nie pamiętała, kiedy ostatni raz była tak wzruszona. Nie tylko dlatego, że Joy o niej pomyślała, lecz także dlatego, że w ten sposób dawała jasno do zrozumienia, że zależało jej, aby była blisko.

– Dziękuję ci.

– Chyba tak zachowują się siostry, prawda? – spytała Joy.

– Właśnie tak. – Rebecca miała ochotę rozryczeć się na całego.

Zanim Harry z Rexem wrócili do domu, Joy i Rebecca zdążyły już ze zdumieniem ustalić, jak mało mają ze sobą wspólnego (może poza niektórymi rzeczami do jedzenia, takimi jak pizza, masło orzechowe i kanapki z marmoladą). Doszły do wniosku, że muszą znaleźć rzeczy, których żadna z nich nie próbowała, i razem sprawdzić, czy je polubią, na przykład wędkowanie lub robienie na drutach.

– Mamusiu! – Rex rzucił się na Joy. Podniosła go i objęła, a on zaczął się wpatrywać w Rebeccę. Jego małe dołeczki w policzkach pogłębiły się. – Hej, Becca!

– Zgadza się, jestem Rebecca – powiedziała i połaskotała go po kuszulce z uśmiechem.

Pobiegł do swojego stolika, na którym stała w połowie gotowa wieża z klocków lego, i zaczął dostawiać kolejne części.

– To twój siostrzeniec – powiedziała Joy. – Kiedy zacznę nazywać cię siostrą i ciocią, Rex zaraz to podchwyci.

Rebecca spojrzała na chłopca, swojego siostrzeńca, i znów pojawiły się w niej ciepłe uczucia. Kierowały się one do wszystkich w tym domu, ale też do ojca, którego dusza, a przynajmniej jej część, została uchwycona na obrazie wiszącym na ścianie korytarza.

– Teraz masz też szwagra – powiedział Harry, wchodząc do pokoju. Nalał sobie wina i wzniósł toast za Rebeccę. – Nie chcę rozpoczynać poważnych tematów, kiedy Rex jeszcze nie śpi, ale też rozmyślałem nad naszą sytuacją, Joy. Jeśli odmówisz przyjęcia tych pieniędzy, zrozumieć to. Nie możemy tęsknić za czymś, czego nigdy nie mieliśmy. Tu chodzi o twoją przeszłość, a ja myślałem chyba tylko o własnej wygodzie. To nie w porządku. Dlatego wycofuję się z debaty na temat spadku. Zrobisz, co uważasz za słuszne.

Joy rzuciła mu się w ramiona.

– Już powiedziałam Rebecce, że przyjmę pieniądze. Połowę dam mamie, tak będzie najlepiej. – Przerwała na moment. – Jak myślisz?

Harry objął Joy.

– Zgadzasz się z tobą. I kocham cię.

– Ja też cię kocham – powiedziała.

Rozmowy o miłości sprawiły, że Rebecca szczególnie mocno zatęskniła za pewnym wysokim, przystojnym blondynem.

– Chyba czas na mnie. Joy, dziękuję ci za kolację. I dziękuję ci za... wszystko.

Joy odprowadziła ją do drzwi i przytrzymała je dla niej.

– Zamierzam odebrać od ciebie skrzynkę z listami. Nie jestem pewna, czy od razu zacznę je czytać, ale kiedyś na pewno będę na to gotowa.

– Słyszysz, tato? – szepnęła Rebecca pod nosem. Poczowała, jakby ktoś zdjął z jej serca potężny ciężar, którego wcześniej nawet sobie nie uświadamiała. Położyła rękę na piersi i uśmiechnęła się. – Jutro ci je przywiozę.

– Mogę je też odebrać pojutrze; zabrałabym cię na farmę, na której będę pracować od przyszłego poniedziałku. – Oczy Joy zapłonęły. – Podpisałam umowę o pracę, dwa razy w tygodniu rano, kiedy Rex jest w przedszkolu. Na stażu będę się zajmować bykami beltie.

– Gratulacje! – powiedziała Rebecca i stwierdziła w duchu, że może wreszcie będzie mogła włożyć swoje kowbojki.

– To nie znaczy, że zamierzam porzucić bus miłości na dobre. Będę organizować comiesięczne wycieczki dla Zgorzkniałych Byłych. Niestety, ten klub nie pozwoli mi na lenistwo. Odebrać cię o dziewiątej czy dziewiątej piętnaście?

Rebecca pomyślała o Ellie, Maggie, Lucy i Darrenie, o wcale niezgorzkniałych byłych. Są po prostu wspaniałymi ludźmi, którzy próbują znaleźć sens w czymś, co zaprzętało ich umysły, serca i wszystkie inne części ciała. Tak jak WSZYSCY.

– W okolicach dziewiątej mi pasuje – powiedziała i poszła do samochodu ścieżką wyznaczoną przez szpalery niecierpków. Kiedy już miała wsiadać, Joy zawołała do niej po imieniu.

– Witaj w rodzinie, Rebecco!

Uśmiechnęła się.

– Wy też witajcie!

Rebecca pojechała prosto do Theo, ale dom wyglądał na pusty. Siedziała na ganku przez blisko godzinę, jednak Theo się nie pojawił.

– Jestem wolna i wiem, czego chcę – powiedziała do gwiazd. – Więc gdzie on jest?

„Proszę, żebym się tylko nie spóźniła – modliła się do gwiazd. – Proszę, proszę, proszę”.

Siedziała pod jego domem jeszcze przez dobre dwadzieścia minut, czując się prawie jak stręczyciel, po czym poszła do Mama's, dokąd Theo często zabierał swoją babcie na Śniadanie Rannego Ptaszka. Poszła tam, mimo że było po dziesiątej, czyli już po zamknięciu. Arlene czasami miała dłużej otwarte ze względu na stałych klientów, ale lokal wyglądał na opuszczony.

Kiedy następnego ranka usłyszała dzwonek, rzuciła się do drzwi jak szalona. Jednak szybko zdała sobie sprawę, że to nie mógł być Theo. Nie przyszedłby do niej – wyraźnie jej to powiedział.

Otworzyła i ujrzała przed sobą Joy i jej matkę. Nie mogła uwierzyć, że obie pojawiły się na progu jej domu. Pia Jayhawk uśmiechnęła się, jakby ją rozumiała, i wyciągnęła do niej obie ręce. Rebecca zrobiła to samo i kobieta uściśniła jej dłonie. Przez moment wyobraziła sobie Pię dwadzieścia sześć lat temu, jak samotna, w ciąży, w rękawiczkach bez palców i w postrzępionych koszulkach, kurczowo ściska kamyk, od którego wszystko się zaczęło. Jednak tylko przez moment. Teraz widziała przed sobą piękną i silną kobietę, która sama wychowała swoją córkę.

Joy wyglądała na weselszą niż kiedykolwiek wcześniej.

– Rebecco, to jest moja mama, Pia Jayhawk-Montenegro. Mamo, to jest córka Daniela Stranda, Rebecca.

– Dzień dobry, Rebecco – przywitała ją ciepłym głosem. – Miło mi cię poznać. Wiem, że spotkałyśmy się u Joy w któryś weekend, i możesz mi wierzyć lub nie, ale kiedy zobaczyłam cię, jak wpatrujesz się w obraz Daniela, od razu pomyślałam, że jesteś jego córką. Powiedziałam wtedy

do siebie: „Pia, nie bądź głupia, co córka Daniela Stranda robiłaby w domu Joy?”. Jakie mogło być prawdopodobieństwo, nawet jeśli widziałam, jak przyglądasz się obrazowi? A jednak wątpliwości mnie nie opuszczały, kiedy później widziałam, jak mnie obserwujesz.

Rebecca się uśmiechnęła.

– Czulałam, że się domyślasz, ale nie byłam pewna. – Otworzyła szerzej drzwi. – Może wejdziecie i napijecie się kawy?

– Niestety, spieszmy się na przymiarkę mojej sukienki na odnowienie przysięgi małżeńskiej – poinformowała Pia. – Kiedy Joy opowiedziała mi wczoraj o wszystkim, zapragnęłam cię zobaczyć chociaż przez chwilę. Chciałam ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że pojawiłaś się w życiu Joy. Zawsze o tym marzyłam.

– Mój ojciec też – odparła Rebecca. – Mam nadzieję, że mogę wam to powiedzieć.

Pia przytaknęła.

– Oczywiście. Joy przeczytała mi jego ostatni list. Dobrze było poznać jego treść. Bardzo dobrze.

– Cieszę się – rzekła Rebecca. – To wszystko jest dla nas takie nowe.

– Może zjemy dziś razem obiad w miasteczku? – zaproponowała Joy.

Rebecca była zachwycona.

– Z przyjemnością.

Po uroczym obiedzie z Pia i Joy (rozmawiały o nadchodzącej uroczystości odnowienia przysięgi małżeńskiej, o drugim miesiącu miodowym i o najbliższych wydarzeniach; istniało między nimi niepisane porozumienie, że mają całą wieczność na dyskusowanie o tej jednej rzeczy, która je rzeczywiście łączyła) Rebecca kupiła produkty na ulubioną kolację Theo – przepadał za smażonym tuńczykiem – i popędziła do domu, żeby się przygotować. Miała plan, by pojawić się niezapowiedzianie u niego z torbą zakupów, przeprosinami i słowami „kocham cię”.

Naprawdę go kochała – tej jednej rzeczy była pewna.

Nie miała pojęcia, czy Theo będzie tego dnia w domu. Może wyszedł gdzieś z jedną z tych kobiet, z którymi widywał się od czasu do czasu? Albo nie był już nią zainteresowany?

Włożyła czerwoną sukienkę kopertową i czarne szpilki, jakie noszą argentyńskie tancerki tanga. Całości dopełniał zapach Chanel N°19. Złapała torbę z zakupami, obiecała Charliemu, że przyniesie mu resztki, i pobiegła do drzwi.

Prosto w objęcia Theo Grangera. Stał na ganku, przystojny jak zwykle, i wpatrywał się w nią swoimi intensywnie brązowymi oczami.

Po raz drugi dzisiaj Rebecca złapała głębszy oddech.

– Właśnie do ciebie jechałam – powiedziała, ściskając brązową papierową torbę.

– A ja jestem tutaj. Moja wścibska sąsiadka, pani Finnegrew, powiedziała mi, że jakaś młoda kobieta siedziała wczoraj wieczorem przez kilka godzin u mnie na ganku. Czy to nie był przypadkiem ty?

– Tak.

– Długo czekałaś. Musiałaś mieć mi coś ważnego do powiedzenia.

– Miałam. I nadal mam. Jestem wolna i wiem, czego chcę, Theo. – Tego jednego była pewna. Po raz trzeci dzisiaj szybko wciągnęła powietrze.

Uśmiechnął się w ten sam sposób, w który uśmiechał się, kiedy go poznała.

– Cieszę się, Rebecca.

– A ponieważ zamierzam kupić ten domek, zastanawiałam się, czy mogłabym cię wynająć do zbudowania małego pomostu.

– Na mój koszt. – Odstawił zakupy na bujany fotel, podniósł ją i pocałował w różowoczerwonym blasku zachodzącego słońca.

## Rozmowa z Melissą Senate

### *Jak zrodził się pomysł na napisanie tej książki?*

Inspiracją stało się moje życie – prawda rzeczywiście bywa dziwniejsza od fikcji. Ni stąd, ni zowąd parę lat temu dostałam e-mail z nagłówkiem: „Myślę, że możesz być moją przyrodnią siostrą”. Odkąd skończyłam osiem lat, nie miałam kontaktu ani z biologicznym ojcem, ani z jego rodziną, ale zawsze wiedziałam, że mam przyrodniego brata, który urodził się, kiedy miałam siedem lat. I tak oto nagle kontaktował się ze mną. Zaczęłam wtedy głęboko się nad wszystkim zastanawiać, pojawiło się mnóstwo pytań: Kim jest dla mnie ta osoba? To ktoś zupełnie obcy czy członek rodziny? I co dokładnie oznacza słowo „rodzina”? Jak się z tym wszystkim czuję? Miałam tyle pytań, ale żadnej odpowiedzi. To właśnie jeden z darów powieściopisarza – mogłam przelać swoje wątpliwości na papier, stworzyć fikcyjny świat oparty na rzeczywistości, fikcyjną postać i pozwolić jej pomóc mi w znalezieniu odpowiedzi. Żeby było ciekawiej, odwróciłam całą sytuację – przyrodnia siostra zamiast przyrodniego brata; na główną bohaterkę wybrałam tę osobę z rodzeństwa, która dorastała z ojcem – było to dla mnie bardzo odkrywczym doświadczeniem.

***Już wcześniej pisała Pani o siostrach, ale w nieco innych okolicznościach. Czy ma Pani siostrę? Jak Pani doświadczenia związane z dorastaniem z rodzeństwem lub bez niego wpłynęły na Pani rozumienie słowa „siostra”?***

Za słowem „siostra” kryje się bardzo potężny koncept. Wspólne dorastanie, wspólne wchodzenie w kobiecość. Uwielbiam analizować sytuacje, w których siostry wychowują się w tym samym domu, z tymi samymi rodzicami, a jednak mają tak różne doświadczenia i są po prostu inne. Rzeczywiście mam siostrę – dwa lata starszą, i choć nie mieszkamy w tym samym stanie, odkąd skończyłam szesnaście lat, zawsze czułam się z nią zżyta. W *Szczęśliwej przystani* opisuję siostry mające to samo DNA i ojca (który dla jednej z nich wcale nim nie był), ale których nie łączy nic więcej, ponieważ nie wychowywały się wspólnie. Jak mogą zbudować relację, zwłaszcza jeśli jedna z nich nie jest nią zainteresowana? To taki ciekawy temat do zgłębienia!

***Przeprowadziła się Pani z Nowego Jorku do niewielkiego miasteczka w Maine w ramach – jak sama to Pani nazwała – eksperymentowania z jakością życia. Czy decyzja o przeprowadzce zapadła pod wpływem chwili, jak w przypadku Rebekki? Jak to wpłynęło na Pani życie i czy zainspirowało Panią do pisania?***

To była nagła decyzja, a jednak przemyślana. Od dawna ufam swojej intuicji, kiedy więc coś wewnątrz podpowiedziało mi, żebym przeprowadziła się z Upper East Side na Manhattanie, gdzie przez czternaście lat mieszkalam na dwudziestym drugim piętrze, w apartamencie marzeń z balkonem i częściowym, ale mimo to pięknym widokiem na East River, do niewielkiego miasteczka w Maine z jednym skrzyżowaniem opatrzonym światłami (zupełnie niepotrzebnie), posłuchałam jej. Nie patrząc na liczne „ale”, zostawiłam za sobą rodzinę, przyjaciół i ukochany Nowy Jork. Potrzebowałam ciszy, choć wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że tak naprawdę szukałam wyciszenia wewnętrznego, a nie zewnętrznego. Po przeprowadzce do Maine, do świata zewnętrznej ciszy, niemal słyszałam własne myśli. Dopiero wtedy zaczęłam pojmować, że spokój ducha, którego szukałam, nie pochodził od wielkich połaci łąk i niebieskiego oceanu, od braku trąbiących taksówek i ośmiu milionów ludzi wokół. Spokój trzeba odnaleźć wewnątrz siebie, a nie w otoczeniu, choć otoczenie może się okazać w tym ogromnie pomocne. Och, te lekcje życia! Z dobrych wieści: Kocham Maine. I naprawdę doceniam tutejszy spokój! A jeśli chodzi o to, jak przeprowadzka wpłynęła na moje pisarstwo, to odkryłam, że wszystkie moje przygody, te małe i te duże, jakimś cudem zdołałam przemycić do swoich powieści na sposoby nawet przeze mnie samą czasem trudne do zidentyfikowania.

***Czy jakieś wątki *Szczęśliwej przystani* są autobiograficzne? Czy któryś z bohaterów choć w niewielkim stopniu jest wzorowany na rzeczywistej osobie?***

Patrz pierwsze pytanie! Co ciekawe, choć uwielbiam korzystać z własnych doświadczeń, nigdy, przenigdy nie tworzę bohaterów, opierając się na autentycznych osobach; ja na przykład w niczym nie przypominam Joy Jayhawk ani Rebekki. Lubię natomiast wykorzystywać sytuacje z życia, odwracać je i analizować w fikcyjnych okolicznościach. Robiłam tak w przypadku każdej książki. Nałogowa randkownicza z Nowego Jorku – zaliczone. Samotna kobieta, która zachodzi w ciążę po dwóch miesiącach w nowym związku – zaliczone. Ślub, który nie do końca jest taki, jak się sobie wyobrażało – zaliczone. Przyrodnie rodzeństwo, które ni stąd, ni zowąd „puka do twoich drzwi” – zaliczone!

***Jakie są Pani ulubione miejsca w Maine? Czy była Pani kiedyś w Wiscasset?***

Znak wjazdowy do Wiscasset głosi, że to najpiękniejsze miasteczko w Maine. Bardzo mnie to urzekło, więc postanowiłam przekonać się na własne oczy, czy to prawda. I rzeczywiście! Sama droga do Wiscasset już zapiera dech – wszędzie widać tylko borówkowe pasma oceanu, piękne stare gospodarstwa i pasące się konie. Samo miasteczko jest natomiast urocze jak z pocztówki. Wiele miejscowości w Maine ma niesamowity urok, ale jednocześnie kipi życiem. Szczególnie lubię Camden i Kennebunkport. Moja miejscowość też jest bardzo urokliwa.

***Jak wpadła Pani na pomysł wycieczek dla singli organizowanych przez Joy?***

Zobaczyłam w kolorowej prasie reklamę drogich wycieczek autokarowych dla singli po kalifornijskiej krainie winnic i zaczęłam się zastanawiać, co się dzieje w takim autokarze po wyjeździe z dworca. Czy single oglądają się nawzajem? A jeśli nikt ci się nie spodoba – czy dostaniesz zwrot pieniędzy? A może chodzi o przygodę? Albo co się stanie, jeśli dwie osoby upatrzą sobie tę samą? A jeśli, a jeśli, a jeśli? Ale natychmiast wyobraziłam sobie ten mały żółty busik z *Malej Miss*, a nie prawdziwy autokar z klimatyzacją i toaletą. To on nakierował mnie na to, jacy ludzie będą jeździć na te wycieczki – raczej dziwaczne osobowości, szukające nie tyle romansów, ile akceptacji, więzi z drugim człowiekiem. To ciekawe, jak kielkują pomysły.

***Wiele postaci w tej książce doświadcza problemów sercowych. Co skłoniło Panią do przedstawienia tak wielu związków z problemami?***

Nie zrobiłam tego naumyślnie! Chyba po prostu chciałam przeanalizować, co znaczy słowo „rodzina” dla różnych ludzi na różnych etapach życia. Włącznie... ze sobą.

***Rebecca przez cały czas wydaje się pewna, że ona i Joy są siostrami. Czy podczas pisania choć trochę kusił Panią, żeby zmienić wyniki testu DNA? Czy kiedy zaczyna Pani pisać, zna Pani zakończenie całej historii?***

Zawsze piszę pod ostatnie zdanie. Czy to brzmi dziwnie? Od początku wiedziałam, czego chcę dla Joy oraz Rebekki, i pisałam pod to zakończenie. Nie byłam jednak pewna, co je tam zaprowadzi, nie znałam dokładnie wszystkich zwrotów akcji, zakrętów na drodze. Postacie przejęły pałeczkę i zaczęły opowiadać własną historię. Jednak zanim napisałam choćby słowo, wiedziałam już, że te dwie kobiety są siostrami – w każdym znaczeniu tego słowa.

***Jak praca w wydawnictwie pomogła Pani przygotować się do pisarstwa? Czy znajomość rynku wydawniczego od drugiej strony okazała się pomocna?***

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nie wiem, jak to jest być pisarką, która nie pracowała wcześniej jako redaktorka w wydawnictwie w Nowym Jorku. Zaczęłam pracę w tej branży jako dwudziestodwuletnia asystentka redakcji w dziale beletrystyki, a odeszłam jako trzydziestoczteroletnia starsza redaktorka. Czuję się, jakbym dorastała w tym świecie. Jedno wiem na pewno o działalności wydawniczej – to biznes. Należy zawsze o tym pamiętać. Ta wiedza okazała się dla mnie chyba najbardziej przydatna w ciągu ostatnich dziesięciu lat, od kiedy jestem pisarką na pełny etat. Jednak równie istotna jest świadomość, że tworzenie książek, począwszy od pisarza, a skończywszy na wydawnictwie, to praca wymagająca miłości i zaangażowania.

### ***Jakie są Pani dalsze plany?***

Ciężko pracuję nad kolejną powieścią dla kobiet dla Downtown Press. Jej akcja rozgrywa się w szkole włoskiej kuchni. Będzie w niej trochę magii i mnóstwo miłości. Nosi tytuł *Szkola gotowania Pod Amorem* i zostanie opublikowana w 2010 roku<sup>[3]</sup>. Poza tym bardzo się cieszę, że w maju 2010 roku zostanie wydana również moja powieść dla nastolatków *The Mosts*. Choć jej akcja jest osadzona w szkole średniej (i głównie na farmie w Maine!), powracam w niej do swoich ulubionych zagadnień: poszukiwania akceptacji, rodziny, związków międzyludzkich i odkrywania samego siebie.

<sup>[3]</sup> Książka ukazała się w Polsce w 2012 r. nakładem Wydawnictwa „Nasza Księgarnia”.